

Nie zadzieraj z Molly Murphy!

RHYS BOWEN

O mój ukochany!



NOIR SUR BLANC

RHYS BOWEN

O MÓJ UKOCHANY!

Przełożyła
Joanna Orłoś-Supeł

NOIR SUR BLANC

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Od Autorki

Przy pisy

Inne książki Rhys Bowen

Tytuł oryginalny: OH DANNY BOY

Opracowanie redakcyjne: MIROŚLAW GRABOWSKI

Korekta: JANINA ZGRZEMBSKA, AGATA NOCUŃ

Projekt okładki: WITOLD SIEMASZKIEWICZ

Skład i łamanie: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

Fotografie na okładce:

© H. Armstrong Roberts/ClassicStock/Corbis/Fotochannels

© Detroit Publishing Company, courtesy of Shorpy.com

Copyright © 2006 by Rhys Bowen

For the Polish edition

Copyright © 2016, Noir sur Blanc, Warszawa

ISBN 978-83-7392-594-6

Oficina Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.

ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa

e-mail: nsb@wl.net.pl

księgarnia internetowa: www.noirsurblanc.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Dedykuję tę książkę swojej najwierniejszej czytelniczce Marie McCormack, którą moja wnuczka nazywa Mimi.

Specjalna dedykacja dla Denise Lindquist, grającej w powieści niewielką rolę zabitej dziewczyny.

Jak zwykle – nie byłoby tej książki, gdyby nie pomoc i słowa otuchy ze strony mojej agentki Meg Ruley, redaktorki Kelley Ragland z wydawnictwa St. Martin's oraz domowej grupy wsparcia – Clare, Jane i Johna. Jesteście kochani!

Nowy Jork, sierpień 1902

Ktoś znów głośno się roześmiał. Rozejrzałam się uważnie, ale nie mogłam ocenić, skąd dochodzi dźwięk. Wydawał się po prostu częścią ciemności. Czarna woda zabulgotała, kiedy weszłam na ażurową metalową kładkę. Wydawało mi się, że słyszę głos dziecka: „Ratuj mnie, ratuj!”, więc zaczęłam iść w tamtym kierunku. Ale spod kładki wyciągały ręce jakieś istoty bez twarzy i wołały: „Najpierw uratuj nas!”.

Śmiech stawał się coraz głośniejszy, aż w końcu nie dało się go wytrzymać. Podbiegłam. Woda zmoczyła mi buty, które natychmiast zrobiły się czarne. Dopiero wtedy zorientowałam się, że to nie woda, lecz krew.

Zbudziłam się z walącym sercem. Usiadłam na łóżku, wbijając palce w prawdziwe – na szczęście – prześcieradło. Dopiero teraz dotarło do mnie, że jestem w swojej sypialni. Chwilę siedziałam spokojnie, wsłuchując się w ciszę i zastanawiając, co znaczył ten sen. Pojawił się już trzeci raz w tym tygodniu. Za pierwszym razem pomyślałam, że przyczyną są potrawy mongolskie, które jadłam w domu swoich przyjaciółek przy Patchin Place 9. Sid i Gus zafascynowane były teraz kuchnią ludów koczowniczych. Ale ten sam sen powracał. Musi zatem oznaczać coś więcej niż tylko zwykłą niestrawność – pomyślałam.

W Irlandii zawsze bardzo poważnie traktowało się sny. Moja matka natychmiast je interpretowała, choć pamiętam, że jej teorie miały ścisły związek z moim zachowaniem. Każdy sen oznaczał, że jestem niegrzeczna, nieuprzejma w stosunku do starszych i zdecydowanie schodzę na złą drogę. Przypominam sobie również dyskusję sąsiadek, które siedząc przy stole w naszej kuchni, zastanawiały się, czy czarna krowa we śnie oznacza bogactwo, czy śmierć w rodzinie. Ciekawe, co by powiedziały na morze krwi... Wzdrygnęłam się i zwinęłam w kłębek.

Od kiedy wróciłam do domu nad rzeką Hudson, gdzie zajmowałam się pewnym śledztwem, nie było mi łatwo. Nie miałam jednak pojęcia, co mogło wywołać senny koszmar. Przeżycia na rzece? Może dlatego śniła mi się woda. No i w dodatku ostatnio niemal straciłam małą Bridie, która ciężko zachorowała na tyfus. Ciągle jeszcze nie doszła do siebie. Była teraz w Connecticut, w specjalnym sanatorium dla dzieci prowadzonym przez panie z ochronki przy Szóstej Alei. Może to właśnie jej głosik słyszałam we śnie. Może powinnam jechać do niej w odwiedziny...

Wstałam i zrobiłam kilka kroków, czując pod stopami zimne linoleum. Przystanęłam, nadsłuchując, przed drzwiami do pokoju Bridie i Szelmy. Tak chciałam, by zza ściany dobiegł ich regularny oddech. Ale jedynym dźwiękiem w całym domu było rytmiczne tykanie zegara w holu na dole. Przeszył mnie dreszcz, mimo że był środek lata, a noc wyjątkowo ciepła. Wróciłam do łóżka, ale bałam się zasnąć. Uświadomiłam sobie, że po raz pierwszy w życiu jestem zupełnie sama w domu. Powinnam być szczęśliwa i dumna z tego, że mam lokum tylko

dla siebie, ale jakoś wyjątkowo doskwierała mi samotność. Usiadłam, przyciągając kolana do piersi i wpatrując się w tańczące cienie za oknem. Kiedy wreszcie nastał świt, poszłam do kuchni po herbatę i teraz popijałam ją, bacznie obserwując ulicę. Wreszcie dostrzegłam swoją sąsiadkę Gus, która zwykle o tej porze wychodziła po bułki do piekarni Clementów na Szóstej Alei.

Bardzo potrzebowałam towarzystwa. Wiedziałam, że sąsiadki zawsze przyjmą mnie z otwartymi ramionami, ale duma i wstyd z powodu własnych słabości nie pozwalały mi narzucać się tak wcześniej rano. Nie powinien odwiedzać ich bez zaproszenia i zamęczać opowieścią o strasznych śnie. Dlatego też poczekałam do powrotu Gus, otworzyłam drzwi, udając, że wyrzucam właśnie okruszki, a potem odegrałam zdziwienie. Tak jak było do przewidzenia, zaproponowała wspólne śniadanie. Z przyjemnością przyjąłem zaproszenie.

– Zobacz, kogo spotkałam, Sid, kochanie! – zawołała od progu.

Przeszliśmy korytarzem do jasnej, przestronnej kuchni. O tej godzinie panował tu jeszcze przyjemny chłód. Podwójne drzwi na taras stały otworem, a słodki zapach wiciokrzewu mieszał się z aromatem świeżo parzonej kawy.

Sid stała przy kuchence, ubrana w szmaragdowy męski smoking z jedwabiu i luźne czarne spodnie, które chyba znalazła w jakimś haremie. Stylizacji dopełniała krótka fryzura: proste, ciemne włosy przycięte równo na pazia.

– Molly, kochanie. Jak miło cię widzieć. Błada jesteś. Usiądź, proszę. Należę ci kawy; weź bułeczkę. – Uśmiechnęła się do mnie szeroko i nalała ciemnego, gęstego naparu do tyciej filiżanki.

Pociągnęłam łyk, jak zwykle udając, że bardzo mi odpowiada smak i zapach czegoś, co de facto przypominało pomyje. Śniadanie Sid zawsze było takie samo – rogalik i kawa. Rogaliki bardzo lubiłam, ale do kawy po turecku nie mogłam się przyzwyczaić.

Gus przysunęła mi krzesło i podała koszyk z bułeczkami.

– Czemu tak wcześnie dzisiaj wstałaś? – zapytała w końcu.

– Nie spałam zbyt dobrze. – Tylko na takie wytłumaczenie było mnie stać. – Po prostu musiałam pobyć chwilę na powietrzu.

– Tęsknisz za tymi O’Connorami. Taki jest powód – stwierdziła Gus.

– Wcale nie – odparłam z oburzeniem. – Całe życie zajmuję się cudzymi dziećmi. Cieszę się, że choć przez chwilę mogę odpocząć.

Sid i Gus spojrzały na siebie porozumiewawczo.

– Poza tym wrócą, jak tylko Bridie dojdzie do siebie – dodałam. – A czuje się coraz lepiej. Przynajmniej mam czas, by poważnie pomyśleć o przyszłości.

Znów wymieniły spojrzenia, tym razem uśmiechając się szeroko.

– Słyszałaś, Gus? Poważnie pomyśleć o przyszłości... Myślisz, że będzie ponownie rozpatrywać propozycję tego sympatycznego pana Singera?

Podniosłam „New York Timesa” ze stołu.

– Przestańcie. Dlaczego nawet wy uważacie, że przyszłość młodej kobiety musi być koniecznie uzależniona od mężczyzny? Nie zamierzam przyjmować żadnych propozycji, ani poważnych, ani niepoważnych.

Następnie otworzyłam gazetę i ignorując śmiech przyjaciółek, zatopiłam wzrok w ogłoszeniach.

– Może Nebraska – powiedziałam, zerkając znad gazety i napotyając ich zdziwiony wzrok

– Nebraska? – powtórzyła Gus.

– Posłuchajcie – zaczęłam. – *Poszukiwany nauczyciel do małej szkoły na prowincji. Od sierpnia. Bez zobowiązań i bez rodziny, chrześcijanin o nieposzlakowanej opinii. Potrzebne referencje. Zapewniamy zakwaterowanie. Zgłoszenia przyjmuje sekretariat, Spalding, Nebraska.*

Przerwałam, ale kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam, że moje przyjaciółki wciąż się śmieją.

– Droga Molly, chcesz zostać panią nauczycielką w szkole na prowincji? – zapytała Sid, odgarniając włosy za ucho.

– A co w tym złego? – odrzekłam zadziornie. – Uważacie, że to nie dla mnie? A tak w ogóle gdzie jest Nebraska?

Słyszając moje pytanie, obydwie parsknęły śmiechem. Gus pochyliła się nad stołem i poklepała mnie po ręce.

– Jesteś cudowna, skarbie – powiedziała. – Kto nas będzie rozbawiał, kiedy cię tu zabraknie?

– I co to w ogóle za pomysły? – dodała Sid, smarując rogalik dżemem morelowym.

– Bo mam dość Nowego Jorku. Życie tutaj jest nad wyraz skomplikowane.

– Sądzisz, że stanie się mniej skomplikowane, jeśli będziesz musiała co dzień rano w drodze do szkoły dawać niedźwiedziowi Biblię po łbie albo odtrącać zaloty osadników? – spytała Sid.

Odłożyłam gazetę i westchnęłam.

– Nie wiem. Po prostu chciałabym zacząć wszystko od nowa gdzieś daleko stąd. Nigdy już nie oglądać Daniela Sullivana i przestać się wreszcie oszukiwać, jeśli chodzi o Jacoba Singera. Przecież nie chcę zostać jego żoną, mimo że jest uczciwy i dobrze wychowany.

– Przypuszczam, że obie te sprawy są do załatwienia bez wyjazdu do Nebraski – stwierdziła Gus. – Jeśli w końcu zdecydowałaś się zmienić zdanie i nie będziesz już pracować jako prywatny detektyw, pomożemy ci rozpocząć nowe życie tutaj, w Nowym Jorku. A jeśli jednak chcesz poznać inne otoczenie, ułatwię to moje kontakty w Bostonie. Wciąż je mam, mimo że rodzina się mnie wyparła.

Spojrzałam na słodką twarz Gus, na jej miękkie brązowe loki i uśmiechnęłam się szeroko.

– Jesteście dla mnie za dobre. Nie zasługuję na waszą przyjaźń. Niepotrzebnie swoim marudzeniem i skargami zakłócam wam śniadanie.

– Bzdury – ucięła Sid. – Wyobraź sobie tylko, jak nudne i zwyczajne byłoby nasze życie bez ciebie.

To dopiero! – pomyślałam. Nie znam dwóch innych osób, które prowadziłyby barwniejsze życie niż Sid i Gus.

Powinna dodać, że tak naprawdę nazywały się Elena Goldfarb i Augusta Mary Walcott, z tych Walcottów z Bostonu. Obydwie rodziny odcięły córki od pieniędzy, ale dzięki dużemu spadkowi, który Gus odziedziczyła po swojej ciotecznej babce sufrażystce, stać je było o całkiem dostatnie i ekstrawaganckie życie w Greenwich Village. Gus starała się wyrobić sobie

nazwisko jako malarka, a Sid od czasu do czasu pisywała do lewicującej gazety. Przed wszystkim jednak dobrze się bawiły, zapraszając do siebie na przyjęcia nowojorską bohemę. Kiedy przyjechałam do miasta, wzięły mnie pod swoje skrzydła i od tego czasu traktowały jak rozpieszczoną młodszą siostrę. Kiedy tak sobie na nie patrzyłam, zrozumiałam, jak bardzo bym za nimi tęskniła, gdybym wyjechała z miasta.

– W porządku – przyznałam niechętnie. – Może nie Nebraska.

Sid podeszła do kuchenki i uniosła dzbanek z kawą.

– Doleję ci. Poczujesz się lepiej – stwierdziła.

– Jeszcze mam – powiedziałam szybko.

– W takim razie pomyślmy. – Gus postawiła swoją filiżankę na stole i popatrzyła na Sid. – Jakiego rodzaju pracę powinnyśmy jej znaleźć? Może w księgarni? Co myślisz?

– Nudno. Za mało życia.

– Ryan mógłby pomóc. Teatr byłby w sam raz dla Molly.

– Ryan nie ma teraz pracy i sam jest pod kreską.

– Cóż. Skoro pisze sztuki, w których kpi z amerykańskiej publiczności, czego się można spodziewać?

Patrzyłam to na jedną, to na drugą, zdziwiona, że nikt mnie nie zapyta o zdanie.

– Nie rozumiecie – powiedziałam w końcu. – Nie chodzi wcale o zmianę zajęcia. Mam dość tego, że ciągle muszę się zastanawiać, czy pod drzwiami domu będzie na mnie czekał Daniel Sullivan, czy dla odmiany Jacob Singer.

– Jacob nie czyha. To nie w jego stylu – zauważyła Sid.

– Masz rację – przytaknęłam. – Jest dobrze wychowany. Spokojnie czeka na moją decyzję.

– A Daniela to, swoją drogą, już dawno nie widziałyśmy. – Sid spojrzała na Gus. – Parę dobrych dni. Może wreszcie dał za wygraną.

– Ale ciągle do mnie pisze – odparłam. – Przynajmniej jeden list dziennie. Wyrzucam je od razu do kosza. Nawet ich nie otwieram.

– Musi być do ciebie bardzo przywiązany – zauważyła Gus.

– Gus! Jak możesz? Przecież to Daniel zdrajca. Ma wszystkie najgorsze cechy mężczyzny. Nie można mu zaufać. Flirciarz, po prostu drań – zaprotestowała ostro Sid. – Jednego dnia obiecuje Molly, że zerwie zaręczyny, a następnego już pędzi do tej zepsutej Arabelli Norton, bo ta tylko pstryknęła palcami. Molly dobrze robi, że go ignoruje. I Jacoba Singera też. Może się zarzącać, że nie jest już pod wpływem swojej rodziny, ale wierz mi, wiem lepiej, bo sama jestem Żydówką.

Nie musiała tego powtarzać.

– To nie wszystko – wtrąciłam. – Nie chcę wychodzić za mąż jedynie dla bezpieczeństwa i wygody. Między mną a Jacobem nie ma uczuciowej więzi. To dobry człowiek. Będzie idealnym mężem, ale nie dla mnie.

– Słusznie – podsumowała Sid. – Przynajmniej wszystkie jesteśmy zgodne co do jednego: szczęście kobiety nie zależy wcale od mężczyzny – dodała i z uśmiechem popatrzyła na Gus.

Wstałam. Pierwsze promienie słońca delikatnie głaszały ceglany mur za malutkim ogrodem na

tyłach domu.

– Tak bardzo chciałabym wiedzieć, czego chcę – powiedziałam w końcu. – Czasem myślę, że ta cała agencja detektywistyczna to wariacki pomysł na życie. Ale kiedy już jestem na tropie jakiejś sprawy, przynajmniej wiem, że żyję. To bardzo ekscytujące.

– Chyba że akurat walczysz o życie, jesteś pod ostrzałem, toniesz w rzece albo spychają cię z mostu – powiedziała ponuro Gus.

Uśmiechnęłam się niewyraźnie.

– Tak, rzeczywiście czasami jest zbyt ekscytująco. Ale nie wyobrażam sobie, jak mogłabym siedzieć cały dzień za biurkiem. Albo zajmować się cudzymi rozkapryszonymi dziećmi, być damą do towarzystwa. Nie wiem, jaka inna praca sprawiłaby mi przyjemność lub przynajmniej zagwarantowała, że nie musiałabym już widywać Daniela Sullivana.

– Nie rozumiem, dlaczego tak bardzo się go boisz – stwierdziła Sid. – Przecież nie jesteś jedną z tych przerażonych panienek, które nie lubią konfrontacji i nie potrafią postawić na swoim. Miałś już do czynienia z anarchistami i gangami. Obawiasz się zwykłego kapitana policji?

– Nie – odparłam, nie patrząc jej w oczy. – Po prostu tracę rozum, kiedy się przy mnie pojawia. Zawsze mnie udobrucha słodkimi słówkami. Jestem zbyt słaba.

– Jesteś silną, niezależną kobietą, Molly – powiedziała stanowczo Sid. – Powiedz mi zdecydowanie, co o tym wszystkim myślisz, i zakończ to.

– Nie znasz Daniela. Wie, jak prawić komplementy. Jednak tym razem postanowiłam być silna. Dam radę, ale tylko pod warunkiem, że nie będę go widywać. I dlatego właśnie powinnam wyjechać z miasta.

Wychodząc z kuchni, dotknęłam ramienia Gus.

– Dziękuję za śniadanie. Już mi lepiej. Poczułam się silniejsza, idę poszukać Nebraski na mapie.

Wysłam, słysząc za plecami ich radosny śmiech. Przed drzwiami przystanąłam, rozejrzałam się uważnie, sprawdzając, czy ktoś nie stoi na ulicy, a potem szybko pobiegłam do domu naprzeciwko.

Tak się nie da żyć – pomyślałam.

Kiedy zamknęłam za sobą drzwi, ogarnęła mnie cisza. Dom był pusty. Nikt nie śpiewał cienkim głosem, nie słyszałam Szelmy, który wychylając się ze schodów, krzyczy: „Molly, umieram z głodu! Dasz mi chleba ze smalcem?”.

Przyjaciółki miały rację. Tęskniłam za dziećmi. Owszem, czułam się przytłoczona obowiązkami, kiedy O’Connorowie byli obok, ale przede wszystkim byłam wdzięczna za ocalone życie. Udawałam ich matkę podczas podróży statkiem z Irlandii do Nowego Jorku. Ich prawdziwa mama dowiedziała się przed podróżą, że jest chora na gruźlicę i nie może wsiąść na statek. Ja byłam wtedy w trudnej sytuacji – deptała mi po piętach irlandzka policja i musiałam uciekać z kraju. Nie mogłam teraz zaniedbać tych dzieci! Przecież nie miały matki. Seamus senior i mały Szelma pojechali na wieś do Bridie, by towarzyszyć jej w rekonwalescencji. Seamus chciał przy okazji znaleźć jakąś dorywczą pracę na roli.

Kiedy tak stałam nieruchomo, usłyszałam, jak przez otwór w drzwiach wpada poranna poczta. Podniosłam z ziemi dwa listy. Pierwszy zaadresowany był ręką Daniela zdrajcy i trafił wprost do

kosza na śmieci. Drugi, pisany ręką dziecka, był dosłownie naćkany kleksami. Otworzyłam kopertę i okazało się, że to list od O'Connorów.

Kohana Molly!

Tatusz poprosił, rzebym to ja napisał do Ciebie, bo on nie pisze dobrze (mały Seamus najwyraźniej nie uważał na lekcjach w szkole). Dobrze się tu mamy. Bridie już wstała, a nawet chodzi. Ja i tata mieszkamy w stodole u farmera i pomagamy mu na roli. Szkoda, że nie możesz mnie zobaczyć, Molly. Potrafię podnieść wielką belę siana, jak prawdziwy mężczyzna. Tacie się tu tak bardzo podoba, że muwi, że nie hce już wracać do miasta, gdzie są choroby i gangi. Będzie szukał pracy na farmie. Bardzo bym chciał, rzebyś do nas przyjechała i została z nami, Molly.

Na samym dole widniał dopisek, jeszcze mniej czytelny:

Bardzo nam Ciebie tu brakuje, Molly. Wiem, że nie ma mowy o miłości pomiędzy nami, ale przecież dobrze nam razem ze sobą, prawda? A dzieci traktują Cię jak matkę...

Szybko odłożyłam list na stół.

Jeśli dobrze rozumiem, to mam już trzech adoratorów – pomyślałam, żałując, że nie zabrałam przyjaciółkom gazety z ogłoszeniem. Nebraska wydała mi się teraz jeszcze bardziej kusząca.

2

Godzinę później podjęłam decyzję. Nie zamierzałam dłużej użalać się nad sobą.

Sid ma rację – pomyślałam. Nie jestem tchórzem. Całe życie walczę. Powinna wreszcie rozmówić się z Danielem, rozprawić z wczorajszym snem i pójść swoją drogą.

Uznałam, że takie postanowienie należy uczcić. Sid i Gus okazują mi mnóstwo serca, biorę od nich wiele, a nic nie daję w zamian. Dziś wieczorem to ja zaproszę je na wspaniałą kolację – postanowiłam. Stwierdziłam również, że dobrze mi to robi – czynności, na który ch będę musiała się skupić, skierują moje myśli na inne tory.

Nie zamierzałam konkurować z egzotyczną kuchnią swoich przyjaciółek. Uznałam, że kurczak na zimno z sałatą będzie odpowiednim daniem na letni wieczór. Choć, prawdę mówiąc, kurczak to luksus i fanaberia, bo fundusze miałam w tej chwili ograniczone. Od mojego powrotu z posiadłości nad rzeką Hudson minął już prawie miesiąc, a ja wciąż nie dostałam nowego zlecenia. Co gorsza, dotąd nie pobrałam wynagrodzenia za tę ostatnią sprawę. Ale ponieważ to Daniel Sullivan był moim dłużnikiem, prędzej bym umarła, niż upomniała się o pieniądze. Pewnie można ocenić moje zachowanie jako dziecinne, na upór jednak nie ma lekarstwa.

Napisałam do panien Goldfarb i Walcott bilecik z zaproszeniem na kolację przy Patchin Place 10 o ósmej, a potem osobiście wręczyłam go sąsiadkom. Przyjęły zaproszenie, więc pobiegłam szybko do koszerne go rzeźnika na Bowery. Wiedziałam, że będą tam mieli prawdziwe świeże kurczaki, a nie takie, co od czterech dni wiszą na hakach oblepione muchami. Zatrzymałam się również na pocztę na Broadwayu, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie przysłała żadna przesyłka zaadresowana do Paddy'ego Rileya. Po jego śmierci odziedziczyłam agencję detektywistyczną P. Riley i Partnerzy. Od czasu do czasu przychodziły jakieś zlecenia, a ja w tej chwili naprawdę potrzebowałam pracy. Wynajem domu i karmienie dwóch głodnych dzieciaków to w rzeczy samej droga zabawa.

W porannych promieniach słońca wysoka wieża hali targowej przy Jefferson Market rzucała chłodny cień. Nawet tak wcześnie rano z chodników unosiła się para. Czułam narastający zapach gnijących owoców i warzyw. Koła wózków dostawczych ze świeżym towarem co rusz miażdżyły porozrzucone wszędzie owoce. Z posterunku policji, który znajdował się tuż obok, wyszło kilku policjantów. Odwróciłam się szybko i zaczęłam iść w stronę Washington Square. Jednym z nich mógł być przecież Daniel, a nie chciałam go spotkać. Poza tym ten budynek źle mi się kojarzył. Kiedyś spędziłam tam całą noc, bo przez pomyłkę wzięto mnie za panienkę lekkich obyczajów.

Na rogu stał mały gazeciarz. Gdy przechodziłam obok niego, mignął mi nagłówek *Uwaga! Rozpruwacz z East Side znów atakuje!*

Rano byłam najwyraźniej tak zajęta ogłoszeniami, że nie zauważyłam tej ważnej informacji! Teraz dostrzegłam, że wszystkie gazety piszą tylko o jednym: *Kolejna prostytutka nie żyje! Rozpruwacz znowu zaatakował!*

– Same się o to proszą, prawda? – usłyszałam, jak jedna kobieta mówi do drugiej, biorąc egzemplarz gazety. – Jeśli decydujesz się na taką pracę, skarbie, to musisz wiedzieć, czym to grozi.

– Takie coś w ogóle powinno być zakazane w przyzwoitym mieście – przytaknęła jej koleżanka. – Krzyżyk na drogę. Im więcej ich zlikwiduje, tym lepiej.

Przeszył mnie dreszcz i przyspieszyłam kroku. Kolejna ofiara! Już czwarta tego lata. Wystarczy, żeby prasa nazwała tego zwyrodnialca Rozpruwaczem, nawiązując oczywiście do Kuby Rozpruwacza, słynnego mordercy z Londynu, a już wszyscy się nim interesują. Ofiary natomiast były prostytutkami, którymi opinia publiczna nie bardzo się przejmowała. Wiele osób wyrażało opinie podobne do tych, które słyszałam przed chwilą – niemoralne zachowania prowokują agresję. Po co w ogóle przejmować się taką zbrodnią? To przecież dzieje się w innym świecie i dzięki Bogu mnie nie dotyczy – myślało wielu. Ale ja spędziłam kiedyś noc w jednej celi z przedstawicielkami najstarszego zawodu świata. Były dla mnie bardzo miłe; współczułam im, nic więcej. Ja też mogłam być przecież jedną z nich – bidulką ukrywającą buzię za grubą warstwą makijażu. Tak jak one przyjechałam do Nowego Jorku bez grosza.

Weszłam na Broadway i dołączyłam do tłumu przechodniów, których o dowolnej porze dnia było tu zawsze mrowie. Nagle ogarnęło mnie dziwne uczucie, że ktoś za mną idzie. Rozejrzałam się wokół, ale nikogo znajomego nie zauważyłam. Przyspieszyłam kroku, jednak dziwne uczucie mnie nie opuszczało. Chyba można powiedzieć, że urodziłam się z szóstym zmysłem, co w Irlandii nie jest rzadkością. Już kilka razy zmysł ten pozwolił mi wyjść cało z opresji, więc postanowiłam, że i tym razem nie będę go ignorować. Przypomniały mi się nagłówki z gazet na temat Rozpruwacza z East Side.

Idiotyczne – pomyślałam. Wszystkie te morderstwa popełniono w nocy, a ciała zostawiono w zaułkach, które odznaczały się złą reputacją. Przecież nikt by mnie nie wziął za taką kobietę. Poza tym jest środek dnia, w dodatku na Broadwayu. Nic złego nie może mi się stać.

Ale kiedy nadarzyła się okazja, by chowając się za tramwajem i wózkiem z beczkami pełnymi piwa, przedostać się niepostrzeżenie na drugą stronę ulicy, natychmiast z niej skorzystałam. Dziwne uczucie stawało się coraz silniejsze. Przystanęłam pod zadaszeniem sklepu spożywczego i zaczęłam bacznie się przyglądać wszystkim przechodniom. Nikogo nie mogłam rozpoznać, ani też nikt nie wyglądał na Rozpruwacza z East Side. Widziałam jedynie gospodynie domowe, które starając się zdążyć przed nadejściem upału, robiły poranne zakupy, panów w drodze na służbowe spotkania, dzieci biegnące do zabawy. W tłumie zauważyłam też młodego policjanta i jego czapka bardzo mnie uspokoiła. Zawsze mogę poprosić go o pomoc – stwierdziłam i poszłam dalej. Kiedy dotarłam do sklepu Wannamakera, dużego domu handlowego, zatrzymałam się, udając, że oglądam wystawę, ale tak naprawdę uważnie obserwowałam tłum, który przechodził za mną.

Nagle ktoś złapał mnie za ramię. Odwróciłam się gwałtownie, wypatrując posterunkowego, ale po chwili zdałam sobie sprawę, że to na niego patrzę i że to jego ręka znajduje się w moim ramieniu.

– Matko Przenajświętsza! – wykrzyknęłam. – Ależ mnie pan wystraszył, panie władzo. O co chodzi? Czy wyglądam na kieszonkowca?

Ze wstydu oblał się rumieńcem, przez co jego kanciasta twarz stała się jeszcze bardziej chłopięca.

– Najmocniej panią przepraszam. Wiem, kim pani jest. Panna Murphy, prawda? Kapitan Sullivan mnie przysła.

– Kapitan Sullivan! – krzyknęłam tak głośno, że ludzie dookoła popatrzyli zdziwieni. – Na litość boską! Nie ma czelności spojrzeć mi prosto w oczy, więc wysła teraz do mnie swoich podwładnych, tak?

– Najmocniej panią przepraszam – powtórzył policjant. – To bardzo ważne. Kapitan Sullivan naprawdę musi z panią porozmawiać, a pani nie odpowiada na jego listy.

– Owszem, nie odpowiadam na jego listy i rozmawiać też nie zamierzam. To chyba oczywiste. Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

– Nie pójdzie pani ze mną teraz do niego?

Potrząsnęłam głową.

– Nie ma mowy. Może pan przekazać kapitanowi Sullivanowi, że nie życzę sobie z nim znajomości i nie zamierzam go widywać. A jeśli wciąż będzie mnie nagabywał, poinformuję o tym jego przełożonych. Czy jasno się wyraziłam?

Młody posterunkowy zmieszał się jeszcze bardziej.

– W takim razie nie mam wyjścia, proszę pani. Wykonuję tylko polecenia, najmocniej przepraszam, ale muszę panią aresztować.

Mówiąc to, założył mi kajdanki, zanim w ogóle się zorientowałam, co się dzieje.

Popatrzyłam na swoje ręce z przerażeniem i oburzeniem.

– Jezusie, Mario i Józefie święty! Jak pan śmie? W tej chwili proszę mnie puścić albo narobię zamieszania na całą ulicę!

– Najmocniej przepraszam, panno Murphy, ale obiecałem kapitanowi, że panią przyprowadzę. Muszę się z tego wywiązać, nawet jeśli będę musiał zanieść panią na ramieniu jak worek kartofli.

– Niech pan tylko spróbuje! – pogroziłam. – Proszę mnie natychmiast puścić.

Wokół nas powoli zaczął się zbierać tłum.

– Czy potrzebuje pan pomocy, panie władzo? – odezwał się dostojnie wyglądający pan. – Czy pójść po wsparcie?

– Nie, poradzę sobie – odparł policjant. – Ale zapewniam pana, to nieźle ziółko. Lista zarzutów dłuższa niż stąd do...

– Proszę go nie słuchać! – krzyknęłam. – To porwanie. Jestem porządną kobietą, nic złego nie zrobiłam.

– Czy mógłby pan zatrzymać dla mnie powóz? – poprosił posterunkowy starszego przechodnia. – Będę zobowiązany – dodał, ocierając pot z czoła, kiedy starałam się wyswobodzić.

Woznica cierpliwie czekał, aż funkcjonariusz z pomagierami wsadzą mnie w końcu do środka.

– Katakumby. Jak najszybciej – rozkazał policjant, kiedy koń wreszcie ruszył z kopyta.

– Katakumby? Chyba postradał pan zmysły – odezwałam się, nielecho wystraszona. – Chce mnie pan wsadzić do więzienia? Co takiego zrobiłam? Czyżby kapitan Sullivan miał aż tak dziwne poczucie humoru?

Posterunkowy pokręcił głową.

– To nie są żarty, panno Murphy. Gdyby sprawa nie była poważna, nie dostałbym takiego polecenia. Ale on nie ma wyjścia. Jest w poważnych tarapatach. Kapitan Sullivan siedzi w areszcie i czeka na rozprawę.

Jeszcze przed chwilą wyglądałam przez okno, zastanawiając się, czy dam radę uciec z powozu, ale słysząc, co mówi policjant, odwróciłam się do niego gwałtownie.

– Daniel? W więzieniu? Co takiego zrobił?

– Nie znam szczegółów, panno Murphy. Z pewnością sam pani opowie całą historię. Wiem tylko, że wszyscy się od niego odwrócili. Niewielu może zaufać. Jestem jednym z nich, dlatego to mnie poprosił, bym panią znalazł i przywodził. On potrzebuje pomocy.

– Nie zasłużył na moją pomoc – odparłam.

– Ale przynajmniej porozmawia z nim pani? Kapitan Sullivan to wspomniały policjant, nie powinien siedzieć w więzieniu.

Westchnęłam.

– No dobrze, rozmawiam. – W głębi duszy pomyślałam, że parę nocy w areszcie Danielowi nie zaszkodzi. Wręcz przeciwnie. Ale nawet ja nie powinnam być aż tak mściwa. – Tylko pod warunkiem, że natychmiast zdejmie mi pan kajdanki – dodałam. – Nie chcę, by ktokolwiek widział, że wchodzi skuta do więzienia. Muszę dbać o swoją reputację.

Posterunkowy uśmiechnął się i rozpiął kajdanki.

– Przepraszam, panno Murphy. Kapitan Sullivan by mi nie wybaczył, gdybym nie wykonał jego polecenia.

Kiedy powóz skręcił w Center Street i zatrzymał się przed imponującymi kolumnami, wyjrzałam na zewnątrz. Stanęliśmy przed wejściem do budynku miejskiego więzienia, potocznie zwanego Katakumbami, co miało nawiązywać do architektury egipskich grobowców. Nie chodziło jednak tylko o architekturę – więźniowie nie zawsze wychodzili stąd żywi. W budynku panowała straszna wilgoć, a przeludnienie wywoływało choroby, takie jak tyfus, gruźlica czy cholera – te same, które w gorące lato opanowywały całe miasto.

– Jesteśmy na miejscu, panno Murphy – powiedział posterunkowy, wyskakując z powozu i wyciągając do mnie rękę.

W budynku trwały prace remontowe. Jedna ze ścian była cała pokryta rusztowaniem i kiedy wysiadaliśmy z powozu, doszły nas metaliczne uderzenia, które odbijały się echem od sąsiednich domów. W powietrzu wisiała potężna chmura kurzu. Gazety donosiły, że cały gmach osiada i jest duże ryzyko zawalenia. Tak jak wiele domów w Nowym Jorku, więzienie zostało zbudowane na terenie podmokłym – kiedyś znajdował się tu staw lub strumyk. Stąd te ciągle narzekania na wilgoć.

Kiedy wchodziliśmy do holu, zaczęłam kasłać i musiałam zakryć usta dłonią. Wewnątrz było ciemno i zimno w porównaniu z parnym powietrzem na zewnątrz. Nie dosłyszałam, co

posterunkowy powiedział siedzącemu przy wejściu oficerowi, który wstał, obrzucił mnie spojrzeniem od stóp do głów, a potem sięgnął po pęk kluczy.

– Tędy. Proszę uważać na stopień – powiedział, prowadząc nas długim korytarzem, a potem otwierając drzwi do ponurego, skromnego pokoju, w którym stały dwa mocno zdezelowane krzesła.

Włączył światło i w pomieszczeniu zrobiło się nieprzyjemnie jasno. Ze ścian schodziła zielona farba, odsłaniając cegły pokryte tu i ówdzie gliną. Pachniało wilgocią i moczem. Najwyraźniej remont nie dotarł jeszcze do tej części budynku.

– Proszę tu poczekać – powiedział strażnik – Nie dłużej niż dziesięć minut, zapewniam panią. – Po czym wyszedł, a drzwi zatrzasnęły się z głuchym łoskotem.

Posterunkowy przysunął mi krzesło, usiadłam i czekałam, a kolejne minuty zamieniały się w wieczność. Teraz, kiedy znów miałam zobaczyć Daniela, serce zaczęło mi mocniej bić i ledwie mogłam oddychać. Na zewnątrz panował taki upał, że moja lekka sukienka była cała przepocona. Zaczęłam się trząść. Przez moment myślałam nawet, że zemdleję. Ponieważ nigdy w życiu nie nosiłam gorsetu, nie miałam w zwyczaju mdleć, ale to dziwne, zimne uczucie było przerażające. Oparłam się na krzesło i przymknęłam oczy. Właśnie wtedy usłyszałam na korytarzu kroki odbijające się echem od ścian. Potem doszedł nas dźwięk klucza przekręcanego w drzwiach po drugiej stronie pokoju i za kratami dojrzałam twarz Daniela.

– Molly! – krzyknął. – Jesteś! Dzięki Bogu!

Przysunęłam krzesło bliżej kraty i omal nie krzyknęłam z przerażenia. Daniel wyglądał bardzo mizernie, oczy miał podkrążone, a włosy w nieładzie. Na jednym policzku widać było spore zadrapanie.

– Przepraszam, że musiałem cię tu ściągnąć w taki sposób – powiedział. – Ale nie odpowiadałaś na moje listy.

Okoliczności spotkania i wygląd Daniela sprawiły mnie wprawdzie w osłupienie, ale nie miałam zamiaru zmienić się natychmiast w potulną owieczkę.

– Po co miałabym odpowiadać na twoje listy po tym wszystkim, co zrobiłeś?

– Mogłaś przynajmniej mnie wysłuchać.

– Wielokrotnie cię wysłuchiwałam. Mam tego dość.

Zrobił nagły ruch głową, tak jakbym go uderzyła. Chciałam być zimna, zdystansowana i opanowana, ale nigdy wcześniej nie widziałam go w takim stanie. Przyzwyczaiałam się do Daniela, który jest zawsze pewny siebie i zdecydowany. Po chwili usłyszałam własny głos:

– Co ci się stało?

– Dobre pytanie. – Spróbował się uśmiechnąć i przyłożył rękę do policzka. – To akurat jest prezent od współwięźnia, który mnie rozpoznał i postanowił się zemścić.

– Ale dlaczego cię zatrzymali? O co cię oskarżają?

Daniel pochylił się w stronę kraty.

– Czy mógłbyś poczełać na zewnątrz, Byrne? – zwrócił się do posterunkowego.

– Nie ma sprawy, proszę pana – odparł tamten.

– A! I dziękuję, że ją tu przywiodłeś. Mam nadzieję, że nie sprawiała kłopotów.

– Dobrze, że mnie pan uprzedził, choć w gruncie rzeczy nie było aż tak źle.

– Poważnie? – upewnił się Daniel i przyjrzał mi się badawczo. Niebieskie oczy, zwykle tak pełne życia, były teraz przygaszone i bez wyrazu.

– To do ciebie niepodobne, Molly. Byłam pewien, że bez walki się nie poddasz.

Drzwi za posterunkowym się zatrzasnęły i zostałam z Danielem sam na sam. Dzieliły nas tylko kraty.

– To dobry chłopak, ale lepiej, żeby nas zostawił. Szantażowany przez przełożonych, mógłby zdradzić, o czym rozmawialiśmy.

– Za co cię tu trzymają, Danielu? – powtórzyłam pytanie, nie mogąc już wytrzymać napięcia.

– Przyłapali mnie, jak przyjmowałam łapówkę od gangu.

Omala nie parsknęłam śmiechem.

– Jak przyjmowałeś łapówkę? Danielu, byłam pewna, że w nowojorskiej policji to codzienna praktyka. Jakim cudem każdy policjant byłby w stanie odłożyć sto tysięcy dolarów, skoro jego roczna pensja wynosi pięćset?

– Do niedawna tak było – odparł Daniel. – Ale mamy nowego komendanta. Nazywa się John Partridge i został mianowany przez burmistrza, który, jak może słyszałaś, jest skłócony z Tammany Hall. No i ten nowy komendant, ten Partridge, postanowił zreformować policję, zlikwidować korupcję i uczynić Nowy Jork miastem ludzi bogobojnych. Ale tak naprawdę chodzi mu tylko o to, by zmniejszyć wpływy Irlandczyków i wprowadzić swoich ludzi na odpowiednie stanowiska. Ma najwyraźniej ambicje polityczne.

– Przyłapał cię, jak bierzesz łapówkę, i chce z tego uczynić negatywny przykład? Z aresztem chyba przeszedł. Nie wystarczyłoby, gdyby publicznie wymierzył ci policzek?

– To nie wszystko – przerwał mi Daniel. – Mam przyjaciela, który za pieniądze bierze udział w walkach. Urządzanie ich w mieście jest od roku zakazane, ale wielu męczczyzn lubi takie widowiska; a mój przyjaciel jest najlepszy. To zawodnik wagi ciężkiej, mistrz w swojej kategorii. Teraz jednak ma poważne kłopoty; nie starcza mu na życie. Poprosił mnie, żebym pomógł mu zorganizować walkę w miejscu, do którego policja nie trafi. Oczywiście chodzi o spore pieniądze. Ludzie stawiają na niego majątek. Jeśli wygra, wyjdzie na prostą.

Daniel przerwał i czekał na mój komentarz. Ale ponieważ milczałam, dokończył swoją historię:

– No więc policja przeszukała moje mieszkanie i znalazła dowody na to, że organizuję nielegalne walki. Partridge postanowił wsadzić mnie do więzienia i pokazać innym oficerom, co się stanie, jeśli nie będą posłuszni. A, jeszcze podobno stawiałem opór podczas aresztowania.

– Podobno?

– Nie mogłem przecież dopuścić, by mój podwładny zakładał mi kajdanki, prawda? I dlatego spędzę w więzieniu dodatkowo tydzień albo dwa.

Dobrą chwilę przyglądałam mu się w skupieniu.

– Nie wiem, dlaczego mnie wezwałeś – powiedziałam w końcu. – Co mam zrobić?

– Pomóż mi udowodnić niewinność – odparł. – Pomóż mi wyjść z więzienia i wrócić do pracy. Widzisz, Molly, najważniejsze w tym wszystkim jest to, że nigdy w życiu nie przyjąłem łapówki. Wiem, że koledyz uwili sobie w ten sposób ładne gniazdko, ale nie ja. Mój ojciec był świetnym policjantem i nigdy nie robił niczego, co mogłoby mu przynieść wstyd. Trzymałem się tych samych zasad.

– Ale powiedziałeś właśnie, że przyłapali cię, jak brałeś łapówkę.

– Byłem przekonany, że ten człowiek z gangu wręczy mi listę ludzi, którzy chcą sfinansować moją walkę. Ale kiedy policja otworzyła kopertę, w środku było pięć banknotów dwudziestodolarowych i lista nazwisk największych gangsterów. Mieli więc prawo uznać, że jednak chodzi o łapówkę.

– Nawet jeśli nie wzięłeś łapówki, to o ile dobrze zrozumiałam, z pomocą gangu zajmujesz się organizowaniem nielegalnych walk. Czyli nie jesteś zupełnie niewinny.

– Walka na pieniądze? Co w tym złego?

– Mówiłeś, że jest nielegalna.

– To dobra i nieszkodliwa zabawa. Każdy mężczyzna na świecie lubi na takie walki popatrzeć. Miasto niepotrzebnie ich zakazało. Założę się, że na walkę z udziałem mojego człowieka przyszlaby cała masa oficjeli i policjantów wyższej rangi, prawdopodobnie z panem Partridge'em na czele.

Zignorowałam tę uwagę, a potem zapytałam:

– A co z tymi pieniędzmi w kopercie? Musisz mieć jakieś podejrzenie, kto je tam mógł włożyć. Czy chciał cię zrobić w łapówkę?

Daniel wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Ostatnio miałem sporo czasu na rozmyślania i doszedłem do wniosku, że cała ta sytuacja była ustawiona. Z jakiego innego powodu komendant policji pojawiliby się w tym właśnie miejscu i czasie? Dlaczego był świadkiem, jak rzekomo przyjmuję łapówkę? Dlaczego od razu poszli przeszukać moje mieszkanie? Nie wiem, co konkretnie znaleźli, ale przecież to też mogło być ustawione.

– Komu może zależeć na tym, by cię zdyskredytować?

Wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Może samemu Partridge'owi?

– Dlaczego miałyby mu na tym zależeć?

– Może chce się po kolei pozbyć wszystkich Irlandczyków. I zaczął od samej góry. Wiem tylko, że moi niby-przyjaciele się ode mnie odwrócili. Obawiają się, że zaraz przyjdzie kolej na nich.

– Cały czas nie rozumiem, dlaczego tu jestem – zauważyłam. – Przecież masz wysoko postawionych przyjaciół. Twój ojciec zna wszystkich i wszyscy się z nim liczą. A rodzina twojej narzeczonej? Przecież należą do słynnej grupy Czterystu^[1].

Odwrócił wzrok

– W tym cały problem. Ojciec nie może się o tym dowiedzieć. Lekarze twierdzą, że ma słabe serce i stres może go zabić. Nie wolno mi ryzykować. A jeśli chodzi o Arabellę – Daniel zawiesił głos i spojrzał mi prosto w oczy – to panna Norton i ja zerwaliśmy zaręczyny.

– Naprawdę? – Starałam się, by mój głos brzmiał obojętnie.

Przytaknęła.

– Zaraz potem, jak wyjechałaś z Adare.

– Ale przecież słyszałam wyraźnie. Kiedy spytała ciebie, kim jestem, powiedziałeś, żeby nie robiła hałasu o nic. O nic. Wyraźnie słyszałam.

– Wcale tak nie powiedziałem – odparł szybko Daniel. – A nawet jeśli, nie to miałem na myśli. W tamtej chwili musiałem ją udobruchać. Powinnaś to zrozumieć, Molly. Przecież nie mogłem jej powiedzieć prawdy przy tych wszystkich ludziach. To by było nieludzkie.

– A ja? Nie pomyślałeś, co ja wtedy czułam?

– Molly, zapewniam cię, że nie chciałybyś zobaczyć sceny zazdrości w wykonaniu Arabelli. Ona musi postawić na swoim. I nie wybaczyłaby, gdybym ją publicznie upokorzył.

– Więc masz odpowiedź! – krzyknęłam tak głośno, że moje słowa odbiły się echem od ścian z odłazającą farbą i od kamiennej podłogi. – Jeśli rzeczywiście zerwałeś zaręczyny, masz

odpowieź.

– Na co?

– Na co? Chyba jesteś ślepy. Powiedziałeś, że ta cała sprawa została spreparowana, by cię zdyskredytować. No to masz. Arabelli nie spodobało się, że robisz z niej idiotkę i że ją zdradziłeś, więc płaci ci pięknym za nadobne!

– Nie... Na pewno nie...

– Kiedyś mi powiedziałeś, że jeśli nie będziesz jej posłuszny, uczyni wszystko, by cię zniszczyć. No to masz...

Zdecydowanie potrząsnął głową.

– Nie, to niemożliwe. W gruncie rzeczy dość dobrze przyjęła moją decyzję o rozstaniu. Stwierdziła nawet, że podejrzewała, iż ostatnimi czasy moje serce nie jest jej całkiem oddane. Potem dodała jeszcze, że skoro mam tak niskie aspiracje, jeśli chodzi o kobiety, to rzeczywiście ty i ja jesteśmy dla siebie stworzeni. – Przez sekundę w oczach Daniela widziałam dawny blask

– W takim razie to jej rodzice mogą się mścić za krzywdę, którą wyrządzili ich najdroższej córeczce.

Znów pokręcił głową.

– Raczej odetchną z ulgą. Zawsze widzieli u jej boku kogoś lepszego i bogatszego. To ludzie z wyższych sfer, Molly. Gdyby chcieli mnie zniszczyć, mogliby oskarżyć o złamanie przysięgi i dochodzić sprawiedliwości na drodze sądowej. Nie uwierzę w to, że zadaliby sobie tyle trudu, by wsadzić mnie do więzienia. Poza tym nie mają kontaktów w półświatku.

– Ale może znają się z nowym komendantem? – zauważyłam. – Paddy Riley zawsze powtarzał, że należy zacząć od najbardziej oczywistych podejrzanych.

Daniel westchnął.

– Paddy Riley. Szkoda, że nie żyje. Od razu wiedziałby, co trzeba zrobić. Wiedziałby, jak z gangsterów wyciągnąć prawdę. Za pomocą pieniędzy lub w inny sposób.

– Ja tego nie potrafię, chyba zdajesz sobie sprawę? – zauważyłam przerażona.

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę i wcale nie chcę, żebyś się angażowała w moją obronę.

Miałam wciąż świeżo w pamięci spotkanie z Monkiem Eastmanem, szefem gangu Eastmansów. Omal nie straciłam wtedy życia albo – co gorsza – cnoty.

– Skoro zdajesz sobie z tego sprawę, to dlaczego tu jestem?

– Chcę, żebyś przekazała wiadomość pewnej osobie – powiedział, nachylając się w stronę krat. Być może za plecami Daniela stał strażnik, który mógł nas podsłuchiwać. Było zbyt ciemno, żebym mogła to zauważyć.

– W porządku. Kto to taki?

Ściszył głos tak, że ledwie go słyszałam.

– Mój przyjaciel Jack Brady. Słyszałaś o nim? Słynny Dżentelmen Jack. Tak o nim mówią. Irlandzki zabijaka. Kiedyś był mistrzem Irlandii, miałem mu pomóc wrócić na ring. Bardzo na to liczył.

– Dlaczego Dżentelmen Jack? Czyżby nigdy nie łamał reguł?

– Nie. Ubierał się elegancko. Przynajmniej dopóki miał pieniądze. Fular, a w nim spinka z diamentowym oczkiem.

– Rozumiem – odparłam. – A gdzie znajdę tego pana?

Pochylił się jeszcze bardziej, tak że jego usta prawie dotykały teraz krat.

– Niedawno przyjechał do Nowego Jorku. Znalazłem dla niego pokój niedaleko mojego mieszkania. Na rogu Dziewiątej Alei i Dwudziestej Trzeciej Zachodniej. Pokój w pensjonacie pani Collins. Opowiedz Jackowi, co mi się przydarzyło. Wie, ile dla niego zrobiłem. Będzie mógł popytać tu i ówdzie.

– A co dokładnie oznacza „tu i ówdzie”?

– Takie miejsca, do których on może pójść, ale ty już nie – odrzekł Daniel bez ogródek.

– A co z Arabellą Norton? – zapytałam. – Możesz sobie twierdzić, że nie ma nic wspólnego z twoim aresztowaniem, ale dla mnie jest podejrzaną numer jeden. Czy planujesz i do niej posłać Dżentelmena Jacka?

Coś w rodzaju uśmiechu pojawiło się na twarzy Daniela.

– Przypuszczam, że nie udzielono by mu audiencji.

– W takim razie sama złożę jej wizytę.

– Prawdopodobnie spotka cię to samo, a być może coś jeszcze gorszego – odparł Daniel. – Nie wiem doprawdy, na co liczysz. W White Plains wyrzucą cię za drzwi.

– Uważam, że koniecznie trzeba sprawdzić, czy nie maczała palców w twoim aresztowaniu.

– A myślisz, że się do tego przyzna?

– Jestem przecież detektywem – zauważyłam. – Wiem, jak zadawać trudne pytania.

– Zadasz je tylko wtedy, gdy Arabella zechce się z tobą zobaczyć – stwierdził Daniel. – A tego po prostu nie jestem sobie w stanie wyobrazić.

– Może będzie zainteresowana rozmową, gdy o wszystkim się dowie. Jeśli jednak nie ma nic wspólnego z twoim aresztowaniem, pewnie nie będzie chciała, byś gnił w tym strasznym miejscu.

– Chyba że uzna, iż powinienem dostać nauczkę.

– A ja przyznam jej wtedy rację.

– Dziękuję za szczerość – odparł Daniel. – A teraz poważnie. Nie sądzę, żebyś dowiedziała się czegoś od Arabelli. Lepiej znajdź Jacka i powiedz mu, co się ze mną stało. Tylko on jest mi w stanie teraz pomóc.

– Wezwałeś mnie tutaj dość bezceremonialnie jedynie po to, bym znalazła kogoś innego, kto ma ci pomóc? – spytałam. W pewnym sensie kamień spadł mi z serca, ale jednocześnie poczułam się niedoceniona. – Dlaczego to nie jego kazałeś przy prowadzić zamiast mnie?

– Dlatego, że jego wszyscy znają – odparł Daniel. – Gdyby policja go tu zobaczyła, od razu trafiłby za kratki. W pensjonacie ukrywa się pod innym nazwiskiem, jako John Sykes.

– John Sykes – powtórzyłam. – W porządku. Zrobię, o co prosisz, bo najwyraźniej nie traktujesz poważnie moich umiejętności detektywisty cznych.

– Nie masz racji – zapewnił Daniel. – Jeśli chcesz wiedzieć, jestem pod wrażeniem twoich

dokonań. Ale nie zamierzam narażać cię na niebezpieczeństwo. Nie będziesz kontaktowała się z półświatkiem. To rozkaz.

Popatrzyłam na niego z politowaniem.

– Odnoszę wrażenie, że tutaj twoje rozkazy są bez znaczenia. Ale nie martw się. Wciąż mam w pamięci ostatnie spotkanie z gangiem. Nie chciałabym tego powtórzyć.

– Grzeczna dziewczynka. Oczywiście nikt nie zabroni ci używać głowy, żeby pomóc Jackowi zrozumieć pewne fakty. Muszę cię uprzedzić, że nie jest zbyt bystry.

– Zakładasz, że chcę ci pomóc – zauważyłam. – Ale chyba nie zasłużyłeś na moją lojalność.

– Zdamę sobie z tego sprawę – odparł. – Molly, może nie byłem kiedyś wobec ciebie w porządku, ale teraz jestem. Zerwałem zaręczyny, tak jak obiecałem, prawda?

Dotąd nasza rozmowa była spokojna i na dystans, ale w tym momencie Daniel pękł. Wyciągnął rękę w moją stronę, wsuwając ją między pręty w kratce.

– Na litość boską, potrzebuję cię, Molly. Znajdź Jacka, zanim będzie za późno. Proszę, nie zostawiaj mnie. Nawet jeśli cię już nie interesuję jako mężczyzna, potraktuj mnie jak przyjaciela.

Westchnęłam.

– W porządku – powiedziałam. – Spróbuję.

Jakna zawołanie ktoś wszedł do pomieszczenia.

– Mówiłem, dziesięć minut i ani sekundy dłużej! – zawołał strażnik i chwycił Daniela za koszulę.

Przesuwane metalowe drzwi, które nas dzieliły, zaczęły się zamykać.

– Zaczekaj! – krzyknęłam. Jeszcze o tyle rzeczy chciałam go zapytać. – Chwileczkę. Proszę mi pozwolić zamienić z nim słowo – błagałam, wyrywając się z mocnego uścisku policjanta, który wprowadzał mnie z sali.

Ale przesuwane drzwi się zatrzasnęły i Daniel zniknął mi z oczu.

Posterunkowy Byrne wyprowadził mnie z Katakumb. Przystanąłam na zewnątrz, mrugając oczami w pełnym słońcu. W powietrzu unosił się kurz.

– Twierdzi, że pan się od niego nie odwróci – zwróciłam się do towarzyszącego mi policjanta. – Ilu mu jeszcze zostało takich jak pan?

– Trudno powiedzieć, panno Murphy. Problem w tym, że ludzie gadają. Nikt nie wie, po której stronie leży prawda. Mówi się, że kapitan Sullivan był opłacany przez gangsterów, że dał im cynk i ostrzegł przed policją. Przez to zginął jeden z nas. My w policji nie lubimy zdrajców.

Popatrzyłam na niego przerażona.

– Dobrze pan wie, że Daniel nie mógłby zrobić czegoś podobnego. Powiedział mi, że nigdy nawet nie przyjął łapówki. Wszy skto to zostało zaplanowane, by go zdy skredy tować.

Byrne pokiwał głową.

– Niewykluczone.

– Kto to mógł zrobić? Ma pan jakieś podejrzenia?

Młody policjant oblał się rumieńcem.

– Jestem tylko posterunkowym, panno Murphy. Wypełniam obowiązki, przyjmuję rozkazy i pilnuję swojego nosa. Kapitan Sullivan był dla mnie bardzo dobry. Kiedy przyszedłem do policji, dał mi od razu wiele zadań, więc jestem mu coś winien. Pomógłbym, gdybym wiedział, co należy zrobić.

Położyłam mu rękę na ramieniu.

– Czy może mi pan zdradzić nazwiska innych policjantów, wyższych rangą, którym Daniel mógłby zaufać? Ludzi, którzy byliby w stanie mu pomóc?

Potrząsnął głową.

– Już mówiłem, panno Murphy. Nie wiem, co oni tam na górze myślą.

Przynajmniej jasno stawia sprawę – uznałam. Teoretycznie chce pomóc Danielowi, ale nie zamierza nadstawiać karku i ryzykować utraty pracy. W gruncie rzeczy można to zrozumieć. Posada stróża prawa w Nowym Jorku to dla Irlandczyka niezła gratka. Nie warto zadzierać ani z Tammany Hall, ani z policją, a Daniel najwyraźniej to właśnie zrobił.

– Czy w takim razie mogę pana poprosić tylko o jedną przysługę? – zapytałam. – Czy może mieć pan po prostu oczy i uszy szeroko otwarte? Gdyby usłyszał pan, że jest coś, co mogłoby pomóc Danielowi, proszę przyjść i mi o tym powiedzieć, dobrze? Daniel dał panu mój adres, prawda?

– Dobrze, panno Murphy. Zrobię co w mojej mocy.

– W takim razie do widzenia. Chyba nie jestem już aresztowana?

Uśmiechnął się krzywo.

– Nie. Jest pani wolna.

– Dziękuję – odwzajemniłam uśmiech.

Może to mój jedyny sprzymierzeniec w policji – pomyślałam.

– Jeszcze jedna rzecz, panno Murphy! – zawołał za mną. – W jaki sposób zamierza pani pomóc kapitanowi? Ma pani wpływowych przyjaciół czy jak?

Już się nie uśmiechałam.

– Jestem prywatnym detektywem. Daniel Sullivan poprosił mnie, bym udowodniła, że jest niewinny.

Odeszłam, nie czekając na komentarz. Dopiero po jakimś czasie, gdy maszerowałam w nieznanym kierunku, dotarło do mnie znaczenie słów, które przed chwilą wypowiedziałam. Udowodnić, że jest niewinny? Sam przecież przyznał, że organizował nielegalną walkę. Czy takie przewinienie nie zasługuje po prostu na nagane? Szłam coraz szybciej. Rozmyślałam o plotkach, które przytoczył Byrne, o tym, że Daniel jest na garnuszku gangu, że daje cynk przestępcom, że przez to zginął jeden z policjantów... Albo sam Daniel nie wiedział, co na niego mają, albo nie chciał mi powiedzieć o wszystkim – stwierdziłam.

Zorientowawszy się, że jestem w bardzo zatłoczonym miejscu, przystanąłam i zdałam sobie sprawę, że na piechotę dotarłam z Center Street aż do Canal. Wiedziałam, gdzie dojdę, skręcając w prawo i kierując się w stronę East River. Dojdę do Walhalla Hall, zwanego potocznie Walla Walla, niewinnie wyglądającego budynku, w którym często spotykał się gang Eastmansów. Cofnęłam się, wstrzymując oddech, kiedy przed nosem przejechał mi tramwaj konny, a tuż za nim platforma załadowana workami z mąką. Nie zamierzałam znów stawać twarzą w twarz z tymi groźnymi ludźmi. Przypomniałam sobie, jak komicznie wygląda Monk Eastman w kapelusiku sterczącym na czubku głowy i z gołębiem na ramieniu. W gruncie rzeczy żałosna figura, dopóki nie zauważy się kastetu na dłoni i rosłych oprychów w roli ochroniarzy. Przypomniałam też sobie pewnego człowieka z innego gangu – Hudson Dusters – którego nieświadomie zaprowadziłam za kratki.

Wystarczy tego na jedno życie – pomyślałam. Z przyjemnością oddam pole Dżentelmanowi Jackowi. Niech on się dogaduje z gangsterami!

Ruch na ulicy trochę zelżał. Uniosłam spódnicę i przyspieszyłam kroku. Przed oczami wciąż stał mi Daniel; zmarnowany i smutny. Nie mogę pozwolić, żeby zginął w więzieniu. Zrobię dla niego co tylko w mojej mocy. A już na pewno przełożę wiadomość Jackowi Brady'emu i z całą pewnością złożę wizytę Arabelli Norton – postanowiłam. Należy sprawdzić, czy moje przypuszczenia, że to ona lub jej rodzina mści się na Danielu, są w jakikolwiek sposób uzasadnione.

Perspektywa rozmowy z Arabellą nie należała jednak do przyjemnych. Nasze poprzednie przelotne spotkania nie pozostawiły w moim sercu ciepłych uczuć dla tej kobiety. I pewnie z wzajemnością, o co trudno mieć do niej pretensję. Nie, nie obwiniałam jej w żaden sposób. Prawdopodobnie uważała – choć niesłusznie – że ukrałam jej narzeczonego. A przecież to wina Daniela, który konsekwentnie ukrywał przede mną, że jest zaręczony. Jak tylko się o tym dowiedziałam, zerwałam z nim wszelkie kontakty. No, może niezupełnie... Pewnego razu nad rzeką

Hudson... Odsunęłam od siebie wspomnienia i pospieszyłam w stronę Bowery, przypominając sobie, że przecież trzeba kupić kurczaka, przygotować kolację i nie myśleć za bardzo o wszystkim.

Kiedy dotarłam do koszerne go sklepu mięsne go Grossmana, przed drzwiami była już długa kolejka. Stałam na końcu, a słońce mocno grzało mi kark. Dopiero kiedy weszłam do środka, poczułam ulgę, ale kolejka posuwała się w ślimaczym tempie. Zapach krwi, martwej zwierzyny i kurzu przyprawił mnie o mdłości. Zamknęłam oczy i przełknęłam żółć.

Tak to jest, jak się pije kawę Sid na pusty żołądek – skwitowałam w myślach i z radością skonstatowałam, że zbliżam się do lady.

Zrobiłam zakupy i przecisnęłam się do wyjścia. Na zewnątrz wciąż, niestety, panował upał, a na dodatek cuchnęło niemilosiernie. Koń pociągowy zostawił przed chwilą na ulicy wielką pamiątkę, której smród mieszał się teraz z wonią smażonej ciecierzycy serwowanej z obwoźne go straganu. Wokół brzęczały dzwonki wozów, dzieci krzyczały. Mimo że w Lower East Side epidemia tyfusu już nie straszyła, w takim upale wciąż istniało ryzyko zachorowań. Niektórzy przechodnie przemysłali w milczeniu, ze spuszczone mi głowami, zasłaniając chusteczką usta i nos.

Szybkim krokiem skierowałam się na Washington Square i dopiero tam przystanąłam w przyjemnym cieniu drzew, czując na twarzy odświeżającą bryzę od fontanny. Na ogół cieszyłam się gwarem i atmosferą miasta, ale dziś wyjątkowo zateśkniłam za dzikimi krajobrazami hrabstwa Mayo, gdzie lato nigdy nie było zbyt gorące i gdzie od Atlantyku zawsze wiał chłodny wiatr.

Znalazłam miejsce na ławce i przysiadłam na chwilę, obserwując urwisów, którzy wchodzili do fontanny, by po chwili dać się odgonić policjantowi o czerwonej twarzy. Wyciągnęłam chusteczkę i wytarłam pot z czoła. Ten dzień dał mi w kość – najpierw koszmarny sen, nieprzespana noc, potem to wszystko, czego dowiedziałam się o Danielu. Nic dziwnego, że tęsknię za czymś spokojniejszym i bezpieczniejszym.

W końcu po krótkim odpoczynku odniosłam kurczaka do domu, a następnie wyruszyłam na poszukiwanie Jacka Brady’ego. Zwykle chodzę po mieście na piechotę, pokonując nawet dość długie dystanse, ale dzisiaj, w tym upale, nachodziłam się wystarczająco. Zapłaciłam pięć centów i pojechałam elką z Szóstej Alei do Dwudziestej Trzeciej Ulicy, a potem wsiadłam do tramwaju konnego, który dowiózł mnie aż do Dziewiątej Alei. Okolica była przyjemna, niepodobna ani do Greenwich Village ani do Lower East Side, gdzie najczęściej kierowałam kroki. Najwyraźniej zamieszkiwała tu mieszczań ska społeczność miasta – kobiety na kłęczkach myły schody albo polerowały kołatki przy drzwiach. Mali chłopcy grali na chodniku w piłkę. Minęłam dziewczynkę, która z poważną miną pchała przed sobą wózek dla lalki, i pomyślałam o Bridie. Owszem, cieszyła mnie ta chwilowa niezależność, ale równie mocno tęskniłam za swoją małą podopieczną.

Bez problemu znalazłam pensjonat pani Collins, bo nad drzwiami widniała zapisana chwytliwymi literami nazwa przybytku. Zapałam, poczekałam, a kiedy drzwi się otworzyły, ujrzałam w nich poważną twarz kobiety. Pani Collins wyglądała jak wzorzec właścicielki pensjonatu – miała włosy surowo ściągnięte do tyłu, chłodne spojrzenie i nieprzyjemny wyraz twarzy, jakby coś zawsze śmierdziało jej pod nosem.

– Tak? – zapytała. – Jeśli przyszła pani do któregoś z lokatorów, informuję, że w moim

pensjonacie damskie wizyty są zabronione.

– Owszem, szukam pewnego mężczyzny. Ale jedynie po to, by wręczyć mu wiadomość od wspólnego przyjaciela. Zapewniam, że nic nie łączy mnie z żadnym z pani lokatorów.

– Do którego? – zapytała, nie zdejmując ręki z framugi i tym samym nie pozwalając mi wejść.

– Jak rozumiem, zatrzymał się u pani niejaki John Sykes – powiedziałam. – Chciałabym zamienić z nim słowo na osobności, jeśli dysponuje pani jakimś ustronnym pomieszczeniem.

– Pana Sykesa nie ma – odparła.

– A kiedy wróci?

Wzruszyła ramionami.

– Tego nie wie nikt. Nie ma go. Zniknął. Ale nie martwi mnie to wcale. Pokój był opłacony na tydzień z góry.

– Zniknął, mówi pani? Czy zabrał swoje rzeczy?

– Nie było tego wiele. Jedna torba podróżna i tyle.

– I nie powiedział, dokąd się udaje?

Znow wzruszyła ramionami.

– Ani słowa. Zjadł śniadanie z innymi lokatorami. Potem już nic nie widziałam, bo zmywałam w kuchni, ale kiedy wystawiłam kartkę z menu obiadowym, już go nie było, a Minnie, pokojówka, powiedziała, że z pokoju zniknęły jego rzeczy.

– A to ci dopiero! – Stałam i wgapiałam się w nią, bo zupełnie nie wiedziałam, co począć. – Czy dał pani może jakiś inny adres? Wie pani, gdzie powinnam go szukać?

– A co takiego zrobił, złociutka? Jest ci winny pieniądze czy ma na sumieniu coś gorszego?

– Nie znamy się, nawet nie widziałam go na oczy. Mój przyjaciel poprosił, bym przekazała panu Johnowi pilną wiadomość, a ja się zgodziłam. To wszystko.

– Przykro mi, nie mogę pomóc – odparła. – Muszę szybko wracać do placaka, bo inaczej spali mi się kruszonka – powiedziała i zatrasnęła mi drzwi przed nosem.

To jest komplikacja, której Daniel nie przewidział – pomyślałam. Powiedział mi, że Jack Brady musi się ukrywać, bo wszyscy znają jego twarz. Może ktoś rzeczywiście go rozpoznał i dlatego Jack poszukiwał innej kryjówki. Jeśli rzeczywiście ma nadzieję, że Daniel zorganizuje mu walkę, nie odszedł daleko. Powinnam chyba udać się do mieszkania Daniela i sprawdzić, jak tam wygląda sytuacja. Może u gospodyni należy zostawić jakąś wiadomość dla Jacka? Może pojawi się tam, szukając przyjaciela?

Dwudziesta Trzecia Zachodnia była niedaleko. To właśnie tam, w budynku z brązowej cegły, Daniel miał mieszkanie.

– Jaka miła niespodzianka! Panna Murphy! Miło cię widzieć, moja droga – przywitała mnie w progu pani O'Shea, gospodyni Daniela. – Jak ten czas leci! Tak dawno się nie widziałyśmy. Jak się miewasz?

– Nie najgorzej. A pani?

– Nie narzekam. Bardzo mnie tylko martwi cała ta sprawa z kapitanem. Wiesz o wszystkim,

prawda? Założę się, że dlatego tu jesteś.

Przytaknęłam.

– Policja pewnie już przeszukała mieszkanie? – zapytałam.

– Owszem. Zachowywali się, jakby nasz kapitan był wyjątkowo groźnym przestępcą. Powtarzałam: „Macie nie tego człowieka. Kapitan Sullivan to najlepszy policjant w całym mieście”, ale tylko mnie odepchnęli. Większość z nich to prostaki, mówię ci, kochanieńka.

– Znaleźli coś?

Potrząsnęła głową.

– Chyba jakieś dokumenty, ale nie zabawili długo. A jeśli chodzi o biednego kapitana Sullivana, to nawet nie wiem, co się z nim dzieje.

– Siedzi w Katakumbach.

Popatrzyła na mnie z przerażeniem.

– Matko Przenajświętsza – powiedziała i przeżegnała się. – Co tak straszego mógł zrobić, że go tam wsadzili?

– Nic. Ktoś go wrobił – odparłam. – Sreparowali dowody. Dlatego przyszedł. Chcę sprawdzić, czy nie ma tu czegoś, co mogłoby mu pomóc. Wpuściłaby mnie pani do jego mieszkania? Pewnie wszystko zabrali, ale może nie zaszkodzi sprawdzić, prawda?

– Ano nie zaszkodzi. Biedny człowiek. Po tym, co mi powiedziałaś, aż się we mnie gotuje. Wejdz, proszę. Może najpierw usiądziemy na chwilę i napijesz się zimnej herbaty?

Z rozkoszą przyjąłam zaproszenie.

– Szukam również pewnego człowieka – dodałam, kiedy stawiała przede mną szklanekę dobrze schłodzonego napoju. – Przyjaciel kapitana. Postawny mężczyzna, który przedstawia się jako John Sykes. Nie kręcił się tutaj przy padkiem?

Kiwnęła głową.

– Mężczyzna, o którym mówisz, przyszedł tu razem z kapitanem jakiś tydzień temu. Wielki, krzepki człowiek, brzydki jak noc. Przywitaliśmy się tylko, a potem panowie poszli na górę.

– Nie wie pani, gdzie mogłabym go teraz znaleźć? Później się już tutaj nie pojawił?

Pokręciła głową.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ale mógł przyjść, kiedy mnie nie było. W tym tygodniu często zaglądałam do siostry. Leży w połogu, dziesiąte dziecko... Dasz wiarę? Każdego dnia dziękuję Bogu, że dał mi tylko trójkę.

Pokiwaliśmy głowami, jak to mają w zwyczaju kobiety, kiedy rozmawiają o swoich sprawach.

Wstałam.

– Bardzo dziękuję za herbatę, pani O’Shea. Idealna na ten upał. Czy mogłabym teraz pójść na górę?

– Oczywiście. Zaraz znajdę zapasowy klucz. Za chwilę znów muszę iść do siostry, więc jeśli mnie nie będzie, zostaw, proszę, klucz w wazonie na stole w korytarzu.

– Dobrze. Jeszcze raz dziękuję.

Zabrałam klucz i weszłam po schodach. Kiedy przestępowałam próg mieszkania Daniela, ogarnęło mnie dziwne uczucie. Dawno tu nie byłam. Może rok. Ale wspomnienia szybko wróciły. Tyle się wydarzyło w tym czasie! Wciągnęłam w nozdrza charakterystyczny zapach tego miejsca – mieszanek tytoniu do fajki, środka do polerowania mebli i zapachu smażonych steków albo żeberek. Całkowicie męski zapach w całym mieszkaniu, umeblowanym na ciemno, z półkami pełnymi książek i samotnym fotelem przy kominku. Na gzymsie kominka wisiał rząd fajek. Od razu było widać, że to mieszkanie kawalera, bez śladu kobiecej ręki, która rozjaśniłaby to miejsce i ociepliła. Przesunęłam dłonią po obiciu fotela. Kiedyś w nim siedziałam, a Daniel przyśiadł na poręczu i...

– Natychmiast przestań i zabierz się wreszcie do pracy – powiedziałam na głos sama do siebie, by odpędzić natrętne myśli.

Zacząłam od dużego dębowego biurka pod oknem. Dziwnie się czułam, przeglądając osobiste rzeczy Daniela. Aż musiałam sobie przypomnieć, że niedawno robił to ktoś znacznie mniej mu przychylny niż ja. Znalazłam kupkę przewiązanych wstążeczką listów od matki i rachunki, wszystkie zapłacone na czas. Ani to przydatne, ani obciążające – pomyślałam. W salonie nie zauważyłam zupełnie nic, więc skierowałam się do sypialni. Tutaj czułam się jeszcze dziwniej, patrząc na starannie posłane masywne mahoniowe łóżko z jedwabną puchową kołdrą w kolorze ciemnego wina. Przeszłam obok i stanęłam przy nocnej szafce. W górnej szufladzie znalazłam zdjęcie owinięte jedwabną chusteczką. Kiedy je odsłoniłam, łzy napłynęły mi do oczu. To było zdjęcie, które kiedyś zrobił Paddy Riley. Przedstawiało mnie i Daniela na spacerze w Central Parku w którąś niedzielę zeszłego lata.

Tacy spokojni i zadowoleni jesteście na tym zdjęciu – pomyślałam. Idę z Danielem pod ramię, a na twarzy mam absurdalnie dumny uśmiech. Tak wiele się nam przydarzyło przez ten rok!

Wsunęłam zdjęcie do torebki, na wypadek gdyby pokój miał być jeszcze raz przeszukiwany przez policję. Zajrzałam do pozostałych pomieszczeń i ucieszył mnie fakt, że nigdzie nie znalazłam żadnego portretu Arabelli. To tylko świadczy o tym, jak często miewamy – my, kobiety – bardzo prymitywne myśli. Przeszukałam wszystkie szuflady komody i stwierdziłam, że Daniel trzyma swoje rzeczy w wielkim porządku. Nie to co ja – urodzona bałaganiara. Wtedy właśnie wyczułam – bardziej, niż zobaczyłam – jakiś ruch tuż za mną. Odwróciłam się natychmiast, ale nikogo tam nie było.

Znów ta wyobraźnia – pomyślałam.

Mimo wszystko czułam napięcie. Miałam świadomość, że w tym wielkim domu, w pokoju na piętrze, z którego nie ma żadnego awaryjnego wyjścia, jestem zupełnie sama. Ostrożnie zamknęłam komodę i odwróciłam się. Podeszłam do drzwi sypialni i znów mój szósty zmysł wyczuł jakiś ruch za plecami. Odwróciłam się gwałtownie, tym razem pewna, że ktoś stoi w ciemnej łazience na tyłach pokoju.

Przeszło mi przez myśl, że może wystraszyłam włamywacza, który pod nieobecność właściciela właśnie zabiera cenne rzeczy. Ale przecież pani O'Shea nikogo niepowołanego nie wpuściłaby do środka. Okna były zamknięte i jedyna droga do mieszkania prowadziła przez frontowe drzwi, a potem po schodach na górę. Ktokolwiek lub cokolwiek to było, nie miałam

zamiaru sprawdzić. Jeśli rzeczywiście w łazience ktoś jest, będę udawała, że nie zwrócił mojej uwagi, i po prostu wyjdę. Później poczekam i sprawdzę, kto to taki.

I tak by się w istocie stało, gdybym wychodząc z sypialni, nie obejrzała się ponownie. Tym razem zobaczyłam go w lustrze. Stał za drzwiami do łazienki. Potężny człowiek z jednym ramieniem uniesionym tak, jakby w dłoni trzymał jakąś broń.

Odwrociłam się i zaczęłam biec do wyjścia. Niestety, zahaczyłam nogą o stojącą przy drzwiach umywalkę na metalowym stelażu i konstrukcja zachwiała się, a potem przewróciła. Porcelanowy dzbanek rozbił się o podłogę, woda ochlapała mi dół sukienki. Straciłam równowagę i zrobiłam niezdatny unik do przodu, spodziewając się w każdej chwili uderzenia w głowę. Kiedy tajemnicza postać chytała mnie z tyłu za ubranie, właśnie z trudem podnosiłam się z podłogi.

– Nie ujdzie ci to na sucho! – krzyknęłam. – Pani O’Shea jest na dole. Wrzasnę, a ona natychmiast przybiegnie na pomoc ze swoimi synami.

– W porządku, panienko. Proszę się nie denerwować. Nie zrobię pani niczego – usłyszałam bardzo głęboki głos. – Nie trzeba się bać. Pomogę, proszę się na mnie oprzeć.

Rzeczywiście po chwili stałam już na własnych nogach i mogłam przyjrzeć się napastnikowi.

– Przecież czekał pan za drzwiami. Widziałam w lustrze; chciał mnie pan zaatakować – zauważyłam.

– Nie wiedziałem, kto tu wszedł – odparł mężczyzna. – Słyszałem kroki, więc przygotowałem się na atak, gdyby okazało się, że przyszli po mnie.

Wreszcie mogłam znów spokojnie oddychać. Przede mną stał olbrzym o paskudnej twarzy, ze spłaszczonym i wykrzywionym nosem. Od razu domyśliłam się, kto to taki.

– Dżentelmen Jack, prawda? – zapytałam. – Tak się cieszę, że pan tu jest. Molly Murphy, przyjaciółka Daniela. Daniel prosił, żebym pana odnalazła.

– Miło panią poznać, panno Murphy – powiedział tym swoim niskim głosem i wyciągnął dłoń wielkości łopaty, choć uścisk okazał się nad wyraz delikatny.

– Co pan tu robi? I jakim cudem gospodyni Daniela nie wie, że pan tu jest?

– Ukrywam się – odparł. – Bałem się, że ktoś doniesie policji i że zaczną mnie szukać. Daniel dał mi kiedyś klucz do siebie, tak na wszelki wypadek. Siedzę tu i czekam, ale on nie wraca. Nie wiem, gdzie się podział. Czekam i czekam – dodał, a mnie wydawało się, że słucham nadąsanego dziecka.

– Nie przyjdzie – powiedziałam. – Siedzi w więzieniu.

– W więzieniu? Przeze mnie?

– Poniekąd. – Wyjawiłam mu wszystko, co wiem. – No i widzi pan – zakończyłam. – Ktoś najwyraźniej postanowił go ukarać.

– O nie! To straszne. Pójdę tam i powiem, że to wszystko moja wina. To ja poprosiłem, żeby zorganizował walkę. – I rzeczywiście skierował się w stronę drzwi.

Chwycałam go za ramię. Miałam wrażenie, że dotykam skały.

– Wątpię, by to był najlepszy pomysł. Prawdopodobnie aresztują również pana.

Chyba zrozumiał, co mam na myśli, bo odwrócił się od drzwi, podszedł do okna, odsłonił firankę i wyjrzał. Zauważyłam, że jak na swój wzrost i posturę porusza się z wyjątkową gracją.

– Dobrze zrobiłem, że wczoraj uciekłem. Pewnie mnie szukają.

– Ma pan szczęście – zauważyłam. – Parę dni temu policjanci dokładnie splądrowali to miejsce; zabrali wszystko, co mogłoby obciążać Daniela.

– Ale dlaczego? Czemu jego przyjaciele tak postępują? Byłem pewien, że jest lubiany.

– Też tak myślałam – odparłam. – Chodzą plotki, że Daniel ostrzegł gang przed obławą policji i że przez to zginął jeden z policjantów.

– Daniel nigdy by czegoś takiego nie zrobił. – Pokręcił wielką głową. – To najlepszy przyjaciel, jakiego można sobie wyobrazić. Ufam mu całym sercem.

– Rozumiem – powiedziałam.

Ucieszyłam się, że jest na świecie ktoś, dla kogo Daniel uchodzi za wzór wszelkich cnót. Ukłękłam i pobierałam skorupy dzbanka, a następnie wrzuciłam je do kosza na śmieci.

– Musimy zabrać się do pracy. I ja, i pan. Powinniśmy się dowiedzieć, kto włożył do koperty pieniądze i kto dał znać komendantowi, gdzie Daniel spotka się z gangiem.

– W jaki sposób?

– Nie mam pojęcia. Pewnie trzeba zacząć od rozmowy z gangsterami. Zapytać, kto wręczał Danielowi kopertę.

– No tak, oczywiście – powiedział, ale po chwili zapytał: – Jaką kopertę?

– Tę z pieniędzmi w środku.

– No tak, ale dlaczego dawali ją Danielowi?

– Przecież tłumaczyłam. To miała być tylko lista nazwisk, nie łapówka. Ktoś wsadził do środka pieniądze.

– Kto?

– To właśnie musimy ustalić – powiedziałam nieco głośniejszym głosem, bo traciłam już cierpliwość.

– Przepraszam – wymamrotał. – Ostatnio nie najlepiej z moją pamięcią. Mówią, że zbyt wiele razy oberwałem mocno w głowę, i pewnie mają rację. Czasem miewam potworne migreny, a czasami widzę podwójnie.

Słyszałam, że istnieje coś takiego jak encefalopatia bokerska. Ludzie nią dotknięci mają bełkotliwą mowę i brzydką, bardzo skupioną twarz. Nigdy jednak nie widziałam wcześniej człowieka, który by na coś takiego cierpiał.

– To dlaczego, na Boga, Daniel organizuje kolejną walkę?! – zawołałam. – Nie dość już pan oberwał?

– Potrzebuję pieniędzy – odparł. – Nigdy się mnie nie trzymały. Jak je mam, wydaję. Kiedyś w spince miałem diament wielkości monety. Wtedy mówili na mnie Dżentelmen Jack. Ale dawno już nie walczyłem i nie mam za co żyć.

– Oprócz udziału w walkach są jeszcze inne sposoby na życie – zauważyłam.

Potrząsnął głową.

– Nigdy nie byłem zbyt bystry, panno... Jak pani się nazywa?

– Murphy – przypomniałam mu.

– Nigdy nie byłem zbyt bystry, panno Murphy. Gdyby nie to, że zawsze miałem siłę w pięściach, skończyłbym jako robotnik i wyciskał z siebie ostatnie poty za dolara dziennie. Kiedy walczę, jestem kimś.

Kimś z otumanioną głową – pomyślałam, ale nie powiedziałam tego głośno.

Podsunęłam mu krzesło z kompletu stołowego Daniela.

– Dobrze. Pańskim pierwszym zadaniem będzie pomóc mi wydostać Daniela z więzienia. Proszę usiąść; zastanówmy się nad wszystkim po kolei.

Krzesło było małe i wyraźnie usłyszałam, jak zaskrzyphiało, kiedy siadał. Ja natomiast wzięłam ścierkę z kuchni i zaczęłam wycierać z podłogi rozlaną wodę. Praca fizyczna zawsze pomagała mi w myśleniu.

– Tak więc organizowaliście z Danielem walkę, prawda? Co zdążyliście zaplanować?

– Zbierał od jakichś gości pieniądze i szukał miejsca, do którego nie trafi policja.

– W tej kopercie miała być lista nazwisk osób finansujących walkę – oznajmiłam. – Wie pan, który gang to wszystko organizował?

Podrapał się w głowę. Pomyślałam, że wygląda jak wyrośnięta małpa w zoo.

– Chyba nigdy nie powiedział mi, co to za gang. Wiem tylko, że organizacją zajęli się ludzie, których Daniel zna.

– Nie wspomniał na przykład o Eastmansach?

– Może i wspomniał. Ale ta nazwa nic mi nie mówi. Nie jestem z Nowego Jorku.

– A ustaliliście, gdzie miałyby się odbyć walka?

Pokiwał głową.

– Tak, chyba miejsce ustalili. Na jakiejś wyspie.

– Na wyspie?

To zdecydowanie „zawęża” poszukiwania – uznałam ironicznie w duchu. Takie miejsce może być gdziekolwiek na wybrzeżu Atlantyku.

– Na jakiejś wyspie w pobliżu Nowego Jorku?

– Tak, zaraz pod Nowym Jorkiem, tak mówił Daniel.

Znałam tylko kilka takich wysp: Blackwell na East River, tam, gdzie znajdowało się więzienie dla kobiet; Ellis, dokąd przybijali wszyscy imigranci, i tę małą, na której stała Statua Wolności. Żadna z nich nie nadawała się na nielegalną walkę bokserką.

– A może Staten Island? – zapytałam, przy pominięciu sobie zasłyszaną kiedyś nazwę.

Potrząsnął głową.

– Nie, tam nie.

– Proszę pomyśleć, Jack, przecież musimy wydostać Daniela z więzienia, prawda?

Zamknął oczy.

– Coś z jakimś zwierzęciem – powiedział po chwili i nagle jego brzydka twarz się rozjaśniła.

Przyszło mi do głowy, że kiedyś musiał być nawet przystojny.

– Coney [\[2\]](#) Island przecież.

– No właśnie. Coney Island! – powtórzyłam i przypomniałam sobie pewną wycieczkę z Danielem, którą odbyliśmy dawno temu, w tych wspaniałych czasach, kiedy nie wiedziałam o istnieniu Arabelli. Przypomniałam sobie, jak siedząc w wagoniku na diabelskim młyńcu, pędzę na dół, mocno wtulona w Daniela, który obejmuje mnie ramieniem. Natychmiast odgoniłam wspomnienia. – Wreszcie mamy jakieś konkrety. Walka miała być na Coney Island. Kiedy dokładnie?

Pokręcił głową.

– To się miało okazać dopiero wtedy, gdy zdobędziemy pieniądze.

Czyli tym się ostatnio zajmował Daniel – pomyślałam.

Wstałam, odniosłam ścierkę do kuchni i powiesiłam ją przy zlewie.

– Ciekawe, jaki gang ma wpływ również poza Nowym Jorkiem, w tym na Coney Island... – powiedziałam, raczej zastanawiając się na głos, niż pytając Jacka o zdanie. Pewnie i tak nie wiedział więcej niż ja. – Gangster, z którym Daniel spotkał się tamtego dnia, mógł przecież należeć do jakiegokolwiek gangu... – kontynuowałam. – Trzeba będzie zapytać Daniela, zanim zaczniemy działać.

– Kiedyś widziałem jednego takiego gościa – powiedział Jack, gdy wróciłam do pokoju. – Daniel mnie do niego zabrał. Śmieszny facet. Zabawny, można powiedzieć. Ma fioła na punkcie ptaków. Na ramieniu siedział mu taki mały głupi gołąb.

– Monk Eastman! – wykrzyknęłam, czując dreszcz na plecach. – Nie jest wcale taki zabawny. Stoi na czele gangu. Czyli spotkaliście się z Monkiem. To znaczy, że Eastmans są na pewno w to wszystko zamieszani. Pamięta pan, gdzie doszło do tego spotkania?

Jack znów zmarszczył twarz w skupieniu, ale po chwili potrząsnął głową.

– Nie znam miasta zbyt dobrze. Kiedy ostatni raz przyjechałem na walkę, mieszkałem w Astorii. Miałem wtedy pieniądze. Byłem mistrzem świata.

Ta rozmowa prowadzi donikąd – pomyślałam. Byłam coraz bardziej zmęczona i sfrustrowana. Nagle dotarło do mnie, że przecież od śniadania nic nie jadłam, a zrobiło się już dość późno.

Wstałam.

– Nie wiem jak pan, ale ja umieram z głodu – powiedziałam. – Czy jest tu coś do jedzenia?

– Coś tam było, ale wszystko już zjadłem – odparł Jack i poszedł za mną do kuchni.

Półki w istocie świeciły pustkami. Znalazłam tylko mały kawałek sera pod szklanym klozem, trochę wysuszonej cebuli, parę marchewki i pół bochenka chleba.

– W takim razie zjemy chleb z serem – powiedziałam.

To, co zjedliśmy, smaczne nie było, ale przynajmniej wypełniło żołądek.

– Powiem gospodyni, że pan tu mieszka. Może mogłaby coś przynieść na górę, kiedy będzie robić dla siebie zakupy.

– Będę bardzo wdzięczny, panienko. Muszę mieć siły do walki. Tuż przed nią potrafię zjeść tuzin jajek i stek wielkości talerza.

– Nie wiem, kto miałby za to zapłacić – zauważyłam. – Nie mam takich pieniędzy, a nie wiem,

gdzie Daniel trzyma oszczędności.

– Odstawiłam szklankę, do której wcześniej nalałam sobie wody.

– Przede wszystkim powinien pan porozmawiać z Monkiem Eastmanem. Poznaliście się przecież. Pomaga zorganizować walkę, więc krzywdy panu nie zrobi.

– Paniątka chce, żebym stąd wyszedł i odszukał tego Monka? – Popatrzył na mnie z przerażeniem. – A jeśli policja depcze mi po piętach?

– Mógłby pan wyjść w przebraniu, skoro tak się pan boi – zasugerowałam.

– Nie sądzę, że przebranie coś da – powiedział przeprasząco.

Rzeczywiście trudno było się z nim nie zgodzić. Gdybym mu przykleiła brodę albo sztuczne brwi, wydałby się jeszcze bardziej podejrzany. W zimie mógłby się przynajmniej schować w polach obszernej peleryny, a na głowę wcisnąć kapelusz z szerokim rondem. W letnim ubraniu każdy go rozpozna – pomyślałam.

– Będzie pan musiał zaryzykować – stwierdziłam. – Ja nie pójdę do Monka Eastmana. Kiedyś tam byłam i ledwo uszłam z życiem. Marnie bym skończyła, gdyby nie policja, która akurat wdarła się do Walla Walla.

– Gdzie?

– Do Walhalla Hall. To taki klub towarzyski na Canal Street. Tam się często zbierają Eastmansi. Niech pan jedzie powozem, jakoś znajdziemy na niego pieniądze. Poprosi pan o rozmowę z Monkiem. Wiedzą, kim pan jest, więc wszystko będzie dobrze. Jak już pan dotrze do niego, proszę mu opowiedzieć, co się przytrafiło Danielowi. Trzeba zapytać, czy to ich człowiek spotkał się z kapitanem i przekazał kopertę. Proszę też sprawdzić, czy Monk w ogóle wie o łapówce i czy zna miejsce, gdzie zatrzymano Daniela. Wszystko jasne?

– Niezupełnie, paniątko. Nie wiem, o jakiej kopercie mówimy.

– Litości – mruknęłam. – Zapiszę wszystko na kartce. Będzie pan mógł przeczytać pytania.

– Nie czytam ani nie piszę zbyt dobrze, paniątko.

„Nie jest zbyt bystry” – tak to określił Daniel. Delikatnie powiedziane – pomyślałam. Wspaniale! Daniel pokłada wszystkie swoje nadzieje w człowieku, który nie potrafi logicznie myśleć, a na dodatek pamięta wszystko nie dłużej niż przez minutę. Nawet jeśli znajdzie Monka Eastmana i zada mu moje pytania, zaraz po powrocie do domu zapomni, jakie były odpowiedzi. Byłoby najlepiej, gdybym poszła razem z nim, ale na to w ogóle nie miałam ochoty.

– Napiszę pytania na kartce, a pan ją tylko przekaże Monkowi, dobrze? – zaproponowałam. – Potem poprosi pan, żeby on też zapisał swoje odpowiedzi, a jeśli nie będzie chciał ryzykować, proszę błagać, by postarał się oczyścić Daniela z zarzutów. Może mógłby zaświadczyć, że Daniel nigdy nie był na usługach Eastmansów ani nigdy nie wziął od nich łapówki.

Już kiedy wypowiadałam te słowa, zdałam sobie sprawę, że oczekuję zbyt wiele. Byłam świadkiem zaledwie jednego spotkania Monka z Danielem, ale widziałam wtedy jak na dłoni, że tego, co jest pomiędzy nimi dwoma, nie można nazwać przyjaźnią. Monk tylko się ucieszy, że w Nowym Jorku jest o jednego policjanta mniej. Cała nadzieja w Jacku i jego walce. Monkowi będzie pewnie zależało, by walka się odbyła, a przecież to Daniel musi ją zorganizować. I tylko dlatego Monk może uznać, że trzeba Danielowi pomóc wyjść z więzienia.

– Proszę powiedzieć Monkowi, że nie będzie pan walczył, dopóki Daniel nie znajdzie się na wolności – zaproponowałam.

– Dobry pomysł, panienko. Tak mu powiem – stwierdził Jack, obdarzając mnie dziwnym, przyjaznym uśmiechem.

Z szuflady biurka wyjęłam kartkę papieru, zamoczyłam pióro w atramencie i zaczęłam pisać.

– Spisuję listę pytań, na które Monk być może zna odpowiedź – wyjaśniłam. – Proszę się postarać, Jack. Nikt nie jest teraz w stanie pomóc Danielowi bardziej niż pan.

– Zrobię, co tylko będę mógł, panienko – odparł Jack – Przysięgam. Czy mam już iść?

– Lepiej poczekać, aż się ściemni – zauważyłam. – W ciągu dnia i tak w Walhalla Hall nikogo nie ma. Nawet jeśli dziś nie zostanie pan Monka, z pewnością będzie tam ktoś, kto powie, gdzie go szukać – dodałam i sięgnęłam do torebki. – Zobaczymy, czy mam pieniądze na dorożkę tam i z powrotem.

Uzbierałam drobnymi całego dolara. W szufladzie biurka Daniela i w misce na gzymsie kominka znalazłam więcej monet.

– Proszę bardzo – powiedziałam. – Powinno wystarczyć. A ja zostawię liścik dla pani O’Shea z prośbą o jakieś zakupy spożywcze, choć nie sądzę, że będzie to stek wielkości talerza. Może o taki luksus trzeba poprosić Monka?

Wyciągnąłem swoją wielką, czerwoną dłoń po pieniądze.

– Jestem pani dłużnikiem, panienko.

– Gdyby nie to, że mam dzisiaj gości na kolacji, poszłabym razem z panem – zapewniłam. – Ale muszę biec do domu i przygotować kurczaka. Zajrzę tu jutro rano i sprawdzę, czego się pan dowiedział. Jeśli moi goście wszystko nie zjedzą, przyniosę panu coś na ząb.

– Jestem pani dłużnikiem, panienko – powtórzył. – W takim razie do zobaczenia.

Napisałam liścik do pani O’Shea. W postscriptum dodałam, że proszę, by obecność Jacka zachowała w tajemnicy. Wychodząc, byłam bardzo z siebie zadowolona. Zrobiłam to, o co Daniel poprosił. Jeśli szczęście nam dopisze, jutro wyjdzie na wolność.

W drodze do domu, siedząc w konnym tramwaju, który – jak na nieszczęście – okropnie się włókł Dwudziestą Trzecią, zastanawiałam się, co jeszcze mogę zrobić dla Daniela. Czy jest ktoś, kto zechce mi pomóc? Chciałabym się dowiedzieć, komu zależało na tym, by o wszystkim powiadomić komendanta, ale, niestety, nie obracam się w wyższych sferach i nie mam kogo zapytać. Znam co prawda senatora Flynna, ale to nie jest odpowiedni czas, by prosić go o cokolwiek z tego, co słyszałam, wyjechał szukać syna. Poza tym zachowywał się wobec mnie nieprzyzwoicie. Wizyta w Adare to naprawdę ostateczność – zdecydowałam.

Sid i Gus z kolei mają mnóstwo znajomych, ale to przede wszystkim artyści. Wątpię, by kokolwiek z tego kręgu znał prywatnie komendanta policji albo innych wysoko postawionych policjantów. Nagle doznałam olśnienia. Panna Van Woekem! Przez chwilę pracowałam u niej jako dama do towarzystwa. To było, zanim jeszcze dowiedziałam się o zobowiązaniach Daniela i o tym, że starsza dama jest matką chrzestną Arabelli. W najgorszym wypadku wezmę od niej adres panny Norton – pomyślałam. Nie opuszczało mnie przeświadczenie, że Nortonowie mogą mieć z tą sprawą coś wspólnego.

Im bardziej zastanawiałam się nad okolicznościami zdarzenia, tym bardziej byłam przekonana, że to możliwe. Widziałam narzeczoną Daniela zaledwie parę razy, ale wydała mi się rozpieszczoną panienką, która tupie nożką, kiedy coś idzie nie po jej myśli. Jeśli zerwanie zaręczyn głęboko ją dotknęło, z całą pewnością chciała się zemścić. Daniel bardzo naiwnie uważał, że do czegoś takiego by się nie posunęła. Byłam innego zdania. Mężczyźni w ogóle nie są świadomi, do czego my, kobiety, jesteśmy zdolne.

Ale tyle zachodu? Musiałaby znaleźć kogoś z gangu, wymyślić łapówkę, zaaranżować spotkanie z komendantem... Skoro postanowiła się mścić, dlaczego nie zrobiła tego na drodze sądowej? Od razu znalazłabym odpowiedź. Nie chciała wyjść na idiotkę. Rozpatrywanie złamania przysięgi narzeczeńskiej naraziłoby ją w sądzie na szczegółową analizę związku i politowanie ze strony opinii publicznej. A wizerunek był dla Arabelli Norton niezwykle ważny. Postanowiłam odwiedzić ją jak najszybciej. Być może pragnęła, by Daniel stracił pracę, status społeczny, wszystko, na co tak ciężko zapracował, ale z pewnością nie chciała, by stracił życie. A tak się stanie, jeśli dłużej zostanie w tym okropnym, wilgotnym miejscu.

Czy zdążę odwiedzić pannę Van Woekem jeszcze tego popołudnia? Trzeba przecież przygotować kolację! Tęgi mężczyzna siedzący naprzeciwko miał na szczęście zegarek na łańcuszku. Zapytałam o godzinę i dowiedziałam się, że jest dopiero wpół do czwartej. Byłam blisko Gramercy Park, ale nie prezentowałam się najlepiej. Panna Van Woekem dba o maniery, a ja miałam na sobie zwykłą muślinową sukienkę, teraz przepoconą i wygniecioną. Na dodatek byłam bez kapelusza i rękawiczek. Na takie szczegóły osoby pokroju panny Van Woekem zawsze zwracają uwagę. Nie miałam wyjścia. Musiałam wrócić elką do domu. Na miejscu zdjęłam

ubranie, uprałam je, spryskałam ciało chłodną wodą, a następnie włożyłam drugą i ostatnią letnią sukienkę, jaką miałam. W Irlandii nazwałabym ją sukienką niedzielną, czyli taką, którą wkładało się jedynie do kościoła. Od kiedy przyjechałam do Ameryki, w kościele nie byłam częstym gościem. Bez wątplenia ojciec O'Reilly z mojej wioski powiedziałby, że jestem na prostej drodze do piekła. I prawdopodobnie miałby rację.

Uczesałam wilgotne od potu włosy, a następnie związałam je do tyłu białą wstążką. Wychoząc z domu, zerknęłam do lustra i stwierdziłam, że wyglądam prawie statecznie. Tego dnia już się nachodziłam. Nogi miałam jak z ołowiu. Spojrzałam tęsknie w stronę tramwaju, który wydając różne dźwięki, jechał Broadwayem. Chwilę zastanawiałam się, czy powinienam wydać kolejne pięć centów na bilet, po czym zdecydowanym krokiem weszłam na ulicę i przedzierając się między pojazdami, w ostatniej chwili wskoczyłam do środka. Wcale by mi nie pomogło, gdybym złożyła pannie Van Woekem wizytę zmęczona i brudna. Ciekawe, że podczas pobytu nad Hudsonem, gdzie obserwowałam damy z wyższych sfer, wiele razy słyszałam, iż kobiety się nie pocałują...

Dom przy Gramercy Park wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętałam – spokojnie i sielsko. Sąsiedował z innymi domami z eleganckiej cegły i z gęstym parkiem otoczonym wysokim ogrodzeniem. Przed wejściem zatrzymałam się na chwilę, by poprawić kapelusz. Potem wspięłam się po schodach i zadzwoniłam. Otworzyła mi niesympatyczna służąca, patrząc na mnie z taką samą dezaprobatą jak wtedy, gdy przyszłam tutaj po raz pierwszy. Spojrzenie to wyraźnie mówiło, że powinienam raczej wchodzić tylnymi drzwiami, bo moje miejsce jest wśród służby.

– Proszę poczekać w holu – powiedziała. – Sprawdź, czy pani nie ma gości.

Z tymi słowami na ustach zniknęła w salonie. Po chwili usłyszałam znajomy ostry głos.

– Oczywiście, że zechcę zobaczyć pannę Murphy. Powinnaś to wiedzieć, Matildo. Masz ją natychmiast przyprowadzić!

Minęłam Matildę z uśmiechem.

– Panno Murphy, cóż za wspaniała niespodzianka! – Starsza pani wyciągnęła rękę w moim kierunku. Odkład widziałam ją ostatni raz, czyli rok temu, skurczyła się nieco, a jej twarz, z haczykowatym nosem i świdrującymi czarnymi oczkami, jeszcze bardziej niż kiedyś przy pomiwała głowę drapieżnego ptaka.

Ucisnęłam kruchą dłoń.

– Jak się pani miewa, panno Van Woekem?

– Znudzona. Jak zwykle. Ale poza tym całkiem dobrze. A ty? Przestałaś dawać znaki życia, więc pomyślałam, że wyjechałaś z Nowego Jorku, może nawet do Irlandii...

– Nic z tych rzeczy.

– Proszę, usiądź. Matilda przyniesie kawę i kilka pierniczków.

Służąca obrzuciła mnie kolejnym nieprzychylnym spojrzeniem, dygnęła i wyszła z pokoju.

– No, a teraz wszystko mi opowiedz. – Panna Van Woekem nie puszczała mojej ręki i choć sprawiała delikatne wrażenie, czułam się jak pochwycona w szpony. – Czy wciąż pracujesz jako prywatny detektyw?

– Owszem.

– I jak ci idzie? Jakieś ciekawe sprawy, o których mogłabyś mi opowiedzieć?

– Właśnie wróciłam z posiadłości nad rzeką Hudson, gdzie prowadziłam pewne śledztwo.

– Owszem, doszły mnie słuchy – odparła dość chłodno.

Oczywiście – pomyślałam. Nic dziwnego.

Wstrzymałam oddech, czekając na jej komentarz.

– Daniel Sullivan w końcu pokazał, że ma odrobinę charakteru – powiedziała po chwili namysłu. – Zastanawiałam się od dawna, jak długo będzie pozwalał mojej chrześnicy wodzić się za nos. Nie byli dobraną parą. Od samego początku to mówiłam, ale mnie nie słuchała. Zawsze robiła po swojemu.

Popatrzyła na mnie przeciągle, przechylając głowę w jedną stronę, co jeszcze bardziej upodabniało ją do ptaka, i dodała:

– Jesteś dla niego znacznie bardziej odpowiednią partią, mimo że nie masz pieniędzy Arabelli. Przede wszystkim też jesteś z Irlandii, pasujecie do siebie. Mąż i żona powinni pochodzić z podobnych sfer.

– Nie zamierzam wcale wyjść za Daniela Sullivana.

– Jak to? Myślałam...

Służąca weszła z kawą i ciastkami i postawiła tacę na stoliku między nami.

– Czy chce pani, żebym została i nalewała? – spytała.

– Nie trzeba. Panna Murphy się tym zajmie – odparła panna Van Woekem.

Matilda odeszła, szeleszcząc spódnicami.

Uniosłam dzbanek

– Pije pani po południu kawę z mlekiem, panno Van Woekem?

– Ze śmietanką. Ciągle rozmyślam nad tym, co mi powiedziałaś – wróciła do przerwanej wątku. – Zawsze uważałam, że ty i kapitan Sullivan dobrze się rozumiecie. Albo dobrze byście się rozumieli, gdyby nie jego zaręczyny z moją córką chrześną. Pomyliłam się? To dziwne. Na ogół doskonale odczytuję ludzkie intencje.

Nalałam kawę i wręczyłam pannie Van Woekem filiżankę.

– Nie. Nie pomyliła się pani. Coś nas do siebie przyciągało, jeśli tak to mogę ująć. Ale nawet jeśli byłabym gotowa przebaczyć kapitanowi jego zachowanie w przeszłości, on sam nie mógłby teraz nikogo poślubić. Został aresztowany i siedzi w więzieniu, czekając na rozprawę.

– W więzieniu? – Reakcja świadczyła o tym, że starsza pani usłyszała tę wiadomość dopiero ode mnie. – Co mu zarzucają?

– To jest ukartowana sprawa, panno Van Woekem. Do koperty włożono pieniądze i wyszło tak, jakby Daniel przyjmował łapówkę. Nowy komendant był świadkiem tego zdarzenia.

– Boże! – Dotknęła ręką kamei przy kołnierzyku. – W więzieniu? Oskarżony o przyjęcie łapówki? Z tego, co się słyszy, połowa policjantów w Nowym Jorku uwiła sobie przyjemne gniazdzka w taki sposób.

– Ale on twierdzi, że w życiu nie przyjął żadnych pieniędzy. Ktoś chce go zdyskredytować.

– Czy Daniel ma dobrego adwokata? Przecież powinni go przynajmniej wypuścić za kaucją.

Dobry adwokat. Wypuścić za kaucją – powtórzyłam w myślach.

Nie miałam pojęcia o procedurach prawnych, ale rzeczywiście tego Daniel teraz potrzebuje. Zdziwiłam się, że sam o tym nie pomyślał.

– Wiem tylko, że inni policjanci się od niego odwrócili i że nie chce martwić swoimi sprawami ojca, który ma słabe serce. Dlatego poprosił, żebym mu pomogła.

Panna Van Woekem wpatrywała się we mnie znad filizanki.

– I co zamierzasz zrobić?

– Nie wiem – przyznałam otwarcie. – Nie mam żadnego doświadczenia w tego typu sprawach. Ale pomyślałam, że zacznę śledztwo od rozmowy z pani chrześnicą.

– Z Arabellą? Myślisz, że to rozsądne? Nie sądzę, by w ogóle zechciała się z tobą spotkać.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odrzekłam. – Ale muszę się dowiedzieć, czy nie maczała w tym palców.

– Co masz na myśli? – zapytała ostro panna Van Woekem.

– Może to jest zemsta za zerwanie zaręczyn.

– Arabella może być zepsuta, ale została dobrze wychowana – odparła stanowczo. – Nigdy nie posunęłaby się do czegoś takiego. Jestem zniesmaczona twoimi insynuacjami, panno Murphy.

– Najmocniej przepraszam – powiedziałam. – Nie miałam zamiaru obrazić pani rodziny, panno Van Woekem.

– Nie chciałaś nas obrazić? Czyż nie zasugerowałaś właśnie, że moja chrześnica jest zamieszana w preparowanie fałszywych zarzutów wobec niewinnego mężczyzny? – Wyprostowała się na krześle, z ręką wciąż na szyi. – Przykro mi, ale nie będziemy kontynuowały tej konwersacji. Rozczarowałaś mnie, moja droga.

Wstałam.

– Nie chciałam pani zdenerwować, panno Van Woekem. W tej sytuacji chyba będzie lepiej, jeśli sobie pójdę.

– Owszem, tak będzie najlepiej. Szłoda byłoby zupełnie zrujnować naszą przyjaźń. Wszystkiego dobrego, panno Murphy – oznajmiła, nie ruszając się z miejsca.

Tak jak się spodziewałam, czekało mnie nie lada wyzwanie. Kiedy stanęłam znów na Gramercy Park, przyszło mi do głowy powiedzenie: „Nie bierz więcej, niż możesz udźwignąć”. W drzwiach pożegnała mnie tryumfująca Matilda i nawet nie zdążyłam wyciągnąć od panny Van Woekem adresu Arabelli. Oburzenie starszej pani pewnie potwierdzało teorię, że Nortonowie nie byli jednak zamieszani w sprawę Daniela. Ale to wcale jeszcze nie oznaczało, że Arabella nie mogła na własną rękę przeprowadzić prywatnej wendety. Niezależnie od tego, jakie zdanie na temat Nortonówny miała jej matka chrzestna, ja wiedziałam, że była naręczona Daniela potrafi być mściwa. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko wybrać się na wieś do hrabstwa Westchester i odszukać Arabellę. Daniel mówił, że mieszka w White Plains, ale nie wiedziałam, czy to daleko i czy to duża, czy raczej mała miejscowość. Poza tym zaprosiłam na kolację gości i zostały mi już tylko trzy godziny na przygotowanie posiłku.

Wyprawa na wieś będzie musiała począć do jutra – postanowiłam.

U panny Van Woekem dowiedziałam się jednak czegoś, co powinno jak najszybciej trafić do Daniela. Dwudziestą Ulicą dotarłam na Broadway i wskoczyłam do tramwaju. Było tłoczno, więc stałam przez całą drogę, trzymając się jednego z mosiężnych drążków. Chwyciłam się mocno, obiema rękami, wiedząc, co może nastąpić, kiedy dojedziemy do Union Square. I faktycznie, zamiast zwolnić przed zakrętem, tramwaj zdecydowanie przyspieszył, a wszyscy pasażerowie ze mną włącznie polecili gwałtownie do przodu. Z głów pospadały kapelusze, dzieci zaczęły krzyczeć. Złorzeczenie dobiegało również z zewnątrz. Pewnie jakiś przechodzień ledwo uszedł z życiem – pomyślałam. Wyjrzałam przez okno, by popatrzeć na znany widoczek – mężczyźni w Ogródku Piwnym Brubakera jak zwykle mieli ubaw. Podobno nawet czasem się zakładali, czy dojdzie do wypadku, czy nie.

Za Union Square tramwaj jechał już z normalną prędkością. Wysiadłam przed Ratuszem i poszłam spacerem w stronę Katakumb. Tym razem nie było łatwo. Kiedy przyszedliśmy tu z posterunkowym Byrne'em, nie zwróciłam uwagi na dwóch umundurowanych strażników przy wejściu. Teraz stanęli mi na drodze, gdy chciałam wejść do budynku.

– Panienska dokąd? – zapytał jeden z nich.

– Muszę zobaczyć się z kapitanem Sullivanem, który aktualnie przebywa w więzieniu.

– Wizyty są możliwe tylko raz w miesiącu – stwierdził jeden z policjantów bardzo nieprzyjaznym tonem. – I to nie jest dzisiaj.

– Chciałabym tylko chwilę z nim pomówić. Byłam tu dziś rano.

– To nie hotel Waldorf. – Funkcjonariusz zmarszczył brwi. – Już mówiłem, dzisiaj nie ma odwiedzin. Proszę odejść. Bez zwłoki.

– Gdybym tylko mogła porozmawiać z pana przełożonym... Jestem pewna, że... – zaczęłam.

Ale strażnik podszedł bliżej i syknął:

– Proszę odejść, powiedziałem.

– Nie boję się pana – odparłam, choć szczerze mówiąc, mijałam się z prawdą. – Jestem porządną obywatelką i nie robię niczego niezgodnego z prawem.

– Niech panienka zrozumie, tak będzie dla niej lepiej – wtrącił się sympatyczniejszy ze strażników. – Nie ma mowy, żeby weszła pani tymi drzwiami. Dlaczego nie napisze pani listu do ukochanego? Więźniowie mogą otrzymywać korespondencję.

– W porządku – odrzekałam.

Przeszłam przez ulicę i usiadłam na ławce w parku. Wyjęłam z torebki ołówki i mały notes, który zawsze miałam przy sobie. W takich notesikach damy z wyższych sfer zapisywały nazwiska kawalerów, z którymi miały tańczyć danego wieczoru. Ja swój kupiłam za sześćdziesiąt pięć centów w lombardzie i okazał się bardzo przydatny, kiedy musiałam coś zanotować w terenie.

Drogi Danielu – pisałam małymi literami, bo kartki w notesie były niewielkie. – *Nie pozwalają mi się z Tobą zobaczyć. Czy wynajęłeś dobrego prawnika? Jeśli tak, dlaczego wciąż nie wyszedłeś za kaucję? Widziałam się z Wiadomo Kim i wysłałam go w odpowiednie miejsce. Więcej jutro. M.*

Zaadresowałam: *Do kpt. Daniela Sullivana, czasowo przebywającego w Katakumbach.* Ale kiedy próbowałam wręczyć wiadomość strażnikom, ten pierwszy znów obrzucił mnie wroгим spojrzeniem.

– Co panienka sobie myśli? Chce z nas zrobić swoich służących? Proszę wysłać ten list normalną pocztą, tak jak reszta obywateli.

– Wy dwaj jesteście tak uprzejmi jak para gargulców – stwierdziłam.

– Gdyby się panienka postarała, moglibyśmy rozważyć doręczenie tego listu – zauważył ten niesympatyczny, obdarzając mnie znaczącym spojrzeniem.

O ironio! – pomyślałam. Najwyraźniej wszyscy funkcjonariusze nowojorskiego systemu sprawiedliwości chętnie przyjmują łapówki. A ten jedyny, który nigdy jej nie przyjął, siedzi teraz za kratkami. A może to swego rodzaju kara za to, że Daniel był świadkiem, jak jakiś inny oficer bierze łapówkę, i poinformował o tym przełożonych? Trzeba będzie sprawdzić taką ewentualność – zakotowałam sobie.

Mimo wszystko postanowiłam, że nie dam zarobić żadnemu z tych dwóch indywiduów.

– Proszę się nie martwić – stwierdziłam wyniośle. – Jestem pewna, że poczta doręczy moją wiadomość – dodałam i odwróciłam się na pięcie.

Tak więc nie było innego wyjścia, jak tylko kupić kopertę i znaczek, nadać list i wrócić do domu w dość podłym nastroju. I jeszcze ten skwar! Zanim przyjechałam do Nowego Jorku, nie zdawałam sobie sprawy, że lato w mieście może być tak nieprzyjemne. Powietrze było parne i ciężkie jak wilgotny, gorący koc. Oczywiście zalewał mi pot i momentami zdawało się, że nie dam rady zrobić kolejnego kroku.

Kiedy wreszcie weszłam do domu, musiałam najpierw wypić dużą szklankę lemoniady, by zebrać siły do pracy w kuchni. Szczerze mówiąc, w ogóle nie byłam w nastroju na spotkanie towarzyskie. W głowie kłębiły mi się różne myśli, a z powodu tego upału czułam się wyjątkowo

że. Ale nie chciałam pozbawić przyjaciółek posiłku.

O siódmej stół był już nakryty, a ugotowany, ostudzony i podzielony na części kurczak leżał na tacy w otoczeniu sałaty i młodej cebulki. Zaszalałam i kupiłam nawet pomidora, elegancko zapakowanego. Pomyślałam, że w dzisiejszych czasach żadna sałata nie może się bez niego obyć. Na koniec ukręciłam majonez. W ostatniej chwili. Zadzwoił dzwonek i weszli moi goście. Nakryłam na trzy osoby, ale w drzwiach zauważyłam, że za Sid i Gus chowa się jeszcze ktoś.

– Molly, jak to miło z twojej strony! – powiedziała Gus, wchodząc z otwartymi ramionami. Pochyliła się, by ucałować mnie w policzek – Cóż za wspaniała ucztą! Sid dziś rano mówiła, że nie zamierza nic gotować i będziemy jadły tylko chleb z serem. Właśnie wtedy przyszło twoje cudowne zaproszenie.

– Mam nadzieję, że nie będziesz miała nic przeciwko temu – wtrąciła Sid, zanim zdążyłam zapytać o trzecią osobę – że przyprowadziliśmy Ryana. Niespodziewanie pojawił się u nas parę minut temu. Czuje się niezręcznie, bo nie został zaproszony, ale jestem pewna, że wystarczy jedzenia, prawda?

Za przyjaciółkami stał ten szelma, dramaturg Ryan O'Hare, z niewinnym wyrazem twarzy. Co miałam zrobić? Oczywiście wystarczy jedzenia – pomyślałam.

– Przeżywa teraz naprawdę trudne chwile – zauważyła Sid, nie dopuszczając wcale naszego przyjaciela do głosu. – Jakś oszust skradł mu temat kolejnej sztuki i będzie ją na jesieni wystawiać w teatrze Daley. Co za tupet!

Ryan wszedł wreszcie do środka i rzeczywiście przedstawiał sobą obraz nędzy i rozpacz. Trzeba jednak pamiętać, że był nie tylko dramaturgiem, ale również aktorem.

– Czuję się, jakby ktoś zadał mi cios w samo serce. Zranił do głębi. Zresztą możesz sama dodać jeszcze parę metafor.

Miał na sobie idealne ubranie na upał – płócienną koszulę z wycięciem pod szyją i z falbankami przy rękawach, a do tego luźne spodnie. Strój ten nawet nie był zbyt ekstrawagancki, lecz z pewnością stylizowany na lorda Byrona.

– Jak to się stało, że ukradł ci pomysł, Ryane? – zapytałam, kiedy przyjaciel, zresztą bez zaproszenia, usadowił się wygodnie w jedynym fotelu, jaki miałam w domu. – Czy to ktoś, komu zaufałeś?

Dobrze wiedziałam, że Ryan zaufał już wielu osobom.

– Absolutnie nie – odparł. – Prawie nie znam człowieka. Widziałem go zaledwie parę razy, a to, co zauważyłem, wcale mi się nie podobało. Nie potrafi się ubrać. Nosi ubrania z tweedu. Nigdy nie ufaj mężczyźnie, który chodzi w tweedowych marynarkach, moja droga.

Przerwał i zrobił dramatyczny gest ręką.

– Ukradł mi pomysł, szubrawiec. A właściwie to ukradł ktoś inny, po czym przekazał właśnie jemu – wyjaśnił, a potem nagle spojrzął na mnie zupełnie innym wzrokiem. – Zaraz, zaraz, przecież jesteś detektywem, Molly. Dowiedz się, proszę, jakim cudem Ben Archer zabrał mi moją sztukę. Podam go do sądu, jeśli zdobędę dowody.

– Chyba nie mogę się tym zająć, Ryane – odparłam. Odpowiedziałam tak dlatego, że po pierwsze nie miałabym teraz czasu, po drugie Ryan i tak nie zapłaciłby mi za pracę, a po trzecie

podejrzewałam, że on sam przy kieliszku mógł zdradzić szczegóły dotyczące najnowszej sztuki. Słyszał z tego, że po alkoholu robił się bardzo rozmowny.

– Nie zajmiesz się tym, Molly? To kolejny cios w serce.

– Znowu jesteś zraniony do głębi? – zapytałam z uśmiechem. – Chciałabym pomóc, naprawdę żałuję, że nie mogę, ale mam teraz bardzo dużą sprawę na głowie. Poza tym nie sądzę, by taką kradzież łatwo było udowodnić. Pomysły to coś, czym się dzielimy, wymieniamy i inspirujemy, prawda?

– Ona ma rację, Ryan – zauważyła Sid, która usiadła na jednym z kuchennych krzeseł. – Dopóki czegoś nie podpiszesz, nie jest twoje.

– Mimo to chciałbym wiedzieć – wtrącił Ryan ponuro. – Nie ma możliwości, żeby ktoś tak nadęty jak Ben Archer napisał sztukę równie zabawną i inteligentną. W rzeczy samej trudno się komukolwiek mierzyć z moim poczuciem humoru i moją mądrością.

Zerknęłam na Sid i wymieniliśmy uśmiechy. Skromność nigdy nie była mocną stroną Ryana.

– A zatrudniłeś już prawnika? – zapytała Sid. – Wydaje mi się, że to pierwsze, co należało zrobić.

Ryan rozłożył ręce w geście bezradności.

– Żeby wynająć prawnika, trzeba mieć fundusze, a ja nie jestem teraz w najlepszej kondycji finansowej.

– Nie mogłabyś mu jakos pomóc, Molly? – zapytała Gus. – W końcu pracujesz jako detektyw. Powiedz nam koniecznie, co to za duża sprawa. Wcześniej nic nam o niej nie mówiłaś, a jeszcze dziś rano rozważałaś wyjazd do Nebraski i objęcie posady nauczycielki.

– Molly jako nauczycielka w Nebrasce? Nigdy! – powiedział stanowczo Ryan. – Nie pozwolę ci uciec od cywilizacji. Chyba nasze towarzystwo nie jest dla ciebie aż tak uciążliwe?

– Uwielbiam wasze towarzystwo i wszyscy dobrze o tym wiecie – stwierdziłam. – Chodziło mi o to, że od pewnego czasu moje życie w Nowym Jorku stało się skomplikowane. A teraz zrobiło się nie do zniesienia. Daniel Sullivan trafił za kraty.

Wcale nie zamierzałam im tego mówić. Samo mi się wyrwało.

– Daniel zdrajca w więzieniu? – zapytała Gus. – Co takiego zrobił, u licha? A może to panna Norton maczała w tym palce? Zemściła się wreszcie za to, że nie poświęca jej wystarczająco dużo uwagi?

Słowa przyjaciółki tylko utwierdziły mnie w przekonaniu, że dobrze rozumiem.

My, kobiety, jesteśmy bardzo podejrzliwe – uznałam.

– To jest ukartowana sprawa – powiedziałam głośno. – Przyłapano Daniela, kiedy przyjmował z rąk jakiegoś gangstera łapówkę, ale on twierdzi, że nigdy łapówek nie brał. Ktoś chce go zrujnować.

Sid przyjrzała mi się uważnie.

– Zamierzasz mu pomóc?! Tylko nie to, Molly. Powiedz mi, proszę, że to nie jest ta duża sprawa, o której wspominałaś. Chyba nie zamierzasz go ratować?

– Obawiam się, że muszę.

– Nie rozumiem cię, Molly – powiedziała Sid. – Raz mówisz, że jest najwstrętniejszym człowiekiem na ziemi i że nie chcesz go już widzieć na oczy, a zaraz potem biegniesz do niego, jak tylko kiwnie palcem. Owszem, przedstawicielki naszej płci często tak się zachowują, ale akurat ciebie bym o to nie podejrzewała.

Oblałam się rumieńcem.

– Nie mogę się od niego odwrócić właśnie teraz, kiedy potrzebuje mojej pomocy.

– A ja uważam, że pobyt w więzieniu dobrze mu zrobi. Może przemyśli to i owo – stwierdziła Sid, zakładając nogę na nogę.

– Ludzie umierają w Katakumbach – podniosłam głos. – Tam panują straszne warunki. Nie pozwolę mu umrzeć.

– Ale tu chodzi też o ciebie, Molly – zauważyła Gus swoim spokojnym, ciepłym głosem. – Jestem pewna, że Daniel Sullivan nie chce cię narażać na niebezpieczeństwo. Gangi, łapówki, sfałszowane dowody... To brzmi dość niebezpiecznie i w takich sprawach chyba akurat nie masz doświadczenia, prawda? Mam nadzieję, że zdrowy rozsądek ci podpowie, by się w to nie mieszać.

– Nie martwcie się o mnie. Osobiście się nie zaangażuję. Jest pewien znajomy Daniela, który będzie łącznikiem między mną a gangiem. Jutro czegoś się dowiem.

Gus wzięła mnie za rękę.

– Proszę, obiecaj, że nie będziesz robiła żadnych głupot – powiedziała. – Poza tym w Lower East Side grasuje jakiś wariat, który zabija kobiety. Chyba o tym nie zapomniałaś. Dziś w „Timesie” pisali o kolejnej ofierze.

– On zabija prostytutki, Gus, kochanie – wtrącił się Ryan, gestykulując. – Naszą Molly trudno wziąć za jedną z nich.

– Jeśli zacznie zaglądać do nieodpowiednich miejsc o nieodpowiedniej porze, nigdy nie wiadomo – stwierdziła Gus, nie spuszczać ze mnie wzroku. – Zostaw to przyjacielom Daniela z policji. Bardzo cię proszę, Molly.

– Ale on już nie ma przyjaciół w policji. W tym rzecz – zauważyłam. – Wszyscy się od niego odwrócili. Nie ma nikogo oprócz pewnego boksera półgłówka i mnie – powiedziałam, a potem zrobiłam coś, czego jeszcze nigdy nie robiłam w towarzystwie. Rozplakałam się. Wydarzenia dzisiejszego dnia zupełnie mnie przygniotły.

Oczywiście po takim zajściu wszyscy byli dla mnie mili i opiekuńczy.

– Przepraszam. – Wzięłam się w końcu w garść. – Nie wiem, co mnie napadło. Niech Ryan naleje nam wina. Siadajmy wreszcie do kolacji. Jestem pewna, że wszystko dobrze się skończy. Niepotrzebnie się denerwuję.

Niestety, sama nie bardzo wierzyłam w to, co mówię.

Tej nocy na szczęście nie miałam koszmarów, ale obudziłam się z okropnym bólem głowy. Być może na skutek wina, które wypłam wczoraj do kolacji, a być może dlatego, że właśnie dziś miałam stawić czoło Arabelli Norton. Potem przypomniałam sobie swoje żalodne zachowanie poprzedniego wieczoru i zamarłam. Nienawidziłam siebie za to, że rozbeczałam się jak jakaś mimosa. Co się ze mną dzieje? To wszystko przez Daniela Sullivana – stwierdziłam. Zawsze gdy znika z mojego życia, jestem w świetnej formie. Ale kiedy tylko znów zaczynam się z nim widywać, emocje biorą górę. Nigdy więcej – stwierdziłam. Do roboty! Najpierw posłucham, co u Eastmansów zdziałał Dżentelmen Jack, później odwiedzę Arabellę Norton. Następnie upewnię się, czy Daniel ma kompetentnego prawnika, a jeśli tak, zostawię sprawy w jego rękach.

Postanowiwszy po raz kolejny w życiu wziąć się w garść, umyłam się, ubrałam i udałam w kierunku Dwudziestej Trzeciej Zachodniej. Silny ból niczym obręcz wciążył mi głowę. Wmawiałam sobie, że migrena minie, jak tylko się dowiem, że Dżentelmen Jack rozmawiał z Eastmanem i że gangsterzy pomogą Danielowi. Jeśli natomiast Monk Eastman nie zechce pomóc, naprawdę nie będę wiedziała, co począć. Po chwili uznałam jednak, że nie ma co martwić się na zapas. Tak zawsze powtarzała moja matka.

Mimo wczesnej pory miasto było rozgrzane. Bóg jeden wie, jak straszliwy upał zapanuje po południu – pomyślałam. W każdej innej sytuacji cieszyłabym się perspektywą wycieczki na wieś, w cień drzew. Ale też w każdej innej sytuacji nie musiałabym się spotykać z Arabellą Norton.

Pod domem Daniela byłam już o dziewiątej. Wcisnęłam dzwonek. Nikt mi nie otworzył. Przyszło mi do głowy, że bokserzy prawdopodobnie mają inny rozkład dnia i Jack leży jeszcze w łóżku i śpi. W tej sytuacji zadzwoniłam do pani O'Shea, przeprosiłam i zapytałam, czy może wpuścić mnie do środka.

– Nie miałam pojęcia, że mieszka tam przyjaciel kapitana Sullivana – powiedziała, odprowadzając mnie pod drzwi. – Był cichutki jak myślnik. Tak jak prosilaś, kochana, kupiłam trochę jedzenia i wszystko zostawiłam w kuchni. Do powrotu kapitana nie powinien umrzeć z głodu.

Podziękowałam i weszłam do mieszkania Daniela.

– Panie Brady?! Jack?! – zawołałam cicho.

Przez chwilę nasłuchiwałam jego oddechu, a potem na palcach ruszyłam w stronę sypialni. Okazała się pusta. Jack nie mógł tu nocować, bo łóżko było posłane dokładnie tak samo jak poprzedniego dnia. Kiedy weszłam do kuchni, zobaczyłam, że jedzenie przyniesione przez panią O'Shea leży zapakowane w spizarni, a okruchy tego nieszczęsnego wczorajszego sera wciąż są rozsypane na kuchennym blacie. Naprawdę niepotrzebny był talent detektywa, by stwierdzić, że Jack Brady wcale tu nie nocował.

W głowie pojawiły mi się galopujące myśli. Jacka złapała policja, wsadzili go do więzienia albo wywieźli z miasta. Monk Eastman się zdenerwował i biedny Jack leży teraz gdzieś na dnie East River. Po chwili uznałam, że niepotrzebnie fantazuję. W drodze do domu przyjaciel Daniela pewnie zobaczył policjanta i postanowił ukryć się gdzieś na noc.

Napisałam list, w którym poinformowałam Jacka, że wrócę wieczorem i że jestem bardzo ciekawa, jakie ma dla mnie wieści. Na wszelki wypadek używałam tylko prostych słów. Potem wyszłam i skierowałam się w stronę dworca Grand Central. Wkrótce siedziałam już w pociągu do White Plains, ciesząc się podróżą. Kiedy minęliśmy Cieśninę Harlemską i wjechaliliśmy do dzielnicy zwanej Bronxem, krajobraz zmienił się na bardziej sielski. Wśród wyrastających tu i ówdzie fabryki większych budynków wciąż widać było farmy. Wkrótce zatrzymaliśmy się przy ładnym drewnianym budynku stacji. Wcześniej w ogóle nie wyobrażałam sobie White Plains. Okazało się całkiem sporym miasteczkiem z samochodami na głównej ulicy. W powietrzu unosiła się aura bogactwa.

Wydawało mi się wcześniej, że z łatwością znajdę dom Nortonów, bo będzie to jedyny duży dom w okolicy. Jednak już z okna pociągu dostrzegłam kilka okazałych posiadłości. Pomyślałam wtedy, że właśnie w jednej z nich musi mieszkać Arabella. Zapytałam na stacji, ale dróżnik jedynie wzruszył ramionami. Dopiero na poczcie miałam więcej szczęścia. Powiedziano mi, że Nortonowie mieszkają jakąś milę za miastem, na Hartsdale Road. Urzędnik zasugerował, żebym wyjechała bryczką.

Nie miałam pieniędzy na bryczkę, więc pieszo ruszyłam we wskazanym kierunku, mając nadzieję, że jedna mila nie wydłuży się do pięciu. Spacer okazał się całkiem przyjemny. Mimo że panował upał i strasznie dokuczały mi muchy, droga była dobra, a potężne dęby rzucały miły cień. Kiedy jednak w końcu stanęłam przed okazałą ceglana bramą, która najpewniej prowadziła do posiadłości Nortonów, byłam cała spocona i zgrzana. Chusteczką wytarłam twarz, poprawiłam kapelusz i mając nadzieję, że wyglądam w miarę porządnie, ruszyłam przed siebie żwirową ścieżką ozdobioną z dwóch stron kłombami rododendronów. W końcu moim oczom ukazał się dom – imponujący budynek w stylu greckim z kolumnowym gankiem, otoczony wypielęgnowanym trawnikiem.

Aż do tego momentu koncentrowałam się jedynie na marszu, ale teraz, kiedy wreszcie znalazłam się na miejscu, dotarło do mnie, że za chwilę stanę twarzą w twarz ze swoją rywalką, i serce zaczęło mi walić jak szalone.

Co ja robię? – pomyślałam. Przecież nie będzie chciała mnie przyjąć. Na pewno nie będzie chciała. Co mnie, u licha, podkusiło, żeby tu przyjechać? A nawet jeśli zgodzi się ze mną porozmawiać, nie przyzna się, że pragnęła zemsty. Cóż... Jest za późno, żeby zrezygnować – uznałam. Nie stchórzę w ostatniej chwili. To nie w moim stylu. Przecież pochodzę z Irlandii.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza i szybkim krokiem podeszłam do drzwi frontowych. Nie otworzyła ich służąca, tylko dostojnie wyglądający starszy pan w smokingu. Jak nic angielski kamerdyner – pomyślałam. Dopiero teraz zrozumiałam, co dla Daniela oznaczało zerwanie zaręczyn. To było rozstanie z obietnicą wygodnego życia, którą uosabiała Arabella.

– Molly Murphy do Arabelli Norton – powiedziałam, wręczając kamerdynerowi wizytówkę. Przy najmniej panna Van Woekem nauczyła mnie, jak powinnam zachowywać się

w towarzystwie.

Przyjął wizytówkę i pozwolił mi wejść.

– Sprawdzę, czy panna Norton jest w domu – powiedział chłodno i odszedł, zostawiając mnie samą w marmurowym holu.

Czekałam. Zegar wahadłowy przy schodach wybił właśnie jedenastą. W brzuchu mi zaburczało i uświadomiłam sobie, że na śniadanie wypiłam tylko filiżankę herbaty.

Miejmy nadzieję, że panna Norton zaproponuje mi przynajmniej coś zimnego do picia – pomyślałam. Tak by nałożywały dobre maniery.

Usłyszawszy odgłos kroków na marmurowej podłodze, spojrzałam w górę. Kamerdyner wracał, niosąc moją wizytówkę na srebrnej tacy.

– Proszę wybaczyć, ale panny Norton nie ma w domu – oznajmił. – Czy mam jej przekazać, że panienka była z wizytą?

– Tak proszę – powiedziałam. – A kiedy wróci? Mam bardzo pilną sprawę, o której chciałabym porozmawiać.

– Trudno mi powiedzieć, panienko – odparł, patrząc mi prosto w oczy z nieprzeniknionym wyrazem twarzy charakterystycznym dla wszystkich kamerdynerów. – Proponuję, by panienka po powrocie do domu napisała do niej list. Czy czeka na panienkę powóz?

– Nie, przyszedłam piechotą – odparłam. – Lubię wieść.

– Rozumiem. – Odprowadził mnie do wyjścia. – W takim razie życzę miłego dnia.

Drzwi się za mną zamknęły i zostałam na zewnątrz zupełnie sama. Odeszłam na tyle daleko, że zniknęłam w rododendronach, a potem zatrzymałam się, czekając. Trudno przejrzeć kamerdynera, ale miałam przecucie, że panna Norton jednak jest w domu, tylko wcale nie ma ochoty się ze mną zobaczyć. Jakby na potwierdzenie moich przypuszczeń, przez otwarte okno na piętrze usłyszałam głośny śmiech.

W porządku, moja miła – pomyślałam. Molly Murphy tak łatwo się nie poddaje. Po prostu poczęłam tu na ciebie.

Usiadłam więc pod krzewem i czekałam. Wcale nie było to przyjemne. Nawet w cieniu panował straszny skwar. Co chwila musiałam odpędzać muchy, które chciały mi usiąść na twarzy. Pojawiło się nawet parę os. Potem najwidoczniej na chwilę zasnęłam. Obudziłam się nagle, przestraszona, nie wiedząc nawet, która jest godzina. Cień się wydłużył, co oznaczało, że minęło południe.

W pewnym momencie usłyszałam szczekanie psa – wyraźne: hau, hau! To chyba właśnie ten dźwięk mnie zbudził. Zanim się ruszyłam, zwierzak był już przy mnie. Mały, biały, puchaty piesek z różowymi kokardkami na głowie. Ujrzawszy mnie, zamarł, zastrzygł nietoperzymi uszami, a potem wydał kolejną serię dźwięków.

– Cygan, natychmiast do nogi! Niegrzeczny pies – zaordynował czyjś głos, a po chwili moim oczom ukazała się Arabella Norton, cała w różach, bielach i falbankach. Jak zwykle przy pomała dużą porcelanową lalkę.

Szybko się podniosłam, świadoma tego, że mam czerwoną, spoconą twarz, przekrzywiony kapelusz i wyglądam jak włóczęga, który nocuje w krzakach.

– Co ty tu robisz?! – krzyknęła Arabella na mój widok i wzięła Cygana na ręce, jakbym mogła mu czymkolwiek zagrażać. – To jest prywatny teren. Proszę go opuścić albo wezwę służbę.

– Panno Norton, Arabello – zaczęłam, starając się powstrzymać od poprawienia kapelusza i wygładzenia sukienki. – To jest sprawa wielkiej wagi. Inaczej bym nie przyszła.

Wpatrywała się we mnie lodowatym wzrokiem.

– Nie mam pojęcia, o co chodzi. Jeśli o przeprosiny za to, że jesteś bezwstydną latawicą, niepotrzebnie się fatygowałaś. Uwodząc Daniela Sullivana, nie zrobiłaś mi krzywdy ani nie przysporzyłaś problemów. Dopiero teraz widzę, że moja matka miała zawsze rację. On po prostu nie należy do naszej klasy i powinnam była mierzyć wyżej.

Odgarnęła do tyłu piękne, idealnie skręcone loki.

Toczyłam ze sobą wewnętrzną walkę. Bardzo chciałam powiedzieć pannie Norton, co o niej myślę, ale wiedziałam też, że muszę zachować spokój, jeśli mam z niej wyciągnąć cokolwiek sensownego.

– Proszę mi wierzyć, nie przychodziłabym tutaj, gdyby sprawa nie była wyjątkowo pilna – odparłam. – Przypuszczam, że kiedyś jednak darzyła pani Daniela uczuciem i nawet teraz nie życzyłaby mu pani śmierci.

Zadziałało. Zrobiła krok do tyłu.

– Jak to? Śmierci? Przecież on chyba nie umarł? – zapytała zdziwiona.

– Jeszcze nie. Ale siedzi w areszcie – odparłam. – W okropnej celi, w której albo podupadnie na zdrowiu i umrze, albo pobiją go inni więźniowie.

Wielkie niebieskie oczy otworzyły się ze zdziwienia jeszcze szerzej. Teraz już wyglądała zupełnie jak lalka.

– Daniel w więzieniu? Co takiego zrobił?

– Oskarżają go o kónszachty z gangiem. On twierdzi, że jest niewinny i że ktoś go wrobił. Ktoś wyjątkowo mu nieprzychylny.

Usłyszawszy to, Arabella nie zmieniła się wcale na twarzy, ale tak mocno przy cisnęła do siebie piersi, że ten aż zapiszczał. Potem pogłaskała go po głowie i wruszyła ramionami.

– Oczywiście, że jest mi przykro, ale nie wiem, po co mi to wszystko mówisz. Przecież to już twój kłopot, nie mój.

– Postanowiłam, że zapytam, czy przypadkiem nie podejrzewa pani kogoś, kto mógłby to wszystko zaplanować – zapytałam bardzo ostrożnie, wspominając reakcję panny Van Woekem. – Komu mogłoby zależeć na zniszczeniu Daniela? Pomyślałam, że pani mogłaby wskazać osobę, z którą zadarł albo która nosiła jakąś urazę.

Pokręciła głową, loki znów zatańczyły.

– Nie znam takiej osoby. W naszym towarzystwie Daniel cieszył się sympatią i uznaniem. A jeśli chodzi o jego życie zawodowe, to obawiam się, że niewiele wiem. Mówisz, że pracował dla gangu? Tam trzeba szukać... Przecież właśnie w kręgach kryminalnych jeden drugiemu wbija nóż w plecy.

– Czyli nie przychodzi pani do głowy nikt, kto mógłby sobie życzyć kłęski Daniela? – naciskałam, patrząc jej prosto w oczy.

Bez mrugnięcia powieką odwzajemniła spojrzenie.

– Uchodziliśmy za parę, ale nie byliśmy sobie zbyt bliscy. Niestety, nie mogę pomóc, panno Murphy.

Zajrzałam do torebki.

– Proszę wziąć moją wizytówkę i skontaktować się ze mną, jeśli coś przyjdzie pani do głowy. Może przypomni pani sobie sytuację, w której padły ostre słowa...

– Czasem padają przykre słowa, ale to nie to samo, co posłać przyjaciela do więzienia – odparła. – Wy, Irlandczycy, często dramatyzujecie. Jestem pewna, że to jakieś nieporozumienie i że za parę dni Daniel wyjdzie na wolność.

Pokręciłam głową.

– Obawiam się, że jest inaczej. Nawet Daniel nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji.

Na jej twarzy zagościł przelotny uśmiech.

– To musi być irytujące. Zdobyć przystojnego narzeczonego tylko po to, żeby zaraz zniknął w więzieniu...

Wreszcie mogłam powiedzieć coś, na co długo czekałam.

– Chciałabym panią poinformować, panno Norton – zaczęłam możliwie najuprzejmiejszym tonem – że zerwałam z kapitanem Sullivanem wszystkie kontakty, jak tylko dowiedziałam się, że jesteście zaręczeni. Mam nadzieję, że pani zrozumie. I nawet jeśli kapitan Sullivan wyjdzie z więzienia, wcale nie jestem pewna, że będę chciała się z nim związać. Nie okazał się dotychczas człowiekiem godnym zaufania.

– To prawda – odparła.

Chyba po raz pierwszy zgodziłyśmy się ze sobą.

– Ale nie mogę pozwolić, by zgnął w tym strasznym miejscu, nawet jeśli na to zasługuje – dodałam. – I podejrzewam, że pani też mu tego nie życzy. Dlatego byłabym wdzięczna za pomoc.

Spojrzała na mnie z zainteresowaniem.

– Zapomniałam, że jesteś prywatnym detektywem. Czy Daniel chce, byś znalazła dowody jego niewinności?

– Tak

– W takim razie życzę powodzenia. – Przysunęła mordkę pieska do swojej twarzy i pocałowała pupila w nos.

– Dziękuję. Przyda się.

– Wy, Irlandczycy, jesteście dziwni – stwierdziła. – Trafił swój na swego...

– Moja wizytówka, panno Norton... Będę zobowiązana, jeśli ją pani weźmie i zastanowi się nad tym, co przed chwilą powiedziałam. Jeśli ktoś chciał Daniela ukarać, obawiam się, że nie przewidział konsekwencji i może się zdziwić, że sprawy zaszły tak daleko. Niewinny człowiek nie zasługuje na to, by umrzeć w więzieniu.

Skrzywiła się. Nie byłam pewna, czy zatroskana, czy też poirytowana. A potem znów pokręciła głową.

– Naprawdę obawiam się, że nie mogę pomóc, panno Murphy. Za parę dni mama zabiera mnie do Europy. Ma nadzieję, że poznam tam jakiegoś księcia lub hrabiego – oznajmiła, wyraźnie ożywiona. – A teraz przepraszam, ale muszę pobawić się z Cyganem. Nudzi się.

– Ostatnia prośba! – zawołałam jeszcze za nią, kiedy postawiła psa na ziemi i zaczęła odchodzić. – Podobno ojciec Daniela jest słabego zdrowia. Proszę mu o tym nie mówić. Daniel nie chciałby go zdenerwować.

– Nie obracamy się w tych samych kręgach co rodzice Daniela – odparła. – Szanse na to, że gdzieś na siebie wpadniemy, są niewielkie.

W drodze powrotnej rozmyślałam o pannie Norton. Ja na jej miejscu na wieść o tym, że mój narzeczony spotyka się z inną kobietą, zachowałabym się pewnie inaczej. Ona była dumna i postanowiła nie uzalać się nad sobą. Nie zniosłaby pełnych współczucia spojrzeń i szeptów za plecami. Ale zerwanie narzeczeństwa to jednak porażka. I dobry powód, by ukarać winnego. Jednakże jej reakcja na moje słowa wydawała się autentyczna. Dałabym sobie rękę uciąć, że Arabella była zdziwiona. Wychowywałam trzech braci i wiem, jak to jest, kiedy ktoś ukrywa prawdę.

Choć oczywiście nie oznacza to wcale, że rodzina Nortonów nie mogła być zamieszana w zaplanowanie i zorganizowanie akcji przeciwko Danielowi. Być może kochający ojciec lub wujek postanowił wziąć sprawy w swoje ręce i dać kapitanowi nauczkę. Zupełnie nie wiedziałam, jak to sprawdzić.

Cała wycieczka na nic – stwierdziłam.

Kiedy w pełnym południowym słońcu dotarłam wreszcie do miasteczka, byłam tak spocona i zmęczona, że chciało mi się płakać. Poczułam się nieco lepiej po zjedzeniu bułki z szynką i wypiciu szklanki zimnej herbaty. Następnie udałam się na stację, skąd odjeżdżał pociąg powrotny do miasta. Mój wagon był pełen. Usiadłam na jednym z niewielu wolnych miejsc i pociąg ruszył. W przedziale panował straszny zaduch, a powietrze, które wpadało przez otwarte okno, było gorące jak w rozpalonym piecu. Nie odjechaliliśmy daleko, kiedy siedzący naprzeciwko pasażer wyjął cygaro, zapalił je, a następnie zaczął wydmuchiwać mi kłęby dymu prosto w twarz.

Zrobiło mi się niedobrze i zamknęłam oczy. Wagon okropnie się kołysał. Nigdy wcześniej nie czułam się tak pociągu. Przepłynęłam na statku cały Atlantyk i nigdy nie miałam mdłości. Dziś wydawało mi się, że pociąg ma kwadratowe koła. Rzucało nami z jednej strony na drugą. W końcu nie wytrzymałam. Przcisnęłam się na sam koniec wagonu i wyszłam na niewielką platformę. Tam długo wymiotowałam.

Stojąc na zewnątrz, wstrząsana dreszczami, pomyślałam z przerażeniem, że może w końcu i na mnie przyszła kolej i oto zaczynam chorować na tyfus. A może zjadłam coś nieświeżego. Tego lata już miałam problemy żołądkowe, ale wtedy ktoś mnie otruił. Dobrze pamiętałam tamten stan i nie chciałam, by wrócił. Przez moment zastanawiałam się, czy arsenik w organizmie zostaje na dłużej. A potem nagle mnie olśniło! To już prawie miesiąc, odkąd...

Świat stanął w miejscu. Wróciłam z Adare już jakiś czas temu i wciąż nie dostałam miesięcznych dolegliwości. Nie należę wprawdzie do szczególnie doświadczonych i wyedukowanych kobiet, ale nawet na dalekim wschodnim wybrzeżu Irlandii słyszało się to

i owo. Chyba wiem, co jest na rzeczy – pomyślałam. Krajobraz uciekał mi sprzed oczu, a ja stałam jak zaczarowana. Mówiąc potocznie, chyba byłam przy nadziei...

Jakimś cudem dotarłam do domu, choć tak otumaniona, że nie mogłam ani normalnie myśleć, ani iść. Tylko raz doświadczyłam podobnego stanu umysłu: kiedy Justin Hartley leżał w kałuży krwi u moich stóp, a ja wiedziałam, że muszę uciekać z Irlandii, bo inaczej nie uniknę stryczka. Teraz ogarnęło mnie to samo uczucie duszności, przerażenia i klaustrofobii. Byłam zła sama na siebie. Wściekła, że okazałam słabość i teraz mam za swoje. Dlaczego los pokarał mnie tak dotkliwie? Jedna noc, jedna jedyna okazja, kiedy zostaliśmy z Danielem sam na sam, w pułapce podczas burzy. Brawura, nieroztropność i prośbę – zmarnowane życie. Bo na pewno tak będzie. Oczywiście Sid i Gus nie zostawią mnie w nieszczęściu i może nawet znajdą jakieś miejsce, w którym schowam się na czas ciąży. Ale i tak koniec końców zostanę samotną kobietą z dzieckiem, na które mnie przecież nie stać.

Przyszło mi nagle do głowy, że Daniel będzie musiał się ze mną ożenić. Jednak po chwili się zreflektowałam. Daniel nie może teraz nikogo poślubić. Poza tym wcale nie jestem przekonana, że nawet gdyby wyszedł z więzienia, chciałabym zostać jego żoną. Jest ogromna różnica między tym, czy chce się za kogoś wyjść, czy jest się do tego zmuszonym. Co robić? Społeczeństwo nie lubi kobiet upadłych. Prostytutki, które spotkałam podczas nocnego pobytu w więzieniu, w wielu przypadkach zeszyły na złą drogę właśnie dlatego, że musiały utrzymać dziecko. Dawniej były przecież normalnymi dziewczynami.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłam, kiedy przekręciłam klucz w drzwiach i weszłam do domu, był list od Daniela. Leżał na wycieraczce. Rozpoznałam równy charakter pisma. Wreszcie czegoś się dowiem – pomyślałam i rozerwałam kopertę.

Molly,

piszę w sprawie prawnika i kaucji. Moje pieniądze są zamrożone do czasu, kiedy uda się dowieść, że nie mają nic wspólnego z łapówkami od gangów. Adwokat, którego mi przydzielono, jest albo głupi, albo na usługach moich wrogów. Namawia mnie, bym przyznał się do winy, czyli do korupcji, i tym samym odsiedział w więzieniu krótszy wyrok. Oczywiście zostanie wtedy zwolniony ze służby. W ogóle nie bierze pod uwagę możliwości, że jestem niewinny. Ledwo tu wytrzymuję, Molly. Ty jedyna jesteś jak światło w tunelu. Liczę na Ciebie. Nie zawieź mnie.

Stałam, wgapiając się w list. Znikąd nadziei. Tak to można podsumować.

– Matko Przenajświętsza – mruknęłam częściowo z poczucia bezsilności, a częściowo w modlitwie.

Matka wielokrotnie mi powtarzała, że źle skończy. Teraz wygląda na to, że miała rację. Niemal

widziałam ją tam na górze, jak siedzi na chmurce, zaciera z zadowolenia ręce i powtarza: „A nie mówiłam?”. Ojciec też ma pewnie satysfakcję. Pamiętam, jak kiedyś nazwał mnie latawicą tylko dlatego, że poszłam z chłopcem na tańce do miasteczka. Przesunęłam ręką po brzuchu. Trudno uwierzyć, że może się w nim rozwijać dziecko.

Nowa i niepokojąca myśl pojawiła się nagle w mojej głowie – przecież są różne rozwiązania. Mówi się czasem o kobietach, które potrafią położyć kres takim problemom, ale słyszałam również, że wiele dziewcząt przypłaciło ten zabieg życiem. Zaryzykować? Sid i Gus są bardziej światowe niż ja, mają różne znajomości. Może będą wiedziały, gdzie należy pójść. Ale im dłużej o tym myślałam, tym bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że nie powinnam zwracać się do Sid i Gus. Przynajmniej nie teraz. Najpierw sama muszę się przyzwyczaić do tej myśli. A Daniel? Oblałam się rumieńcem na samą myśl, że będę musiała mu o tym powiedzieć. Zrobię to, owszem, ale nie teraz, kiedy ma wystarczająco dużo innych zmartwień na głowie.

Prawda jest taka, że nie powinnam mówić nikomu. To musi pozostać moją tajemnicą.

Dość marudzenia – postanowiłam po chwili. Dopóki Daniel Sullivan będzie siedział w więzieniu, nie będę miała z niego żadnego pożytku. Najsensowniej będzie teraz zrobić to, o co mnie poprosił, i nie myśleć o własnych kłopotach. Miejmy nadzieję, że Jack Brady już wrócił i odczytał mój list. Może ma jakieś dobre informacje. Zupełnie nie czułam się na siłach, by znów wyjść z domu, ale musiałam to zrobić. To i tak lepsze niż załamywanie rąk – uznałam.

Wypiłam herbatę, zjadłam kanapkę z dżemem, a potem ruszyłam w stronę Chelsea. Zastałam panią O'Shea w domu, jak gotowała obiad dla męża. Mój żołądek źle zniósł zapach potrawy z mięsa dolatujący z kuchni. Dowiedziałam się, że gospodyni cały dzień nie widziała Jacka. A przecież była w domu, bo musiała ugotować siostrze odżywczy rosół. Tak na kłóciach cielęcych. Niemowlę nie daje spać, a w ciągu dnia trzeba dla odmiany zajmować się całą resztą dzieci. Pani O'Shea planowała zostać u siostry dziś na noc i dać jej wreszcie trochę odpocząć.

Zabrałam klucz i pobiegłam szybko na górę, bojąc się, że zapach jedzenia wywoła kolejną falę mdłości. W mieszkaniu nic się nie zmieniło. Jack nie wrócił. Usiadłam przy biurku Daniela i starałam się to wszystko zrozumieć. Najwyraźniej mój jedyny sprzymierzeniec mnie opuścił. Może ukrywa się w jakimś innym mieszkaniu i przyjdzie tutaj, jak tylko to będzie możliwe... Ale też może być tak, że zniknął na dobre. Nie powinnam liczyć na jego pomoc. Oparłam głowę na rękach i siedziałam tak przez chwilę. Jack Brady może nie był najmądrzejszy pod słońcem, był jednak miły i silny i w razie niebezpieczeństwa mógł mnie obronić. Teraz nie miałam przy sobie nikogo i zupełnie nie wiedziałam, co robić.

Wpatrywałam się w gładkie drewno biurka i starałam się zapanować nad galopującymi myślami. Jesteś silna – powtarzałam sobie. Zawsze byłaś silna. Jakoś sobie poradzisz. Oczywiście w pierwszej kolejności należy ustalić, co się stało z Jackiem Bradym. Ale to oznacza wizytę u Eastmansów, a wcale nie jestem pewna, czy mam odwagę tam pójść. Jeśli Jacka spotkało coś złego właśnie podczas wizyty u Monka, to taka wyprawa jest niebezpieczna. Zanim się na nią zdecyduję, muszę poznać więcej szczegółów – postanowiłam.

Wzięłam kartkę z biurka i napisałam list.

Jeśli mam Ci pomóc, Danielu, potrzebuję dokładniejszych informacji. Kiedy i gdzie doszło do

wręczenia łapówki? Muszę również znać pseudonim członka gangu, który przekazał Ci kopertę. Po prostu opisz dokładnie, co zaszło. Kto był z komendantem, kiedy Cię aresztowano? Czy padły jakieś słowa, które mogłyby sugerować, że cała sytuacja została ukartowana?

A potem dodałam jeszcze:

Czy naprawdę nie ma wśród policjantów nikogo, kto byłby Ci życzliwy i komu można by zaufać? Nie mogę sobie wyobrazić, że wszyscy są przeciwko Tobie. Sama nie dam rady rozszyfrować zagadki.

Włożyłam list do koperty, a następnie ją zakleiłam. Dziwnie się czułam, adresując taki list do Daniela. Do oczu znów napływały mi łzy.

Napisałam kolejną wiadomość dla Jacka, w której podałam swój adres i instrukcje, jak mnie znaleźć. Dodałam: *Proszę do mnie przyjść, jak tylko Pan to przeczyta. Niepokoję się o Pańskie bezpieczeństwo.*

Potem położyłam kartkę w widocznym miejscu na stole. Ale nie mogłam wyjść. Powtarzałam sobie w myślach, że Jack na pewno tu wróci, po prostu czeka gdzieś, aż się ściemni i nikt nie będzie mógł go zdemaskować. Poszłam do kuchni i zauważyłam, że pani O'Shea przyniosła jajka i miskę rosołu, który ugotowała dla siostry. Mogłabym zostać i usmażyć Jackowi omlet, gdy się zjawi. Na widok jedzenia poczułam się głodna, więc zjadłam trochę rosołu, ugotowałam jajko na miękko i pokroiłam chleb w cienkie paski. Czułam się dość dziwnie, maczając chleb w żółtku. Jakiś czas byłam małym dzieckiem.

Skńczyłam jeść, posprzątałam, a Jacka wciąż nie było. Dzień się powoli kończył, więc uznałam, że czas wracać do domu. Chelsea to jedna z najbezpieczniejszych dzielnic miasta, a Dwudziesta Trzecia jest jej główną ulicą, mimo to żadna kobieta nie chodzi tu bez potrzeby sama po zmroku.

Ostry dźwięk sprawił, że serce omal nie wyskoczyło mi z gardła. Coś dzwoniło na ścianie w korytarzu. Przez moment myślałam, że to dzwonek elektryczny do drzwi, ale potem przypomniałam sobie, że u Daniela jest przecież telefon. Czy powinnam go odebrać? Może to Dżentelmen Jack próbuje nawiązać ze mną kontakt... Wzięłam głęboki oddech, a potem drżącą ręką podniosłam słuchawkę.

– Słucham?

– Czyżbym miała zły numer? – Po drugiej stronie usłyszałam zdecydowany kobiecy głos, w którym wyraźnie pobrzmiwał irlandzki akcent. – Czy to rezydencja kapitana Sullivana?

– Niestety, kapitan Sullivana nie ma w domu – odparłam. – Kto mówi?

– Jego matka, oczywiście. To chyba raczej pani powinna się przedstawić.

– Ja... ja tu tylko sprzątam – powiedziałam pospiesznie.

– Czyżby mój syn pozwalał służbie odbierać telefony w swoim domu? – zapytała. – Lepiej uważaj, moja droga, bo wpadniesz w tarapaty. Proszę, przełącz panu, żeby zadzwonił do matki.

– Mam nadzieję, że ojciec kapitana jest w dobrym zdrowiu? – zapytałam, nim zdałam sobie

sprawę, że to prawdopodobnie niezbyt mądre.

– Ach, widzę, że opowiada ci również o swoim życiu prywatnym – zauważyła, a w jej głosie sły chać było dezaprobata.

– Wiem jedynie tyle, proszę pani, że martwi się o zdrowie ojca. Mówił to swojej gospodyni, a ona mi powtórzyła.

– Jego ojciec miewa się nie najgorzej, dziękować Bogu – odparła. – Nie, chodzi o coś zupełnie innego.

– Mogę mu przekazać – zaproponowałam z nadzieją w głosie.

– Nie ma potrzeby. Przekaż mu, proszę, tylko, że matka czeka na telefon – powiedziała.

Może to nic ważnego – pomyślałam. Pewnie jest po prostu spragniona kontaktu z jedynakiem.

– Zostawię mu wiadomość, że pani dzwoniła, pani Sullivan – zapewniłam. – Pracuje całymi dniami.

– Za dużo od niego wymagają – stwierdziła. – Dziękuję, panno...?

Nie chciałam podawać jej swojego nazwiska.

– Nie ma za co – odparłam szybko i odłożyłam słuchawkę.

Ciekawe, czy o mnie wie... Z pewnością doszły ją słuchy, że Daniel zerwał zaręczyny. Może podejrzewała, że rozmawia właśnie ze mną, i stąd w jej głosie ta dezaprobata. Cóż, nie miałam obecnie zbyt wielu osób po swojej stronie.

Schodząc na dół, robiłam sobie wymówki. Ależ jestem nierozgarnięta! Dlaczego nie pamiętałam, że Daniel ma telefon? Przecież niejedną raz przypominał mi swój numer! Ciągłe nie mogłam się przyzwyczaić do tych wszystkich nowoczesnych wygód i nie przyszło mi do głowy, żeby po prostu wcześniej tu zadzwonić. Mogłam zaoszczędzić sobie długiej wyprawy w upale, choć pewnie Jack i tak nie podniósłby słuchawkę... Gdzież on się podziewa? Jest w niebezpieczeństwie, chowa się gdzieś, a może i jedno, i drugie?

To był długi, trudny i wyczerpujący emocjonalnie dzień, więc powrót do domu sprawił mi ogromną przyjemność. Ledwie weszłam i na chwilę usiadłam w fotelu, kiedy do drzwi ktoś głośno zapukał.

Gdyby to chociaż był Jack! – pomyślałam z nadzieją. Błagam, tylko nie kolejna zła wiadomość! W ciągu ostatnich dwóch dni zbyt wiele ich dostałam. Starczyłoby na ładnych parę lat.

Odetchnęłam z ulgą, kiedy okazało się, że za progiem stoi Sid.

– Dzięki Bogu, że wróciłaś – powiedziała, wchodząc bez zaproszenia. – Gus się zamartwia. Była u ciebie dzisiaj już parę razy, żeby podziękować za wczorajszą kolację, ale cię nie zastała. Jest przekonana, że złamałaś obietnicę i padłaś ofiarą Rozpruwacza z East Side.

Odpowiadając, zdobyłam się na lekkie uśmiech i swobodny ton.

– Nic bardziej mylnego. Wybrałam się na spacer za miasto. Pojechałam pociągiem do hrabstwa Westchester.

– Zobaczyc się z Bridie? – zapytała z nadzieją. – Wspaniale! Jak ona się czuje?

– Nie, nie pojechałam do Bridie. Jej sanatorium jest zupełnie gdzie indziej, gdzieś w stanie

Connecticut. Postanowiłam złożyć wizytę pannie Norton.

– Molly! Po co, na miłość boską? To nie tylko zuchwały, ale również głupi pomysł – stwierdziła, choć widać było, że jest bardziej zaciekawiona niż oburzona. – Aż dziw, że wróciłaś cała i zdrowa. Dałabym głowę, że to ostatnia osoba na świecie, którą chciałabyś oglądać.

– Masz rację. Spotkanie nie było przyjemne. Ale musiałam się dowiedzieć, czy ona lub ktoś z jej rodziny maczał palce w aresztowaniu Daniela.

Sid prychnęła. Po chwili jednak pokiwała głową.

– Rozumiem. Podejrzywałaś, że chciała się zemścić. Z tego, co nam o niej mówiłaś, to by było w jej stylu. I czego się dowiedziałas?

– Niczego. Szczerze mówiąc, nie wierzę, by miała z tym coś wspólnego. Wydawała się poruszona, kiedy jej powiedziałam, że Daniel siedzi w więzieniu. Choć oczywiście ojciec lub wuj Arabelli mógł to wszystko zaaranżować za jej plecami.

– Jak zamierzasz to sprawdzić?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie wiem. Wciąż jestem amatorem. Czasem zdaje mi się, że trafiam na jakiś ślad tylko dlatego, że mam szczęście. Gdyby żył Paddy Riley, byłoby mi łatwiej. W obecnej sytuacji sama muszę powoli dochodzić do faktów.

– W takim razie co wiesz na pewno?

Odetchnęłam głęboko.

– Nic. Naprawdę nic nie wiem. Ale nie mogę się poddać ze względu na Daniela. Przed chwilą znów do niego napisałam, prosząc, by podał mi wszystkie, najdrobniejsze nawet szczegóły. I znów spróbuję coś wymyślić.

– Nie jest chyba prawdziwym dzentelmenem, skoro opowiada ci o swoich konszachtach z gangiem i oczełkuje, że się temu z bliska przyjrzyś – stwierdziła Sid. – Proszę cię, Molly. Z twojej strony to było tylko zauroczenie. Nic was nie łączy. Daj sobie spokój.

– Obiecałam mu, Sid – wykrztusiłam, starając się zapanować nad drżącym głosem. – Zamierzam zrobić wszystko co w mojej mocy.

– Bieganie po mieście w tym upale wcale ci nie służy – dodała Sid, przyglądając mi się uważnie. – Wyglądasz na zmęczoną. Domyślam się, że jeszcze nie jadłaś kolacji. Czekamy na ciebie. Będziesz pierwszą osobą, która usłyszy ważną wiadomość.

– Ważną wiadomość? – zaniepokoiłam się.

Twarz jej się rozjaśniła.

– Cóż, pewnie nie powinnam cię trzymać w napięciu. To nie byłoby fair. Wiesz, że Gus i ja lubimy eksperymentować, jeśli chodzi o wschodni styl życia.

Wyjeżdżają do Chin lub do Japonii... – pomyślałam.

– No więc wreszcie się zdecydowałyśmy... Przechodzimy na buddyzm. Od tej pory każde najmniejsze stworzenie jest dla nas święte, więc nie będziemy już jadły ryb i mięsa. Gus przygotowała właśnie dla nas pierwszy wegetariański posiłek i chciałybyśmy, żebyś go z nami zjadła.

Ulżyło mi.

– Z przyjemnością – powiedziałam.

Jak tylko wyszła, oparłam się o zimne drewno drzwi wejściowych i odetchnęłam z ulgą. Zdałam sobie sprawę, że sąsiadki są dla mnie wielkim oparciem. To jedyne prawdziwie bliskie mi osoby na tym świecie.

– Wyznaj im prawdę – powiedziałam na głos. Jak? Nie potrafię! Nie wypowiem tego zdania w obecności innych osób, bo tym samym moje słowa nabiorą znaczenia.

Sid sprawiła, że poczułam wyrzuty sumienia wobec Bridie. Powinnam była ją odwiedzić. Bardzo pokochałam te dzieci, jestem dla nich ważna. Kiedy zaczęłam o tym myśleć, w głowie zaświtał mi pewien pomysł... Zawsze mogę wyjść za Seamusa... Nie kocham go, ale to dobry człowieki ma dzieci, do których jestem przywiązana. Marzę o tym, bym została ich matką.

– Bzdura – odpowiedziałam sama sobie i natychmiast odrzuciłam tę absurdalną myśl. Może jestem zdesperowana, ale mam przecież swoją godność. Nie wyjdę za nikogo dla wygody.

Następnego ranka obudziłam się porządnie wyspana. W nocy nieco się ochłodziło. Przez okna sypialni wpadał przyjemny powiew. Wstałam i dobrą chwilę rozkoszowałam się rześkim powietrzem, które pieściło mi skórę przez cienki materiał koszuli nocnej. Ptaki przepięknie śpiewały. Poczułam się odświeżona i pełna energii. Może wczoraj niepotrzebnie wpadłam w panikę. Może wcale nie jestem przy nadziei. Moje cykle nigdy nie były regularne, a mówi się przecież, że szok opóźnia te sprawy. Walka o życie w wartkach wodach Hudsonu z pewnością była dla mojego organizmu dużym stresem.

Poczułam również głód. Być może dlatego, że wczoraj jadłam tylko wegetariańskie potrawy. Szczerze powiedziawszy, nie smakowało mi połączenie orzechów i warzyw, które przygotowała Gus. Prawie wszystko ukryłam pod liściem sałaty na talerzu. Zeszłam na dół i zjadłam porządne śniadanie, konstatuując nawet, że mój umysł działa sprawniej niż poprzedniego dnia i jestem w stanie dość trzeźwo myśleć. Wyjęłam notes i zaczęłam pisać. Co zawsze mówił Paddy na początku nowego śledztwa? Zaczynaj od tego, co już wiesz. Idź od razu do źródła. To znaczy, że powinnam zacząć od osoby, która wsadziła Daniela Sullivana do więzienia – od komendanta policji, pana Johna Partridge’a.

A niby jak mam się umówić z nim na spotkanie? Jakiego użyć pretekstu? Trudno przypuszczać, że zechce się zobaczyć z Molly Murphy! Gdybym z kolei zdecydowała się działać w imieniu Daniela, tylko pogorszyłabym sprawę. Wtedy mógłby nawet pomyśleć, że jestem członkiem gangu! Nie! Trzeba spokojnie wszystko zaplanować i użyć jakiegoś fortelu. Wstałam i zaczęłam chodzić po pokoju. Dziennikarka, która przyszła zrobić wywiad z nowym komendantem? Może nie zgodzić się na rozmowę, bo gardzi dziennikarstwem. Wymyśl coś, Molly! Jaki może być powód tej wizyty? Daniela aresztowano, bo podobno komendant chciał ukrócić korupcję w policji. Dobrze, w takim razie będę przedstawicielką Ligi Praworządnych Kobiet i zjawię się z gratulacjami – postanowiłam. Ryzykowne... Tak naprawdę nie miałam pojęcia, czy taka organizacja naprawdę istnieje i czy pan Partridge ją zna. Skoro uwziął się na Daniela, bo ten przyjął łapówkę, może mnie aresztować za podawanie fałszywej tożsamości.

– Kto nie ryzykuje, ten traci – zdecydowałam na głos, dodając sobie otuchy, i przywdziałam jedyny porządny służbowy strój. Może był nie dość przewiewny jak na tę pogodę, ale przynajmniej wyglądałam przyzwoicie. Włosy zaczesalam gładko do tyłu, a na głowę włożyłam słomkowy kapelusik. Z pewnością nie wyglądałam teraz atrakcyjnie, ale przynajmniej porządnie. – Zaczynamy – powiedziałam do swojego surowego odbicia w lustrze i nie oglądając się za siebie, zamknęłam drzwi.

Gdzie szukać komendanta policji? Nie byłam pewna, ale domyślałam się, że – tak jak każda gruba ryba – ma swoje biuro gdzieś w Ratuszu. Albo tam, albo w głównej kwaterze policji przy Mulberry Street. Najlepiej będzie zapytać na miejsku.

Kiedy dotarłam do poczty przy Broadwayu, postanowiłam wysupłać dziesięć centów i zatelefonować do domu Daniela. Połączono mnie z odpowiednim numerem, a potem aparat dzwonił i dzwonił, ale nikt się nie zgłaszał.

– Proszę pani, nie ma odpowiedzi – usłyszałam głos telefonistki i w słuchawce zapanowała głucha cisza.

Nawet jeśli Jack wrócił wczoraj wieczorem, trudno sobie wyobrazić, by zechciał odebrać telefon. Prawdopodobnie uważał, że to zbyt niebezpieczne. Powinnam zajrzeć tam osobiście, ale nie mogę przecież spędzać całych dni, chodząc w tę i z powrotem Szóstą Aleją tylko po to, by sprawdzić, czy Jack już jest. Dałam mu swój adres. On też może się do mnie pofatygować. Poza tym tu liczy się czas. Każdy kolejny dzień w więzieniu to dla Daniela zagrożenie życia.

Kiedy weszłam wreszcie po marmurowych schodach do wielkiego budynku z greckimi kolumnami i imponującą fasadą, śmiałość mnie opuściła. Molly Murphy, do niedawna jeszcze biedna dziewczyna z irlandzkiej wsi, idzie do jednego z najważniejszych ludzi w tym kraju! Zamierza wyciągnąć od niego informacje!

Trudno zrobić zawrotną karierę bez odpowiedniej dozy bezczelności. Jeśli rzeczywiście jest tak uczciwy i bez skazy, jak to przedstawia, nie spodoba się mu, że przychodzę na rozmowę, udając kogoś innego. A jeśli jest taki jak wszyscy politycy w tym mieście, będzie wolał, bym nie weszła do niego w sprawie.

– Nie masz wyboru – powiedziałam sobie i zmusiłam się do kolejnego kroku.

Przy wejściu siedział młody mężczyzna. Popatrzył na mnie zalotnie. Obdarzyłam go wyniosłym spojrzeniem i oznajmiłam, że przychodzę z ważną sprawą w imieniu Ligi Praworządnych Kobiet. Natychmiast spoważniał i już chwilę później wspinałam się po schodach na drugie piętro.

Sekretarka pana Partridge'a wyglądała jeszcze mniej atrakcyjnie niż ja. Oświadczyła, że absolutnie nie mogę się zobaczyć z komendantem, nie umówiwszy się wcześniej na spotkanie.

– Z dobrych źródeł wiem, że bardzo chciał porozmawiać z przedstawicielką tak oddanej mu organizacji – powiedziałam. – Liga Praworządnych Kobiet to grupa najbardziej wpływowych pań w mieście. W zeszłym tygodniu pani Astor urządziła spotkanie w swoim apartamencie przy Piątej Alei... – przerwałam, uznawszy, że dość tych bzdur. Ale, o dziwo, moje słowa odniosły skutek, bo sekretarka wstała od biurka.

– Zobaczę, co da się zrobić – zapewniła. – Może znajdzie parę minut przed spotkaniem z burmistrzem.

Po chwili wróciła z uprzejmym uśmiechem na ustach.

– Pan komendant z radością panią przyjmie, panno...?

– Delaney – odparłam, podając pierwsze lepsze nazwisko, które przyszło mi do głowy.

– Panna Delaney do pana!

Wprowadziła mnie do najbardziej imponującego biura, jakie kiedykolwiek widziałam. Stało tam mahoniowe biurko, tak duże, że można by po nim jeździć na łyżwach, a na ścianach wisiały dyplomy i fotografie, które przedstawiały komendanta wymieniającego uścisk dłoni z prezydentem Teddy'm Rooseveltem i jego poprzednikiem McKinleyem.

– Panna Delaney?

Mężczyzna za biurkiem zgasił cygareto i wstał. Był wysoki, miał wydatną szczękę, wylupaste oczy i krzaczaste wąsy. Najwyraźniej bardzo dbał o formalny strój, bo nawet w taki dzień jak dziś, kiedy wszyscy mężczyźni chodzili z podwiniętymi rękawami albo najwyżej w lekkich płóciennych marynarkach, on miał na sobie wykrochmaloną koszulę zapiętą pod szyję, a do niej – garnitur. Podał mi swoją wielką dłoń, po czym zaproponował krzesło. Usiadłam.

– Co dokładnie sprowadza panią do mojego biura? – zapytał sympatycznym tonem. – Rozumiem, że przychodzi pani z polecenia pani Astor.

Nawet dla mnie ta rozmowa niebezpiecznie ocierała się o świat fantazji.

– Niezupełnie – odparłam. – Nasza organizacja, Liga Praworządnych Kobiet, poprosiła mnie, bym przekazała panu wyrazy szczerego podziwu. Chodzi o zasługi dla naszego miasta.

Uśmiechnął się. Z rezerwą, samymi ustami, nie całą twarzą.

Zimny drań – pomyślałam. Typ, którego bardzo trudno będzie rozszyfrować.

– Robię, co mogę, panno Delaney – odparł. – Jak pani wie, mam przed sobą wyjątkowo trudne zadanie. W naszym mieście panoszą się występek Prostyytucja, hazard, pijaństwo, korupcja na wszystkich płaszczynach – to robactwo, które trawi nasze wspaniałe miasto od środka.

– Trudno się z panem nie zgodzić, panie komendancie – odparłam. – A jeśli chodzi o korupcję, to wiemy, że szaleje ona również w pańskiej instytucji, i cieszymy się bardzo, że zaczął pan tak wspaniale działać, zaczynając od własnego ogródka. Czy dobrze słyszałam, że właśnie w tym tygodniu jeden z oficerów wyższych rangą został aresztowany, bo przyłapano go na przyjmowaniu łapówek?

Wyraźnie zauważyłam, że na twarzy Partridge'a przez ułamek sekundy zagościło zdziwienie, a potem oczy znów znieruchomiały.

– No proszę, wieści szybko się rozchodzą. Skąd pani organizacja o tym wie?

– Jesteśmy bardzo dobrze poinformowane, panie komendancie. To jeden z powodów, dla których mnie tu dziś przysłano. By podziękować panu za tę odważną, bezkompromisową akcję. To wyraźny sygnał dla wszystkich policjantów. Jak rozumiem, o taki przekaz panu chodziło.

– To prawda. – Wyglądał teraz na bardzo z siebie zadowolonego. – Z korupcją trzeba walczyć na wszystkich poziomach życia społecznego, panno Delaney. Młodzi oficerowie biorą przykład z góry. Niech wiedzą, jakie są konsekwencje, jeśli zejdzie się z tej prostej, wąskiej ścieżki.

– Oczywiście nie znamy szczegółów – powiedziałam, nachylając się w stronę komendanta. – Ale czy należy przez to rozumieć, że aresztowany oficer był na usługach gangu?

– Rozprawa jeszcze się nie odbyła, więc obawiam się, że nie mogę rozmawiać o szczegółach.

– Oczywiście, to zrozumiałe – zgodziłam się. – Ciekawi mnie po prostu, jak do tego doszliście. Czy macie w policji siatkę informatorów?

– Niezupełnie – wyjaśnił. – To był zwykły zbieg okoliczności. Staram się regularnie robić obchód w najbardziej niebezpiecznych rejonach miasta, bo uważam, że moja obecność to wyraźny sygnał dla wszelkiej maści przestępców. Robię to również po to, by na własne oczy się przekonać, jak wygląda sytuacja w tych okolicach. Tamtego dnia wychodzę zza rogu, patrzę, a jeden z moich oficerów odbiera z rąk znanego mi gangstera łapówkę! Oczywiście natychmiast

interweniowałem. Kiedy otwarto kopertę, na chodnik wysypały się banknoty. Gangster wziął nogi za pas, zostawiając oficera na pastwę losu, a ten ma teraz, na co zasłużył.

– Ciekawe – powiedziałam. – Czyli to był zwykły zbieg okoliczności? Po prostu znalazł się pan we właściwym miejscu o właściwym czasie?

– Czysty przypadek, panno Delaney – odparł, a w jego spojrzeniu było coś, co mnie zastanowiło. Sama nie wiedziałam co dokładnie. Tryumf, duma?

Zastawił pułapkę, by złapać właśnie Daniela – pomyślałam. O co tu jeszcze zapytać?

– I tak po prostu w biały dzień przyjmował pieniądze od gangu? – zapytałam. – Czy może odbywało się to pod osłoną nocy?

– W biały dzień. Wyobraża sobie pani? – Komendant uśmiechnął się na samą myśl o naiwności Daniela.

– Bez wątplenia w jakiejś ciemnej uliczce.

– Niezupełnie. Nie jest to wprawdzie okolica, w której pani lub jej koleżanki czułyby się całkowicie bezpieczne, ale dokładnie widziałem, co się tam dzieje. To Water Street, tuż przy dokach, jeśli to coś pani mówi.

Rewir Eastmansów – pomyślałam. W takim razie nie powinnam mieć cienia wątpliwości, że gang Monka Eastmana maczał palce w zamachu na Daniela. Niezbyt przyjemna myśl, bo być może chodziło też o coś więcej – chcieli sami zaaranżować walkę Jacka i w ten sposób pozbyli się Daniela jako pośrednika.

Komendant znów wstał.

– Miło mi było panią poznać, panno Delaney. Proszę przekazać ukłony pani Astor i pozostałym paniom w waszej Lidze. Teraz muszę panią przeprosić, bo nie wypada, żeby burmistrz na mnie czekał.

Rozpaczliwie zastanawiałam się nad kolejnym pytaniem.

– Chwileczkę. Planujemy ustanowienie nagrody Ligi dla najbardziej zasłużonych stróżów prawa – powiedziałam szybko.

Komendant popatrzył na mnie zdziwiony.

– Pan będzie oczywiście pierwszy na liście. Z tej okazji szykujemy wspaniałą uroczystość.

– Jestem zaszczycony. – Pochylił głowę.

– Panie z naszej organizacji chętnie usłyszą o tym, że osobiście dogląda pan miasta – paplałam dalej. – Oczywiście zakładam, że nie chodzi pan sam.

Znów się uśmiechnął.

– Nie zamierzam stać się łatwym łupem dla członków gangu. Zawsze poruszam się w obstawie tych oficerów, którzy akurat mają służbę w okolicy. Muszę zaznaczyć, że to oni mieli kluczowe znaczenie przy aresztowaniu oficera, o którym rozmawialiśmy.

– Czy pamięta pan może ich nazwiska?

Uśmiech zniknął mu z twarzy. Przeholowałam.

– Mam pod sobą kilka tysięcy policjantów, panno Delaney. Bardzo chciałbym znać nazwiska wszystkich, ale to po prostu niemożliwe. Poza tym zastanawia mnie, jakie to może mieć dla pani

znaczenie...

– Będzie miało, jeśli panie z Ligi zechcą nagrodzić kilka osób – odparłam.

– Moi oficerowie pełnią służbę, nie licząc na nagrody – stwierdził. – A teraz proszę wybaczyć. Sekretarka pokaże pani drogę do wyjścia.

Schodziłam po schodach bardzo z siebie zadowolona. Dowiedziałam się, gdzie dokładnie doszło do przekazania łapówki. Prawdopodobnie będę mogła zidentyfikować innych policjantów, którzy byli świadkami tego zdarzenia. Dowiedziałam się również, który gang był w to wszystko zamieszany. To ostatnie odkrycie najmniej mnie cieszyło, bo oznaczało, że powinnam złożyć wizytę w Walhalla Hall. Czy tego chcę, czy nie.

Kiedy znalazłam się w bezpiecznej odległości od Ratusza, zdjęłam kapelusz i rozpuściłam włosy. Zrobiłam to na wypadek, gdyby komendant chciał mnie śledzić. Potem wskoczyłam do pierwszego lepszego tramwaju, uciekając co tchu od pana Partridge'a. Nie był człowiekiem, którego łatwo przejrzeć. Zresztą jak przystało na kogoś, kto zaliczył wszystkie szczeble kariery policjanta, by wreszcie zająć miejsce na świeczniku. Ale wyczułam, że w jakimś stopniu cieszy się z porażki Daniela. Dlatego teraz należałoby sprawdzić, czy już kiedyś miał z nim na pieńku. Jak to zrobić? Spojrzałam na solidny, kwadratowy budynek Katakumb. Nie było sensu prosić o ponowne widzenie z Danielem. No, chyba że miałabym wystarczająco dużo pieniędzy na łapówki. Muszę spokojnie poczekać na listowną odpowiedź.

Wyskoczyłam z tramwaju na Houston Street i postanowiłam zrobić zakupy. Jeśli Dżentelmen Jack się w końcu pojawi, trzeba go będzie nakarmić. Na Houston jak zwykle panował gwar, handlarze pchali w tłumie swoje wózki, platforma z towarem blokowała prawie całą ulicę, a przechodnie szturchali się nawzajem, torując sobie drogę.

– No dalej, rusz się! Idź wreszcie! – krzy czeli w różnych językach.

W końcu jeden z handlarzy dał za wygraną i wycofał swój wózek. Mogłam wreszcie zobaczyć, co tamuje ruch. Nieopodal leżał martwy koń, a jego właściciel odcinał właśnie uprzęż. Olbrzymi ładunek na wozie tłumaczył, dlaczego zwierzę padło w tym upale.

– Zabieraj go z drogi, bo nie możemy przejść! – wrzasnął ktoś z gapiów.

– To chodź tu i pomóż mi go przenieść – odparł właściciel konia. – Zdechł. Sam już nie wstanie.

Nagle poczułam, że dochodzące zewsząd zapachy po prostu mnie osaczają – smażona ciecierzyc a na jednym stoisku, na drugim pikle, na kolejnym zawieszono głową w dół martwe gęsi. Do tego wszystkiego – końskie łajno na kocich łbach. Zakręciło mi się w głowie, więc szybko wycofałam się z tłumu i walcząc z mdłościami, oparłam się o pierwszy z brzegu słup. Muszę natychmiast stąd uciekać – pomyślałam, ale nie byłam pewna, czy nogi nie odmówią mi przy padkiem posłuszeństwa.

Nagle podskoczyłam jak oparzona, bo ktoś dotknął mojego ramienia.

– Molly, to ty!

Nade mną pochyłał się Jacob Singer, a jego ciało rzucało na mnie upragniony cień. Jak zwykle miał na sobie płócienną koszulę, a na głowie kaszkiet.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Słabo mi – odparłam.

– Wcale mnie to nie dziwi. W tym tłumie i w tym skwarze... chodź, pójdziemy do herbaciarni za rogiem.

Pozwoliwszy, by mnie poprowadził, z ulgą wsparłam się na jego silnym ramieniu. Weszliśmy do ciemnego, chłodnego wnętrza, gdzie Jacob zamówił dla nas po szklance gorącej herbaty.

– W taki upał najlepsza jest gorąca – stwierdził. – Żaden zimny napój nie działa tak dobrze.

Po chwili dostaliśmy dwie szklanki herbaty z cytryną w srebrnych koszyczkach. Pociągnęłam pierwszy łyki poczułam, jak młodości ustępują.

– Miło cię widzieć – powiedział Jacob z uśmiechem. – Wszystko u ciebie w porządku?

– Mniej więcej – odparłam. – Tylko wyjątkowo źle znoszę w tym roku upały.

– Wszystkim jest ciężko – zauważył. – Słyszałaś, że w zeszłym tygodniu zanotowano kolejne przypadki tyfusu?

– Mała Bridie O'Connor się zaraziła.

– Bridie?! Tak mi przykro.

– Na szczęście wyzdrowiała, dochodzi teraz do siebie w specjalnej ochronie na wsi.

– To dobra wiadomość. – Znów się do mnie uśmiechnął. – Ciągle o tobie myślę, Molly. Nie odpisałaś na moje listy.

– Nie – odpowiedziałam. – Przepraszam. Nie było mnie w mieście, a kiedy wróciłam, potrzebowałam trochę czasu, by się zastanowić.

– Rozumiem... I co? Znalazłaś ten czas?

Przypatrywałam się jego miłej, szczerzej twarzy. Oczy spoglądające zza okrągłych szkieł okularów przy wodziły na myśl pięknego ptaka. Poczulałam, jak pod powieki napływają mi łzy.

Matko Boska! – pomyślałam. Przecież nie mogę się przy nim rozpląkać.

– Tak, znalazłam czas i obawiam się, że moja odpowiedź brzmi „nie”.

Posmutniał.

– To nie miałoby sensu, Jacobie. Nie mogłabym za ciebie wyjść – powiedziałam. – Bardzo cię podziwiam. Uważam, że jesteś fantastyczny. Nawet nie wiesz, jak ciężko mi powiedzieć „nie”.

– Wciąż chodzi o tego policjanta?

– Poniekąd. – Wpatrzona w parę unoszącą się nad szklankami, unikałam jego wzroku.

Do herbaciarni weszło dwóch starszych Żydów z długimi brodami, w kapeluszach na głowie. Usiedli w kącie. Nie rozumiałam ich języka, ale spojrzenia, którymi nas obrzucali, mówiły same za siebie. Młody Żyd nie powinien się pokazywać w miejscu publicznym z kobietą, a tym bardziej z gojką.

– Teraz rozumiesz dlaczego? – zapytałam, wskazując głową w stronę tych dwóch mężczyzn. – Takie spojrzenia towarzyszyłyby nam do końca życia.

To dobra wymówka – pomyślałam, ale prawda jest taka, że w innej sytuacji nie obchodziłoby mnie zbytnio, co kto myśli na mój temat.

Jacob jednak ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Wiem, że nie mogę tego od ciebie wymagać – powiedział. – Tolerancja nie jest domeną Żydów. Z żalem, ale przyjmuję twoją odmowę. Wiesz, gdzie mnie szukać, Molly. Jeśli kiedyś

będziesz potrzebowała pomocy, daj znać.

Wstał, kładąc na stole kilka monet.

– Jestem już spóźniony na spotkanie. Wszystkiego dobrego. Posiedź tu jeszcze chwilę, zanim wyjdiesz znów na słońce. Odpocznij.

Patrzyłam, jak odchodzi. „Wróć!” – chciałam krzyknąć, a jakiś głos w mojej głowie szepnął: „Szybki ślub i niczego się nie domyśli. Dasz radę”. Ale wiedziałam, że Jacob zasługuje na więcej.

Skończyłam herbatę, wstałam i wyszłam, odprowadzana spojrzeniami starych Żydów.

W południowej poczcie nie było listu od Daniela. Zaczęłam się obawiać, że może zabronili mu pisać albo że wrogowie zaczęli przejmować informacje, które mogłyby mu pomóc. Czułam się jak podczas wspinaczki na stromą skałę, kiedy po jednym mozolnym kroku w górę ześlizgujesz się kilka metrów w dół.

– Nie potrafię, Danielu! – krzyknęłam w pustą przestrzeń domu. – Nie wiem jak! Zbyt wiele ode mnie wymagasz.

Poczułam, że w oczach znów zbierają mi się głupie łzy.

Nie mogę się poddawać – pomyślałam, ocierając je dłonią. To oznaczałoby nie tylko kłeskę Daniela, ale również moją własną.

Staralam się zjeść trochę chleba z serem i rzodkiewkami. Zwykle to mój ulubiony posiłek, ale teraz nie mogłam przełknąć ani kęsa. Odsunęłam talerz. Wiedziałam, że muszę złożyć wizytę Monkowi Eastmanowi, lecz zupełnie nie cieszyła mnie ta perspektywa. Niestety, jego gang stanowił jedyne punktualne zabezpieczenie w całej sprawie. Ktoś albo włożył po kryjomu pieniądze do listu przeznaczonego dla Daniela, albo przekupił lub zastraszył gangstera, który następnie podmienił koperty. No, chyba że sam Monk maczał w tym palce, co by oznaczało, że jeszcze bardziej powinnam się go bać. Na domiar złego posłałam Dżentelmena Jacka na przeszpiegi, a on do tej pory nie wrócił.

Ktoś powinien mi towarzyszyć – pomyślałam. Ktoś, kto w razie niebezpieczeństwa pobiegnie po pomoc albo zawiadomi policję. Ale nie mogłam wymyślić, kto to mógłby być. Sid i Gus nie pozwoliłyby mi zbliżyć się na krok do Monka i jego ludzi; Jacob poszedłby ze mną, gdybym o to poprosiła, ale nie chciałam go narażać na nieprzyjemności. Pracuje prawie na ich terytorium, po co mu łatka wroga Eastmansów?

I nagle wpadłam na wspólny pomysł. Przecież znam jednego członka gangu Eastmana, młodszego stażem, ale to nie szkodzi...

Nuala, niesympatyczna kuzynka Seamusa, u której mieszkalam przez pewien czas po przyjeździe do Nowego Jorku, miała trzech synów. Ostatni raz, gdy ich widziałam, dwaj starsi pracowali u Eastmana jako chłopcy do posyłki. Biegali z listami i wykonywali drobne polecenia, na przykład wywracali stragany handlarzom, którzy nie płacili gangowi za ochronę. Malachy, najstarszy chłopak, nigdy nie był dobrym dzieckiem, więc pewnie teraz całkiem zszedł na złą drogę. Ale mieszkał u mnie przez pewien czas, gdy cała rodzina została wyrzucona na bruk. Być może czuł swego rodzaju wdzięczność za to, że tak dobrze zaopiekowałam się jego kuzynostwem.

Mogę się jednak mylić – pomyślałam. Być może ma to wszystko w poważaniu i będzie szczęśliwy, rzucając mnie lwom na pożarcie. Trudno. Muszę podjąć ryzyko – zdecydowałam w końcu.

Zajęłam się swoim wyglądem. Uznałam, że trzeba zrezygnować z powabu i kokieterii. Nie można dopuścić, by wykorzystali mnie jak białą niewolnicę. Szczęście w nieszczęściu – ostatnio nie byłam w formie i nie przypominałam dawnej siebie z zaróżowionymi policzkami i piegami. Twarz miałam szarą, a oczy podkrążone. Schowałam włosy pod słomkowym kapeluszem i zapięłam żakiet aż po samą szyję. Następnie zamknęłam za sobą drzwi, gotowa stanąć twarzą w twarz z przeznaczeniem.

Zamiast tego stałam twarzą w twarz z jakąś postacią w dziwnej pomarańczowej szacie. Dopiero po dłuższej chwili rozpoznałam, ktoż to taki.

– Ryan, na litość boską! To ty?! – krzyknęłam zdziwiona, kiedy zbliżał się do mnie, rozkładając ramiona na powitanie.

– Nasze drogie przyjaciółki przekonały mnie, że też powinienem przejść na buddyzm – powiedział. – Widziałem w żurnalu zdjęcie mnicha buddyjskiego i stwierdziłem, że te szaty wyglądają bosko. Po prostu musiałem je mieć.

– Mnisi buddyjscy gołą głowę – zauważyłam z uśmiechem.

– Owszem, ale są pewne granice – odparł i z rozkoszą pogładził swoje bujne czarne loki.

– I żyją w celibacie – dodałam.

– Nie psuj zabawy. – Pogroził mi palcem. – Ja tylko testuję pewien styl życia, nie zamierzam się poświęcać. Jem owoce, orzechy i śpiewam. Nic więcej. Ach! I jeszcze nie wolno mi deptać mrówek. To wszystko, na co mnie stać. I muszę przyznać, że uwielbiam obserwować, jak ludzie reagują na moje ubranie. W tramwaju nie mogli ode mnie oderwać oczu.

– Domyślam się. Wyjątkowo ci w tej szacie do twarzy.

– Jesteś miła. – Posłał mi całusa. – Ale ty, moja droga, dla odmiany nie wyglądasz najlepiej. Masz takie piękne włosy. Dlaczego je chowasz?

– Dlatego, że mam pewną sprawę do załatwienia. Muszę wyglądać surowo i dostojnie – odparłam.

– Ach, tak! Sprawa życia i śmierci. – Kiwnął głową. – Czy to element kampanii „Ocalić Daniela”?

– Owszem – powiedziałam. – I w związku z tym mam do ciebie prośbę. Zrobisz coś dla mnie? Ale to tajemnica.

– Wiesz, że uwielbiam tajemnice. Co to takiego?

– Jeśli do wieczora nie wrócę, powiedz, proszę, Sid i Gus, że wybrałam się do siedziby Monka Eastmana. Być może będzie za późno, żeby mi pomóc, ale chciałabym, by przynajmniej ktoś wiedział, gdzie szukać ciała.

– Moje drogie dziecko, to głupota. Zabraniam ci.

Pokręciłam głową.

– Nie ciesz się moją wizytą, Ryane, ale nie mam wyjścia. Pewne rzeczy mogę wyjaśnić tylko z Eastmansami. Nie mogę się przyznać Sid i Gus, bo wiem, że mnie tam nie puszcza.

– I ja też nie powinienem. – Ryan zagroził mi drogę.

– Będę ostrożna – obiecałam, dotykając jego ramienia. – Poproszę Malachy 'ego, syna Nuali,

żeby poszedł ze mną. Jest pomocnikiem u Eastmansów, więc może mnie wybroni.

Ryan nie ustępował.

– Ten policjant z pewnością nie zasługuje na to, co dla niego robisz. Mam nadzieję, że kiedyś to doceni.

– Ja też mam taką nadzieję – stwierdziłam, odwracając wzrok – A co z twoją sprawą? – zapytałam, zmieniając temat na bezpieczniejszy.

– O co dokładnie pytasz?

– O tego człowieka, który ukradł ci scenariusz sztuki.

– A, o to pytasz! – odparł, machając ręką. – Buddy zm nakazuje przebaczać wrogom.

– Jestem pod wrażeniem, Ryane.

– A mówiąc między nami, słyszałem, że sztuka jest tak okropna, że nie utrzyma się na afiszu dłużej niż przez tydzień. Nie dotrwa pewnie nawet do premiery w Filadelfii. – Uśmiechnął się chytrze. – A ja mam nowego fascynującego przyjaciela.

– Również buddy stę?

– Nie, to doktor z Europy. Erudyta.

– Więc raczej nie w twoim typie...

– Nie doceniasz mnie, Molly. Jeśli chcę, potrafię być intelektualistą. Poznałem tajniki pracy ludzkiego umysłu. Wiesz, ile neuronów jest w twoim mózgu?

– No, ile?

Prychnął, a potem uśmiechnął się uroczo.

– Zapomniałem. Ale w każdym razie bardzo dużo. To wszystko jest fascynujące.

– Nie wątpię – stwierdziłam. – Muszę już iść. Proszę, ani słowa Sid i Gus, no... chyba że nie dotrę do domu na noc.

Ryan znów pokręcił głową.

– Powinnaś się ustakować, znaleźć porządnego mężczyznę, który otoczy cię opieką. Powinnaś urodzić mu dzieci i cerować skarpetki.

– Dam ci znać, jeśli się taki pojawi – odparłam i w obawie, że rozmowa zejdzie na trudne tematy, szybko się pożegnałam.

Pojechałam tramwajem z Broadwayu do Fulton, potem ruszyłam przed siebie, aż poczułam ostry smród ryb, który oznaczał, że zbliżam się do targu rybnego i East River.

Kiedy ostatni raz odwiedzałam rodzinę Nuali, mieszkali od strony rzeki, w walącym się domu pomiędzy sklepami dla rybaków i straganami, na których można było kupić mydło i powidło. Nie miałam oczywiście pewności, że wciąż ich tu zastanę. Mąż Nuali, Finbar, przepijał wszystkie zarobione pieniądze, a ostatnio słyszałam też, że Nuala straciła pracę przy patroszeniu ryb. Na dodatek już wcześniej musieli się parę razy przeprowadzać, bo gospodarzom nie podobało się zachowanie trzech nieznomych chłopaków.

Jednak dziś chyba miałam szczęście.

– Patrzcie, co nam tu kot przyniósł pod drzwi – powiedziała na mój widok Nuala, obrzucając mnie spojrzeniem z góry na dół. – Co takiego może od nas chcieć jej wysokość? – dodała,

opierając dłonie na rozłożystych biodrach.

– Przepraszam, że przeszkadzam w poobiedniej drzemce – odparłam, bo wyglądała, jakby dopiero co wstała z pościeli – ale musiałam przyjąć...

Nagle zmieniła się na twarzy.

– Słodka Panienko Przenajświętsza, chyba nie przynosisz złych wieści, co? Nie chcesz mi powiedzieć, że ta malutka odeszła na spotkanie ze Stwórcą?

– Ostatnio słyszałam, że Bridie ma się dobrze i dochodzi do siebie. Wszyscy korzystają ze świeżego powietrza i uroków wsi.

– No to pięknie – odparła i znów przybrała tę swoją zgorzkniałą pozę. – Korzystają z życia, proszę ja ciebie, ale nie przyszło im do głowy, żeby zaprosić biednych krewnych. Szczególnie po tym, co dla nich zrobiłam, jak ich przyjmowałam, kiedy nie mieli się gdzie podziąć! To się nazywa wdzięczność?

– Nie mogą nikogo zapraszać, Nualo – powiedziałam. – Bridie jest w ochronce dla chorych dzieci, a Seamus z Szelmą pomagają farmerowi i śpią u niego w stodole.

– To po co przysłaś? – zapytała. – Nachodzisz mnie nagle, a ja umieram ze strachu na twój widok

– Chciałam zamienić słowo z twoim najstarszym synem.

– Z Malachym? Co zmalajstował?

– Nic, o ile mi wiadomo. Potrzebuję jego pomocy. Dobrze zna waszą okolicę. Zapłacę mu.

Zadziałało. Złagodniała.

– Nie wiem, gdzie jest. Szwenda się. Zupełnie jak jego ojciec. Wpada i wypada. Do domu zagląda tylko wtedy, gdy mu pasuje, a tak między nami mówiąc, dołączył chyba do jakiegoś gangu.

– Ojej. To musi być dla ciebie trudne – stwierdziłam.

Najwyraźniej moje współczucie było znacznie gorsze niż niechęć i wrogość. Spojrzała na mnie jak na groźne zwierzę, które może ugryźć.

– A co się stało z twoim kochasiem, co?

– Mówiłam ci już nie raz i nie dwa, że nie mam kochasia. Prowadzę agencję detektywistyczną i potrzebuję pomocy Malachy'ego przy sprawie, którą aktualnie prowadzę.

– Przestań. – Zakasłała. – Nigdy nie słyszałam o kobietach detektywach.

– Wiesz może, gdzie mogłabym go zastać o tej porze dnia?

Wzruszyła ramionami.

– Mówiłam ci już. Pojawia się i znika, jak mu pasuje. Trudno przewidzieć. Wyrósł. Jest tego samego wzrostu co ja i powtarza, że jeśli mi życie miłe, nie powinnam się wtrącać w jego sprawy. Podobno ma przyjaciół, którzy mogą mnie przywołać do porządku. Całkiem niezłe mu płacą. Od czasu do czasu daje mi jakieś pieniądze, bo przecież bez tego wyleciałby stąd na zbity pysk

– A młodszy chłopcy? Są gdzieś tutaj?

– Albo są z bratem, albo płyną w East River – odparła. – Malachy, niestety, sprowadza ich

na złą drogę. Żaden z nich nie chce się uczyć. Szkoda, że nie mają normalnego ojca, tylko takie nie wiadomo co jak ten tutaj – dodała, wskazując głową w stronę pokoju. – Śpi całymi dniami, a potem pije w nocy. Co z niego za mężczyzna!

– Nie za dobry – zauważyłam.

– Ale oni w większości tacy są, prawda? – Mrugnęła do mnie porozumiewawczo. – Chodzi im tylko o jedno, jak pewnie już zdążyłaś się przekonać.

– Mężczyźni nie różnią się aż tak bardzo od kobiet – powiedziałam. – I w jednej, i w drugiej grupie są ludzie porządni i zepsuci.

– Chyba powinnaś się już ustakować – zauważyła. – Nie robisz się młodsza i muszę powiedzieć, że ta praca wcale ci nie służy. Marnie wyglądasz.

– Pracuję jako detektyw, Nualo. Nie mogę zwracać na siebie uwagi.

– No tak – odparła, a potem zastanowiła się przez chwilę i zapytała: – A ile dokładnie dostanie od ciebie Malachy za tę pracę?

– Zależy od tego, jak bardzo okaże się pomocny.

Widziałam, że się zastanawia, czy warto coś zrobić, podjąć jakieś działanie, by znaleźć syna. W końcu najwyraźniej stwierdziła, że to się nie oplaca.

– Sprawdź w tawernie O’Leary’go – powiedziała. – Czasem tam przesiaduje. Albo zapytaj braci. Pewnie pływają w East River.

– Dziękuję. A jeśli wróci do domu, powiedz mu, że go szukam. Wie, gdzie mnie znaleźć.

– Powiem mu – odparła i zamknęła mi drzwi przed nosem.

Jak zwykle uprzejma – pomyślałam.

W porcie chłopców nie spotkałam, więc skierowałam się do tawerny. Raz już w niej byłam. Wtedy, gdy stawiałam pierwsze kroki w kontaktach z gangiem. Znajdowała się na rogu Division i Market, niezbyt daleko od siedziby głównej Monka na Orchard Street. Zadowolona, że zniknął smród z targu rybnego, wstąpiłam do sklepu ze słodyczami, gdzie kupiłam miętówki. Miałam nadzieję, że zmniejszą niepokój w żołądku. Potem poszłam dalej Madison, starając się trzymać w cieniu wysokich budynków, i po chwili dotarłam do tawerny.

Było późne popołudnie. Dawno minęła pora obiadu. Robotnicy, którzy dostawali w cenie piwa miszkę potrawy mięsnej po irlandzku, wrócili już do pracy. Kiedy z pełnej słońca ulicy zajrzałam do ciemnego wnętrza, przy barze siedziały nieruchomo tylko dwie postaci. Ani śladu dzieciaków. Na szczęście atmosfera była raczej ospała, a nie przerażająca. Zebrałam się na odwagę i weszłam do środka.

Jeden z mężczyzn natychmiast się ożywił.

– Kobietom wstęp wzbroniony – wymamrotał. – Nie powinny tu wchodzić.

– No, chyba że to jakaś dziewczyna od Monka, która oferuje swoje wdzięki za darmo – dodał drugi, chichocząc głupawo, jakby był po kilku głębszych.

– Nawet ja widzę dość wyraźnie, że to nie może być dziewczyna od Monka – zauważył ten pierwszy. – Ruszaj się, słońce, już cię tu nie ma. Twojego starego też, a jeśli nawet dostał dzisiaj wypłatę, pewnie dawno ją przepił.

– Chciałam tylko zadać jedno pytanie – powiedziałam. – Szukam chłopaka. Młodego Malachy 'ego O'Connora. Jego matka mówi, że czasem tu przychodzi. Wiedzą panowie, gdzie go znaleźć?

– Pracuje na mieście – powiedział barman, wychylając się zza kontuaru. Przyjrzał mi się uważnie. – Już cię gdzieś widziałem – dodał.

– My, Irlandki, wszystkie wyglądamy dość podobnie. – Obdarzyłam go swoim najśladszym dziewczęcym uśmiechem. Nie mogłam przecież przyznać, że zaledwie parę miesięcy temu tu byłam i zadawałam różne pytania. – Czyli nie wiecie, kiedy Malachy się znów pojawi?

– Jakskończy robotę na mieście – odparł barman, a pozostali mężczyźni się uśmiechnęli.

– Czy możecie mu przekazać wiadomość? – poprosiłam.

– Jaką wiadomość?

– Powiedzcie mu, że Molly prosi o pomoc. Wie, gdzie mieszkam. Proszę dodać, że mu się odwdzięczę.

Jeden z mężczyzn wstał od baru i ruszył w moją stronę.

– Ja też ci mogę pomóc, jeśli i mnie się odwdzięczysz, kotku – powiedział. Z twarzy nie schodził mu głupi uśmiech; czuć było od niego piwem.

– Dziękuję, ale wolę poczekać na Malachy 'ego. – Szybko zaczęłam się wycofywać. – Czy powiecie, żeby się ze mną skontaktował?

– Może mu powiem – odparł barman. – Choć może się zdarzyć, że zapomnę. Ale jeśli dostanę coś, co mi przypomni...

Najwyraźniej cały świat oprócz Daniela wiedział dobrze, co to łapówka.

– Chyba przede wszystkim powinniśmy zapytać, co ona w ogóle chce od młodego – zauważył ten bardziej trzeźwy mężczyzna przy barze. – Jak dla mnie wygląda na wychowawczynię z poprawczaka, pewnie będzie go chciała wysłać do jakiegoś ośrodka.

– Nic z tych rzeczy – zaprotestowałam. – Chcę, by skontaktował mnie... z pewną osobą, która działa w tej okolicy, a której nie chciałabym szukać bez...

Przerwałam, bo drzwi się otworzyły i do środka wdarł się ostry promień słońca.

– Co tu robi kobieta? – usłyszałam.

– Szuka młodego Malachy 'ego – odparł barman.

– A czego może chcieć od mojego chłopaka? – zapytał ktoś inny niższym, bardziej skrzekliwym głosem.

Kiedy dwóch przybyszów rozstąpiło się na boki, ujrzałam sylwetkę trzeciego. Nie widziałam twarzy, ale rozpoznałam posturę – okrągła głowa, a na jej czubku kapelus, dobre kilka rozmiarów za mały. Kiedy mężczyzna wchodził do tawerny, zauważyłam również podwinięte rękawy koszuli na mięśniowych ramionach, jaskrawoczerwone szelki i rozpięty pod szyją kołnierzyk. Na pierwszy rzut oka zabawny człowieczek... Dopóki się nie okaże, że metalowe krążki na jego palcach nie są sygnetami. Chciałam, by Malachy zaprowadził mnie do Monka Eastmana. A tu ni stąd, ni zowąd już stałam przed Monkiem i nic nie mogłam na to poradzić.

– No dobra, kochanieńka. W czym rzecz? – zapytał wprost Monk

Zauważyłam, że dziś nie miał na ramieniu gołębia, ale za to w zgięciu ramienia trzymał zwiniętego w kłębek kotka, który smacznie spał. Słodki widok. Musiałam sobie przypomnieć, że ten człowiek potrafi zabić jednym uderzeniem pięści.

Dobrze, że byliśmy w miejscu publicznym, tuż przy ulicy. Zacerpnęłam głęboko powietrza, by mówić jak osoba pewna siebie.

– Chciałam z panem porozmawiać, panie Eastman. Spodziewałam się, że Malachy będzie wiedział, gdzie pana znaleźć.

– To mi pochlebia – odparł, ani na sekundę nie spuszczać ze mnie wzroku. – Nieczęsto się zdarza, że młoda kobieta chce się ze mną zobaczyć, co nie, chłopaki?

Wszyscy zarechotali jak na komendę.

– Więc czego możesz chcieć od Monka? – zapytał.

Zastanawiałam się, czy mnie pamięta. Kiedy się ostatnio widzieliśmy, nie był do mnie przyjaźnie nastawiony; szczerze mówiąc, miałam szczęście, że uszłam wtedy z życiem lub z cnotą. Albo i z jednym, i z drugim.

Akurat wtedy Monk westchnął.

– Znam cię – powiedział. – Przyjaciółeczką Sullivana. Zgadza się?

– Tak jestem znajomą kapitana Sullivana – odparłam. – To właśnie z jego powodu przyszedłam pana odwiedzić. Jest w poważnych tarapatkach.

– Owszem, coś mi się obilo o uszy. Cholibka, to niedobrze. – Uśmiechnął się. – Bardzo się martwimy, kiedy coś niedobrego przytrafia się glinom, co nie, chłopaki?

W odpowiedzi usłyszałam kolejny rechot.

– Podobno wy dwaj ostatnio współpracowaliście – powiedziałam. – Mielicie zorganizować walkę Dżentelmena Jacka Brady'ego.

– Być może.

– I posłał pan człowieka na spotkanie z kapitanem. Dał mu pan listę nazwisk. Do koperty z tą listą ktoś włożył pieniądze, a świadkiem tego zdarzenia był komendant policji. Najwyraźniej komuś chodziło o to, by cała akcja wyglądała na wręczanie łapówki.

Zamilkłam, bo bałam się wydusić z siebie następne słowa. Trudno było mi zapanować nad głosem, ale w końcu powiedziałam:

– Dlatego muszę wiedzieć, panie Monk, czy to wszystko miało miejsce na pana zlecenie. Czy to panu zależało na uwiezieniu Daniela Sullivana? Muszę się dowiedzieć. Jeśli nie, ktoś inny czyha na jego życie.

Monk położył pulchną łapę na sercu.

– Przecież wszyscy wiedzą, że traktuję Daniela Sullivana jak rodzzonego brata.

– Nie dam się nabrać – odpowiedziałam, uśmiechając się wbrew samej sobie. – Wiem, że się nienawidzicie, choć od czasu do czasu współpracujecie. Sądziłam, że w obopólnym interesie byłoby zaaranżowanie tej walki i zarobienie na niej pieniędzy. Wysłałam do pana Jacka Brady’ego z pytaniem, ale on zniknął.

– To fatalnie – powiedział Monk, a uśmiech ani na chwilę nie schodził z jego warg. – Ale niepotrzebnie się o niego martwisz, kochana. Jest pod dobrą opieką.

– To znaczy gdzie jest?

– Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła?

– Panie Eastman, Monk proszę zrozumieć. Daniel jest w niebezpieczeństwie. Nie chodzi tylko o łapówkę. Oni myślą, że Daniel dla pana pracuje. Twierdzą, że poinformował pańskich ludzi o nalocie gliniarzy i przez to zginął policjant. Jeśli mu nie pomogę, nie wyjdzie z więzienia żywy. Dlatego pytam pana ponownie i błagam, żeby był pan ze mną szczerzy. Chciałabym się dowiedzieć tylko jednej rzeczy: czy to pan włożył te pieniądze do koperty? Czy to pan powiedział komendantowi, gdzie będzie mógł przyłapać Daniela na gorącym uczynku? Jeśli odpowie pan „tak”, po prostu stąd wyjdę i zostawię was w spokoju, bo nic nie mogę przecież zrobić. Ale przy najmniej będę wiedzieć.

Monk podszedł bliżej. Jego pięść uzbrojona w kastet znajdowała się teraz na wysokości mojego żołądka.

– Posłuchaj, dziewczynko – powiedział. – Sullivan i ja podaliśmy sobie dłonie, by przypieczętować organizację tej walki. Monk nigdy nie działa za plecami ludzi, którym podał rękę.

– Czyli nikt od pana nie włożył do tej koperty pieniędzy?

– Ujmijmy to tak.. – zaczął i rozejrzał się, szukając potwierdzenia swoich słów. – Jeśli cokolwiek postąpiłby wbrew mojej woli, już teraz byłby karmą dla ryb w East River – dokończył, wznosząc pięść z kastetem.

– A kto konkretnie przekazywał tę kopertę?

– Bugsy. Dałem mu tę listę i powiedziałem, gdzie ma się spotkać z Sullivanem. A Bugsy nigdy by mnie nie zawiódł. Za niego mogę ręczyć.

– Ale w kopercie były pieniądze.

Monk wzruszył ramionami.

– Nie wiem jakim cudem.

– Zastanawiałam się, czy to nie przypadkiem sam komendant postanowił zasadzić się na Daniela – powiedziałam. – I może tym samym również na pański gang.

Moje słowa znów wywołały uśmiech na twarzy Monka.

– Jeśli tak traci czas. Wie paniąka przecież, że kadencja takiego komendanta to maksymalnie dwa lata, prawda? Jego zaraz nie będzie, a my przetrwamy.

– Zapowiedział reformy w policji i zero tolerancji dla przemocy i łapówkarstwa.

I tym razem wszyscy w barze parsknęli śmiechem.

– Życzyśmy mu powodzenia – skomentował jeden z nich.

Monk spoważniał.

– Gdyby mu rzeczywiście na tym zależało, powinien zająć się innymi, nie Sullivanem. Wszyscy wiedzą, że są tam znacznie gorsi niż on.

– Czy miałabym szansę porozmawiać z Bugsym i dowiedzieć się, czy istnieje możliwość, że ktoś podmienił koperty?

Monk potrząsnął swoją wielką głową.

– Mój Bugsy jest teraz poza miastem. Odwiedza mamusię, o ile wiem.

Zrozumiałam aluzję. Pewnie jest poszukiwany w związku ze śledztwem przeciwko Danielowi, więc nic dziwnego, że nie ma go w mieście.

– Czy w takim razie mógłby go pan sam o to zapytać? Będę zobowiązana – poprosiłam. – Oczywiście gdy wróci od mamusi.

Monk popatrzył na mnie i gruchnął śmiechem.

– Podobasz mi się – powiedział i szybko przysunął pięść do mojej twarzy. – Nie jesteś taka jak większość panienek. Te tylko się trzęsą ze strachu, kiedy zaczynam do nich mówić. Masz w sobie coś. Posłuchaj, poproszę chłopaków, by mieli oczy i uszy otwarte. Jeśli dowiem się, kto poluje na Sullivana, dam ci znać.

– Malachy wie, gdzie mnie szukać – odparłam. – Bardzo jestem panu wdzięczna, panie Monk.

Uniósł śpiącego kociaka i otarł o niego policzek.

– Każdy tutaj ci powie, że Monk Eastman sły nie z dobroci dla wdów i sierot.

Mężczyźni wokół niewyraźnie się uśmiechnęli, odwracając przy tym wzrok.

– Dziękuję bardzo – powiedziałam na koniec, widząc kątem oka, że za plecami mam otwarte drzwi, przez które wpadają promienie słońca.

Nie zastanawiałam się dłużej, tylko zdecydowanym krokiem ruszyłam w stronę wyjścia. Trochę jednak się obawiałam, że być może czeka mnie niespodzianka i za chwilę pocuję na ramionach mocny uścisk czyichś dloni. Ale udało mi się dotrzeć do schodów i bezpiecznie zejść na chodnik. Potem szłam, nie oglądając się za siebie, aż oddaliłam się od Eastmansów na odległość co najmniej dwóch budynków. Idąc, czułam, jak ogarnia mnie euforia. No, proszę bardzo! Spotkałam się i rozmawiałam z Monkiem Eastmanem! Oko w oko! I co? Nic się nie stało, żyję.

W domu czekał na mnie list od Daniela. Na widok koperty odetchnęłam z ulgą. List był napisany na papierze firmowym adwokata – widniał tam nagłówek *J.P. Atkinson, Wall Street 412, piąte piętro, Nowy Jork*. Ale charakter pisma oraz zawarte w treści przemyślenia na pewno należały do Daniela.

Molly, byłem pewien, że wyrażam się całkowicie jasno, prosząc cię, byś trzymała się z daleka od śledztwa. Jack potrafi zadawać pytania, a gang nie robi mu żadnej krzywdy. Ani mi się waży zbliżyć do Eastmansów! Pamiętaj, co to za typy. Monk nie znosi, kiedy ktoś wsadza nos w nie swoje sprawy, a już szczególnie kiedy robi to kobieta.

Chciałem napisać wcześniej, ale okazuje się, że teraz pozbawiają mnie nawet możliwości korespondowania. Postanowili do reszty uprzykrzyć mi życie. W końcu odwiedził mnie adwokat i poprosił go o papeterię. To cała jego pomoc. Bezużyteczny sort człowieka.

Pytasz, czy są jacyś policjanci, którym ufam. Uważam, że jest kilku przyzwoitych i oddanych facetów. Moi dwaj bezpośredni podwładni – Quigley i McIver – to ludzie porządni, ale również bardzo ambitni. Ze względu na karierę mogą nie chcieć stawać po mojej stronie. Jestem w stanie to zrozumieć; prawdopodobnie zachowałbym się tak samo.

Przychodzi mi do głowy inne nazwisko – O'Hallaran. Pamiętasz? Razem z żoną wynajmowali Ci kiedyś mieszkanie. To taki typ, którego nie da się przekupić; jest chyba najprawdziwszym katolikiem, jakiego znam. Trudno się dziwić, że z taką postawą nie zrobił w policji kariery i siedzi tam tylko po to, by jakoś dotrzeć do emerytury.

Zastanawiam się, co oni wszyscy mogą dla Ciebie zrobić. Szczerze mówiąc, nie wiem, jak w ogóle można mi teraz pomóc. Mam wrażenie, że tkwię w pajęczej sieci kłamstw i oszczerstw.

Uważaj na siebie i absolutnie nie podejmuj z mojego powodu żadnego ryzyka. Myślę o Tobie.

Daniel

Usiadłam przy stole w kuchni i przez chwilę wpatrywałam się w list. Komu zależy, by Daniel Sullivan zgnął w więzieniu? Czyżby komuś nadepnął na odcisk tak mocno, że ten postanowił się zemścić? Gdyby chodziło tylko o wewnętrzne rozgrywki w policji, to wystarczyłaby dymisja lub przeniesienie na niższe stanowisko. Nie. Tu w grę musi wchodzić głęboka nienawiść. Komuś zależy na zdyskredytowaniu Daniela.

Powinłam teraz zadać mu parę pytań. Zapytać o relację z komendantem, który na razie jest na pierwszym miejscu mojej listy podejrzanych. Kiedy otwierałam szufladę i wyjmowałam papier i pióro, uświadomiłam sobie, że strasznie marnuję czas, prowadząc z Danielem korespondencję. Powinłam go odwiedzić, zadać mu wszystkie nurtujące mnie pytania i wyeliminować podejrzanych. Dobrze, że mam teraz nazwisko i adres prawnika. Pójdę do niego i przekonam, by zabrał mnie do Katakumb. Może przy okazji się zorientuję, czy ten człowiek nie jest przy padkiem marionetką w czyichś rękach.

Usiadłam na chwilę przy stole i podparłam głowę dłońmi. Jak dobrze choć na krótko poczuć się bezpiecznie! Ogrzewały mnie promienie słońca.

– Tylko minutkę tak posiedzę, a potem zbiorę się i pójdę – wymamrotałam do siebie, po czym zamknęłam oczy i zapadłam w głęboki sen.

Obudziłam się, kiedy kuchnia zalana była różowym światłem, a zegar wybijał ósmą. Na twarzy czułam jeszcze twarde deski stołu. Za późno na moje plany – stwierdziłam. Poczulałam też, że sse mnie z głodu.

Wstałam. Znalazłam w szpiżarni kawałek ozora i zimne ziemniaki, ale kiedy zaczęłam jeść, zrobiło mi się niedobrze, więc w końcu przełknęłam tylko kromkę chleba z serem. Mój żołądek niewiele teraz toleruje – zauważyłam. Uznawszy, że zmrok zapadnie dopiero za pół godziny, postanowiłam złożyć wizytę sierżantowi O'Hallaranowi. Pewnie o tej porze zastanę go w domu – pomyślałam. Umyłam twarz, poprawiłam fryzurę i skierowałam się na Dwunastą Wschodnią.

Teraz, kiedy słońce zaszło, ludzie wreszcie powychodzili na ulicę i odpoczywali na schodach.

Starsze kobiety wachlowały się, młodsze kołysały dzieci na kolanach. Większe maluchy grały w klasy. Z otwartych okien dochodził mnie płacz, śmiech i krzyki. Ktoś grał na pianinie. Zwykle stawałam, by nacieszyć się dźwiękami miasta. Dzisiaj jednak toczące się wokół życie przypominało mi, że jestem sama. Nie mam rodziny, z którą mogłabym się pokłócić lub pośmiać. Wróć do pustego domu. Zateśmiłam za mały mi O'Connoram. Szybko jednak przyomniałam sobie o tym, o czym starałam się zapomnieć – wkrótce będę miała własną rodzinę. Przed oczami stanął mi pulchny bobas z czarnymi kędziorkami Daniela i z jego niebieskimi oczami. Pewnie położy główkę na moim ramieniu, kiedy przed snem będę mu śpiewać koły sanki. Nie pozwalałam sobie wcześniej na takie fantazje, żeby nie zadziały jak samosprawdzająca się przepowiednia. Teraz jednak poczułam przypływ emocji i – przypuszczalnie – coś na kształt uczuć macierzyńskich. Stałam, wyobrażając sobie miękkie policzki przy swojej skórze, i poczułam, że bardzo tego pragnę.

W moją stronę pofrunęła jakaś piłka. Odbiłam ją dobrym kopnięciem.

– Dziękujemy pani! – zawołał mały chłopiec i cała gromadka wróciła do swojej gry.

W melancholijnym nastroju dotarłam do O'Hallaranów. Tyle się wydarzyło, odkąd byłam tu ostatni raz. Pamiętam, jak stałam przed tymi drzwiami jako świeżo upieczona imigrantka i narzeczona kapitana Daniela Sullivana. Przynajmniej tak wówczas o sobie myślałam. Zajęło mi trochę czasu, zanim się zorientowałam, że narzeczoną był zupełnie ktoś inny.

Znajomość z Danielem nie przyniosła mi nic oprócz cierpienia – pomyślałam.

Kiedy drzwi się otworzyły, stanął w nich sierżant O'Hallaran we własnej osobie.

– Panna Murphy, co za niespodzianka! – Uśmiechnął się szeroko. – Proszę wejść. Co panią do nas sprowadza? Wracamy na stare śmieci?

– Miło znów pana widzieć, sierżancie – powiedziałam, idąc za nim korytarzem i wdychając zapach polerowanego drewna. Przypominałam sobie, że pani O'Hallaran jest niezwykle pedantyczną gospodynią, choć trochę zbyt wścibską jak na mój gust. – Czy dobrze się państwo mają? Jak się czuje pani O'Hallaran?

– Nie narzekamy – odparł pogodnie. – Czy to z moją żoną chciała pani porozmawiać? Właśnie wyszła odwiedzić chorą sąsiadkę.

– Nie, przyszłam do pana. Potrzebuję pańskiej pomocy, sierżancie. Przychodzę w sprawie Daniela.

Spojrzał na mnie uważnie.

– A tak Co za pech! Nigdy nie przypuszczałem, że Daniel bierze pieniądze od gangu. W tym względzie wydawał mi się podobny do swojego ojca.

– To była pułapka, sierżancie. W kopercie miał być tylko spis nazwisk. Ktoś włożył do niej pieniądze i zadbał o to, by nowy komendant policji zobaczył wszystko na własne oczy.

– Naprawdę? Proszę za mną – powiedział O'Hallaran i zaprowadził mnie do salonu.

Pomyślałam, że pewnie pani O'Hallaran wolałaby, żeby rozmawiał ze mną w holu albo w kuchni, ale on podsunął mi krzesło z aksamitnym siedziskiem. Przesiadłam na krawędzi.

– Muszę się dowiedzieć, kto za tym stoi. Zastanawiałam się, czy ma pan może jakieś przemyślenia. Daniel twierdzi, że jest pan jedną z niewielu osób, którym może całkowicie zaufać.

Większość kolegów się od niego odwróciła.

– No, ale chyba pani wie dlaczego? – powiedział O'Hallaran, siadając obok mnie na krześle. – Po śmierci Whiteya chłopaki mówili, że to Daniel dał cynk tym z gangu i dlatego nasz kolega zginął.

– Daniel przysięga, że nie miał z tym nic wspólnego. I wcale nie jest na garnuszkach u Eastmansów. Chciał tylko pomóc swojemu kumpłowi, Jackowi Brady'emu. Organizował dla niego walkę. Owszem, to nielegalne, ale wcale nie oznacza, że był w zмовie z gangsterami.

O'Hallaran w zamyśleniu pokiwał głową.

– Kto w takim razie roznosi te plotki?

– A pan od kogo o tym usłyszał?

– Trudno powiedzieć. Wie pani, jak to z plotkami jest. Otworzysz słoik pełen ciem i już wszystkie są na zewnątrz.

– A czy kolarzy pan kogoś, komu te plotki sprawiają szczególną przyjemność?

Pokręcił głową.

– Moim chłopakom jest przykro z powodu tego, co się przytrafiło Danielowi. Wszyscy darzyli go szacunkiem, rozumie pani. To dobry policjant. Zawsze przedkładał interes swoich ludzi nad inne rzeczy.

– Czy ktoś mógł być zazdrosny?

– Niemożliwe, żeby powodem była tu zawiść. Nie przychodzi mi do głowy nikt, komu Daniel mógł szczególnie zależeć za skórę. No, chyba że przestępcom w tym mieście.

Spojrzał na mnie i skrzywił się.

– Ja bym stawiał jednak na Monka Eastmana. Wsadził pieniądze do koperty, a potem zaczął rozsiewać plotki. Oni się nie lubili. Powiem pani, że zdziwiłem się na wieść, że Daniel organizuje z Monkiem tę walkę.

– To nie Monk – odparłam. – Rozmawiałam z nim.

Sierżant O'Hallaran wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

– Widziała się pani z Monkiem? To bardzo nierozsądnie, moja panno.

– Nie miałam wyboru. Wysłałam tam najpierw Jacka Brady'ego, ale on zniknął. Monk twierdzi, że się nim zajął, ale nie wiem w jaki sposób. Teraz tylko ja zostałam Danielowi. Jeśli nie odkryję prawdy, nikt inny tego nie zrobi.

– Niezłe z pani ziółko, powiem tylko – stwierdził O'Hallaran. – Czyli to nie Monk..

– Może komendant we własnej osobie – ciągnęłam. – Sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z upadku Daniela.

– Z nim też pani rozmawiała?

Kiwnęłam głową.

– Musiałam. Twierdzi, że przez przypadek był w okolicy i szczęśliwym zbiegiem okoliczności widział, jak Daniel przyjmuje łapówkę.

– Ale dlaczego komendant mógłby chcieć porażki Daniela? – zapytał O'Hallaran. – Jeśli wydział ma dobrze funkcjonować, nie wolno się pozbywać porządnym oficerów. Za błędy

policji komendant płaci własną głową.

– Może to jest osobista wendeta.

– Nie wykluczam. – Sierżant dotknął podbródka, jakby chciał posłuchać brodę, której tam nie było. – Moim zdaniem są trzy możliwości: coś związanego z życiem zawodowym Daniela, coś, co dotyczy spraw prywatnych, albo coś, co ma związek ze sprawą, którą Daniel rozwiązał, choć nie powinien.

– To ciekawa koncepcja – zauważyłam, zastanawiając się nad tym nowatorskim pomysłem. – Nie zapytałam Daniela, nad czym ostatnio pracował. Ale to nie ma sensu. Gdyby odsunięto go od sprawy, ktoś inny by ją przejął i kontynuował śledztwo.

– Daniel był skuteczny, panno Murphy. Lepszy od przeciętnego gliనిarza. Może komuś zależy na tym, by przeciągać dochodzenie.

– Czy mógłby pan sprawdzić, kto towarzyszył komendantowi, kiedy ten natknął się na Daniela i gang?

Sierżant kiwnął głową.

– Dobrze. A jeśli da mi pani znać, czym ostatnio zajmował się Daniel, dowiem się, kto przejął sprawę. To niekoniecznie ma znaczenie. Za sznurki może przecież pociągać ktoś z samej góry.

– Musiałby być bardzo zdesperowany, by posunąć się do czegoś takiego – zauważyłam.

Ponownie przytaknął.

– Zdesperowani ludzie decydują się na desperackie czyny. Proszę podać mi swój adres, panno Murphy. Zrobię co w mojej mocy.

Wstałam.

– Bardzo jestem zobowiązana, sierżancie. Szczerze panu powiem, że ostatnio zwątpiłam. Zupełnie nie wiem, jak postępować, a jeśli szybko nie wyciągnę Daniela z aresztu... – nie dokończyłam. Odwróciłam głowę, bo przestraszyłam się, że zaraz zacznę płakać.

Niezdarnie położył mi rękę na ramieniu.

– Proszę się nie martwić, moja droga. Pomogę wam. Wszystko dobrze się skończy. Prawda zawsze wychodzi na jaw... Chyba takto się mówi.

Odprowadził mnie do wyjścia. Nie zawsze wszystko dobrze się kończy, sierżancie – pomyślałam, wychodząc. Czasem nie ma sprawiedliwości na świecie. Czasem dobrzy ludzie umierają, a źli żyją sobie długo i szczęśliwie.

Wspinając się po schodach do kancelarii prawnej pana J.P. Atkinsona, stwierdziłam, że Danielowi nie przydzielono obrońcy z górnej półki. Biuro znajdowało się na piątym piętrze kamienicy na rogu Lower Broadway i Wall Street. Pozostałe lokale w budynku zajmowali krawiec, dentysta (J. BLOGGET. BEZBOLESNE USŁUGI DENTYSTYCZNE. WYRYWAMY I PO SPRAWIE) i różni drobni rzemieślnicy. Nie było windy, na schodach leżało wytarte linoleum i prawie zabrakło mi tchu, zanim dotarłam na ostatnie piętro.

– Zobaczę, czy pan Atkinson może panią przyjąć – powiedziała sekretarka o wyglądzie koczolucha, choć przez na wpół otwarte drzwi wyraźnie widziałam, że pan Atkinson jest w gabinecie i nie ma żadnego klienta.

Dało się słyszeć ściszone głosy, a potem zostałam zaproszona do środka.

Sam gabinet, surowy jak sala szkolna, nie wyglądała lepiej niż cały budynek.

Pan Atkinson okazał się drobnym chłopcem, pewnie zaraz po studiach, w garniturze, który chyba odziedziczył po starszym bracie. Twarz miał niemłą. Na przywitanie podał mi zimną rękę. Ścisnąc ją, miałam wrażenie, że dotykam ryby.

– Rozumiem, że przychodzi pani w sprawie kapitana Daniela Sullivana. Przyjaciółka? Pewnie bardzo się pani martwi? Zresztą tak jak my wszyscy... Co takiego konkretnie mógłbym dla pani zrobić?

Do tej pory frustrację i strach trzymałam na wodzy. Ale na każdego przychodzi kres, a ja nigdy nie słynęłam z opanowania. Ten beczelny uśmiech i rybia ręka to już było za dużo.

– Zrobić dla mnie? Może porozmawiajmy najpierw o tym, co pan robi dla niego! – krzyknęłam. – Skoro nie został jeszcze oskarżony, to dlaczego, na litość boską, nie wyjdzie za kaucją? Dlaczego nie stara się pan udowodnić jego niewinności?

Cofnął się przerażony, ale nie spuszczał ze mnie oka.

– Zapewniam panią, droga panno Murphy, że staram się ze wszystkich sił. Kaucja byłaby możliwa, ale, niestety, konto kapitana zostało zablokowane. Nic nie mogę uczynić w tej sytuacji. Pieniądze będzie można wypłacić dopiero wtedy, gdy się okaże, że nie pochodzą z nielegalnych źródeł. Wszyscy chcemy, by proces odbył się jak najszybciej.

– Od tygodnia siedzi w areszcie i nikt nie postawił mu zarzutów. To ma być szybki proces? Dlaczego nic pan nie robi?

Bezradnie rozłożył ręce.

– Jest lato, panno Murphy. Wielu sędziów wyjeżdża z miasta, by uniknąć upałów. Zbiera się coraz więcej spraw i każda musi odczekać w kolejce.

Usiadłam, choć Atkinson wcale mi tego nie zaproponował.

– No cóż, panno Murphy – ciągnął, zajmując swoje miejsce za biurkiem – kapitan mógłby sobie o wiele lepiej pomóc, gdyby tylko zechciał z nami współpracować.

– Pewnie uważa pan, że powinien się przyznać do winy, tak?

– Otóż to. Kapitan Sullivan zdaje się nie rozumieć powagi sytuacji. Przyjęcie łapówki to jedno. Ale jest jeszcze działanie na korzyść organizacji przestępczej i wydanie kolegów w ręce gangu. To nie ujdzie mu płazem.

– A jeśli te zarzuty nie są prawdziwe? A jeśli ktoś specjalnie włożył do koperty pieniądze i powiadomił komendanta? A jeśli to wszystko zaaranżowano tylko po to, by zniszczyć Daniela Sullivana?

– On tak właśnie twierdzi.

– I to jest prawda.

Znów się uśmiechnęła. Za ten pobłażliwy uśmiech miała ochotę go spoliczkować.

– Jest pani ładną dziewczyną, a kapitan przystojnym i czarującym mężczyzną. Nic dziwnego, że wierzy pani w każde jego słowo.

– Pan też powinien, bo za to panu płacą. Powinien pan wierzyć w niewinność Daniela. Nie ma nikogo, kto stałby po jego stronie. Skoro pan uważa, że Daniel jest winny, proszę, do diaska, znaleźć mu prawnika, który myśli inaczej.

– Zapewne zna pani powiedzenie: „Żebracy nie mają wyboru”. Jako obrońca z urzędu robię wszystko co w mojej mocy, panno Murphy.

– Kto pana zatrudnił? Kto pana instruował i kto panu kazał nakłaniać Daniela, by przyznał się do winy?

– Jeśli pyta pani, kto mnie zatrudnił, to odpowiedź jest prosta. Jestem częścią loterii. Moje nazwisko znalazło się na samej górze pewnej listy. I nikt mi niczego nie sugerował. Po prostu staram się zakończyć tę sprawę tak bezboleśnie, jak się da.

– Więc nie wierzy pan, że Daniel może być niewinny?

– To by oznaczało, że ktoś zadał sobie dużo trudu. Wsadził pieniądze do koperty, którą przyniósł gang, i na dodatek zaaranżował obecność komendanta dokładnie w odpowiednim momencie.

– O tym właśnie mówię.

– Ale po co to wszystko?

– To pan jest obrońcą Daniela. To pan powinien zadać sobie to pytanie.

Przełknęła ślinę, a jabłko Adama zatańczyło na żyłastej szyi.

– Jeśli ktoś pragnie zniszczyć kapitana, to pewnie jest to gang, a z żadnego gangstera nie wyciągnie pani prawdy, choćby nie wiem co.

– Zapytałam już członków gangu. Powiedzieli, że nie mają z tym nic wspólnego – odparłam, sycąc oczy zdziwieniem, które malowało się na jego twarzy.

– Była pani u Eastmansów?

– Owszem. I rozmawiałam z Monkiem Eastmanem.

– Dobry Boże!

– Widzi pan, coś można zrobić. Działam, ale potrzebuję pomocy. Teraz na przykład powinnam

rozmówić się z Danielem. Problem w tym, że nie chcą wpuścić mnie do więzienia i dlatego musi pan tam ze mną pójść.

– Wykluczone. Mnie też nie zawsze wpuszczają.

– Przecież nie mogą człowiekowi, któremu nie postawiono żadnych zarzutów, utrudniać kontaktu z obrońcą.

– Nie, ale po to wymyślili termin „kontakt z adwokatem w uzasadnionych przypadkach”.

– To właśnie jest uzasadniony przypadek. Ma pan dla niego nowe informacje.

– Nowe informacje?

– Informacje, które są kluczowe w jego sprawie.

– Ale...

– Proszę trochę ruszyć głową, na litość boską – westchnęłam. – Wprowadzi mnie pan jako swoją asystentkę, która na bieżąco sporządza notatki. Stosuje pan przecież nowoczesne metody działania.

– Dobrze. Potrafi pani szybko notować?

– Nie, ale będę udawać.

– Nie lubię kłamać, panno Murphy. Co z moją reputacją, jeśli wyjdzie na jaw, że to podstęp?

– Proszę popatrzeć na to z innej perspektywy. Jeśli uda się panu wygrać tę sprawę, pańska kariera rozkwitnie. – Pochyliłam się w jego stronę i szepnęłam: – „To on. To ten adwokat, który wyciągnął Daniela Sullivana z aresztu, choć wszyscy mówili, że to niemożliwe”.

Rzykowałam, ale szybko zorientowałam się, że strategia jest dobra. Atkinson przez chwilę patrzył w dal rozmarzonym wzrokiem.

– Naprawdę może pani zdobyć dowody świadczące o niewinności Sullivana?

– Bardzo się o nie staram – odparłam, robiąc dobrą minę do złej gry. – Ale pisanie listów jest czasochłonne. Jeśli wprowadziłby mnie pan dzisiaj na widzenie z Danielem, przyspieszyłoby to moją pracę.

– Pani pracę? Zrozumiałem, że jest pani przyjaciółką kapitana.

– Jestem również prywatnym detektywem, który już wcześniej pracował dla policji – odparłam z satysfakcją.

– Dobry Boże! Policja korzysta z usług kobiet detektywów?

– Wtedy, kiedy trzeba działać z ukrycia – odparłam dość enigmatycznie.

– Dobrze, panno Murphy. – Wstał i wygładził krawat. – Zrobię to, o co pani prosi. Miejmy nadzieję, że nie sprowadzimy na mojego klienta ani na nas samych jeszcze większych kłopotów.

– Nie, jeśli nikomu nie powiemy o motywach naszego działania – odparłam.

Schodząc na dół, poczułam ogromną satysfakcję, jakiej od dawna nie doświadczyłam.

Dopiero gdy wprowadzono nas do ciemnej, zimnej celi i zdałam sobie sprawę, że za chwilę stanę twarzą w twarz z Danielem, wpadłam w panikę. To będzie nasze pierwsze widzenie od czasu, kiedy zdałam sobie sprawę ze swojego obecnego stanu. Czy będę miała odwagę spojrzeć mu prosto w oczy? Czy wyczyta z mojej twarzy, że coś się zmieniło? Serce biło mi tak mocno, że przyłożyłam rękę do piersi, by je uciszyć.

Po chwili usłyszałam kroki i czyjś głos:

– Sullivan, twój prawnik przyszedł.

Otworzyły się drzwi i zobaczyłam Daniela. Wyglądał znacznie gorzej niż poprzednio. Brudna biała koszula niemal zlewała się z szarością jego twarzy. Oczy miał podkrążone.

– Po co dzisiaj przyszedłeś, Atkinson? – zapytał. – Jeśli znowu chcesz, bym przyznał się do winy, to marnujesz czas.

Całą wypowiedź przerywały napady kaszlu.

– Przyszedłem, bo prosiła o to pewna młoda dama. Panna Murphy. Jak rozumiem, pracuje dla pana...

– Molly? Ma nowe informacje? Czegoś się dowiedziała?

– Jest tutaj. Może ją pan sam o to zapytać – odparł Atkinson i odsunął się, żeby Daniel mógł mnie zobaczyć.

Zauważyłam, że ucieszył się na mój widok i serce zabiło mi mocniej.

– Molly, nawet nie wiesz, jak miło cię widzieć.

– Dobrze się czujesz, Danielu?

– Nie najlepiej. Kaszlę cały czas i mam fatalny nastrój. A ty? Wyglądasz wspaniale. Co za radość dla moich oczu!

– Ze mną wszystko w porządku. Robię, co mogę, ale ciągle niewiele udaje mi się ustalić – odparłam, czując obecność Atkinsona, który stał poza zasięgiem wzroku Daniela.

– A co z Jackiem? Czy udało mu się porozmawiać z Eastmansami?

– Jack zniknął. Monk Eastman wie, gdzie on jest, ale ja nie mam pojęcia.

– Zniknął? Pewnie specjalnie gdzieś się ukrywa. Bał się przyjeżdżać do Nowego Jorku. To niedobrze. – Daniel przysunął się bliżej krat i pogroził mi palcem. – Ale to wcale nie znaczy, że masz teraz chodzić po mieście i zadawać pytania. Chyba jasno się wyraziłem. Nie wolno ci się zbliżać do Eastmansów. Zrozumiano?

– Za późno – powiedziałam. – Już rozmawiałam z Monkiem.

– Molly, zwariowałaś? – wykrztusił Daniel i znów dostał napadu kaszlu. – Mówiłem wyraźnie, że masz tego nie robić. Dlaczego mnie nie słuchasz? – dodał po chwili, patrząc tak, jakby chciał mnie zabić wzrokiem.

Starałam się mówić opanowanym głosem.

– Musiałam. Szczególnie po tym, jak Jack zniknął. Nie denerwuj się, wszystko dobrze się skończyło. Odbyliśmy przyjacielską pogawędkę, ale nie potrafił mi wyjaśnić, jak to się mogło stać, że pieniądze trafiły do koperty. Zapewnił mnie jedynie, że nikomu nie wydał takiego polecenia.

– Przyjacielską pogawędkę! – Daniel zakrył twarz rękami. – Nigdy w życiu nie opowiedziałbym ci o tym wszystkim, gdybym wiedział, jakie ryzyko podejmiesz! Do czego jeszcze się posunęłaś?

– Rozmawiałam z Arabellą. Doszłam do wniosku, że raczej nie ma z całą sprawą nic wspólnego. I spotkałam się również z komendantem policji. To chyba nasz podejrzany numer

jeden.

– Partridge? Jakim cudem udało ci się z nim zobaczyć?

– Nieważne. Tajemnica służbowa. Ale mogę ci powiedzieć jedno. Sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z faktu, że siedzisz za kratkami. Pomyślałam, że może będziesz wiedział dlaczego...

Daniel pokręcił głową.

– Jest zadowolony, bo to nadęty i świętoszkowaty głupiec. Skoro uważa, że brałam łapówki od gangsterów, mój pobyt w więzieniu jest mu na rękę. Pozbywa się skorumpowanych policjantów.

– Więc nie zadarłeś z nim wcześniej?

– Nie znam człowieka, nie obracaliśmy się w tych samych kręgach. Nigdy nie zamieniłem z nim więcej niż parę zdań.

– I nie masz pojęcia, dlaczego zależałoby mu na zniszczeniu właśnie ciebie, a nie kogoś innego?

Westchnął, a potem znów pokręcił głową.

– Kiedy został mianowany komendantem, uścisnęliśmy sobie dłonie, a potem on powiedział, że słyszał o mnie same dobre rzeczy. Chodziły plotki, że Tammany Hall go nienawidzi, więc może postanowił pozbyć się Irlandczyków z policji, ale chce to zrobić powoli, a ja jestem pierwszy. Przyznaję, że przyszło mi to do głowy.

– Gdyby tak było, inni policjanci powinni ci przyjść z pomocą.

– Ale właściwie dlaczego Partridge miałby zadać sobie tyle trudu? Mógłby mnie łatwo zdegradować albo po prostu wyrzucić lub zdymisjonować za zorganizowanie walki. Aranżowanie łapówki, zarzuty, że jestem opłacany przez gang... To więcej niż dy misja, to oznaczałoby, że chce mnie całkowicie zniszczyć.

– Masz rację – zgodziłam się. – Ktoś chce cię zniszczyć. Musimy się dowiedzieć, kto miałby powód, żeby zaaranżować tę paskudną sytuację. Czy zadarłeś z kimś innym ze swojego wydziału? Może uniemożliwiłeś komuś awans albo przyłapałeś kogoś na gorącym uczynku, jak brał łapówkę?

Daniel przez chwilę milczał.

– Sądzisz, że to któryś z kolegów?

– Sierżant O'Hallaran tak zasugerował. Powiedział, że może chodzić o jakąś osobistą urazę w pracy albo w życiu prywatnym. Pomyślałam, że winny może być inny policjant lub kryminalista, któremu kiedyś nadepnałeś na odcisk

– Nie przychodzi mi do głowy żaden kolega z policji. Od prawie trzech lat jestem kapitanem. Pewnie niektórzy sądzą, że awansowałem zbyt wcześnie, że inni byli bardziej doświadczeni, ale wyczułbym głębszą niechęć z tego powodu. Ludzie darzyli mnie szacunkiem. Nikt nie podważał moich kompetencji. A jeśli chodzi o łapówkarstwo – mamy dżentelmeńską umowę. Nie wsadzamy nosa w nie swoje sprawy. Nigdy na nikogo nie donosiłem. To zbyt duże ryzyko. Pracując w terenie, musimy mieć do siebie zaufanie.

– Rozumiem. W takim razie nikt z twoich ludzi. A co z przestępcami? Może sobie przypominasz, jak któryś z nich, gdy wsadzałeś go za kratki, wrzeszczał: „Dopadnę cię, Sullivan!”?

– Zawsze tak jest. – Daniel się uśmiechnął. – Ale rzecz się łupy nie trzyma. Kto chciałby zadzierać z Eastmansami i jakim cudem znalazłby się na ich terytorium? I jak przejąłby kopertę,

kóra wędrowała od Monka prosto do Bugsy'ego?

– Nie wiem, co robić, Danielu. – Załamalam ręce. – Każdy trop prowadzi w ślepy zaułek. Musiałeś albo kogoś przestraszyć, albo zaleźć komuś za skórę. Sierżant O'Hallaran zasugerował jeszcze coś innego. Powiedział, że twoje aresztowanie może mieć związek ze sprawą, którą ostatnio prowadziłeś. Może ktoś chciał, żeby dochodzenie się przeciągało, ale ty działałeś sprawnie i szybko?

Daniel pokręcił głową.

– To też bez sensu, bo policjanci, którzy przejęli po mnie śledztwo, są bardzo doświadczeni. Jeśli chodzi o rozwiązywanie trudnych spraw, mają taki sam potencjał jak ja.

– To nad czym ostatnio pracowałeś?

– Nad niczym ważnym. Pierwsza sprawa miała związek z wyścigami konnymi na torze Brighton. Faworyt padł podczas biegu w niewyjaśnionych okolicznościach. Potem przejąłem drugą sprawę, która dotyczyła Rozpruwacza z East Side. Na pewno czytałaś o nim w gazetach. Facet napada na kobiety na ulicy i zawsze działa tak samo. Zabija ofiary mocnym uderzeniem w głowę. prostytutki ginęły w Nowym Jorku, od kiedy pamiętam, bo takie jest ryzyko wpisane w ten zawód, ale gdy liczba ofiar zaczęła rosnąć, komendant postanowił oddać sprawę komuś doświadczonemu.

– To Partridge wyznaczył cię do tego śledztwa?

– Zrozumiałem, że będzie zadowolony, jeśli to ja je poprowadzę.

– A od kogo je przejąłeś?

– Od Quigleya i McIvera. Mówiłem ci o nich wcześniej? Obaj są bardzo sprawni. Ale kierownictwo uznało, że wraz z rozwojem śledztwa potrzebny jest ktoś wyższej rangą. Nawet jeśli nie byli zachwyceni faktem, że patrzę im na ręce, nie okazywali niezadowolenia. Zresztą nie byłoby w tym nic dziwnego. Sam na ich miejscu bym się wkurzył. Pracę wykonywali bez zarzutu.

– I czego się dowiedzieliście?

– Niczego – odparł Daniel. – W sumie zginęły cztery kobiety. Zostały tak pobite, że nie można było zidentyfikować ciała. Pytaliśmy w okolicy, czy któryś z sutenerów nie zauważył zaginięcia jakiejś dziewczyny, ale żaden się do tej pory nie zgłosił. A nie, przepraszam... jeden zgłosił zaginięcie. Miesiąc lub nawet ponad miesiąc temu znaleziono martwą prostytutkę przy promenadzie na Coney Island. Była strasznie pobita. Ten jeden raz sutener zgłosił zaginięcie.

– I myślisz, że to ofiara tego samego zbrojcy?

– Sposób działania był zdecydowanie taki sam.

– Ale pozostałe prostytutki znajdowano w East Side, tylko tę jedną na Coney Island, prawda?

– Zgadza się.

– Może zabójca pierwszy raz zamordował nad morzem, a potem odkrył, że sprawia mu to satysfakcję i że wcale nie musi odbywać w tym celu dalekiej podróży.

– I dlatego zdecydował się osiąść w East Side?

– Mieszkać może w dowolnej części Nowego Jorku i zajmować się czymkolwiek, prawda? Rozumiem, że nie trafiliście jeszcze na jego ślad? Nie zostawił wam żadnych wskazówek?

– Tylko taką, że lubi ryzyko. Ciała ofiar znajdowano w ruchliwych miejscach, a mimo to nikt z przechodniów niczego nie zauważył. Gdyby sprawca mordował dziewczyny w burdelach, musiałyby potem znieść ciało po schodach na ulicę, a wtedy wzrosłoby zagrożenie, że ktoś coś zobaczy.

– Ale mówisz, że żaden właściciel burdelu nie zgłaszał zaginięcia dziewcząt...

– Do czasu mojego aresztowania nikt nic nie zgłosił. Oczywiście sytuacja mogła już się zmienić...

– A co z tymi wyścigami? Czy udało ci się rozwikłać sprawę?

– Uważam, że prawdopodobnie chodziło o zemstę dżokeja, który nie chciał dopuścić do wygranej rywali. Niestety, nie zdążyłem ustalić nic więcej, bo wbrew mojej woli polecono mi zająć się czymś innym.

– To znaczy, że w obydwu tych sprawach niewiele ustaliliś.

Daniel pokiwał głową.

– Jeśli chodzi o wyścigi, skończyłem tylko wstępne dochodzenie. Sprawy Rozpruwacza nawet nie zdążyłem porządnie zacząć.

– Czyli nikt nie mógł ci mieć za złe, że jesteś na dobrym tropie?

– Nie. Gdyby rzeczywiście chodziło o pierwszą sprawę, tę związaną z wyścigami, i okazało się, że powodem są animozje pomiędzy dżokejami, kto miałby dość czasu, żeby sfałszować list od członka gangu, a potem namówić komendanta na spacer konkretną trasą o konkretnej porze dnia?

– A może wcale nie chodziło o dżokeja – zasugerowałam. – Może to tylko kozioł ofiarny.

– Tak, to oczywiście możliwe.

– Mogłabym pociągnąć to śledztwo, prawda? Wyścigi konne to chyba dość bezpieczne miejsce?

– Chyba mogłabyś. Jeśli sądzisz, że to coś da...

– Gdzie jest tor Brighton?

– Na Coney Island.

– Znowu Coney Island – zauważyłam. – Czy to przypadkiem nie tam miałeś zorganizować walkę Jacka?

– Tak, to prawda – odparł Daniel.

– I pierwszą zabitą prostytutkę też tam znalezione... Może ktoś nie chciał, żebyś zaglądał na Coney Island.

Wzruszył ramionami.

– Możliwe. Oczywiście. Ale nie mam pojęcia kto. Wybraliśmy Coney Island tylko dlatego, że prawie nie ma tam policji. Zwłaszcza od jednej części wyspy trzymają się z daleka. Od Bebechów^[3].

– Od Bebechów... – powtórzyłam w zamyśleniu. Nie podobał mi się nawet dźwięk tego słowa.

– Tam nie wolno ci się zbliżyć.

– Ale reszta wyspy jest chyba bezpieczna dla pracującej dziewczyny, która po prostu

przyjedzie tam wypocząć przy niedzieli. Będę jedną z tłumy. Nie musisz się o mnie martwić.

– Martwię się o ciebie cały czas – odparł Daniel. – I stanowczo zabraniam ci angażować się w sprawę Rozpruwacza z East Side. prostytutki w Lower East Side są pod opieką gangu Monka. Być może uciełaś sobie z nim miłą pogawędkę, ale to wcale nie oznacza, że następnym razem też trafisz na jego dobry humor albo że będzie tolerował twoje wścibstwo. Bądź ostrożna, bo inaczej skończysz w jednym z burdeli. Mówię całkiem poważnie, Molly. – Spojrzał na mnie smutnymi, zaczerwienionymi oczami.

– Nie jestem głupia, Danielu – odparłam. – Obiecuję, że będę uważać. To, co powiedziałaś, jest dość ważne. Prasa uważa, że okrutny seryjny morderca grasuje w Lower East Side. Płaci za prostytutkę, a potem zabija ją tylko dla rozrywki. Ale może te dziewczyny giną z rąk stręczyciela albo ochroniarza, bo chcą uciec od takiego sposobu na życie?

– No to znów kłania się Monk Eastman – powiedział Daniel. – Może nie zna każdej prostytutki z Lower East Side, ale z pewnością zna wszystkich stręczycieli, bo płacą mu przecież haracz.

– Czyli on będzie wiedział – zauważyłam.

– Molly! Co ci przed chwilą mówiłem?! – krzyknął, a jego głos odbił się echem od więziennych murów.

– To co mam robić?! – też zaczęłam krzyżeć. – Siedzieć spokojnie w domu i czekać, aż umrzesz? Spójrz tylko na siebie, Danielu. Ktoś musi cię stąd wyciągnąć, bo ten tutaj chyba nie zamierza... – dodałam, spoglądając na Atkinsona, który opierał się o ścianę i uważnie nas obserwował.

Daniel bezradnie rozłożył ręce.

– Jeśli chcesz, pogadaj z trenerami koni, ale innymi sprawami się nie interesuj. Zrozumiano? – Przyłożył dłoń do ust, żeby powstrzymać kaszel. – Poza tym, tak jak powiedziałem, dopiero co zacząłem śledztwo. Niczego ciekawego nie odkryłem. I jeśli chcesz znać moje zdanie, uważam, że to będzie strata czasu. Przypadki, nad którymi ostatnio pracowałem, nie muszą mieć nic wspólnego z moim aresztowaniem. Sprawa otrutego konia to drobiazg, a tej drugiej właściwie nie zdążyłem zacząć.

– Nie wolno nam niczego lekceważyć – zauważyłam. – Brakuje mi konkretnych. Pojadę na Coney Island i sprawdzę te twoje wyścigi. Oprócz tego naprawdę nie potrafię wymyślić, co jeszcze mogłabym zrobić. Dowiedzieć się czegoś więcej na temat nowego komendanta i jego środowiska? To wszystko jest bardzo trudne, Danielu.

– Wiem. Ogromnie jestem ci wdzięczny za to, co dla mnie robisz – powiedział. – Jesteś wspaniała, Molly. Nie wiem, co bym bez ciebie począł. – Wyciągnął rękę w moją stronę.

Spleliśmy palce.

– Proszę nie dotykać więźnia. Narobicie mi kłopotu – powiedział Atkinson i ruszył w naszym kierunku. – Przy prowadząc tu pannę Murphy, wyświadczyłem panu nie lada przysługę.

– To jedyna rozsądna rzecz, którą do tej pory zrobiłeś, Atkinson – prychnął Daniel.

– Danielu, pan Atkinson stara się jak może. – Uznałam, że najlepszą taktyką w obecnej sytuacji będzie chwalenie adwokata. Doszłam bowiem do wniosku, że warto mieć w nim sojusznika. – Nie jest łatwo. Kręcimy się w kółko w tym śledztwie.

– Skoro pan Atkinson stara się jak może, mógłby nas na chwilę zostawić sam na sam – zauważył Daniel.

– Ryzykuję, przyprawiając ją tutaj – zaprotestował Atkinson. – Proszę ją puścić. Niech odsunie się od krat.

– Przestań, Atkinson. Pomyśl tylko... Co ona może zrobić? Poda mi ciastko z pilnikiem w środku? – zapytał Daniel.

Ręką dał znak, bym zbliżyła się jeszcze bardziej. Przez chwilę myślałam, że chce mnie pocałować, ale kiedy jego usta znalazły się tuż przy mojej twarzy, usłyszałam, jak szepcze:

– Uważaj na Atkinsona. Nie ufam mu. Nie wiemy, dla kogo pracuje.

Wymieniliśmy spojrzenia. Kiwnęłam głową.

– W takim razie do widzenia – powiedziałam i odsunęłam się od krat.

Powoli i niechętnie puścił moją rękę.

– Uważaj na siebie, Molly! – zawołał jeszcze za mną. – Nie rób żadnych głupot. Rozumiesz?

Kupiwszy kości cielęce i warzywa na rosół, wróciłam do domu gdzieś koło południa. Przy drzwiach znalazłam liścik

Molly, masz gościa, który nie zastał Cię w domu. Zaprosiłyśmy ją na lunch. Czekaj u nas.

Na dole widniał podpis – *Augusta*. Nieczęsto się zdarzało, by Gus używała swojego pełnego imienia. Zaintrygowana, przyczesałam włosy, obmyłam twarz i ogólnie doprowadziłam się do ładu, zanim zapukałam do drzwi przy Patchin Place 9.

– A, Molly, wróciłaś. Chodź. Jemy w ogródku sałatkę z soczewicy. – Sid powitała mnie tajemniczym uśmiechem. – Pewna młoda dama czeka tam na ciebie.

Weszłyśmy do kuchni skłapanej w południowym słońcu, a następnie do ogródka na tyłach domu. Na stoliku kawowym leżał obrus, Gus siedziała w jednym z bujanych foteli, a jakaś inna kobieta w drugim. Na dźwięk naszych głosów odwróciła się w moją stronę i wstała.

Arabella Norton! Nie do wiary! Nigdy wcześniej nie widziałam jej ubranej tak skromnie. Zwykle cała w różach, bielach i koronkach, dziś miała na sobie fioletowy kostium podróży, zapięty na ostatni guzik. Włosy zebrane na czubku głowy schowała pod kapelusik w kolorze nieco ciemniejszym niż ubranie, przybrany delikatną woalką i pawim piórem. Jak zawsze efekt końcowy był wspaniały, choć – zbyt zmieszana – nie mogłam się dokładnie przyjrzeć. W gruncie rzeczy gdyby odwiedził mnie sam diabeł, nie byłabym chyba aż tak zdziwiona.

– Panno Norton – wyjąkałam. – Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

– Ma pani urocze przyjaciółki, panno Murphy – odparła. – Zajmowały się mną z prawdziwym zaangażowaniem. Przepraszam, że odwiedzam panią bez zapowiedzi, ale to pilna sprawa, a na dodatek za tydzień wyjeżdżam z mamą do Europy.

– Ma pani jakieś informacje w sprawie Daniela?! – krzyknęłam.

– Nie, przepraszam – powiedziała. – Tak więc Daniel wciąż w więzieniu? Przykro mi. Chciałabym pomóc, ale nie wiem jak. Przyjechałam tutaj w zupełnie innej sprawie.

– Weź sobie krzesło, Molly. Zjedz z nami, a potem spokojnie porozmawiasz z panną Norton – zaproponowała Gus.

Nie miałam wcale ochoty na posiłek w takim towarzystwie, ale nie mogłam odmówić Gus, a Arabella dopiero zaczęła jeść. Usiadłam więc obok niej. Sid napełniła mój talerz brązową soczewicą i liśćmi sałaty, które nie wyglądały ani trochę apetycznie. Jak zareaguje na takie coś mój żołądek, w którym od kilkunastu godzin nic nie było? Zjadłam trochę chleba z masłem, bo uznałam, że to mi nie może zaszkodzić, a całą resztę schowałam pod liśćmi sałaty.

Sid i Gus spisywały się na medal. Sposób, w jaki prowadziły uprzejmą konwersację

z Arabellą, uświadomił mi, że wszystkie obracają się w tych samych kręgach. Wiedziały, co należy mówić i kiedy, a do tego miały wspólnych znajomych. Przetrawiałam posiłek, zwolniona z uczestnictwa w rozmowie. Jedynie od czasu do czasu grzecznie potakiwałam.

Kiedy jednak zaproponowano kawę po turecku, uznałam, że tego już za wiele.

– Jestem pewna, że panna Norton przed wyjazdem do Europy ma na głowie całą masę spraw do załatwienia – powiedziałam. – Rozumiem więc, że sprowadza tu panią coś naprawdę ważnego.

Szczerze mówiąc, pękałam z ciekawości. Skoro nie chodzi o Daniela, czego ode mnie chce Arabella Norton?

Zaprowadziłam ją do swojego domu i poprosiłam, by usiadła w fotelu. Wstawiłam w czajniku wodę na herbatę.

– Jeszcze raz muszę panią przeprosić za najście – powiedziała. – Pani przyjaciółki są urocze. Prawdziwe intelektualistki! I jakie kulturalne! Przy nich czułam się jak uboga krewna z prowincji. Nie ma to jak edukacja w Vassar. Tatuś nigdy nie chciał słyszeć o szkole dla kobiet. To człowiek starej daty. Uważa, że wszystkiego, co im potrzebne, kobiety uczą się w kuchni i poprzez obserwację swoich matek.

Miałam już dość tej gadki-szmatki. Moja ciekawość sięgała zenitu.

– Nie chcę pani pospieszać, panno Norton, ale nie sądzę, by pani wizyta miała charakter jedynie towarzyski. Skoro nie chodzi o Daniela, to, na litość boską, czemu się pani do mnie fatygowała?

– To bardzo delikatna sprawa, panno Murphy – odparła, ścisząc głos, mimo że byliśmy w domu zupełnie same. – Jest pani prywatnym detektywem, prawda?

– Tak prowadzę niewielką agencję detektywistyczną – odparłam.

– W takim razie potrzebuję pani pomocy. Oczywiście zważywszy na to, jak panią potraktowałam ostatnio, spodziewam się odmowy, więc od razu wyjaśnię, że nie przyszedł tu we własnej sprawie, tylko w sprawie swojej drogiej przyjaciółki.

Pomyślałam, że na jej miejscu nie zachowałabym się inaczej. Też starałabym się trzymać głowę wysoko. Przecież Daniel spotykał się z inną kobietą w tajemnicy przed narzeczoną. Nie zamierzałam jednak dzielić się z Arabellą takimi przemyśleniami. I tak miałam gotową wymówkę.

– Nie mogę teraz przyjąć żadnego zlecenia, panno Norton – powiedziałam. – Całe dni pracuję nad tym, by znaleźć dowody niewinności Daniela. Nie spocznę, dopóki nie dopnę swego.

– Ma szczęście, że jest pani wobec niego taką lojalną i oddaną po tym, jak nas obie potraktował – zauważyła.

– Bez względu na uczucia, jakie do niego żywię, nie mogę pozwolić, by zgnął w więzieniu. Oprócz mnie nie ma nikogo.

– Tym bardziej powinna mnie pani zrozumieć, panno Murphy. Nikt poza mną nic nie robi w sprawie mojej przyjaciółki. Muszę działać w jej obronie. Może wysłucha mnie pani do końca, a potem zdecyduje, czy jest w stanie jakoś mi pomóc, czy nie.

– Dobrze – zgodziłam się. – Proszę powiedzieć, o co chodzi.

– Ma na imię Letycja – zaczęła panna Norton. – Letycja Blackwell. Dorastałyśmy razem. Jej

rodzina ma większą posiadłość jedynie pół mili od naszej. W dzieciństwie bawiłyśmy się razem, zaręczyłyśmy się w podobnym momencie. Miałyśmy być druhniami na swoich ślubach.

Mówiąc to, odwróciła się na chwilę, ale zdążyłam zauważyć, że mocno zaciska wargi. Po raz pierwszy pomyślałam, że może wcale nie jest tak szczęśliwa po rozstaniu z Danielem.

– Trzy tygodnie temu stało się coś dziwnego. Letycja zniknęła. Zostawiła tylko liścik z informacją, że poznała młodego człowieka bez grosza przy duszy i że wyjeżdżają razem do Kalifornii, by tam szukać szczęścia.

– I co tak panią w tym niepokoi, panno Norton? Że młody człowiek jest bez grosza? Że nie pasują do siebie? Obawiam się, że w sprawach sercowych nawet najbliżsi przyjaciele potrafią nas zaskoczyć.

Potrząsnęła głową tak energicznie, że pomyślałam, iż kapelusik za chwilę wyląduje na podłodze.

– Nie, zupełnie nie o to chodzi. Gdybym wierzyła, że Letycja rzeczywiście się zakochała, z całego serca życzyłabym jej szczęścia.

Czajnik zagwizdał, więc wstałam, żeby zrobić herbatę.

– Chyba nie oczekuje pani ode mnie, że pojadę do Kalifornii szukać Letycji? – powiedziałam. – Obawiam się, że dla mojej małej agencji to zbyt duże zlecenie.

– Ależ, panno Murphy... Ja zupełnie nie wierzę w ten jej wyjazd.

– Nie rozumiem...

– To nie ma sensu. Znam Letycję jak nikt inny. Jest bardzo nieśmiała, nerwowa, zależna od innych. Pragnie, by wszyscy ją lubili. Poza tym uwielbia swojego narzeczonego. Całuje ziemię, po której on stąpa. Nie uciekłaby tak po prostu z innym mężczyzną bez słowa wyjaśnienia. To nie w jej stylu.

Pomyślałam, że być może Arabelli jest przykro, iż najlepsza przyjaciółka nie zwierzyła się jej ze swoich planów.

– Może bała się, że jeśli zdradzi, co zamierza zrobić, wszyscy będą chcieli ją odwieść od tej decyzji – podsunęłam ostrożnie.

– Jestem pewna, że mnie by powiedziała – odparła Arabella. – Albo przynajmniej dała jakiś znak. Spędzałyśmy razem sporo czasu. Nie potrafiła długo utrzymać tajemnicy, serce miała zawsze na dłoni. Gdyby rzeczywiście planowała ucieczkę, paplałaby o tym na okrągło i byłaby bardzo podekscytowana. Jednocześnie jest nieśmiała. Wątpię, by miała odwagę porwać się na coś takiego.

Postawiłam filiżankę na stole.

– W takim razie dokąd pojechała?

– Nie mam pojęcia. Obawiam się, że przytrafiło się jej coś złego.

– Dlaczego tak pani myśli?

– Przez Evangeline – odparła. – Kiedy byłyśmy małe, dostałyśmy pod choinkę podobne lalki. Ja nazwałam swoją Emily, a Letycja swoją – Evangeline. Nie rozstawała się z tą lalką, trzymała ją w łóżku. Nawet trochę się z niej śmiałam. Mówiłam: „Kiedy wyjdiesz za Cartera, lalka będzie musiała sypiać osobno”. A ona odpowiadała, że to Carter będzie się musiał przyzwyczaić. Kiedy

wesłam do pokoju Letycji po jej zniknięciu, okazało się, że lalka została.

– Może ten młody człowiek, z którym uciekła, nalegał, by mieli jak najmniej bagażu? Może pośle po lalkę, kiedy już się osiedlą.

Arabella znów pokręciła głową.

– Jest wiele znaków zapytania. Na przykład ubrania, które zabrała ze sobą, i te, których nie zabrała. Rozumiem, że pakowała się w pośpiechu, ale dlaczego wzięła sukienkę koktajlową, a nie wzięła pasującej do niej halki? Czemu zrezygnowała z solidnych butów? I dlaczego zostawiła bieliznę? Na pewno by się przydała. I nie zabrała też szlakułki z biżuterią. Jest pod bielizną, na swoim starym miejscu. Która kobieta zapomina o biżuterii? To jest tak dziwne, że przyszło mi do głowy, iż kto inny pakował rzeczy Letycji.

– Ale z jakiego powodu?

Pochyliła się nad stołem i szepnęła tak cicho, że ledwie ją słyszałam:

– Zastanawiam się, czy nie została porwana lub uprowadzona przez jakiegoś mężczyznę bez skrupułów.

– Znów zapytam o powód.

– Może ktoś miał chrapkę na jej fortunę? A może biedną Letycję spotkał przedwczesny koniec. Nie wiem... Wszystko, co mam, to niepewność i jakieś dziwne uczucie w żołądku. Nie potrafię tego wyjaśnić. Może pani uznać, tak jak wszyscy, że pomieszało mi się w głowie.

– O nie, panno Norton. My, Irlandczycy, bardzo wierzymy w szósty zmysł – odparłam. – Nigdy mnie nie zawiódł.

– Naprawdę?

– Tak. Zawsze gdy wyczuwałam zagrożenie, okazywało się ono prawdziwe. Proszę mi przybliżyć dokładne okoliczności zaginięcia Letycji.

Mówiąc to, byłam zła na samą siebie. Dlaczego ją zachęcam? Nie mam przecież czasu na dodatkowe zlecenie, a nawet gdyby było inaczej, Arabella Norton jest ostatnią osobą, dla której chciałabym pracować. Ale fakt, że zdecydowała się przyjść po pomoc właśnie do mnie, oznaczał, że musiała być bardzo zdesperowana. Na dodatek wiedziałam, co to znaczy śmiertelnie się o kogoś niepokoić.

– Tak jak wspomniałam, minęły prawie trzy tygodnie. Miała przyjechać do miasta, by spędzić dzień z narzeczonym. Umówili się na dworcu. Dotarła na stację u nas na wsi, ale nie pojawiła się w Nowym Jorku. Carter czekał i czekał; myślał, że może przyjedzie kolejnym pociągami. Potem – jeszcze następnym. W końcu zatelefonował, żeby się dowiedzieć, czemu Letycja nie dotarła. Państwa Blackwellów nie było w domu; wyjechali na parę dni do przyjaciół, więc w posiadłości była tylko służba. Carter pojechał do White Plains szukać Letycji. Wtedy znaleźli ten liścik na poduszce i przeczytali, że uciekła do Kalifornii z młodym, biednym mężczyzną.

– Co się stało później?

– Carter szalał z rozpaczy. Rodzice Letycji wrócili do domu. Nie chcieli wzywać policji. Pragnęli oszczędzić wstydu sobie i Carterowi. Pani Blackwell była pewna, że córka odezwie się po paru dniach i że będzie błagać o przebaczenie i możliwość powrotu do domu. Ale tak się nie stało. To mi dało do myślenia. Uznałam, że dzieje się coś dziwnego. Jestem pewna, że Letycja w końcu

do kogoś by napisała – do mnie albo do rodziców. Była zawsze dobrą córką, nie chciałyby ich martwić. Cartera zresztą też. Nawet gdyby postanowiła, że za niego nie wyjdzie, nie potraktowałyby go w ten sposób. Napisałyby, tłumacząc swoje zachowanie. Jestem tego pewna.

– Mówi pani, że Carter rozpacza?

– Bardzo. Młodzi mężczyźni wkładają więcej wysiłku niż my, kobiety, w ukrywanie swoich uczuć, ale on zupełnie oszalał z rozpacz. Groził nawet, że pojedzie do Kalifornii i wyzwie tamtego na pojedynek. Carter to opanowany młody człowiek, dbający o maniery, więc widać wyraźnie, jak bardzo jest nieszczęśliwy. Nie bez powodu. Uwielbiał Letycję, a ona jego.

– Jakie kroki podjęto, by ją odnaleźć?

– Pytano na stacji w White Plains i na innych stacjach po drodze. Była nadzieja, że może ktoś widział, jak wysiadała. Ale nikt niczego nie pamiętał.

– Czy jest możliwe, że w ogóle nie wsiadła do pociągu?

– Tak, choć szofer się zaklina, że tego dnia rano zawiózł Letycję na stację. Sprzedawca biletów twierdzi, że ją pamięta, ale mówi też, że miała woalkę, więc nie widział jej twarzy.

– To wygląda tak, jakby nie chciała, by ją ktoś rozpoznał – zauważyłam.

– Owszem.

– W takim razie logicznie byłoby przyjąć, że naprawdę planowała ucieczkę.

– Tak, ale wciąż nie mogę w to wierzyć. Okropnie się z tym czuję. Nie wiadomo, gdzie szukać śladów.

– Doskonale rozumiem – powiedziałam. – Mam takie same odczucia, jeśli chodzi o sprawę Daniela.

– No tak, biedny Daniel – odparła zupełnie zwyczajnie. – Może trzeba poprosić jego kolegów policjantów o pomoc? Przecież wszyscy go takuwielbiają!

– Uwielbiali. Teraz zwrócili się przeciwko niemu. Ktoś rozsiał plotki, że Daniel to zdrajca.

– W takim razie ten ktoś zaciera teraz ręce z radości – powiedziała, spoglądając na mnie w zamyśleniu. – Musi się pani dowiedzieć, kto odwiedzał Daniela w więzieniu.

Popatrzyłam na nią z szacunkiem.

– To pani powinna być detektywem, nie ja, panno Norton.

Wzruszyła ramionami i obdarzyła mnie czarującym uśmiechem.

– Taka jest ludzka natura, prawda? Kiedy dokuczałam młodszemu bratu, a on przeze mnie popadał w tarapaty, robiłam wszystko, żeby potem zobaczyć, jaką dostanie karę. Na tym polega zabawa. Jak pani widzi, nie byłam zbyt miłym dzieckiem.

– Dla młodszego rodzeństwa nigdy nie jesteśmy miłe – zgodziłam się. – Ja musiałam po śmierci mamy sama wychowywać trzech braci. To nie było łatwe zadanie.

– Domyślam się – powiedziała Arabella.

Przez chwilę nic nie mówiłam, rozkoszując się chwilą. Kto by pomyślał, że kiedykolwiek ja i Arabella Norton będziemy siedziały razem i prowadziły serdeczną rozmowę... Życie nigdy nie przestanie mnie zaskakiwać!

Zdecydowałam się do końca wykorzystać tę szczególną atmosferę.

– Jestem pani bardzo wdzięczna, panno Norton. A gdybym poszła jeszcze o krok dalej tropem pani myśli i zadała pewne dość bezzcelne pytanie...

Kiwnęła głową.

– Odpowiem, jeśli będę umiała.

– Jedyłą osobą, która wydaje się czerpać przyjemność z kłeski Daniela, jest pan Partridge, komendant policji. Zna go pani może?

– John Partridge? Znajomy ojca. Nie należy do bliskiego grona przyjaciół, ale go poznałam. Dziwny człowiek, można by rzec. Nie podobał mi się sposób, w jaki kiedyś się ze mną przywitał. Zbyt obcesowo wziął mnie za rękę. Czy podejrzewa pani, że to on za tym wszystkim stoi?

– Przyszło mi to do głowy.

– Ale jaki mógłby mieć powód?

– Zastanawiałam się... Pomyślałam sobie... – zaczęłam ostrożnie. – Że może wyświadcza pani rodzinie przysługę.

– Przysługę? Mojej rodzinie?

– Daje Danielowi nauczkę za to, że panią zdradził.

– Cóż za okropny pomysł! – powiedziała, oblewając się rumieńcem.

– Przepraszam. Nie znam pani rodziny i nie chciałam nikogo urazić.

– Szczerze mówiąc, moja rodzina odetchnęła z ulgą, kiedy zerwaliśmy zaręczyny. Więc nawet jeśli komendant Partridge zaplanował aresztowanie Daniela, zrobił to w swoim imieniu.

– W takim razie uważnie mu się przyjrzyć – odparłam. – Ale dziękuję jeszcze raz, panno Norton. Przynajmniej podsunęła mi pani jakąś myśl i odnowiła nadzieję, że mogę wyciągnąć Daniela z tego okropnego miejsca.

– Czy tam rzeczywiście tak źle go traktują? – zapytała cicho. – Jak zwykłego kryminalistę?

– Niestety, tak. Przebywa wśród najgorszych rzeźmieszków, którzy cieszą się z jego trudnej sytuacji, bo przecież doskonale wiedzą, kim jest. Jeden z nich mocno go uderzył i Daniel ma teraz siniaki na twarzy. Obawiam się, że następnym razem, ktoś użyje noża.

– Biedny Daniel. Byłam na niego bardzo zła i przyznam się pani, że kiedy usłyszałam o więzieniu, poczułam swego rodzaju satysfakcję. Ale naprawdę nie życzę mu źle. Mam nadzieję, że z pani pomocą wyjdzie na wolność.

Ku własnemu przerażeniu poczułam, że po policzku płynie mi łza. Spośród tych wszystkich dziwnych rzeczy, które wyrabiało ostatnio moje ciało, ta była najbardziej krępująca. Otarłam łzę po kryjomu, mając nadzieję, że Arabella niczego nie zauważyła.

– On i ja w ogóle do siebie nie pasowaliśmy – powiedziała, ostrożnie łyknąwszy herbaty. – Mimo ogromnych starań swoich rodziców nigdy nie należał do tej samej klasy społecznej co ja. Nie połączyła nas również miłość. Ja byłam głupim siedemnastoletnim podlotkiem, a Letycja właśnie ogłosiła swoje zaręczyny. Nie mogłam pozwolić, by była ode mnie lepsza, więc postanowiłam zdobyć Daniela. Był przystojny i tworzyliśmy bardzo atrakcyjną parę. Ale chyba nigdy nie byłam z nim szczęśliwa. Na pierwszym miejscu stawiał pracę. Poświęcał jej cały swój czas i energię. A kiedy w końcu byliśmy razem... cóż, zachowywał się jak zimna ryba. Nie było między nami czegoś, co nazywa się namiętnością. Mam nadzieję, że w waszym przypadku

jest inaczej.

Poczułam, że się rumienię.

– Nie mogę powiedzieć, że Daniel jest w stosunku do mnie zimną rybą – odparłam zgodnie z prawdą.

– Czy myśli pani, że kiedyś się pobierzecie?

– Nie mogę sobie nawet pozwolić na myślenie o przyszłości, panno Norton. Teraźniejszość przygnębia mnie i przytłacza. Całą swoją energię poświęcam Danielowi. Dziękuję pani jeszcze raz za odpowiedź i nadzieję.

– Szkoda, że pani nie może mnie pocieszyć, jeśli chodzi o moją przyjaciółkę.

– Co konkretnie miałybyśmy zrobić w tej sprawie?

– Chciałybyśmy poznać prawdę – odparła. – Dowiedzieć się, dokąd pojechała Letycja.

– Proponuję, by państwo Blackwellowie skorzystali z usług jakiegoś prywatnego detektywa w Kalifornii.

– Miałam nadzieję, że pozwoli się pani zabrać do ich domu i na własne oczy zobaczy pokój Letycji. Pani pewnie by wiedziała, o co pytać ludzi na stacji i jaksię zachować...

– Jaksy lko znajdę czas, postaram się pomóc – odparłam. – Domyślam się, co pani czuje...

– Owszem. Bardzo chciałabym zacząć działać, ale nie wiem jak. Muszę panią o coś zapytać, panno Murphy. Teraz, kiedy poznała pani historię Letycji, jak pani myśli, co się mogło przytrafić mojej przyjaciółce?

– Trudno powiedzieć, ale skoro napisała, że wyjeżdża z jakimś młodzieńcem bez grosza przy duszy, sprawdziłabym, gdzie się poznali. Zastanowiłabym się również, jakie stosunki panowały w domu państwa Blackwellów i jakie inne domy odwiedzała Letycja.

– Sprawdziłam, co mogłam – odparła. – Oczywiście żadna ze znanych nam rodzin nie przyjmuje u siebie ubogich młodzieńców. Nie słyszałam też, żeby ostatnio zniknął w okolicy jakiś ogrodnik, nauczyciel czy opiekun. A Letycja nie miała w zwyczaju sama jeździć konno albo na zakupy w miejsca, gdzie mogłaby kogoś takiego poznać. Miała dobre maniery, a na dodatek po prostu bała się poruszać samodzielnie.

– Skoro została porwana, tak jak pani przypuszcza, gdzieś musiała poznać tego mężczyznę.

– Nie mam pojęcia, chyba że... – Przerwała nagle i podniosła wzrok znad filizanki. – Nigdy o tym wcześniej nie myślałam, ale jej matka udziela się charytatywnie i pomaga urządzać dom dla imigrantów. Czasem zabierała ze sobą Letycję, więc możliwe, że tam się poznali.

– Niewykłuczone – odparłam. – I to jest akurat coś, co mogę sprawdzić.

Rozpromieniła się.

– Wiedziałam, że to dobry pomysł, by tu przyjść.

– Niczego nie mogę obiecać – powiedziałam. – Ale mam przyjaciół, którzy pracują w takich domach. Zapytam. Czy ma pani może przy sobie zdjęcie Letycji?

– Tak mam – powiedziała, otworzyła torebkę i wyjęła zdjęcie w ramce.

Fotografia przedstawiała dwie panienki w bujanych fotelach, między którymi leżał biały piesek. Jedna z dziewcząt miała dołeczki w policzkach, druga – bledsza i trochę mniej wyraźna –

blond włosy zebrane czarną opaską, spływające miękko na ramiona. Wyglądała zupełnie jak z ilustracji pana Tenniela w mojej ulubionej książce *Alicja w Krainie Czarów*.

– To zdjęcie zostało zrobione pięć lat temu, kiedy opuszczałyśmy szkołę pani Marchbank – powiedziała Arabella. – Ale chyba się nie zmieniliśmy. Oprócz tego, że Letycja nosi teraz upięte włosy.

– Są bardzo jasne – zauważyłam. – Trudno nie zapamiętać takiej osoby.

– Tak Ma wspaniałe włosy – stwierdziła Arabella. – Kiedy je upina, wygląda, jakby miała na głowie złotą koronę. Wszyscy mówią, że przypomina jakąś świętą ze starych obrazów.

– Ciekawa jestem, jak kontaktowała się z tym mężczyzną – powiedziałam. – Wie pani może, czy ostatnio otrzymała jakąś pocztę?

– Dla mnie to tajemnica. Letycja nie należy do osób bardzo towarzyskich, a wszyscy jej przyjaciele mieszkają w sąsiedztwie. Jestem pewna, że rodzina zwróciłaby uwagę, gdyby dostawała listy od kogoś, kogo nie znała.

– Wie pani, o czym myślę, panno Norton? – zapytałam. – Mówiła pani, że to cicha, spokojna dziewczyna. Trochę szara myszka. Kiedy byliście razem, prawdopodobnie to na pani koncentrowała się uwaga towarzystwa, prawda?

– Obawiam się, że tak – odparła, a na jej twarzy mimowolnie pojawił się delikatny uśmiech.

– Może więc chciała zwrócić na siebie uwagę. Może pragnęła, by narzeczony bardziej się zaangażował. Chciała być bardziej tajemnicza... Nie sądzi pani, że odegrała dramatyczne przedstawienie, a teraz chowa się gdzieś u przyjaciółki w domu i czeka na moment tryumfu?

– Ach! – Arabella zakryła usta dłonią. – Nigdy o tym nie pomyślałam, ale pani może mieć rację. To by nawet pasowało do Letycji.

– Mogę pokazać jej zdjęcie w kilku hotelach w mieście. Popytać tu i ówdzie.

– To byłoby bardzo miłe z pani strony.

– Kiedy wyjeżdża pani do Europy?

– W przyszły poniedziałek. W piątek znów będę w mieście, bo mam do odebrania nową garderobę od krawcowej. Zatrzymam się u swojej matki chrzestnej, panny Van Woekem, więc wie pani, gdzie mnie znaleźć.

– Ponieważ skupiam całą uwagę na sprawie Daniela, nie mam zbyt wiele czasu.

Podniosła z kolan torebkę.

– Powinam wpłacić pani zaliczkę. Tak chyba się robi, prawda?

– Nie trzeba, panno Norton. – Powstrzymałam ją gestem dłoni. – Nie czułabym się z tym dobrze. Naprawdę nie potrafię powiedzieć, w jakim stopniu będę mogła poświęcić się tej sprawie ani jakie są szanse, że do czegoś dojdę. Obiecuję, że zrobię co w mojej mocy, ale nie jest łatwo poruszać się po mieście w taki upał jak teraz.

Przez cały ten czas, kiedy rozmawiałyśmy, czułam się coraz gorzej. Teraz w brzuchu zaczęła się prawdziwa rewolucja. Szybko wypilałam herbatę, mając nadzieję, że ciepły płyn ukoi mój żołądek, ale efekt był zupełnie odwrotny.

– Najmocniej panią przepraszam, panno Norton, ale muszę iść na kolejne spotkanie –

powiedziała i pomogła jej wstać. – Jestem zaszczycona, że obdarzyła mnie pani zaufaniem. Mam nadzieję, że moja praca przyniesie jakieś efekty.

– Jeśli tak się stanie, będę pani dozgonną dłużniczką. – Żarliwie złapała mnie za rękę. – Nie mogę spokojnie odpłynąć do Europy, nie wiedząc, co się stało z moją przyjaciółką. To zepsuje mi całe wakacje.

Starałam się grzecznie wyrwać z jej uścisku. Jakimś nadludzkim wysiłkiem udało mi się w końcu odprowadzić ją do drzwi i podziękować za wizytę.

– Zna pani mój numer telefonu, prawda? I adres panny Van Woelam?

– Oczywiście, panno Norton.

– Jest pani bardzo miła, panno Murphy. Przepraszam, źle panią oceniałam. – Znów wzięła mnie za rękę.

– A ja panią – odparłam jeszcze, za co otrzymałam delikatny pocałunek w policzek.

Kiedy w końcu zamknęłam za nią drzwi, natychmiast jak strzała pognałam do toalety, gdzie długo wymiotowałam.

Kiedy w końcu torsje minęły, oparłam się o zimną ścianę łazienki i odczekałam, aż przejdą również zawroty głowy. Czy mogę mieć jeszcze wątpliwości? Przecież to oczywiste! Wróciła panika, którą jakiś czas udawało mi się utrzymać w ryzach. Jak zdołam pracować, skoro wciąż czuję się słabo? Kobiety w Irlandii rodziły dzieci, ale nie wydawały się aż tak schorowane. Przypomniałam sobie własną matkę, która w sumie była w pięciu albo sześciu ciążach. Niektóre zakończyły się poronieniem, trzy – narodzinami moich braci. Ale aż do momentu rozwiązania normalnie wykonywała wszystkie domowe prace.

Stałam przez chwilę, ledwo łapiąc oddech i czując, jak ogarnia mnie strach. Jestem na rozdrożu – pomyślałam. Nie poradzę sobie sama. Bez względu na to, jak bardzo przeraża mnie rozmowa z Sid i Gus, powinnam zwierzyć się przyjaciółkom. Zdecydowałam, że jeszcze tego samego popołudnia pójde i wszystko im opowiem. Teraz potrzebuję chwili odpoczynku i odświeżenia. Zdjęłam sukienkę, za pomocą gąbki opłukałam się zimną wodą, a potem wyciągnęłam na łóżku. Chłodzący, lekki powiew wpadał przez okno. Panował spokój. Staralam się zasnąć, ale myśli wciąż galopowały.

Zastanawiałam się, co zrobię, jeśli mój stan się pogorszy i będę musiała się oszczędzać. Przecież mam być silna i zakończyć powierzone mi zadanie. Wyciągnięcie Daniela z więzienia to dla mnie najważniejsza sprawa. Usiadłam i zaczęłam spokojnie rozważać sytuację. Przynajmniej Arabella podsunęła mi jeszcze jeden kierunek działania. Trzeba sprawdzić, kto mógłby być zadowolony z upadku Daniela. Może jest ktoś, kto pofatygował się do więzienia, żeby na własne oczy zobaczyć go w takim stanie. Poczułam się zawstydzona. Nie jestem chyba dobrym detektywem, skoro wcześniej sama na to nie wpadłam. Te myśli na powrót zmotywowały mnie do pracy. Zesłam na dół, wyciągnęłam pióro i papier i zanotowałam: *Dowiedzieć się, kto odwiedzał Daniela w więzieniu lub tylko o niego pytał. Pojechać na Coney Island. Dowiedzieć się czegoś o wyścigach. Porozmawiać z policjantami, którzy przejęli sprawy po Danielu. Upewnić się, czy dzieje się coś w śledztwie dotyczącym Rozpruwacza z East Side.*

Na dodatek mam teraz jeszcze coś innego na głowie. Nieroztropnie obiecałam Arabelli, że będę pokazywać zdjęcia jej przyjaciółki w pensjonatach i hotelach, w których mogłaby się zatrzymać samotna młoda dziewczyna. Jak znajdę na to wszystko czas i energię?

Poczułam się tak przygnębiona, że siedziałam dłuższą chwilę ze wzrokiem wlepionym w kartkę papieru i po raz pierwszy od dawna pomyślałam, że może lepiej by mi było w Irlandii.

Z pewnością każdy dzień oznaczałby ciężką fizyczną pracę, pranie, gotowanie, trzepanie chodników i czyszczenie butów z błota. Ale byłabym tam bezpieczna i wiedziałabym, co mnie czeka. Po chwili przyszła jednak refleksja – przypomniałam sobie, z jakiego powodu stamtąd uciekałam. Przecież nigdy nie byłabym tam bezpieczna!

– Dość rozczulania się nad sobą! – powiedziała na głos, co zabrzmiało tak, jakby m usłyszała

własną matkę.

Jeszcze raz popatrzyłam na listę. Jutro jest niedziela – stwierdziłam. Połowa dolnego Manhattanu pojedzie na Coney Island. Może ja też powinnam... Uznałam, że trudno będzie przekonać Atkinsona, by wkrótce znów zabrał mnie do Katakumb, więc napisałam dwa listy. Jeden był bezpośrednio do Daniela, drugi do jego adwokata, ale w obydwu zadawałam to samo pytanie: Kto składał Danielowi odwiedziny? Kto się nim interesował? Dodatkowo postanowiłam również pójść do strażników w więzieniu i spytać ich o to samo. Uznałam, że muszę także się dowiedzieć, kto tak naprawdę zatrudnił adwokata. Postanowiłam, że spróbuję porozmawiać z sekretarką, kiedy szefa nie będzie w biurze, albo – co byłoby jeszcze lepsze – przejrzeć papiery. Tego jednak nie było sensu robić w sobotnie popołudnie. Jeśli nawet biuro jest dziś otwarte, to i tak pewnie zamkną je w połowie dnia.

Włożyłam dwa listy do kopert, nakleiłam znaczki i zdecydowałam, że przynajmniej wybiorę się na pocztę. Kiedy przechodziłam obok domu Sid i Gus, dopadły mnie wyrzuty sumienia. Wciąż odkładałam rozmowę z przyjaciółkami, a przecież w końcu powinnam im powiedzieć prawdę. Wymyślałam sobie tysiące powodów, by tego nie robić. Po co? Dlaczego tak się boję? Są wyrozumiałe, mają w nosie to, co wypada. Prawdopodobnie ucieszą się i od razu wsłuchają w rolę kochających ciotek. Jednak intuicyjnie czułam, że zmienią zdanie na mój temat, a ja też bardzo się wstydziałam swojej słabości.

Zdecydowałam, że tak czy siak im powiem. Jeśli szybko tego nie załatwię, będą mi miały za złe, że tak długo trzymałam rzecz w tajemnicy. Poza tym Bóg jeden wie, jak bardzo potrzebowałam teraz wsparcia. Zajdę do nich w drodze powrotnej do domu – postanowiłam – a tymczasem pomyślę, jak najlepiej całą tę historię ubrać w słowa...

Jak zwykle w sobotnie popołudnie, w mieście panował radosny nastrój. Ci, którzy w soboty pracowali tylko do dwunastej, robili właśnie zakupy. Przede mną szła rodzina: najpierw dziarskim krokiem maszerowała dwójka dzieci, zostawiając rodziców w tyle, a każde z nich trzymało w ręku dorodną pomarańczę. Rodzice z rozczuleniem patrzyli na radość swoich pociech. Kiedy cała czwórka doszła do Szóstej Alei, mąż wziął żonę pod rękę i pomógł jej przejść przez ulicę. Wtedy zauważyłam, że kobieta spodziewa się jeszcze jednego dziecka. Szybko ich minęłam. Wydawało mi się, że z każdej strony dopada mnie przeznaczenie.

Właśnie wyjmowałam z torebki klucz do domu, kiedy otworzyły się drzwi naprzeciwko i stanęła w nich Sid z rękami na biodrach.

– A gdzieżeś ty była, spryciaro? – zapytała. Przez moment myślałam, że pyta poważnie, ale potem zobaczyłam błysk w jej oku. – Gus i ja wprost umieramy z ciekawości, żeby usłyszeć, czego od ciebie chciała ta przebiegła Arabella. Czeakałyśmy cierpliwie, aż do momentu, kiedy uznałyśmy, że na pewno już wyszła, a potem zobaczyłyśmy, że i ty czmychnęłaś bez słowa, wystawiając nas na męki potwornej niepewności. Zostaw torebkę w domu i natychmiast do nas przyjdź. Zrozumiano? To polecenie. Poza tym będziesz zadowolona, bo mamy gości, których widok cię ucieszy.

– Znów macie gości? Ojej, co za dzień! – odparłam, zastanawiając się nerwowo, kto to może być, ale po wizycie Arabelli Norton nic już nie powinno mnie zaskoczyć.

Sid przyglądała mi się uważnie, jak odkładałam torebkę, a potem – podejrzewając być może,

że jednak zawrócę do domu – kiedy przechodziłam przez ulicę.

Gus przywitała nas w holu.

– Znalazła się w końcu!

– Słyszałam, że znów macie jakichś gości – zauważyłam.

– Owszem, co za dzień! Prawie zemdłaliśmy z wrażenia, kiedy Arabella się nam przedstawiła. Oczywiście byśmy cię obroniły, gdyby miała złe zamiary, ale zapewniła od razu, że nie chowa urazy i przyszła prosić o pomoc.

– To prawda, chce, bym pomogła jej odnaleźć zaginioną przyjaciółkę – powiedziałam.

– Może i my mogłybyśmy się na coś przydać – zaproponowała Gus, a jej śliczna buzia aż się rozjaśniła na samą myśl. – Wydaje się, że mamy z panną Norton mnóstwo wspólnych znajomych, prawda, Sid?

– To prawda – odparła Sid. – Powiedz nam tylko, co mamy robić, a będziemy do twoich usług.

– Wspaniale! Zastanawiałam się właśnie, jak znaleźć czas na to zlecenie.

– To się świetnie składa, bo zawsze marzyliśmy o pracy detektywów. Poza tym chciałybyśmy mieć na ciebie oko podczas niebezpiecznych akcji – dodała Gus. – Wchodź dalej i udziel nam instrukcji.

– Mówiłyście przecież, że macie gości.

– Też z przyjemnością posłuchają – stwierdziła Gus, a potem pochyliła się i szepnęła: – Ryan przywodził nowego przyjaciela.

– Czy Ryan ciągle nosi te szaty buddyjskie? – zapytałam, kiedy Gus prowadziła mnie do ogródka na tyłach domu.

– Nie, ubiera się już zupełnie normalnie. Jak angielski dżentelmen, no... może raczej irlandzki.

– Oczywiście, że irlandzki. Masz jakieś wątpliwości? Może chcesz dostać po głowie? – odezwał się męski głos.

Sid zachichotała.

– Zobacz, kogo znaleźliśmy, Ryane.

Zatrzymała się obok bujanych foteli, w których wypoczywali dwaj mężczyźni.

Szklane drzwi były otwarte na ogród. Na plecionym stoliku stał duży dzbanek ponczu, a obok wazon z różami. Sielski obrazek, zwłaszcza w centrum miasta!

Panowie wstali.

– Molly, byłem niepokojony, kiedy zapukaliśmy do twoich drzwi, a ciebie nie było – powiedział Ryan i podszedł, żeby pocałować mnie w policzek – Tyle opowiadałem Fritzowi o swoich wspaniałych przyjaciółkach, że aż zapragnął wszystkie je natychmiast poznać. Pozwólcie, że was sobie przedstawię: panna Murphy, a to mój nowy przyjaciel Fritz Birnbaum, doktor Fritz Birnbaum, prosto z Wiednia.

Spojrzałam na równo przystryżoną jasną brodę, na bladą cerę i jasne oczy, na nienaganny strój.

– Doktorze Birnbaum! Panno Gaffney! – wykrzyknęliśmy oboje dokładnie w tym samym momencie.

– Gaffney? – spytał Ryan.

– A więc państwo już się znają. Co za niespodzianka! – zauważyła Sid. – Molly, nalej sobie ponczu.

– Doktor Birnbaum i ja poznaliśmy się w Adare, w posiadłości senatora Flynnna nad rzeką Hudson – wyjaśniłam. – Niestety, w najmniej przyjemnym czasie dla domowników.

– To prawda, biedna pani Flynn. Czuję się winny. Żałuję, że nie potrafiłem zrobić nic, by ją uratować. – Doktor posługiwał się nienaganną angielszczyzną, choć z silnym niemieckim akcentem.

– Wszyscy byśmy sobie tego życzyli, doktorze Birnbaum – odparłam.

– Ale pani była jej kuzynką... dobrze pamiętam?

– Niezupełnie – powiedziałam. – Jak już pan zapewne wie, nazywam się Molly Murphy. Jestem prywatnym detektywem. Zostałam wysłana do posiadłości państwa Flynnów w roli kuzynki senatora.

– *Mein Gott!* Czyli już wcześniej było wiadomo, że coś tam jest nie tak..

– W Adare rządziło kłamstwo. Trudno powiedzieć, co było wiadomo – zauważyłam dyplomatycznie. – Modłę się teraz, by rodzina Flynnów wreszcie odnalazła spokój.

– Przyłączam się do pani modlitw – odparł Birnbaum.

– Nie mówmy już o smutnych sprawach – poprosił Ryan, podnosząc rękę w eleganckim geście. – Dzisiaj pragnę spędzić dzień wśród przyjaciół, w pogodnej atmosferze.

– W takim razie zmieńmy temat. Molly, pewnie wiesz, że doktor Birnbaum jest prawdziwym alienistą – zagadnęła Sid.

– Tak, wiem. Przyjechał do Adare, by uzdrowić Theresę Flynn.

– Opowiada interesujące rzeczy o żądach, które zawładnęły Rozpruwaczem z East Side – powiedziała Gus. – Włos się jeży na głowie.

– Naprawdę? – Starałam się opanować emocję w głosie. – I do jakich wniosków pan dochodzi, doktorze? Czy jest pan w stanie opisać, kim może być ten człowiek?

– Na pewno nie jest to ktoś, kogo sobie pani wyobraża, panno Murphy. W Wiedniu przeprowadzałem badania na ten temat razem z moim mentorem, doktorem Freudem. Na co dzień seryjni mordercy rzadko sprawiają wrażenie zdeprawowanych i agresywnych. To często przedstawiciele wyższych sfer. Są specjalistami w swoich zawodach, nierzadko prawdziwymi filarami społeczeństwa.

– Filarami społeczeństwa? I korzystają z usług prostytutki? – zapytała z niedowierzaniem Gus.

– Być może nie płacił tym dziewczynom za to, co zwykle oferują. To jego metoda walki ze złem i karania grzeszników – zauważyła Sid.

Birnbaum pokiwał głową.

– Rzeczywiście jest taka możliwość, panno Goldfarb. Ale jestem raczej skłonny przypuszczać, że jego postępowaniem kierują okrutniejsze pobudki. Byłaby pani zdziwiona, panno Walcott, jak wielu z pozoru statecznych mężczyzn, żonatych z paniami z towarzystwa, szuka cielesnych przyjemności poza domem.

– Domyślam się – odparła Gus. – Ale przecież to nie oznacza, że od razu zabijają te, które im tych przyjemności dostarczają.

– W życiu codziennym tacy mężczyźni często muszą tłumić swoje emocje. Za to w środku wzbiera ogień agresji. Pierwsze zabójstwo jest zwykle dziełem przypadku, ale dostarcza im takiej ekscytacji, że muszą ten czyn powtórzyć. I wówczas potrzeba zabijania staje się coraz silniejsza; zaczyna działać jak narkotyki.

– Ale przecież, żeby tak się obejść z kobietą, jak to opisują w gazetach, trzeba być okrutnym i bez serca – dodała Sid.

– Jest kilka powodów, dla których oprawca ćwiartuje ciało ofiary – zauważył doktor Birnbaum, energicznie skubiąc swoją starannie przystryżoną blond brodę. – Ale obawiam się, że to nie jest dobry temat do rozmowy w towarzystwie dam. Nie chciałbym, żeby panie zaczęły mdleć.

Sid i Gus tylko się zaśmiały.

– Miło mi pana poinformować, doktorze, że patrzy pan na trzy kobiety, które nigdy w życiu nie zemdlały. Co więcej, panna Murphy prowadziła śledztwa w najbardziej podejranych częściach miasta. Proszę kontynuować, nic nam nie będzie.

– A więc dobrze. – Birnbaum pociągnął łyk ponczu. – W moim odczuciu sprawca ćwiartuje ciało z dwóch powodów. Gdy ofiara jeszcze żyje, robi to, bo wstydzi się i nie chce, by na niego patrzyła. Natomiast po zabójstwie musi utrudnić identyfikację.

– Ciekawe – zauważyłam. – Jak pana zdaniem jest w tym przypadku?

– Nie znam jeszcze szczegółów. Dopiero w zeszłym tygodniu dowiedziałem się o sprawie i natychmiast przyjechałem, by zaproponować swoje usługi policji. W poniedziałek spotykałem się z oficerami odpowiedzialnymi za śledztwo. Mam nadzieję, że wtedy dowiem się więcej.

Zanotowałam ten fakt w głowie. Gdyby to było możliwe, najchętniej osobiście towarzyszyłabym doktorowi. Trzeba pomyśleć, jak poruszyć ten temat.

– W jaki sposób będzie pan w stanie ocenić, czy ofiary żyły, czy nie, kiedy ćwiartowano ich ciała? – zapytała Sid.

– Wiele zależy od tego, ile było krwi. Jeśli ofiara już nie żyła, serce nie pracowało i nie pompowało krwi. Nawet z ran na twarzy nie wypłynęłoby jej dużo. Natomiast w sytuacji, gdyby rany zostały zadane jeszcze za życia, twarz byłaby po prostu krwawą maską.

– O rety! – powiedziała Gus, przykładając dłoń do ust. – Chyba jednak nie jestem taktwarda, jak myślałam. Może lepiej pójść podlać kwiaty w ogrodzie.

– Już nie będziemy o tym rozmawiać, droga Gus – wtrącił szybko Ryan. – Lepiej opowiem wam o mojej nowej sztuce, którą Fritz pomaga mi napisać.

– Znowu piszesz? – zapytałam.

– Tak, ale nikomu o tym nie mówię, oprócz zaufanej grupy przyjaciół. Nie chcę, by ktoś znowu ukradł mi temat. To będzie tragikomedya z elementami gotykimi – z luster będą wychodzić ręce, podłoga będzie się nagle otwierać i pochłaniać ofiary. Publiczność uwielbia takie sztuczki! A bohaterem jest okrutny lekarz. Jego postać to zasługa Fritza, który opowiedział mi pewną historię z życia wziętą.

– Z życia wziętą? Doktorze, prosimy podzielić się nią również z nami.

– Dobrze. Opowiem państwu, kiedy po raz pierwszy miałem do czynienia z seryjnym zabójcą – odparł doktor, przyglądając się nam z tą specyficzną intensywnością. – To był lekarz, osoba wykonująca zawód zaufania publicznego. Najpierw otruł swoją jędzowatą żonę i to mu się upiekło. Potem ożenił się dla pieniędzy i pozbył się również drugiej żony. Następnie z wielkim zaangażowaniem korzystał z wiedzy medycznej, by wykańczać swoich pacjentów. Czerpał z tego przyjemność. Chętnie siadał przy łóżku delikwenta i udawał troskliwego doktora, który robi wszystko, by pomóc. Rodziny dziękowały mu z całego serca i obdarowywały kosztownymi prezentami.

– A jak wpadł?

– Był zbyt pewny siebie. Zaczęło mu przeszkadzać, że jest poza wszelkimi podejrzeniami, i ryzykował coraz bardziej. W końcu złapano go na gorącym uczynku, kiedy akurat podawał pacjentowi śmiertelną dawkę morfiny.

– To fascynujące – odezwała się Gus.

– Też tak uważam – uśmiechnął się do nas Ryan. – Właśnie ten lekarz pojawi się na scenie, dodam mu tylko parę cech, które sam wymyśliłem. Może nawet zagram jego rolę. Od zawsze marzyłem, żeby być prawdziwie okrutnym.

– Nigdy nie przestaniesz nas zaskakiwać, Ryane – powiedziała Sid, patrząc z uśmiechem na mnie i na Gus.

– W istocie, mam taką nadzieję. Gdybym przestał, stałbym się nudny i zwyczajny jak cała reszta ludzkości. Jeśli to kiedykolwiek nastąpi, nie pozostanie mi nic, jak tylko rzucić się z mostu Brooklyńskiego.

– Odstawiasz prawdziwy teatr. – Doktor Birnbaum mrugnął do mnie porozumiewawczo.

– Szczerze mówiąc, nasza konwersacja inspiruje mnie coraz bardziej. Tak sobie myślę, że może ten mój paskudny doktor powinien zwabiać do swojego buduaru prostytutki. Stanowią ciekawszy temat niż chorzy, prawda? A w każdym razie są bardziej sprawne – zauważył Ryan.

– Nie podoba mi się to, co mówisz, Ryane – nie wytrzymałam. – Jak możesz lekko traktować ten temat, skoro to wszystko dzieje się naprawdę? prostytutki są na samym dole drabiny społecznej, ale to czyjeś córki i siostry. Kiedyś miały marzenia i liczyły na lepsze życie niż to, które przypadło im w udziale.

– Oto głos prawdziwego zaangażowania społecznego – powiedział Birnbaum i zakłaskał. – Wspaniale pani to ujęła, panno Murphy.

– Molly, nie zdawałam sobie sprawy, że jesteś taką społecznicą – zauważyła Sid.

– Ja sama mogłam skończyć dokładnie tak jak te dziewczęta. Kiedy tu przyjechałam, nie miałam dokąd pójść. Gdybym zamiast na panie z Towarzystwa Biblijnego trafiła na innych ludzi, kto wie, gdzie byłabym teraz?

– Znając ciebie, każdy sutener skończyłby z podbitym okiem i szybko doszedł do wniosku, że za dużo z tobą kłopotu – podsumował Ryan.

Wszyscy parsknęli śmiechem i atmosfera się rozluźniła.

– Kochani moi – dodał po chwili. – Wpadłem właśnie na fantastyczny pomysł... Nie, nie patrzcie na mnie w ten sposób, nie będę was już niczym straszyl. Może urządzimy sobie dziś

wieczorem piknik w Central Parku? Król muzyki marszowej, pan Sousa, daje darmowy koncert, a wiecie przecież, że uwielbiam instrumenty dęte. Budzą we mnie duszę żołnierza.

– Duszę żołnierza? – Sid wybuchnęła śmiechem. – Ty kiedykolwiek chciałeś wstąpić do wojska?

– Zawsze przychodzi mi to do głowy, kiedy patrzę na wysokich młodzieńców w czerwonych mundurach – odparł Ryan i znów wszyscy zaczęli się śmiać.

Po raz pierwszy od dawna perspektywa wspólnej eskapady w ogóle mnie nie cieszyła. Obawiałam się, że znów dostanę mdłości i słabo poczuję się w tłumie, zwłaszcza że wieczory były parne.

– Przepraszam, ale nie mogę do was dołączyć – powiedziałam.

– Nie ma mowy. Bez ciebie nie będzie zabawy – zaprotestował Ryan.

– Molly, nie wykręcaj się. Nalegamy – dodała Sid, grożąc mi palcem. – Nawet nie myśl o tym, żeby pracować w sobotę wieczorem.

– Nie czuję się najlepiej – spróbowałam jeszcze raz.

– W takim razie dobra muzyka i odpowiednie towarzystwo postawią cię na nogi – zdecydował Ryan. – Pomyśl, jak będzie pięknie! Wyciągniemy się na trawie pod gołym niebem, będziemy sączyć szampana i objadać się ostrymi.

– Wydawało mi się, że jesteś buddystą, Ryane – powiedziałam. – A ostrzygi to żywe stworzenia. Żyją nawet wtedy, gdy je połkasz.

– Rzeczywiście, Molly, masz rację. Co ja sobie w ogóle wyobrażam! – powiedział Ryan z udawanym przerażeniem na twarzy. – Robię poprawkę. Będziemy sączyć szampana i pojadać dobry francuski ser z chrupiącym chlebem. Chyba wolno mi jeść chleb, prawda?

– Tak, ser też jest raczej dozwolony – odparła Sid z uśmiechem.

– No to na co czekamy? Biegiem do sklepu, zanim zamkną. Gdzie dostaniemy dobrze zmrożonego szampana?

– Jak na kogoś, kto od miesiący nie pracuje, wydajesz się osobą majątną – zauważyłam.

Ryan oblał się rumieńcem.

– Mam hojnych przyjaciół. A Fritz też uwielbia bąbelki.

Nic nowego – pomyślałam. Ryan znów znalazł sobie przyjaciela z pieniędzmi, który zapewni mu życie na odpowiednim poziomie.

Podczas gdy wszyscy w podnieceniu biegali po domu, ja stałam niezdecydowana. Kiedy ostatnio byłam ze znajomymi na pikniku albo słuchałam dobrej muzyki? Bardzo dawno temu. Taki wieczór pozwoli mi na chwilę zapomnieć o wszystkich troskach.

O dziwo, czułam się bardzo dobrze. Nawet smakował mi ser i chleb z chrupiącą skórką, a potem rarytasy na deser – winogrona i figi. Sączony powoli szampan działał kojąco na mój żołądek. Leżałam sobie spokojnie na trawie i obserwowałam gwiazdy. Dopiero kiedy w tłumie innych spacerowiczów wracaliśmy do domu, przypomniałam sobie, że mam misję do spełnienia, i podeszłam do doktora Birnbauma.

– Zastanawiam się, czy jest taka możliwość, żeby zabrał mnie pan ze sobą na spotkanie

z policjantami w poniedziałek – powiedziałam cicho.

– Mój Boże, panno Murphy! – odparł zaskoczony. – Nie wiem, czy to dobry pomysł. Będziemy rozmawiać o tych najgorszych rzeczach.

– To ma związek ze sprawą, nad którą obecnie pracuję – wyjaśniłam. – Szczegóły dotyczące Rozpruwacza z East Side mogą mieć znaczenie dla mojego klienta, który siedzi w więzieniu. Obiecuję, że nie będę się wtrącać. Może mogłabym być pańską asystentką albo studentką Uniwersytetu Wiedeńskiego?

– Może... jeśli to dla pani naprawdę takie ważne – powiedział w zadumie i przyjrzał mi się uważnie. – Pracuje pani przy sprawie związanej z Rozpruwaczem z East Side? To chyba nie jest odpowiednie zajęcie dla kobiety...

– Mój bliski przyjaciel siedzi w więzieniu. Został niesłusznie oskarżony – odparłam. – Robię wszystko, żeby wyszedł na wolność.

– Czyżby podejrzewali, że to on jest Rozpruwaczem? – Birnbaum spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Nie, ale zajmował się tą sprawą. Ktoś mi zasugerował, że chodzi o to, by zbyt szybko nie rozwiązać tej zagadki.

– Interesujące – odparł doktor. – Ale czy nie może pani po prostu porozmawiać z jego kolegami? Po co uciekać się do takich forteli?

Pokręciłam głową.

– Ktoś rozpowszechnia na jego temat dziwne plotki. Koledzy się od niego odsunęli. A ci, którzy jeszcze tego nie zrobili, oficjalnie go nie poprą, bo boją się o swoje stanowiska. To dla mnie dobra okazja, doktorze. Obiecuję, że jeśli zabierze mnie pan ze sobą, nie zrobię nic głupiego i nie zawiodę pańskiego zaufania.

– Jestem tego pewien, panno Murphy. Kiedy poznaliśmy się w posiadłości senatora, zrobiła pani na mnie wielkie wrażenie. Wprawdzie to wbrew moim zasadom, ale w tym jednym szczególnym przypadku pozwolę pani być moją asystentką.

– Dziękuję! – krzyknęłam. – Kusi mnie, by pana objąć, ale nie zrobię tego, bo co by sobie ludzie pomyśleli...

– Mam nadzieję, że nasze wspólne spotkanie z policjantami również wprawi panią w radosny nastrój.

– Też mam taką nadzieję.

Doszliśmy do wyjścia z parku, a tłum rozszedł się w różne strony – do powozów i tramwajów. Ryan i doktor Birnbaum zachowali się jak prawdziwi dżentelmeni i odwieźli nas do domu, a następnie odprowadzili pod same drzwi. I tak wieczór się skończył, a ja znów nie zwierzyłam się Sid i Gus ze swojej tajemnicy. Ale im więcej o niej myślałam, tym mniej chciałam ją zdradzać. Postanowiłam najpierw udowodnić niewinność Daniela i tym samym wy dostać go z więzienia, a dopiero potem zająć się swoimi sprawami.

Następnego dnia była niedziela. Obudziło mnie bicie kościelnych dzwonów i przez chwilę leżałam wsłuchana w dźwięki, które tak bardzo przypominały mi dom. Jak ja dawno nie byłam w kościele! Uświadomiłam sobie, że mam ogromną potrzebę, żeby pójść tam właśnie teraz i pomodlić się o cud. Kto bardziej niż ja i Daniel potrzebuje dziś modlitwy?

Ubrałam się i poszłam do kościoła Świętego Józefa przy Szóstej Alei, zaledwie parę kroków od domu. Mijałam tę świątynię wiele razy, ale – wstyd się przyznać – nigdy nawet nie zajrzałam do środka. Ledwie przestąpiłam próg, zaraz ogarnęły mnie chłód i ciemność. Akurat trwała msza. Cichy głos księdza i ostry zapach kadzidła nadawały miejscu dziwny, nierealny charakter. Przez szkło witraży wpadały promienie słońca i kładły się na podłodze kolorowymi plamami. Ukłękłam w pustej ławce przy drzwiach i zaczęłam się modlić. Tak dawno tego nie robiłam! Przypominałam sobie wersy z dzieciństwa. Wyszepiałam *Ojcze nasz* i *Zdrowaś Mario*, ale słowa, które wypowiedziałam, nie wydały mi się wystarczające. Czy ja naprawdę wierzę w to, co mówię?

– Jeśli jesteś, Boże, tam na górze i naprawdę mnie słyszysz, potrzebuję teraz Twojej pomocy – wymamrotałam.

– Albowiem zapłatą za grzech jest śmierć – powiedział nagle ksiądz z ambony.

Wstałam jak oparzona. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam? Zgrzeszyłam. Zasłużyłam na karę. To przecież takie proste! Wybiegłam z kościoła, nie oglądając się za siebie.

Dzisiaj moim celem była Coney Island. Postanowiłam, że spróbuję się skupić tylko na tym i będę trzymać w ryzach wszystkie niepokojące myśli. Na moście Brooklyńskim wsiadłam do zatoczonego tramwaju i dopiero na peronie w Brooklynie, czelając na pociąg, zdałam sobie sprawę, na co się porwałam. Raz czy dwa byłam nad morzem w lecie, ale nigdy podczas weekendu. Dziś chyba połowa Manhattanu wpadła na ten sam pomysł co ja. Na peronie stało mnóstwo ludzi! Kiedy pociąg w końcu nadjechał, zostałam do niego wepchnięta razem z falą pozostałych pasażerów. Nie zdołałam zająć miejsca, więc stałam ściśnięta jak sardynka między chudym chłopcem z lizakiem w ręku a potężną Włoszką, od której czuć było czosnkiem i dawno niemytym ciałem. Zamknęłam oczy i postarałam się odciąć również zmysł węchu. Wyobrażałam sobie, że biegnę klifami u siebie w Irlandii, czując w nozdrzach zapach wodorostów.

Tylko siłą woli udało mi się wytrzymać podróż i dojechać do stacji Brighton Beach. Wsiadłam z pociągu i stanęłam u szczytu metalowych schodów. Z daleka widać było morze. Ludzie wyłali się ze stacji wielką falą. Zeszłam na bok, kiedy w pośpiechu mnie mijali. Staralam się trzymać mocno poręczy. Wszyscy z pewnością spieszyli na plażę i do wesołego miasteczka. Słyszałam odgłosy rozmów zagłuszane przez dźwięki liry korbowej; ludzie przekrzykiwali się, co rusz pytając innych o drogę. Po chwili cały tłum zniknął. Na peronie oprócz mnie został tylko

pracownik stacji, młody chłopak o smutnej twarzy, który zajął się teraz sprzątaniami śmieci przed kolejną inwazją podróżnych.

– Przepraszam szanownego pana – powiedziałam, choć był młodszy ode mnie i nie zasługiwał na takie tytuły. – W którą stronę na wyścigi?

Obrzucił mnie wzrokiem.

– Dzisiaj nie ma wyścigów, proszę pani. Za gorąco dla koni.

– Ale gdzie jest to miejsce, w którym się odbywają? Chcę tylko na nie zerknąć.

Smarknął, wytarł nos rękawem koszuli i chwilę pomyślał.

– Są trzy. Sheepshead tam, Gravesend w przeciwnym kierunku i Brighton, naprzeciwko Bebechów, po drugiej stronie torów.

Brighton – pomyślałam. Daniel wymienił Brighton.

– Tor wyścigowy Brighton jest blisko?

– Tak jak powiedziałem. Po drugiej stronie torów, naprzeciwko Bebechów.

Daniel ostrzegł mnie przed tym miejscem – przypomniałam sobie, ale po chwili pomyślałam, że przecież w biały dzień nic mi się nie stanie. Podziękowałam młodemu człowiekowi, który dotknął czapki i znacząco popatrzył na moją torebkę, tak jakby myślał, że za byle ruszowanie należy się zapłata. Obdarzyłam go jedynie uśmiechem, a następnie przeszłam pod rozstawianiem kolejki nadziemnej.

Bez problemu dotarłam na miejsce i od razu się domyśliłam, czemu Daniel mnie ostrzegał. W barach było tłoczno nawet w niedzielę rano. Najwyraźniej policja nie wprowadziła tu prohibicji. Na wół rozebrane dziewczęta oparte na gankach i schodach patrzyły na mnie wrogo, a ich opiekunowie siedzieli na ulicy, grali w kości i żuli tytoń. Ten i ów zerknął na mnie z zainteresowaniem. Odwdzięczyłam się spojrzeniem pełnym obrzydzenia i przyspieszyłam kroku. Między burdelami i barami były tanie hoteliki, kawiarnie i stoiska z jedzeniem. Uniosłam spódnice, żeby jej nie zabrudzić. Wkrótce znalazłam się w nieco bardziej cywilizowanej okolicy. Z daleka zauważyłam jakąś monumentalną budowlę, a kiedy podeszłam bliżej, okazało się, że oto stoję przy wejściu na teren wyścigów. Wielkie wrota były zamknięte, więc okrążyłam ogrodzenie i na tyłach pawilonu znalazłam mniejszą drewnianą furtkę. Pchnęłam ją i weszłam do stajni. Dwa czy trzy konie spojrzały na mnie z zainteresowaniem, ale ludzi tu nie było.

Już miałam się poddać i wyjść, kiedy usłyszałam kroki na kamiennej podłodze i zza rogu wychylił się stajenny, który niósł niewielkie siodło. Na mój widok mało nie wypuścił go z rąk

– Co pani tutaj robi? – warknął. – Wstęp wzbroniony. Proszę natychmiast wyjść.

– Chciałabym tylko o coś pana zapytać – powiedziałam. – Chodzi o konia, który padł parę tygodni temu podczas wyścigów. Pamięta pan? Był spory skandal.

– A co panienka ma do tego?

Szybko zaczęłam szukać w myślach jakiegoś pretekstu.

– Zajmuję się dziennikarstwem. Piszę o koniach.

Popatrzył na mnie wzrokiem bez wyrazu.

– Nic o tym nie wiem. Proszę wyjść.

– To może chociaż mi pan powie, gdzie znajdę kogoś, kto coś wie na ten temat – poprosiłam. – Szef się wścieknie, jeśli jutro przyjdę do pracy z niczym.

– Troszkę się panienska spóźniła – zauważył. – Wszyscy reporterzy już tu dawno byli. I policja też. Robili dochodzenie.

– Ale niczego się nie dowiedzieli – zauważyłam, uśmiechając się chytrze. – My mamy pewne nowe spojrzenie na tę sprawę.

– Tak?

– Nic więcej nie mogę powiedzieć. Ale wysłano mnie, bym przepytala ludzi, którzy tu pracują.

– Straciłbym robotę, gdybym powiedział, co o tym myślę. Kazano nam trzymać gębę na kłódkę, szczególnie w obecności dziennikarzy.

– Trudno – odparłam. – W takim razie poszukam kogoś innego. Szef obiecał przyzwoite pieniądze, jeśli przyniosę dobrą historię. Oczywiście pańskie nazwisko nigdzie nie padnie.

Spojrzał spode łba.

– Ile?

Po raz kolejny w życiu zdziwiłam się, że cały świat jest tak przekupny. Poza Danielem oczywiście.

– Niczego nie mogę obiecać, ale szef jest bardzo hojny. Powiem panu coś. Jeśli dostanę za ten artykuł premię, chętnie się nią z panem podzielę. Słowo honoru.

– W porządku – odparł. – Nazywam się Jerry. Jerry Jameson. A pani?

Wyciągnął do mnie rękę. Szybko przypomniałam sobie ostatni pseudonim, jaki wymyśliłam na potrzeby rozmowy z komendantem Partridge'em.

– Panna Delaney. Mary Delaney. – Potrząsnęłam jego dłonią. Palce miał powykrzywiane i szorstkie jak gałęzie drzewa. – Tak więc, panie Jameson, nic pan nie wie o tym zajściu? Przecież ono miało miejsce właśnie tutaj...

Zerknął na mnie z ukosa.

– Nie powiedziałem, że nic nie wiem – wymamrotał. – Wszyscy wiedzieliśmy, o co chodzi.

– Ten koń nie padł śmiercią naturalną?

Prychnął.

– Oczywiście, że nie. Był zdrow jak ryba. Widziałem na własne oczy, bo towarzyszyłem mu podczas ćwiczeń. Ballyhoo Bay. Jeden z dwóch lub trzech faworytów. Dosiadał go wtedy Ted Sloan. Najlepszy z najlepszych. Właściciele pozostałych koni wiedzieli, że nie mają szans.

– Więc myśli pan, że to sprawa właścicieli innych koni? – zapytałam.

Wzruszył ramionami.

– Kto to wie? Teraz jest tu spokojnie i cicho, ale w dniu wyścigów to miejsce wygląda zupełnie inaczej. Trenerzy, dzokaje i dziennikarze latają jak opętani. Bez trudu ktoś się mógł dostać do boksu Ballyhoo i dodać mu coś do obroku. I nawet jeśli niektórzy wiedzą, kto to zrobił, nie puszcza pary z ust. Nie chcemy stracić pracy.

Spróbowałam z innej strony.

– Podobno mógł to zrobić niezadowolony dżokej, który szukał zemsty.

Stajenny splunął przez zęby.

– Ma pani na myśli Billy’ego Hughesa? Owszem, to on miał dosiąść Ballyhoo, ale w ostatniej chwili właściciel zmienił zdanie i wynajął Teda Sloana. Podobno postawił niezłą sumkę na swojego konia i chciał mieć pewność, że jej nie straci.

– Czy to możliwe, by Billy Hughes otruł konia? Czy mógł się tu kręcić, nie wzbudzając niczyjego podejrzenia?

– Zniknął od razu po wyścigach – przytaknął Jerry. – Mówią, że pojechał na zawody do Santa Monica w Kalifornii.

Kolejna osoba, która rzekomo przebywa w Kalifornii – pomyślałam. Czyżby dżokej i młodzieniec bez grosza przy duszy, który uwiódł Letycję, to ta sama osoba? Muszę sprawdzić, czy dziewczyna lubiła zawody jeździeckie – postanowiłam.

– Czy pana zdaniem Billy Hughes mógł się do czegoś takiego posunąć?

Chwilę się namyślał, po czym odparł:

– Z pewnością się wściekł, ale też bardzo kochał swoje konie. Nie rozumiem, dlaczego miałyby pozbawić życia jedno z najwspanialszych stworzeń, jakie kiedykolwiek widziałem. Poza tym gdyby wyszło na jaw, co zrobił, już nigdy więcej nie mógłby pracować na wyścigach. Zbyt duże ryzyko, jeśli chce pani znać moje zdanie. I po co? Raptem jeden koń mniej do ujeżdżania.

– A co z tym dżokejem, który w końcu dosiadł Ballyhoo? Ted Sloan, dobrze zapamiętałam? Gdzie go znajdę?

– Może już wyszedł ze szpitala – powiedział stajenny. – Złamał nogę, bo ten koń mu ją przygniótł. Słyszałem, że chłopak dochodzi do siebie w posiadłości właściciela w Hamptons.

– Jeśli to nie Billy Hughes, tylko właściciel innego konia, któremu zależało na wygranej, kto panu przychodzi do głowy? – zapytałam.

Znów przyjrzał mi się uważnie.

– Wygrał syndyk. Kilku dżentelmenów sprowadziło konia z Irlandii. Nazywa się Duma Killarney. Całkiem niezły, ale daleko mu według mnie do czempiona. Nie ma tego czegoś. Ballyhoo to co innego, wygrał derby w Brighton jakiś czas temu, potem jeszcze inne biegi. Pan Whitney zarobił na nim sporo pieniędzy. Może z nim warto porozmawiać. Ma fioła na punkcie tego wypadku, wynajął nawet detektywa.

– Mówił pan, że policja także prowadzi śledztwo.

– Policja! – prychnął. – Policja i ci goście od syndykatu to kumple. Ona siedzi im w kieszeni.

– Wie pan może, kto konkretnie należy do syndykatu?

Pokręcił głową.

– Proszę mnie nie pytać. Znam większość właścicieli, bo przychodzą tu często, a swoje konie traktują jak dzieci. Nie zaprzęgam sobie głowy ludźmi, którzy koni potrzebują tylko po to, by zarabiać na nich pieniądze, i mają gdzieś, co się z nimi dzieje. Za przeproszeniem, panienko.

Kiwnęłam głową na znak, że mu wybaczam.

– Czy wszyscy wiedzieli, że jeśli Ballyhoo zostanie wyeliminowany, to Duma Killarney

wygra?

– Nie. Miał szczęście, moim zdaniem. Najpierw prowadził koń, który nazywa się Marzenie Sułtana. To jego typowałem na zwycięzcę. Nie miał jednak tyle sił, by w tym skwarze utrzymać się do końca na pierwszej pozycji.

– A czy ma pan jakiegokolwiek podejrzenia?

– Ja? Nie. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, kto mógł skrzywdzić Ballyhoo. Wszyscy go kochali. Miał dobry charakter, a jego galop to była czysta poezja. Już samo to, że mogłem go wyczesać, uważam za zaszczyt. Nigdy mnie nie kopnął jak niektóre konie.

Miałam wrażenie, że nasza rozmowa prowadzi donikąd, i już nie wiedziałam, o co jeszcze warto zapytać.

– Żadnych dowodów nie znaleziono, prawda?

Pokręcił głową.

– Policja przeszukała stajnie i niczego nie znalazła. Moim zdaniem Billy Hughes był zły na właściciela, że ten sprowadził innego dżokeja. Nie chciał pewnie zrobić koniowi krzywdy, ale postanowił go trochę spowolnić, by mieć pewność, że wygra ktoś inny. Kiedy koń padł, Billy się przestraszył i uciekł do Kalifornii.

Mnie również ta wersja wydarzeń wydała się logiczna.

– Dobrze, dziękuję za pomoc, panie Jameson. Przypilnuję, żeby dostał pan egzemplarz pisma, jeśli mój szef zdecyduje się opublikować artykuł. A jak jeszcze da mi za to jakąś premię, z pewnością się nią z panem podzielę – powtórzyłam.

Mówiąc to, poczułam wyrzuty sumienia. Jako dziecko nawet za drobne mijanie się z prawdą musiałam płukać usta wodą z mydłem. Ale zaraz przypomniałam sobie, że Danielowi grozi niebezpieczeństwo. Mnie samej ponieważ też. Poza tym i tak już jestem potępiona, więc co znaczy kolejne drobne przewinienie?

Kiedy wyszłam ze stajni, zupełnie nie wiedziałam, co dalej robić. Skoro zawistny dzokiej uciekł do Kalifornii, jaki miałby interes w torpedowaniu śledztwa? Już bardziej można by o to podejrzewać wpływowch dżentelmenów z syndykatu, ale – jak podkreślił Jerry Jameson – ich koń po prostu miał szczęście. Nie było drugiego faworyta.

Mogę spokojnie wracać do Nowego Jorku – pomyślałam.

Kiedy mijalam ogrodzenie, zerknęłam za nie i zobaczyłam jakiś ruch na torze wyścigowym. Nie był to jednak stąpający koń, ale człowiek – wysoki i niezdarly, ubrany w podkoszulek i coś na kształt kalesonów, które owijały mu się wokół nóg, kiedy stawiał pokraczne kroki. Podszedł bliżej... i zamarłam z wrażenia. Przecież go znam! To Dżentelmen Jack Brady! Podbiegłam do ogrodzenia i zawołałam. Zatrzymał się, popatrzył, a potem uśmiechnął się na mój widok. Szybko podszedł do płotu.

– Przyjaciółka Daniela, prawda? Poznaliśmy się u niego w domu.

– Owszem, a zaraz potem dałam panu zlecenie. I co? – zapytałam surowo, bo złość wzięła w tym momencie górę nad strachem o Jacka. – Bardzo się o pana martwiłam. Dlaczego nie skontaktował się pan ze mną, kiedy przyszedł i nie powiedział, co się stało?

– Monk zabronił mi mówić, gdzie jestem. – Uśmiechnął się skruszony. – Obserwowała mnie policja. Monk powiedział, że dla własnego bezpieczeństwa powinienem opuścić miasto, i dlatego tu jestem. Wy najął mi ładny pokój w hotelu i zatrudnił trenera, który codziennie ze mną ćwiczy.

– To znaczy, że walka będzie?

– Wszystko jest już zorganizowane. – Rozejrzał się niespokojnie dookoła, mimo że byliśmy zupełnie sami. – W jakimś kasynie. Za tydzień. Proszę przekazać Danielowi, będzie zadowolony.

– Daniel wcale nie będzie zadowolony – odparłam. – Ciągłe siedzi w więzieniu i sprawy nie wyglądają najlepiej.

– No tak, przecież jest w tarapatkach. Czy mógłbym coś dla niego zrobić?

Najwyraźniej Jack zapomniał, że parę dni temu dostał ode mnie zadanie, by przepytać Monka. W tej sytuacji nie ma sensu prosić go o cokolwiek więcej – pomyślałam. Ale... czy coś tracę?

– Gdyby wpadł pan przypadkiem na człowieka imieniem Bugsy, który należy do bandy Monka, proszę go zapytać o kopertę. Muszę wiedzieć, kto mu ją dał i kto miał szansę wsadzić do niej pieniądze.

– Jaką kopertę? – Małpowata twarz Jacka zmarszczyła się z wysiłku.

– Chodzi o kopertę, przez którą Daniel siedzi teraz w więzieniu – powiedziałam. – Nieważne. Jeśli spotka pan Bugsy 'ego, proszę mu powiedzieć, żeby się ze mną skontaktował. Patchin Place dziesięć. Jest pan to w stanie zapamiętać? Może lepiej napiszę na kartce. Proszę mu powiedzieć, że to bardzo ważne. Od tego zależy życie Daniela.

Starannie kreśląc litery, zapisałam adres na kartce w notesie, który zawsze miałam przy sobie.

– Proszę. Buggy. Zapamięta pan?

– Postaram się, obiecuję, panienko.

Nie do końca wierzyłam w to, co mówi, ale w końcu uśmiechnęłam się i powiedziałam:

– Cieszę się, że jest pan cały i zdrowy, Jack. A jeśli wygra pan tę walkę, to, na litość boską, proszę już sobie dać spokój z boksem, bo w końcu głowa zupełnie odmówi panu posłuszeństwa.

– Ma pani rację, tak powinienem zrobić. Chodzi tylko o to, że w końcu chcę dostać jakieś pieniądze. Nigdy nie miałem do nich szczęścia.

– Proszę sobie za wygraną kupić mały domek i trochę kur.

Zaśmiała się.

– Kur? Widzi mnie pani przy kurach? Jeśli bym tylko wziął taką do ręki, od razu bym ją niechcący udusił. – Nagle uśmiech zniknął z jego twarzy. – Oczywiście nienaumyślnie. Po prostu jak się ma takie duże ręce i tyle siły...

Nie dokończył zdania.

– To gdzie pana znajdę w razie czego?

– Dokładnie tutaj. Hotel Brighton Beach. Widzi pani te wieżyczki? Prawdziwy hotel, prawdziwe miejsce dla ważniaków. Monk potrafi o mnie zadbać.

– Monk najwyraźniej zainwestował sporo pieniędzy w tę walkę – zauważyłam.

– O tak, wzbogaci się, jeśli wygram.

– Skoro tak, niech pan lepiej wraca do swoich ćwiczeń. Nie będzie zadowolony, gdy pan przegra.

– To prawda, muszę jeszcze zrobić trzy okrążenia, jeśli mam osiągnąć odpowiednią wagę – powiedział. – Miło było panią znów zobaczyć, panno...

– Murphy. I pana również. Proszę na siebie uważać.

– Niech pani koniecznie przyjdzie zobaczyć walkę – dodał jeszcze. – Załatwię pani bilety za darmo.

– To miło z pana strony – odparłam, choć raczej nie miałam ochoty oglądać, jak dwaj mężczyźni biją się do upadłego.

Jack pomachał mi wielką łapą, a potem wrócił do ćwiczeń. Poszłam w swoją stronę. Po chwili zdecydowałam, że skoro już jestem na Coney Island, powinnam zobaczyć miejsce, w którym odbędzie się walka. „W jakimś kasynie” – powiedział Jack. Spacer w powiewach morskiej bryzy na pewno dobrze mi zrobi – stwierdziłam.

Skierowałam się ku plaży, mijając okazałe wieżyczki hotelu Brighton Beach, który usytuowany był tuż przy pasażu. Modnie ubrane kobiety z parasolkami przeciwsłonecznymi przechadzały się w towarzystwie panów w słomkowych kapeluszach i bluzach w paski. Prezentowali elegancję w najczystszej formie i zaczęłam się zastanawiać, co tacy ludzie muszą sobie myśleć o Jacku Brady w tym jego dziwnym kostiumie do ćwiczeń. Jakies krzyki sprawiły, że odwróciłam się akurat w chwili, gdy grupka ludzi zjeżdżała na diabelskim młynie. Dawno temu, jeszcze w okresie, kiedy nie wiedziałam o istnieniu Arabelli, bawiłam się z Danielem w tutejszym wesołym

miasteczku. Przypomniałam sobie pęd powietrza, bliskość ukochanego, jego ramię, które mnie obejmowało. Westchnęłam i powędrowałam w stronę promenady. Panował tu ścisk nie do opisania. W ogóle nie dało się iść, tyle było ludzi. Przechadzały się zarówno całe rodziny, jak i matki z wózkami albo ze starszymi dziećmi na rękach, staruszkowie i zakochane pary. Wszyscy przyjechali tu, by spędzić miły dzień. Poczulałam się jak łosoś, który płynie pod prąd. Plaża za promenadą nie wyglądała wcale lepiej. Tu też było tylko morze ludzi. Nie bardzo widziałam sens w tym wszystkim. Po co uciekać z miasta w taki tłum? Myślałam powędrowałam nad ocean w Irlandii, gdzie uwielbiałam puste plaże, lachy wodorostów, fale rozbijające się o skały, mewy krążące nad głową i słoną bryzę, dzięki której wiedziałam, że żyję.

Ślałam dalej promenadą, mijając kolejne miejsca rozrywki – ogromne koło Ferris, karuzelę Flip Flap, która kręciła ósemki, zjeżdżalnię wodną z łódkami uderzającymi w wodę z ogromnym impetem.

Nagle doszedł mnie zapach jedzenia.

– Najlepsze kielbaski w mieście! – zachwalał jakiś mężczyzna, trzymając w ręku coś, co wyglądało jak bułka z kielbasą w środku.

Silna woń cebuli uświadomiła mi, że nie jadłam od dobrych paru godzin i że w każdej chwili mogą mnie dopaść mdłości. Zjrzałam do jednego ze straganów z jedzeniem, którymi usiana była promenada. Zjadłam kanapkę z serem i wypilałam lemoniadę. Nasycona, wyszłam i kontynuowałam poszukiwania kasy na, ale po jakimś czasie uznałam, że nie mam już siły iść dalej. Nie byłam w stanie dłużej znosić tego upału, zapachów i tłumu. Postanowiłam, że wrócę na Coney Island w dzień powszedni, kiedy będzie tu luźniej.

Rozejrzałam się i spostrzegłam, że jestem blisko molo, które wchodzi w głąb morza. Tuż obok stał pawilon z przebieralniami. Mewy wzbijały się w powietrze, kiedy ludzie wbiegali do wody. Obserwując konstrukcję molo i pawilonu, przypomniałam sobie, że ciało pierwszej prostytutki znaleziono właśnie tutaj. To kolejna rzecz, którą powinnam zbadać, ale nie teraz. O tej porze dnia nie znajdę ani żadnych dziewczyn, ani ich alfonsów. Trzeba by tu kiedyś przyjechać wieczorem, choć na samą myśl o samotnej późnej wyprawie na Coney Island zrobiło mi się nieprzyjemnie. Zeszłam schodami z promenady na ruchliwą ulicę, która ciągnęła się po prawej stronie. Pełno tu było straganów, piwiarni, budek z jedzeniem i pamiątkami oraz Bóg jeden wie czego. Nazwa ulicy brzmiała The Bowery, ale uznałam, że daleko temu miejscu do nowojorskiego oryginału.

W uszach brzęczała mi muzyka i nawoływanie handlarzy, którzy zaczepiali przechodniów.

– Spróbujcie szczęścia u Cioci Sally. Trzy piłki za centa! Nagroda za trafienie w kokos. Cuda Orientu, tancerki brzucha prosto z haremu szejka!

Ta ostatnia atrakcja brzmiała w równym stopniu odpychająco jak zachęcająco. Chyba wszyscy przyjeźdźni z Manhattanu poczuli to samo co ja, bo zauważyłam, że tłum zaczął się przemieszczać w dół ulicy do pawilonu egipskiego, gdzie miały występować księżniczki. Pod orientalnym zadaszeniem stał mężczyzna w turbanie i trzymał za uzdę prawdziwego wielbłąda. Tuż obok młoda dziewczyna w słupym stroju wyginała się w rytm muzyki. Trochę dalej, pod innym zadaszeniem, ustawił się polkacz ognia. Szyld oznajmiał, że jest to „amerykańska premiera teatru osobliwości”. Naganiaczem był karzeł przebrany za króla. Stał na beczce.

– Szanowni państwo, zapraszam do środka. Zobaczycie na własne oczy postacie, w których

istnienie trudno uwierzyć. Jest i kobieta-wąż, czyli pół kobieta, pół pyton, i najmniejszy konik świata, zaledwie dwunastocalowy. Zobaczycie przedziwne ludzkie drzewo z gałęziami zamiast członków i korą zamiast skóry. Jest z nami również słynny na świecie chłopiec-muł, który urodził się z głową muła i ludzkim ciałem.

Nie wiem, dlaczego ludzie chcą to oglądać – pomyślałam, wzdrygając się z obrzydzeniem. Wiele osób już ustawiło się w kolejce; płacili sporo za bilet i wchodzili do środka. Pozwoliłam, by tłum poniósł mnie dalej; przeszliśmy obok indyjskiego pawilonu, przy którym stał żywy słoń. Nigdy wcześniej nie widziałam tego stworzenia, więc zatrzymałam się na chwilę i przypatrywałam zwierzęciu, aż tłum porwał mnie dalej, gdzie z kolei napatoczyłam się na tancerki prosto z Moulin Rouge w Paryżu. Obrazek przed pawilonem przedstawiał dziewczynę w gorscie i ażurowych pończochach. Nic więcej na sobie nie miała. Wyrzucała nogę do góry w jakiś dziwny, nienaturalny sposób.

Idąc prawdziwą Bowery, zawsze czułam się bezpiecznie, ale tutaj było zupełnie inaczej, mimo że otaczała mnie masa ludzi. Czułam, że z ponurych alejek które dochodzą do głównej arterii, obserwują mnie typki spod ciemnej gwiazdy. Mocniej przycisnęłam torebkę i uznałam, że tego już za wiele. Miałam dość tych wszystkich dziwacznych atrakcji, spoconego tłumu, krzyzących dzieci i głośnej muzyki. Uznałam, że albo muszę stąd uciekać, albo zaraz zemdleję. Poszukiwanie kasy na trzeba odłożyć na inny dzień – postanowiłam. Przecisnęłam się dalej i trafiłam w bardziej wilizowane miejsce, na Surf Avenue, skąd było już tylko parę kroków do dworca.

W pociągu, który wiozł mnie z powrotem, miałam cały przedział dla siebie.

Poniedziałkowa poranna poczta nie przyniosła żadnych wieści ani od Daniela, ani od jego prawnika.

Włożyłam służbowy kostium, chociaż dzień zapowiadał się bardzo gorący. Skoro mam udawać asystantkę Birnbauma, powinnam wyglądać jak ktoś z wyższych sfer – zdecydowałam. Upięłam włosy i schowałam je pod kapeluszem. Szkoda, że nie mam jeszcze do kompletu drucianych okularów – pomyślałam. Nie byłam pewna, co pragnę osiągnąć ani czego mogę się dowiedzieć z planowanej rozmowy. Zobaczę przy najmniej, kim są detektywi, którzy przejęli śledztwo po Danielu, i – miejmy nadzieję – co udało się do tej pory ustalić. Muszę również wyczuć, czy współczują Danielowi, czy wręcz odwrotnie – postanowiłam.

Doktor Birnbaum czekał na mnie na rogu Canal i Mulberry. Miał dziś na sobie ciemny garnitur, a na głowie melnik. W każdym calu wyglądał jak lekarz.

– Panno Murphy. – Witając mnie, strzelił obcasami na europejską modłę i nisko się uklonił. – Mam pewne obawy związane z tym, co właśnie zamierzamy zrobić. Z jednej strony to wbrew zasadom mojej profesji, z drugiej – jestem pewien, że usłyszysz pani wiele rzeczy nieprzeznaczonych dla kobiecego ucha.

– Czy w pańskim szpitalu nie ma studentek, doktorze? – zapytałam.

– Jedna lub dwie, owszem. Ale zawsze wydawało mi się, że to nie jest odpowiedni zawód dla kobiet.

– A ja uważam inaczej – odparłam. – Czyż kobiety tak czy siak nie poświęcają życia, by opiekować się innymi? Czyż nie jest właściwe naszej naturze pomagać ludziom i ich uzdrawiać?

– Jeśli ujmemy to w ten sposób, to tak – Doktor pokiwał głową. – Ale nasza profesja też ma swoje ciemne strony: krew, infekcje, operacje, gangrena. Nie chciałbym, żeby na przykład moja siostra widziała rzeczy, które ja widziałem. A dzisiaj będziemy przecież rozmawiać o strasznych sprawach, o człowieku, który wielokrotnie molestował i okaleczał młode kobiety.

– Wytrzymam – powiedziałam. – Muszę wytrzymać. Jeśli mój przyjaciel umrze za kratami, będę go miała na sumieniu.

– W takim razie szczęściarz z niego, że ma taką oddaną i szlachetną przyjaciółkę – odparł Birnbaum.

Do jasnej ciasnej, to prawda, szczęściarz z niego – pomyślałam, ale nie wypowiedziałam tego na głos. Damy przecież nie wyrażają się w ten sposób!

Ramię w ramię poszliśmy Mulberry Street. Okna były pootwierane z powodu upału. Na parapetach wietrzyła się pościel, dzieci płakały, sąsiedzi rozmawiali ze sobą, krzyżąc przez ulicę, uliczni sprzedawcy zachwalali swój towar. Prawdziwa kałofonia dźwięków. Ja już prawie nie zwracałam na nią uwagi, ale dostrzegłam, że doktorowi ona przeszkadza.

– Tutejsze warunki życia są godne ubolewania – powiedział cicho. – Takie przeludnienie prowadzi tylko do chorób i przemocy. Jeśli wsadzi się za dużo szurków do jednej klatki, zaczynają się nawzajem zagryzać.

Popatrzyłam na niego i zapytałam:

– Czy w takim razie sądzi pan, że nasz seryjny zabójca stąd pochodzi? Może niekoniecznie jest przyjezdnym, który płaci prostytutkom za ich usługi, a potem je zabija?

Doktor wydawał się zdziwiony moją sugestią.

– Wszystko jest możliwe – stwierdził. – Chociaż morderca potrzebuje przecież przestrzeni i spokoju, by zabić, a następnie poćwiartować ofiarę. Na tych ulicach nie sposób zaatakować. Sama pani widzi, jaki ogromny ruch tu panuje. W przeludnionych mieszkaniach ludzie śpią na zmianę. Jestem pewien, że ci, którzy czuwają w nocy, coś by usłyszeli.

Zamilkł, kiedy dotarliśmy do kwadratowego budynku z cegły, w którym mieściła się główna kwatery policji.

– Dowiemy się więcej podczas rozmowy z policjantami. Na razie nie ma sensu spekulować.

Kiedy stanęliśmy w holu, dopadły mnie wspomnienia. Niektóre przyjemne, niektóre wcale nie. Przypomniałam sobie przesłuchania, kiedy wciąż byłam podejrzaną o zabójstwo na Ellis Island, a dochodzenie prowadził Daniel; potem swoje pierwsze spotkanie z Arabellą w biurze Daniela; następnie Daniela krzyczącego na mnie po moim pierwszym spotkaniu z Monkem Eastmanem. Daniel tak bardzo kojarzył mi się z tym miejscem, że prawie czekałam, iż za chwilę zbiegnie po schodach.

Zamiast niego wyszedł nam na spotkanie wysoki szatyn z równym przedziałkiem, o miłej, pełnej twarzy, ubrany w nienagannie skrojony letni garnitur. Nigdy w życiu nie przypuściłabym, że to policjant. Pędził schodami w dół, najwyraźniej bardzo czymś przejęty. Tuż za nim biegł drugi mężczyzna, który bardziej przypominał Daniela. Był przystojny, choć w pewien mroczny, posępny sposób. Wyglądał trochę tak, jak na rycinach przedstawia się poetów romantycznych. Miał na sobie ciemnoniebieski policyjny mundur, w którym było mu bardzo do twarzy.

– Doktor Birnbaum? – Pierwszy z mężczyzn wyciągnął rękę, jeszcze będąc na schodach. – Jak dobrze, że pan jest! Detektyw Quigley, a to mój kolega Jock McIver. Razem prowadzimy tę ponurą sprawę. Wyznaczono nas do niej z nadzieją, że coś zrobimy, zanim Lower East Side ogarnie panika, tak więc jakakolwiek pomoc czy analiza z pańskiej strony będzie bardzo cenna. Chociaż, niestety, znów stało się coś strasznego. Na Elizabeth Street znaleziono piąte ciało. Dziś z samego rana. Właśnie musimy z McIverem jechać do kostnicy. Może zechce nam pan towarzyszyć? Pańska opinia o tym, co zobaczymy, będzie dla nas bardzo istotna.

Doktor Birnbaum zakaszał nerwowo i odwrócił się delikatnie w moją stronę.

– Mam nadzieję, że to panom nie przeszkadza, ale jest ze mną moja asystentka. Będzie robić notatki. Panna...

– Fräulein Rottmeier – przedstawiłam się, skłaniając głowę w podobny sposób, jak to czynił mój mentor. – Z Wiednia. Studentka doktora Birnbauma.

Detektyw McIver patrzył na mnie z zaciekawieniem, ale wydawał się również trochę rozbawiony.

– Kobieta lekarz... – powiedział z niedowierzaniem.

Quigley smutno pokręcił głową.

– Bardzo mi przykro, *Fräulein*, ale absolutnie nie mogę pozwolić na to, by w kostnicy towarzyszyła nam młoda kobieta. Pani wykształcenie nie ma tu znaczenia. Ten widok będzie zbyt szokujący.

– Zapewniam pana, że nie należę do delikatnych kobiet – odparłam, siląc się na akcent jak najbardziej zbliżony do akcentu Birnbauma. Poprzedniego wieczoru trochę poćwiczyłam przed lustrem.

– Nieważne. Już sam fakt, że towarzyszy nam doktor Birnbaum, nie będzie dla pewnych osób łatwy do przełknięcia – kontynuował Quigley. – Przepraszam, *Fräulein*. Jestem pewien, że doktor zda pani później dokładną relację. Panowie pozwolą, czeka na nas powóz.

W elegancki i poważny sposób skinął głową. McIver wciąż patrzył na mnie z zainteresowaniem. Czyli to o tych dwóch opowiadał mi Daniel... Sumienni policjanci, ambitni i niezbyt chętni, by w sprawie kolegi nadstawiać karku. Byłam wściekła, że nie pozwolili mi pojechać do kostnicy i zadać paru pytań, choć jednocześnie poczułam też pewną ulgę. Nie miałam stuprocentowej pewności, czy mój żołądek zniósłby to, co mogłabym tam zobaczyć.

– Czy ta kobieta została zamordowana w taki sam sposób jak poprzednie ofiary? – usłyszałam, jak Birnbaum pyta Quigleya, zrównując się z nim na schodach.

– Chyba tak. Niestety, obydwaj mieliśmy wczoraj wolne, a ciało już dawno zostało zabrane do kostnicy.

– Jedyna różnica jest taka, że ta ofiara jeszcze chwilę żyła – powiedział McIver, ścisząc głos, jakby nie chciał, żebyśmy usłyszała, o czym rozmawiają.

– Żyła? Czy morderca był tak brutalny jak poprzednio?

– Chyba tak – odparł McIver. – Oficer, który przybył na miejsce, wspomniał, że wciąż oddychała. Pojechał z nią do najbliższego szpitala.

– Była w stanie powiedzieć coś o napastniku?

– Niestety, nie – wymamrotał McIver. – Powiedziała tylko parę słów i umarła. Dla niej tak lepiej.

Wyszli na ulicę i Quigley pstryknął palcami na stojący w pobliżu czarny policyjny powóz.

– Opowiem pani wszystko, *Fräulein* – obiecał Birnbaum, odwracając się do mnie.

– Oczywiście, doktorze.

Sklonił głowę, stuknął obcasami i wszedł do pojazdu. Sfrustrowana, patrzyłam, jak odjeżdżają. Kolejna sytuacja, w której to moja pleć decydowała, czy mogę coś zrobić, czy też nie. Dwaj detektywi nawet nie zadali sobie trudu, by zapytać, czy jestem w pełni kwalifikowanym lekarzem, choć nie sądzę, by miało to dla nich jakiegokolwiek znaczenie. Do ich męskiego świata po prostu nie miałam wstępu.

Opuściłam główną kwatery policji i bez celu zaczęłam się przechadzać Mulberry Street. Nawet nie wiedziałam, gdzie zatrzymał się Birnbaum. Po prostu muszę cierpliwie czekać, aż się do mnie zgłosi, a każdy wie, że cierpliwość nie jest moją mocną stroną, o ile w ogóle mam jakieś mocne strony. Potem doszłam do wniosku, że przecież mogę sama obejrzeć miejsce zbrodni. Skoro ciało

zostało zabrane do szpitala, może znajdę na ulicy jakieś ślady?

Zawróciłam i poszłam Broome Street w stronę Elizabeth. Dopiero kiedy tam dotarłam i zastanawiałam się, czy skręcić w prawo, czy w lewo, zadałam sobie pytanie, co w ogóle robię. Nie jestem przecież policjantem prowadzącym dochodzenie. Chwytam się wszystkiego jak tonący brzytwy, mając nadzieję, że znajdę jakieś powiązanie między Danielem a człowiekiem, który postanowił go zniszczyć.

Elizabeth Street nie cieszyła się dobrą opinią, choć w porównaniu z Mulberry i Canal, gdzie zawsze panował hałas, była stosunkowo cicha. Miałam zresztą nadzieję, że o tej porze wszystkie miejscowe rzeźmieszkі jeszcze smacznie śpią. Na wyższych piętrach gospodynie wieszały pranie, na chodnikach zaś dzieci grały w gumę, co sprawiało, że okolica wydawała się zupełnie spokojna, a nawet porządna. W północnej części nic nie zwróciło mojej uwagi, więc poszłam w przeciwną stronę, w kierunku Canal. Nie zauważyłam żadnej wyjątkowej aktywności policji, tylko na rogu stał posterunkowy i wymachując pałką, rozglądał się dookoła beznamiętnym wzrokiem.

Już chciałam do niego podejść, ale się rozmyśliłam. Przecież nie skieruje mnie na miejsce zbrodni. Tak więc dokładnie zlustrowałam okolicę, szukając nie wiadomo czego, i w końcu podeszłam do kobiety, która na kolanach najwyraźniej szukała czegoś na ulicy.

– Mogę pani jakoś pomóc? – zapytałam. – Coś pani zgubiła?

Popatrzyła na mnie zdziwiona. Nie była już młoda, mimo że miała wciąż zgrabną sylwetkę, co podkreślał skromny, zabudowany kostium w kolorze granatowym. Druciane oprawki okularów nadawały twarzy surowy wygląd. Włosy miała gładko zaczesane do tyłu i zebrane w kok

– Dziękuję, nie potrzebuję pomocy – powiedziała, a jej głos wydał mi się znacznie miłszy niż aparycja.

Udałam, że się wycofuję, i zaczęłam z daleka obserwować ruchy nieznamomej. W pewnym momencie podniosła coś pęsetą i schowała do papierowej torebki, a następnie wyjęła miarkę i zmierzyła nią kawałek ulicy. To wystarczyło. Wróciłam.

– Przepraszam, że pytam, ale to tutaj znaleziono dzisiaj tę młodą kobietę, prawda?

– To nie pani sprawa. Proszę odejść i zostawić mnie w spokoju, żebym mogła kontynuować pracę.

– Czy jest pani krewną tej nieszczęsnej dziewczyny? – nie dawałam za wygraną. – Co za okropna historia...

Przyjrzała mi się krytycznie.

– Pracuje pani dla jakiejś gazety?

– Nie, jestem detektywem – odpowiedziałam.

– Prowadzi pani śledztwo kryminalne? Przecież to zadanie policji.

– A pani? Co pani tutaj robi?

– Ja pracuję dla policji.

A to ci dopiero! Co za niespodzianka – pomyślałam.

Patrzyłam na nią zaskoczona, ale również zachwycona.

– Kobieta? W nowojorskiej policji?

– Oficjalnie jestem tylko strażniczką – odparła.

– Ach, rozumiem – powiedziałam. Spotkałam kiedyś kobietę strażniczkę w areszcie, gdzie spędziłam całą noc.

– Ale teraz poprosili mnie o pomoc tutaj – ciągnęła. – Zeszłej nocy akurat patrolowałam tę okolicę. Odkąd zamordowano tę drugą dziewczynę, jesteśmy w ciągłym pogotowiu.

– W takim razie widziała pani... – zaczęłam.

Pokręciła głową.

– Nie. Nic nie widziałam. Na tej ulicy byłam kilka razy. Jestem taka na siebie wściekła. Jak mogłam nie zauważyć, że morderca porzuca tutaj ciało?

– O której to mogło być? Jak pani sądzi?

Prychnęła.

– Słyszałam, jak zegar wybija piątą rano, kiedy skręcałam w Elizabeth. Dotarłam do Canal i poszłam w prawo. Kobietę znaleziono około wpół do szóstej, a ja byłam wtedy dwie ulice dalej. Przecież mogłam nawet widzieć powóz, w którym ten drań ją przywiózł. Sama mogłam to wszystko odkryć! Nam, kobietom, nieczęsto trafia się taka okazja.

Kucnęłam przy niej, bo wciąż kłęcząca na ulicy.

– Powóz? Przecież po prostu mógł ją wyciągnąć z jakiegoś domu rozpusty w okolicy.

– Pytałam. W żadnym nie zniknęła dziewczyna. – Popatrzyła na mnie z satysfakcją. – I jeszcze to – dodała, wskazując palcem na ulicę. – Ta biedaczka leżała mniej więcej tutaj, a jeśli spojrzysz pani kilkanaście centymetrów w bok, wyraźnie widać ślad koła, a trochę dalej drugi ślad. Oba zbyt delikatne jak na dorożkę, dlatego uważam, że musiał tędy jechać jakiś powóz. Ktoś zeskoczył z koła, otworzył drzwi, wyrzucił ciało i odjechał.

Patrzyłam na nią pełna podziwu. Przez wszystkie sprawy, które prowadziłam, szłam na ślepo, dochodząc do wniosków bardziej dzięki szczęśliwym zbiegom okoliczności niż własnym umiejętnościom. Teraz obserwowałam doświadczoną, profesjonalną panią detektyw podczas pracy. To mi uświadomiło, jakim jestem amatorem. Ale oczywiście nie mogłam tego po sobie pokazać.

– Ja też pracowałam kiedyś dla policji w podobny sposób – powiedziałam.

– Naprawdę? – zapytała z niedowierzaniem.

– Zostałam wysłana do posiadłości senatora Flynna i odkryłam prawdę dotyczącą porwania jego dziecka.

– Naprawdę? Kto panię to zlecił?

– Kapitan Sullivan.

Zmieniła się na twarzy.

– A tak Sullivan. Pewnie już pani wie... Nie ma go w policji. Musiał odejść. Nieciekawa sprawa.

– Tę nieciekawą sprawę ktoś uknuł – odparłam ze złością. – Kapitan jest niewinny. Nigdy nie przyjął żadnej łapówki, nigdy nie pracował na zlecenie gangu. Nigdy – powtórzyłam.

– Chciałabym w to wierzyć – powiedziała.

– To wszystko kłamstwa. Ktoś specjalnie rozsiewa plotki. Mają tylko poszlaki.

– Nie tylko. – Jej ton stał się nagle lodowaty. – Mój mąż był jednym z oficerów, których wysłano wtedy na akcję przeciwko gangsterom. Ale ktoś ich ostrzegł przed policją. Mojego męża pobili tak dotkliwie, że zmarł z powodu obrażeń.

Bez zastanowienia położyłam jej dłoń na ramieniu.

– Bardzo przepraszam – powiedziałam. – Ale to nie Daniel był zdrajcą. Przy sięgam. On dał mi słowo, a ja mu wierzę. Chciałabym oczyścić go z zarzutów.

– Jest pani krewną? – zapytała.

– Przyjaciółką.

Kiwnęła głową w geście zrozumienia, które zawsze łączy nas, kobiety. Wstała. Była bardzo wysoka – miała co najmniej metr osiemdziesiąt. Chuda i koścista. Trudno byłoby ją nazwać piękną.

– Cóż, panno...

– Murphy – odparłam, po raz pierwszy od dawna podając swoje prawdziwe nazwisko. – Molly Murphy.

– Cóż, panno Murphy – powtórzyła. – Nie wiem, dlaczego pani uważa, że węszenie na miejscu tej zbrodni może w jakikolwiek sposób pomóc udowodnić niewinność kapitana Sullivana.

– Musi być jakiś powód, dla którego ktoś szczegółowo zaplanował, jak go zniszczyć. W kopercie, którą Danielowi miał przelazować gang, w nie wiadomo jaki sposób znalazły się pieniądze. Komendant policji przybył na miejsce zdarzenia akurat w takim momencie, by zaobserwować wręczanie łapówki.

– Wydaje się to zbyt starannie zaplanowane, by było prawdą – zauważyła. – Czy kiedykolwiek przyszło pani do głowy, że jednak jest winny? Mężczyźni nie zawsze mówią nam prawdę. Może nie chciał stracić w pani oczach.

– Znam słabości Daniela Sullivana. Ale nigdy nie skłamał mi prosto w oczy. I dlatego mu wierzę. Po nic by mnie nie wysyłał, gdyby nie był pewien, że jestem w stanie dowieść jego niewinności. Jaki miałyby to sens?

Spojrzała na mnie uważnie, a potem kiwnęła głową.

– I myśli pani, że seria tych zabójstw ma jakiś związek z oskarżeniem Daniela Sullivana?

Potrząsnęłam głową.

– Nie do końca, ale chcę zbadać wszystkie tropy. Ktoś chciał usunąć go z policji. Najwyraźniej Daniel przeszkadzał, był niewygodny albo z jakiegoś powodu zienawidzony. Tuż przed aresztowaniem prowadził śledztwo dotyczące wyścigów na Coney Island, i właśnie przejął również tę sprawę. Dlatego tu jestem.

Zamilkłam i przyłożyłam rękę do ust, bo zdałam sobie właśnie sprawę, że to wyznanie może mnie wpakować w tarapaty. Nigdy nie pamiętam, kiedy należy trzymać języka zębami!

– Nie wiem, po co to pani mówię. Pewnie pójdzie teraz pani do przełożonych i o wszystkim opowie...

– Nie, moja droga – odparła. – W przeciwieństwie do tego, co się ogólnie uważa, my, kobiety, potrafimy dochować tajemnicy, kiedy zajdzie konieczność. I potrafimy być solidarne wobec siebie. Może nie powinnam uwierzyć w to, co pani mówi, ani obdarzyć pani sympatią. Ale jest inaczej. – Wyciągnęła do mnie rękę. – Goodwin. Sabella Goodwin.

– Miło mi panią poznać, pani Goodwin – powiedziałam. – Nawet pani nie wie, jak mi miło. I jeśli jest coś, w czym mogę pomóc, z przyjemnością to zrobię.

– Już wystarczy. Dosyć mam tego waszego irlandzkiego przymilania – odparła, ale z uśmiechem na twarzy.

– Lepiej pozwolę pani wrócić do pracy – powiedziałam, widząc, że zebrała się wokół nas grupka małych gapiów. – Jeśli nie będziemy uważać, zniszczą wszystkie ślady. Czy mogę zapytać, co schowała pani do torebki?

– Końcówkę cygara – odparła. – To może być czysty przypadek, ale mógł też wypaść właśnie wtedy, kiedy sprawca wyrzucił ciało. Niedopałki cygar nie leżą długo w tych okolicach. Są zbyt cenne ze względu na zawartość tytoniu. Okoliczne łobuziaki na nie polują. To wszystko, co znalazłam – westchnęła. – Szkoda, że w takim pośpiechu zabrali biedaczkę do kostnicy. Mam nadzieję, że detektywi zrobili przy najmniej zdjęcie.

– Zabrali ją do szpitala, nie do kostnicy – powiedziałam.

– Do szpitala?

– Tak, bo ona wciąż żyła.

– Wszyscy święci!!! Jak to ciągle żyła? Zrozumiałam, że to kolejna ofiara Rozpruwacza. Widziałam tę poprzednią, nie ma możliwości, żeby...

– Umarła zaraz potem.

– Dzięki Bogu. – Spojrzała na mnie. – A śląd pani o tym wie?

– Przecież mówiłam, że jestem detektywem – odparłam.

– W porządku, pani detektyw. – Uśmiechnęła się. – Sprawdźmy, co może pani powiedzieć na temat miejsca zbrodni.

Spuściłam wzrok. Miejsce zbrodni wyglądało jak przeciętny fragment nowojorskiej ulicy. Niezbyt czysty, z gnijącymi odpadkami warzyw, końskimi odchodami i śmieciami. W rzeczy samej nie widziałam tu nic nadzwyczajnego, aż nagle...

– No tak – powiedziałam. – Widać, że leżała właśnie tutaj. Na liściu kapusty są ślady krwi.

Pani Goodwin skinęła głową i chwyciła liść pęsetą, a następnie schowała go do kolejnej papierowej torebki.

– Ale nie ma tej krwi zbyt wiele – zauważyła. – To potwierdza moją teorię, że ciosy zadano gdzie indziej, a tu tylko porzucono ofiarę.

Wścibskie dzieciaki podeszły jeszcze bliżej.

– Co robicie? – zapytał najodważniejszy chłopiec.

– To tutaj znalezione tę panią – wtrąciła się jakaś dziewczynka.

– Jaką tam panią, to jedna z tych dziewczyn... – odparł chłopak.

Popatrzyłam na gromadkę. Dziewczynka była wychudzona, miała zapadnięte policzki i poplamioną muślinową sukienkę.

– Widziałaś tę kobietę? – zapytałam.

Skinęła głową, nagle wyraźnie wystraszona, że mogła powiedzieć za dużo albo że właśnie pakuje się w tarapaty.

– Tak. To było okropne. A najstraszniej wyglądała jej twarz.

– Ja też widziałem – odezwał się inny chłopiec. – Wszystko dokoła było zakrwawione.

– Skąd się tutaj wzięła? – zapytałam. – Czy ktoś widział, jak kładziono ciało na ulicy?

Wszyscy pokręcili głowami.

– Mama usłyszała hałas, więc wyjrzelśmy przez okno i zobaczyliśmy policyjny wóz, i w ogóle. Mama zabroniła nam schodzić na dół, ale nie posłuchaliśmy i widziałem, jak podnoszą ciało i wkładają do samochodu. Nie chciałem wcale patrzeć, ale i tak wszystko widziałem.

Spojrzałam na panią Goodwin.

– Powinnyśmy przesłuchać ludzi, którzy mieszkają w tych domach. Ktoś musiał być przecież na nogach między piątą a wpół do szóstej i może coś widział.

– Tak, ktoś powinien przesłuchać tych ludzi, ale wcale nie ja ani nie pani – zauważyła. – To zadanie dla policji.

– Przecież pani jest z policji. Sama mi to pani powiedziała.

Wyglądała na trochę zakłopotaną.

– Owszem, ale nie zostałam oficjalnie wyznaczona do tej sprawy. Szczerze powiedziawszy, zatrudniają mnie głównie do tajnych obserwacji, w sytuacjach, gdy oficer mężczyzna byłby zbyt podejrzany. Jeśli chodzi o prawdziwą pracę detektywa, nie mają do mnie zaufania.

– W takim razie może im teraz pani coś udowodnić – zasugerowałam. – Proszę spojrzeć, nie przysłali tutaj nikogo. Nie zaskłodzi, jeśli zadamy parę pytań tu i ówdzie, zanim pojawią się policjanci. Poza tym i tak zabezpieczyła pani ten niedopalek.

Uśmiechnęła się. Chyba zostałyśmy współniczkami.

– Podoba mi się twoje podejście, dziewczyno – powiedziała. – Sprawdziłam już okoliczne burdele. Popytałam, czy im któraś nie zginęła. Może pani pójść do tej kamienicy, a ja pójdę do tamtej. Potem zajrzemy do kolejnych budynków. Powóz nadjechał od strony Canal, ślady kół na to wskazują. Ten człowiek najwyraźniej nie chciał wstrzymać ruchu.

– Dobrze, ma pani rację – odparłam. – Idę do najbliższej kamienicy.

– A ja do tej naprzeciwko – powiedziała. – Spotykamy się za chwilę na dole.

Rozeszłyśmy się. Banda ciekawskich dzieciaków pobiegła za mną.

„Kto tutaj mieszka?” – pytałam, a potem wchodziliśmy do każdego mieszkania po kolei. Część miała okna tylko od strony podwórza albo, co gorsza, od wąskiego przejścia między budynkami. Dosłownie na wyciągnięcie ręki była ściana drugiego budynku. Czytałam ostatnio, że wprowadzono nowe prawo, mówiące, iż w każdym domu musi być lepsza wentylacja i toaleta, ale nie bardzo rozumiałam, w jaki sposób władze miasta chcą to zrealizować.

W końcu dotarliśmy do mieszkania tej chudej dziewczynki, która, jak się dowiedziałam, miała na imię Kitty. Jej mama była w domu i w wielkim garze stojącym na kuchni węglowej mieszała drewnianą kopyścią pranie. Miała podwinięte rękawy i zaczerwienioną skórę na ramionach, najwyraźniej od sody, którą wsy pywała do gara.

Zdenerwowała się, kiedy dzieci wbiegły do pokoju.

– Co się dzieje?! – krzyknęła, a te natychmiast otoczyły ją jak małe wróbelki.

– Mamo, ona chciała tylko zapytać o ciało tej kobiety, wiesz... tej, którą znaleźniono z zakrwawioną twarzą.

– Przepraszam panią najmocniej – powiedziałam, kiedy wreszcie udało mi się wtrącić. – Ale zastanawiamy się, czy ktoś w tym budynku był na nogach około piątej nad ranem, kiedy doszło do wypadku.

– Na nogach? – powtórzyła za mną, układając usta w dzióbek – Mieszkając z mężczyzną, który musi zdążyć na swoją zmianę o szóstej, i dziewczętami, co muszą być w szwalniach odpowiednio wcześniej? Gdybym nie była o piątej na nogach, co by się z nami stało!

– W takim razie czy może widziała coś pani przez okno? Ma pani dobry widok na ulicę.

– Ależ oczywiście, mam akurat czas, żeby popijając kawę, siedzieć przy firance i patrzeć sobie na świat – odparła ironicznie. – Nawet pani nie wie, co się tutaj rano dzieje. Mąż krzyczy, żeby mu podała śniadanie i buty, ojciec w tym samym czasie prosi o coś innego, a dziewczynki pytają, czy już im zapakowałam drugie śniadanie. Naprawdę nie miałam czasu, by wyjrzeć na ulicę. Zerknęłam dopiero wtedy, kiedy usłyszałam, że coś się tam dzieje.

– I?

– Dzieci rzuciły się do okna, przyjechała policja i widziałam tylko, jak zabierają ciało do kostnicy. Tak się domyślałam. Kilku policjantów podniosło dziewczynę i wsadziło do czarnej maflki. A potem odjechali.

– Nie słyszała pani ani nie widziała żadnego pojazdu, który wcześniej nadjechałby ulicą? Powozu?

– Powozu? – prychnęła. – Na naszej ulicy niezbyt często widzi się powozy. Jeśli jakiś dżentelmen składa wizytę w któryś z tutejszych przybytków, przyjeżdża tu po kryjomu, wynajętą dorożkę, albo idzie na piechotę. Nigdy nie prosi swojego woźnicy, żeby go tu podrzucił. – Znów prychnęła. – Zresztą jeśli stać go na woźnicę i powóz, to na Czerdziestej Drugiej są podobno o wiele czystsze burdele. A najlepsze, zdaje się, są na Piątej Alei.

Trudno się było z nią nie zgodzić. Podziękowałam.

– Proszę mnie poinformować, gdyby się okazało, że ktoś z sąsiadów zapamiętał cokolwiek z dzisiejszych porannych zajęć, zauważył powóz lub też mężczyznę, który zachowywał się podejrzanie. Tu jest moja wizytówka. Może pani wysłać do mnie dziecko, zapłacę za faty gę.

– Kim pani jest? Kobieta detektywem? – zapytała.

– Kimś w tym rodzaju. Pomagam policji położyć kres tym okropnym zabójstwom.

– Najwyższy czas. Bardzo martwię się o córki. Mają piętnaście i siedemnaście lat. Kto mi powie, że ten potwór nie pomylił ich z kobietami określonej profesji?

– No właśnie – odparłam i popatrzyłyśmy na siebie. – Ja na pewno nie odważyłabym się tutaj chodzić po zmroku.

– Co to za zbiegowisko?! Czy naprawdę nie mogę mieć w tym domu chwili spokoju? – odezwał się nagle chrypiący męski głos i do pokoju wszedł jakiś starszy mężczyzna. Był zgięty jak kij pasterski. – Kto to jest? Czyba nie znowu poborca podatków?

– Przyszła popytać o tę prosty tutkę, którą znalezione dziś na ulicy.

– A co jej do tego?

– Jest detektywem.

Spojrzałam na mężczyznę. Przyglądał mi się zmęczonymi, przekwionymi oczami.

– Może pan coś zauważył? – zapytałam. – Około piątej, dziś nad ranem.

– Spałem jak zabity. Przy takiej pogodzie zawsze idę spać na dach. Nie mogę tutaj wytrzymać w tym ścisisku. Dzieciom też by to dobrze zrobiło, ale ona nie pozwala im wchodzić na dach, bo to podobno niebezpieczne.

– Spał pan na dachu? – spytałam. – I nie słyszał pan zamieszania, kiedy znalezione tę dziewczynę?

– A tak, kiedy ją znaleźli, coś słyszałem. Krzyki i gwizdy, potem galop koni.

– Ale żaden powóz pana wcześniej nie zbudził?

Potrząsnął głową.

– To nie Dzik Zachód, panienko – zauważył, śmiejąc się bezgłośnie. – Platforma z piwem i od czasu do czasu dorożka. No i czarna mańka, kiedy w któryś z przybytków wybuchnie awantura. Poza tym nic się u nas nie dzieje.

– Tak więc zbudziłby pana powóz, prawda?

– Może. Ale nie zbudził.

– Szczerze mówiąc – wtrąciła się córka – byłam w szoku, kiedy dzieci mi powiedziały, że znalezione ciało. Przecież policja stała tu, na tym rogu, odkąd na naszej ulicy doszło do pierwszego morderstwa. Jakim cudem ten powóz przejechałby niezauważony? Nie mam pojęcia.

– Ja też nie – odparłam. Postanowiłam, że się dowiem, który policjant miał dyżur i dlaczego nie chce się przyznać, że przysypiał na służbie.

Pani Goodwin podzieliła się ze mną podobnymi przemyśleniami, kiedy się spotkałyśmy, by porównać notatki.

– Niektórzy z tych młodzieńców nie są tak oddani służbie, jak byśmy sobie życzyli. Ale ja też tu byłam dziś rano i nie przychodzi mi do głowy żadne wyjaśnienie.

– Czy jakimś cudem mógł ją zrzucić z dachu albo z któregoś piętra? – zapytałam. – Ślady kół to może być czysty przyodek.

Zerknęła do góry.

– Być może.

– W tej sytuacji niewykuczone, że przy prowadził ją tu z innej ulicy.

Skłębła głową, patrząc to w górę, to w dół.

– Gdyby spadła, na ciele powinny by się znaleźć poważne obrażenia, szczególnie jeśli jeszcze żyła. Przeżyć upadek z takiej wysokości to cud.

– Nie dowiemy się, dopóki same nie obejrzymy ciała – powiedziałam.

Pani Goodwin zerknęła na mnie z mieszkanką entuzjazmu i wątpliwości.

– Sugeruje pani, że powinnyśmy udać się do kostnicy i obejrzeć zwłoki?

– Jest pani przecież z policji – zauważyłam. – Znalazła pani niedopalek. Niewykluczone, że jeszcze coś przeoczyli.

Pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Prosisz się o kłopoty, moja droga.

– Słyszę to od zawsze – odparłam z uśmiechem.

– W takim razie chodźmy. Tutaj już nie mamy czego szukać – powiedziała i dziarskim krokiem ruszyła w stronę Canal Street.

Kiedy starałam się dotrzymać jej kroku, przysła mi do głowy pewna myśl.

– Proszę poczekać – powiedziałam i chwyciłam panią Goodwin za rękaw niebieskiego kostiumu.

– Czyli co? – zapytała, odwracając się. – Boisz się jednak swój żołądek?

– Nie w tym rzecz. Chodzi o tych dwóch policjantów, którzy są odpowiedzialni za sprawę. Mogą ciągle tam być. Zabrali ze sobą alienistę, ale nie chcieli, bym mu towarzyszyła. Nie będą zadowoleni, jeśli mnie zobaczą.

Prychnęła z powątpiewaniem.

– Jakim cudem mogłaś w ogóle przy puszczać, że się zgodzą?

– Bo znam tego doktora osobiście. Pozwolił, bym mu towarzyszyła w roli asystentki. Zrozumiał, jakie to dla mnie ważne. Ale ten nadęty Quigley się nie zgodził. Żadnych kobiet, powiedział.

– A czego tak naprawdę chciałaś się dowiedzieć podczas wizyty w kostnicy? Czy ciało ofiary mogłoby cię doprowadzić na jakiś trop?

Westchnęłam.

– Nie wiem. Może szukam po omacku. Ale ktoś się naprawdę napracował, żeby zdyskredytować Daniela Sullivana. Miał ku temu powody. Więc myślę, że albo był to komendant Partridge we własnej osobie, albo ktoś, kto nie chciał, żeby ta konkretna sprawa została rozwiązana zbyt szybko. Proszę pamiętać, że Daniel pracował tylko przy dwóch dochodzeniach. Mógł podpaść komuś w związku z tym skandalem na wyścigach, ale to chyba niemożliwe. Teraz na Elizabeth Street widziałyśmy niedopałek cygara i ślady kół. A jeśli mamy do czynienia z kimś ważnym, kto nie chce być zdemaskowany? Ze statecznym obywatelem, który ma niaturalną skłonność do mordowania prosty tutek?

Popatrzyła na mnie przeciągle.

– Chodźmy najpierw na kawę. Opowiesz mi wszystko o swoich podejrzeniach, dobrze? Może będę umiała pomóc...

Właśnie wchodziliśmy w Canal, kiedy dostrzegłam młodego mężczyznę, który siedł w naszym kierunku. Miał przekrzywiony zawadiacko kaszkiet i niewinną, anielską buzię. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak zwykły urzędnik bankowy, który ma akurat wolny dzień. Ale mnie nie był w stanie oszukać. Poznałam go od razu! Wiedziałam, że wołają na niego Kid Twist i że jest prawą ręką i pomocnikiem Monka Eastmana. Spotkanie z nim teraz, w biały dzień na zatłoczonej ulicy, było okazją, której nie mogłam przepuścić.

Trąciłam panią Goodwin łokciem.

– Proszę poczekać. Porozmawiamy z tym mężczyzną. Jest szansa, że nam pomoże.

Złapała mnie za rękę i przytrzymała.

– Czy pani wie, kto to jest?

– Oczywiście, to Kid Twist. Miałam już z nim wcześniej do czynienia. Ale kto może wiedzieć więcej o znikających prostytutkach z okolicy? Poza tym nic nam tutaj nie zrobi.

Pani Goodwin zmieniła się na twarzy.

– Nie chodzi tylko o to. Eastmansi zabili mi męża. Zatłuki go na śmierć. Nie spocznę, dopóki wszyscy nie znajdą się za kratkami albo nie pozabijają się nawzajem.

– Doskonale rozumiem, co pani czuje – powiedziałam. – Proszę mi wierzyć, pragnęłabym tego samego, gdyby coś podobnego spotkało mojego męża. Ale nie pozwolę, by taka okazja przeszła mi koło nosa. Proszę tu poczekać, jeśli nie chce pani patrzeć mu w oczy. Nic mi się nie stanie, ale proszę dla pewności z daleka nas obserwować. Na wszelki wypadek.

Zgodziła się, choć niechętnie. Dałam nura pomiędzy wozy dostawcze i w ostatniej chwili dogoniłam mężczyznę.

– Kid! Panie Twist! Proszę poczekać! – zawołałam.

Odwrócił się i podejrzliwie zmierzył mnie wzrokiem.

– Już cię gdzieś widziałem – powiedział. – Czego chcesz?

– Chciałabym chwilę porozmawiać. Chodzi o te prostytutki. Dzisiaj rano znaleziono następną.

– Tak, straszne. No i?

– Zastanawiałam się po prostu... Bo pracuje pan z Monkiem Eastmanem, a przecież on kontroluje te okolice...

– Owszem, jest bardzo aktywny we władzach lokalnych – odparł Twist ironicznie.

– Te dziewczyny... Czy one dla was pracowały? Znał je pan?

– Nie słyszałem o żadnej dziewczynie, która by zniknęła – powiedział.

– A gdyby to była jedna z tych, co pracują w okolicznych przybytkach, też by pan nie słyszał?

– Słyszałbym.

– To może nie były z tych okolic? Zaczęły mężczyźni na ulicy i zabierały ich do tanich hoteli...

Nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Miłe dziewczyny takie jak ty nie powinny się interesować podobnymi sprawami. To ci nie wyjdzie na dobre.

– Jestem detektywem. Wiem o wielu rzeczach, które nie powinny mi wyjść na dobre.

Zaczął mi się przyglądać jeszcze uważniej.

– Detektywem od czego? Od tego, kto morduje dziwki? Po co? Chodzi o artykuł do jakiejś gazety?

– Mniej więcej – odparłam, bo uznałam, że Kid nie przejmie się zbyt łatwo losem Daniela. – Domyślałam się, że wam też zależy na tym, by ta sprawa jak najszybciej została rozwiązana. Monka na pewno nie czuje się zbyt dobrze, kiedy policja codziennie przeczesuje jego terytorium.

Zrobił zdziwioną minę, a potem się uśmiechnął.

– Jasne jak słońce.

– W takim razie proszę mi powiedzieć, czy gdyby to były prawdziwe prostytutki z ulicy, a nie dziewczyny zatrudnione w burdelu, to Monk dowiedziałby się o ich zaginięciu.

– Monk doskonale wie, co się dzieje na jego terytorium. Dziewczyny mają swoich opiekunów, a ci płacą Monkowi za opiekę. Właściciele wszystkich przybytków też, więc na pewno byśmy o czymś wiedzieli.

– Wobec tego... – Wzięłam głęboki oddech. – I proszę mnie źle nie zrozumieć... Po prostu pytam z czystej ciekawości... Jeśli jakiejś dziewczynie przyszedłby do głowy głupi pomysł i chciałyby na przykład uciec, czy ktoś mógłby ją powstrzymać?

Zmrużył oczy.

– Pytasz o to, czy Monk zleciłby zabójstwo jakiejś dziewczyny tylko dlatego, że miała własny pomysł na życie?

– Dokładnie o to mi chodzi – przytaknęłam.

Roześmiał się.

– To nie tak. Przecież nam zależy na tym, by dziewczyny miały się dobrze i nieźle zarabiały.

– A gdyby chciały uciec?

– Niby dokąd? Kiedy wylądują tutaj, nie bardzo mają gdzie uciekać. A jeśliby potrzebowały jakiejś lekcji, szef dałby im nauczkę. Tak delikatnie, żeby nie zniszczyć atutów, jeśli wiesz, co mam na myśli. – Zamilkł i na chwilę się zamyślił. – A jeśli mimo wszystko jedna z drugą by nie posłuchała, pewnie skończyłyby w East River. Ale zostawiać ciało w biały dzień na ulicy? Jaki to ma sens?

Racja. Jaki to ma sens? Jedyna odpowiedź, jaka przychodziła mi do głowy, była taka, że sprawca postanowił wodzić policję za nos. Może stał gdzieś w pobliżu i się przyglądał? Dostałam gęśiej skórki na wspomnienie swojej wizyty w domach sąsiadujących z miejscem znalezienia zwłok. Może i tam nas obserwował? Ale nie było sensu pytać dzieci, czy widziały na ulicy jakiegoś dziwnego pana. Na pewno wielu dziwnych panów krąży tu każdego wieczoru.

– Panie Twist – powiedziałam. – Mam prośbę. Gdyby Eastmansi dowiedzieli się czegoś więcej o tych dziewczynach, da mi pan znać? Im szybciej złapiemy tego człowieka, tym lepiej dla nas wszystkich. Malachy wie, gdzie mnie szukać. Może być posłańcem.

– Pracujesz dla policji?

– Wręcz przeciwnie. Można powiedzieć, że z nią konkuruję.

– W takim razie uważaj na siebie, dziewczyno. Gliniarze w okolicy nie lubią, jak im się depcze po piętach.

– Będę uważać. Czy mogę na pana liczyć?

Skinął głową.

– W porządku. Monk nie jest zadowolony z tego, że cały czas ma policję na karku.

Uśmiechnęłam się do niego szeroko.

– Dziękuję. Miło się z panem rozmawiało.

– Cała przyjemność po mojej stronie, proszę pani – powiedział, dotykając kaszkietu.

Niemalże frunęłam na drugą stronę ulicy.

– Wszystko załatwione – oświadczyłam, starając się nie wyglądać na zbyt zadowoloną z siebie.

– Gang Eastmana nie zna tych dziewcząt.

– Tak tylko mówią – prychnęła Sabella Goodwin. – Banda kłamców i łobuzów. Przy sięgają na własną babcię, patrzą ci w oczy i łżą.

Położyłam jej dłoń na ramieniu.

– Rozumiem, co pani do nich czuje. Też za nimi nie przepadam. Kiedyś mnie porwali. Bóg jeden wie, gdzie bym teraz była, gdyby policja nie pojawiła się na czas. Ale w tej sprawie to idealni przy mierzeńcy.

Zaczęłyśmy iść w stronę Bowery.

– Monk Eastman kręci lody w Lower East Side – ciągnęłam. – Gdyby któraś z jego dziewczyn zginęła, chciałby się dowiedzieć, kto to zrobił. To by przecież oznaczało, że ktoś naruszył jego teren. Dlatego musiałam sprawdzić, czy to były dziewczyny Monka.

– I co?

– Bardzo dziwne. Kid mówi, że nie słyszeli, by jakkolwiek dziewczyna zniknęła. Czyli ktoś je tutaj sprowadza.

– Z innej części miasta, tak?

– Daniel twierdzi, że pierwsza ofiara, którą zamordowano w ten sam sposób, została znaleziona przy promenadzie na Coney Island. Może nasz zabójca gustuje w prostytutkach z wyspy, ale z jakiegoś powodu porzuca ich ciała właśnie tutaj.

– Trzeba to będzie przekazać oficerom śledczym – stwierdziła Sabella Goodwin.

– Jestem pewna, że sami już do tego dawno doszli i nie będą zadowoleni, jeśli dwie kobiety zaczną im udzielać porad.

Uśmiechnęła się.

– Quigley z pewnością nie będzie chciał nas słuchać. Jest przemądrzały. Marzy o tym, by jak najszybciej wspiąć się po szczeblach kariery na sam szczyt.

Może uznał, że Daniel stoi mu na drodze? – pomyślałam.

– A McIver?

– Ten z kolei chciałby tam wejść na plecach Quigleya – odparła Sabella. – Bystry, ale leniwy. Quigley jest skrupulatny, a McIver... szkoda gadać. To go kiedyś zaprowadzi na manowce.

Dalej szłyśmy w milczeniu. Myślałam o dwóch ambitnych policjantach, którzy najwyraźniej podejmą każde ryzyko, by dostać to, czego chcą. A jeśli to któryś z nich ukartował aresztowanie Daniela? Gdyby tak było, nie musiałabym wcale iść do kostnicy.

Szczerze mówiąc, miałam teraz poważne obawy związane z tym, co mnie czeka. W życiu widziałam już kilka trupów. Nie było to przyjemne doświadczenie, ale też nigdy nie przyglądałam się zbyt uważnie, bo i żołądek miałam wówczas w lepszym stanie. Widok ofiary ze zmasakrowaną twarzą, leżącej na marmurowym stole, może być nie do zniesienia. A nuż zwiomotę albo zemdleję na oczach Sabelli Goodwin i lekarza.

Kiedy usiadłyśmy wreszcie w ławiarni przy stacji elki, zaczęłam gorączkowo szukać jakiegoś pretekstu, który pozwoliłby mi się wymigać od wizyty w kostnicy. Ale zanim zdążyłam cokolwiek wymyślić, Sabella Goodwin popatrzyła na mnie z uśmiechem i powiedziała:

– Tak się cieszę, że idziemy tam razem, bo muszę się przyznać, że sama nigdy nie miałam odwagi.

Nie odpowiedziałam, więc ciągnęła dalej:

– I jeszcze czuję, że znalazłam w pani sojuszniczkę, moja droga. Staralam się przekonać wszystkich tych mężczyzn w policji, że kobiety są w stanie poprowadzić śledztwo. Może nie mamy sił gonić za zbirami, ale potrafimy rozwiązać każdą sprawę.

– Chciałabym zobaczyć, jak któryś z nich biegnie za przestępcą w gorsecie i długiej sukni – zauważyłam, a ona się roześmiała.

– Jeszcze im pokazemy, Molly. Pójdziemy do kostnicy i rozwiążemy tę zagadkę.

Wychodzi na to, że nie mam wyjścia – pomyślałam. Czy tego chcę, czy nie, będę musiała obejrzeć ciało ofiary.

Kostnica znajdowała się na parterze szpitala Bellevue, niemal nad samą East River. Wskoczyliśmy z tramwaju na Dwudziestej Trzeciej Ulicy i przeszliśmy na Pierwszą Aleję. Szpital miał dość mylącą nazwę. Składał się z kilku ponurych budynków, a kominy buchające dymem przypominały raczej diabelskie młyny niż piękną panoramę. Zapewne byłam już do tego miejsca uprzedzona, bo moja niechęć do wizyty w kostnicy rosła teraz z każdym krokiem. Kolana prawie się przede mną ugięły, a co gorsza, bardzo bolał mnie brzuch. Kawa i bułka miały uspokoić mój żołądek przynajmniej na godzinę, ale teraz czułam się tak, jakbym przed chwilą połknęła kamień. Zaczerpnęłam głębiej powietrza i próbowałam się wewnętrznie zmobilizować. Muszę to zrobić – powtarzałam sobie w duchu. Było już jasne jak słońce, że Sabella Goodwin mnie podziwia i uważa za bratnią duszę. Nie mogę pozwolić, by zmieniła zdanie – postanowiłam.

Odnalazłyśmy główne wejście, a potem zostałyśmy skierowane w stronę kostnicy. Ludzie patrzyli na nas ze współczuciem. Prawdopodobnie sądzili, że przyszliśmy się pożegnać z bliską osobą. Wszystko tu bardziej przy pominało więzienie niż szpital.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała w końcu Sabella, a ja zrozumiałam, że i ona wcale nie czuje się pewnie.

– Może pójdzie pani przodem i sprawdzi, czy policjanci już sobie poszli – poprosiłam. – Nie chcę robić zamieszania ani utrudniać pani pracy.

– W porządku – odparła, a ja odetchnęłam z ulgą, kiedy pchnęła drzwi i weszła.

Oddałabym wszystko za parę minut spokoju. Zerknęłam nawet z tęsknotą na drogę odwrotu. Pielęgniarki w wykrochmalonych strojach chodziły tu parami, pchając pacjentów na wózkach. Mimo że dzień był ciepły, wszyscy mieli nogi starannie owinięte kocami. Mogłabym spokojnie wtopić się w ten tłum, przemknąć do wyjścia i uciec. Przecież Sabella Goodwin nie wie nawet, gdzie mieszkam – pomyślałam. W końcu jednak udało mi się przezwyciężyć strach i niepewność. Od zawsze gardzę eterycznymi damulkami i naprawdę nie chcę stać się jedną z nich!

Odwróciłam się akurat wtedy, gdy Sabella Goodwin otwierała drzwi.

– Wszystko w porządku – powiedziała. – Już sobie poszli. Pokazałam urzędnikowi policyjną odznakę i zapytałam, czy jest tu jeszcze ktoś z policji. Zdziwił się i odparł, że musieliśmy się minąć, ale lekarz będzie właśnie robił sekcję zwłok więc mogę wejść, jeśli chcę. Mamy zgodę. No dalej, idziemy.

– Wspaniale – zdążyłam tylko powiedzieć i weszłyśmy do ciemnego holu.

W powietrzu unosił się silny słodki zapach, który oblepiał nozdrza. Inny niż zwykła woń szpitalna – mieszanka środków dezynfekujących i śmierci. Dopiero później miałam się dowiedzieć, że to formalina, substancja służąca do konserwowania części ciała. Żołądek dawał o sobie znać. Wyjęłam chusteczkę i przytknęłam ją do nosa.

– Niezbyt przyjemnie tu pachnie, prawda? – zauważyła pani Goodwin, ale nie wyglądała na osobę, której by to przeszkadzało.

Z dużą pewnością siebie pchnęła podwójne drzwi. Cały czas szłam za nią. Znalazłyśmy się w ogromnym, jasno oświetlonym pomieszczeniu z trzema kamiennymi stołami pośrodku. Na jednym z nich leżało ciało przykryte białym prześcieradłem. Uspokoiłam się, zobaczywszy, że nie jest odsłonięte, a nawet odetchnęłam z ulgą.

Z pokoju na tyłach wychylił się lekarz; widać było, że właśnie myje ręce. Był pogodnym rumianym mężczyzną z wąsami.

– O co chodzi? To sala do sekcji zwłok, pomyliły panie drzwi.

– Nie. My do pana. – Pani Goodwin znów pokazała swoją odznakę. – Sabella Goodwin z nowojorskiej policji – dodała. – Rozumiem, że moi koledzy byli tu dzisiaj rano. Ja również zajmuję się tą sprawą i sama chciałabym zerknąć na ciało. To moja asystentka, panna Murphy.

– Kobiety w policji? A to ci heca – powiedział doktor.

– Słyszałam, że zdarzają się też kobiety lekarzy – odparła szybko Sabella.

– To prawda – zaśmiał się doktor. – I niektóre naprawdę świetnie sobie radzą. Nazywam się Hartman. Co mogę dla pani zrobić?

– Chodzi o ciało, które przywieziono dziś rano. Chciałybyśmy je obejrzeć. Rozumiem, że nie przeprowadził pan jeszcze sekcji zwłok?

– Nie, tylko wstępne oględziny – odparł doktor Hartman. – Zmarła od uduszenia i silnego uderzenia w twarz tępym narzędziem.

– Ale jakimś cudem to przeżyła – zauważyła Sabella Goodwin. – Żyła, kiedy ją znaleźiono.

– Też tak słyszałem. Zmarła dopiero w szpitalu.

– Tutaj? – wtrąciłam się, zapomniawszy, że mam być cicho, bo to pani Goodwin zadaje pytania.

Pokręcił głową.

– Nie, u Świętego Wincentego. To najbliżej miejsca, w którym została znaleziona.

– Więc nie wie pan, czy zdążyła coś powiedzieć przed śmiercią? – zapytałam.

– Obawiam się, że nie na tym polega moja praca. Ja kroję zwłoki. Moi pacjenci rzadko się do mnie odzywają – powiedział i dziwnie się uśmiechnął. – Chcą panie obejrzeć ciało? Zakryję jej twarz, bo to niezbyt przyjemny widok i jak niby ma wam pomóc w śledztwie? To tylko krwawa plama. Ten, kto to zrobił, bardzo się postarał.

Odsunął prześcieradło.

– Ofiara jest tutaj dość krótko. Jak panie widzą, jeszcze nie zdążyliśmy jej umyć i przebrać. Policjanci chcieli dokładnie wiedzieć, co miała na sobie, ile ważyła i mierzyła. Zamierzałem sprawdzić, czy nie ma takiej osoby w spisie Bertillona^[4].

– Bertillona? Co to takiego? – palnęłam, zanim przypomniałam sobie, że nie powinnam się odzywać.

Pani Goodwin odwróciła się do mnie.

– To system identyfikacyjny oparty na standardowych wymiarach. Nowy, ale podobno

bardzo użyteczny. Robimy zdjęcie i zapisujemy wzrost i wagę. Każdy jest inny, więc jeśli ta kobieta kiedykolwiek była aresztowana, prawdopodobnie mamy ją w naszym spisie.

Podczas rozmowy przypatrywałam się ciału. Dziewczyna wciąż miała na sobie tanią niebieską spódnice z satyny, rozdartą na całej długości, a do tego czarny gorset zdobiony tasiemką. Prześcieradło zakrywało jej twarz, odsłaniając jedynie opuchniętą szyję z sinymi i żółtymi śladami zadrapań. Przełknęłam ślinę, zadziwiona i jednocześnie obrzydzona tym, co widzę. Takie delikatne i drobne stworzenie – pomyślałam. Spod prześcieradła wystawały czarne loki i lekko układały się na białym ramieniu. Z jednej strony zauważyłam szczupłą rękę. Popatrzyłam na nią, a potem pokręciłam głową.

– Dziwne – powiedziałam.

Sabella i doktor spojrzeli na mnie w tym samym momencie.

– Popatrzcie na jej dłoni. Paznokcie są takie czyste. A mówił pan, że jeszcze jej nie myliście. I w ogóle nie czuć żadnego smrodu.

Patrzyli na mnie w milczeniu.

– Zrozumcie – powiedziałam. – Siedziałam kiedyś w celi z prostytutkami. Nie przejmują się tak bardzo swoim wyglądem. Widziałam, że wszystkie miały brudne paznokcie, często poobgryzane. A dór ciała maskują tanimi perfumami, różanymi albo konwaliowymi.

– Może ta dziewczyna pochodzi z wyższych sfer – zamyślił się doktor. – Nie wszystkie prostytutki są z nizin społecznych.

– Ale dlaczego ma na sobie taki strój? Tak ubierają się prostytutki w najgorszych częściach miasta. Żaden mężczyzna, który korzysta z lepszych burdeli, nie wybrałby sobie dziewczyny w takim stroju.

– Racja, doktorze – powiedziała pani Goodwin. – Jest bardzo czysta, ale ubranie ma podłe. Proszę popatrzeć, prawie się rozlatuje.

– W takim razie może to upadła dziewczyna z dobrej rodziny – powiedział doktor. – Takie potrafią zachować pewne standardy, jak długo się da. Spotkałem się z tym już nieraz. Biedaczka wpadnie w tarapaty, urodzi dziecko albo podda się aborcji i nie ma już dokąd pójść. To prawdziwa tragedia, wiele takich dziewczyn w desperacji popełnia samobójstwo.

Nagle zapachy zaatakowały mnie ze wzmoczoną siłą. Pokój zawirował, złapałam się rogu stołu, a potem zapanowała ciemność.

Słyszałam głos z drugiej strony długiego, ciemnego tunelu. Potem poczułam, że ktoś podnosi moją głowę i podstawia mi pod nos coś o bardzo ostrym zapachu. Otworzyłam oczy. Siedziałam na ławce w holu kostnicy. Pani Goodwin zajmowała miejsce obok i trzymała w ręku buteleczkę soli trzeźwiących.

– Nie przejmuj się. Najlepszym się zdarza – powiedziała. – Ja też zemdlałam, kiedy po raz pierwszy widziałam trupa. Wstydziałam się potem strasznie, ale to naturalna reakcja. A ten smród...

Z wdzięcznością skłoniłam głowę.

– Doktor przeprowadza teraz wstępną sekcję zwłok. Powie nam, czego się dowiedział.

– Ale co jeszcze można sprawdzić? – zapytałam. – Wiemy przecież, jak umarła.

– Prawdopodobnie musi zbadać, czy przypadkiem nie była w ciąży – wyjaśniła pani Goodwin.

– Skoro wiemy, że umiała o siebie zadbać, możemy przypuszczać, że dopiero stawiała pierwsze kroki w tym zawodzie, a to oznacza, że ktoś mógł zgłosić jej zaginięcie.

– Rozumiem – powiedziałam.

– Może biedaczka próbowała uciec od alfonsa – zastanawiała się Sabella. – Może nawet to on ją zabił.

– I zostawił na ulicy? – Pokręciłam głową. Sole trzeźwiące wyostrzyły mi umysł. – Nie, sutener zrobiliby to samo co Eastmansi. Po cichu wrzuciliby ciało do East River, a nie zostawiał na widoku, żeby znalazła je policja.

– To może poderwał ją niewłaściwy mężczyzna – zasugerowała pani Goodwin. – Cóż... może dowiemy się, kim była. Nie widziałyśmy wprawdzie jej twarzy, ale Quigley i McIver zdjęli miary Bertillona i wiemy, że miała ciemne włosy i wydatne kości policzkowe. Mam tylko nadzieję, że złapiemy tego potwora, nim znów zaatakuje.

Mój umysł pracował już zupełnie normalnie.

– Ciekawe, czy policjanci poszli do tamtego szpitala. Skoro jeszcze żyła, może coś zdążyła powiedzieć. To coś mogłoby nas skierować na konkretny trop.

– Wątpię – oceniła pani Goodwin. – Ale warto tam zajrzeć, jak tylko skończymy tutaj.

– A na co jeszcze czekamy? – zapytałam przestraszona. Nie miałam zamiaru wracać do tego pokoju, zwłaszcza jeśli prowadzono tam sekcję zwłok. Po co do listy kompromitujących zachowań dodawać jeszcze wymioty?

Pani Goodwin najwyraźniej nie miała tego typu problemów.

– Bardzo chciałabym się dowiedzieć, czy była w błogosławionym stanie. I jeszcze jakim narzędziem zadano jej ciosy. Odnoszę wrażenie, że tych dwóch młodych ludzi rzeczywiście nie angażuje się zbyt w sprawę. Policjanci wychodzą z założenia, że prostytutki same się proszą. I dostają to, na co zasłużyły. Ja z kolei uważam, że społeczeństwo można ocenić po tym, jak traktuje najsłabszych obywateli. Szczerze mówiąc...

Drzwi się otworzyły i stanął w nich doktor Hartman. Obydwie zerwałyśmy się na nogi.

– Widzę, że młoda dama czuje się już lepiej – powiedział, patrząc na mnie z uśmiechem.

– Tak, dziękuję. I przepraszam za słabość.

– Nonsens. Połowa studentów pierwszego roku medycyny mdleje, a większość z nich to mężczyźni.

– Chyba nie zakończył pan jeszcze sekcji? – zapytała pani Goodwin.

– Nie, ale chciałbym, żeby zawiadomiła pani tych dwóch policjantów, którzy byli tu dziś rano. Muszę z nimi pomówić. Znalazłem coś, co wyrwca do góry nogami całe śledztwo w tej sprawie.

Wydawał się bardzo poruszony. Poczulałam, że nogi mam jak z waty.

– Przeprowadziłem podstawowe dochodzenie. Szukałem śladów... – zamilkł i chrząknął zawstydzony – śladów niedawnej aktywności seksualnej.

– I znalazł pan? – zapytała pani Goodwin.

– Najwyraźniej była taka próba – powiedział, wciąż zmieszany, że musi o podobnych sprawach rozmawiać z kobietami – ale nie do końca się powiodła.

– Co pan ma na myśli?

– Otóż to, moja droga pani, że ta młoda dama była jeszcze dziewicą.

Pełne znaczenie tych słów dotarło do mnie dopiero wtedy, gdy wychodziłyśmy ze szpitala Bellevue. Pani Goodwin, która wcześniej telefonicznie wezwała Quigleya i McIvera, szła tak szybkim krokiem, że musiałam przy niej niemal truchtać. Domyślałam się, że nie chce być w pobliżu, kiedy pojawią się tu policjanci. Podejrzywałam, że podkoloryzowała swoje kompetencje, ale nie chciałam jej stawiać w niezręcznej sytuacji, więc postanowiłam o to nie pytać. Poza tym była teraz moją współpracowniczką i podziwiałam jej ikę.

– W takim razie ta dziewczyna nigdy nie była prostytutką – powiedziałam, trochę niepotrzebnie, bo przecież z pewnością była tego świadoma tak jak ja.

– Ktoś ją przebrał po to, byśmy sądzili inaczej, a potem porzucił ciało na ulicy, którą wszyscy kojarzą z córami Koryntu. Cóż za małabryczny i okrutny pomysł! I po co to wszystko?

– Ten człowiek jest potworem – stwierdziłam. – Czerpie przyjemność z zabijania młodych dziewcząt. Ciekawa jestem, ile z nich było prostytutkami.

– Doktor wystąpił o pozwolenie na ekshumację – powiedziała pani Goodwin. – Dowiemy się więcej, kiedy zbadają ciała pozostałych ofiar.

– Czy tam jeszcze coś będzie do badania? – zapytałam, lawirując wokół trudnego tematu.

– Oczywiście. Kolor włosów, postura, wzrost. Poprzednią dziewczynę znaleziono zaledwie tydzień temu, więc ciało powinno być jeszcze nienaruszone. Inne będą już w gorszym stanie, ale w dzisiejszych czasach można porównywać nawet włosy. Jeżeli okaże się, że to młode dziewczyny i że również nie były kobietami lekkich obyczajów, z pewnością będą miały krewnych i znajomych, którzy wciąż na nie czekają.

– No, chyba że szczególnie upodobał sobie dziewczęta, które uciekły z domów albo dopiero co przypląnęły do Nowego Jorku – zauważyłam. – Kiedy się tutaj znalazłam, nie znałam nikogo. Nikt by za mną nie tęsknił, gdybym została porwana. Może proponuje pracę imigrantkom, może mam je mieszaniem...

Westchnęła.

– Tak, to też możliwe. Ale do tej pory było już pięć ofiar. Z pewnością choć jedna z nich ma przyjaciółkę, kogoś, kto się odezwie, jeśli damy ogłoszenie w gazecie.

– Pod warunkiem, że będzie znać angielski – zauważyłam. – I jeszcze coś nie daje mi spokoju. Ta pierwsza ofiara. Ta, którą znaleziono przy promenadzie na Coney Island. Rozumiem, że ona akurat była prawdziwą prostytutką, bo zidentyfikował ją alfons. Koleżanka mogła przecież zapamiętać mężczyznę, z którym ta dziewczyna wyszła.

– Uważasz, moja droga, że powinniśmy udać się na Coney Island i przeprowadzić śledztwo?

– Oczywiście.

– Muszę złożyć raport do południa – powiedziała. – Potem marzę tylko o własnym łóżku.

W końcu jestem po nocnym dyżurze.

– Mogę pojechać tam sama.

Pokręciła głową.

– Wykluczone. W policji zawsze pracujemy w parach. Tak jest bezpieczniej. Poza tym najpierw trzeba zrobić mnóstwo rzeczy. Musimy dać ogłoszenia w gazetach, sprawdzić, czy któraś z dziewcząt nie jest poszukiwana. Tym mogę się zająć jeszcze przed powrotem do domu.

– I tak jesteśmy w lesie. Szukamy zdeprawowanego potwora, który poluje na młode kobiety. Jak odnajdziemy go w tym wielkim mieście?

– Potknę się. W pewnym momencie zawsze robią się zbyt pewni siebie albo zaczynają się złościć, że policja pracuje tak powoli. Sprawca zostawia te ciała na ulicach, bo chce nas zdenerwować. Kiedyś ktoś go w końcu zauważy.

– Nie mam zamiaru spokojnie na to czekać – powiedziałam. – To oznacza, że podobnie okrutny los spotka jeszcze parę dziewcząt. Czy czuje się pani zbyt zmęczona, żeby zajrzeć jeszcze do szpitala Świętego Wincentego? Może jednak coś zdążyła powiedzieć przed śmiercią i to nam pomoże?

Kiwnęła głową.

– Na to powinno nam starczyć czasu, ale musimy się pośpieszyć. Nie chcę, by pomyśleli, że zaginęłam.

Prawie pobiegła na przystanek elkí. Byłam pełna podziwu dla jej kondycji. Cała noc na dyżurze, a proszę ile energii! Ja dla odmiany umierałam już z gorąca, choć przecież byłam od niej co najmniej dziesięć lat młodsza. Ledwo dotrzymywałam jej kroku, kiedy wskakiwała do odjeżdżającego wagonu. W środku był ścisk. Musiałyśmy stać, kołysząc się do rytmu jazdy, kiedy pociąg ruszył w stronę Pierwszej Alei. Wydmuchiwał kłęby dymu, które przez otwarte okna natychmiast dostawały się do środka. Pech chciał, że linia, którą podróżowałyśmy, jeszcze nie została podłączona do elektryczności.

Tylko siłą woli dałam radę jakoś doczłapać do szpitala Świętego Wincentego. Doskonale znałam drogę do wejścia. Bridie długo tu leżała, chorując na tyfus, a ja odwiedzałam ją wtedy niemal codziennie. Poczułam ostre ukłucie tęsknoty za dziewczynką i jej bratem.

Przy biurku w rejestracji siedziała ubrana w biało siostra o poważnym obliczu. Sabella Goodwin podeszła do niej bez wahania.

– Jestem z policji i chciałabym przesłuchać kogoś, kto dzisiaj przyjmował do szpitala młodą kobietę. Ofiarę przestępstwa, dziewczynę, która później zmarła. – Jej głos odbijał się echem od ścian wyłożonych kafelkami.

Zrobiło to odpowiednie wrażenie.

– Znajdę pielęgniarkę, która miała wtedy dyżur. – Siostra wydała polecenie podwładnej. – Co za tragedia! – dodała, potrząsając głową, aż zachwiaił się sztywno wykrochmalony welon. – Wysłaliśmy do łżejszych zajęć pielęgniarki, które się tą biedaczką opiekowały. Bardzo je to poruszyło, a proszę mi wierzyć, wiele już tu widziałyśmy.

Czekałyśmy dosyć długo, a wokół toczyło się szpitalne życie. Oparłam się o zimną ścianę. Nie zamierzałam znowu zemdleć. Wreszcie w długim korytarzu rozległy się kroki i pojawiła się

siostrzyczka o młodej, świeżej twarzy.

– Siostra Mary Margaret – przedstawiła się. – Podobno chcą się panie dowiedzieć czegoś o tej biedaczce, którą tu do nas dziś przywieziono?

– Owszem, siostrzo – odparła reżolutnie pani Goodwin. – Z pewnością nie było to dla was przyjemne doświadczenie.

– Coś strasznego! Nigdy wcześniej czegoś tak okropnego nie widziałam. Ani siostra Rose. Płacze od rana.

– Zastanawialiśmy się – zaczęła ostrożnie pani Goodwin – czy ta młoda kobieta była jeszcze przytomna i czy może zdołała coś powiedzieć.

– Kiedy ją zobaczyłyśmy, nawet do głowy nam nie przyszło, że może być przytomna – powiedziała siostra Mary Margaret. – Gdybyście wiedziały, co się stało z jej twarzą... Byłyśmy pewne, że nie żyje, ale potem siostra Rose wyczuła puls i kiedy przenosiłyśmy biedaczkę na nosze, ta zaczęła coś mówić. Ledwie mogłam dosłyszeć, więc wzięłam ją za rękę, nachyliłam się i zapytałam: „Chcesz mi coś powiedzieć, kochanie?”. Westchnęła, a potem usłyszałam coś, co brzmiało jak „dob”. Później usłyszaliśmy głębokie westchnienie i na szczęście dla niej samej biedulka wyzionęła ducha.

Siostra zamilkła i przeżegnała się, a ja instynktownie zrobiłam to samo.

– „Dob”? – spytała pani Goodwin. – Co to może oznaczać?

– Przyszło nam do głowy, że chodzi o „dom”.

– Pewnie chciała do domu.

Pielęgniarka westchnęła.

– Nie mam pojęcia... Może próbowała nam podać adres, żebyśmy mogły zawiadomić rodzinę. Naprawdę trudno mi powiedzieć. Wiem jedno. Nie mogę się po tym wszystkim pozbierać. Całe rano spędziłam na kolanach w kaplicy, modląc się za tę biedną duszyczkę, która odeszła.

– W takim razie nie będziemy siostry dłużej zatrzymywać – powiedziała łagodnie pani Goodwin. – Dziękujemy za pomoc.

Mary Margaret odprowadziła nas do wyjścia. W samą porę. Omal nie zwymiotowałam na te wypolerowane kafelki na ścianie. Zrobiłam to dopiero na zewnątrz budynku. Musiałam przytrzymać się latarni, bo świat wokół zawirował.

– Tak mi przykro – powiedziałam. – Nie miałam pojęcia, że to wszystko robi na mnie aż takie wrażenie. Mieszkałam niedaleko. Wrócę teraz do domu i pozwolę pani spokojnie dokończyć pracę.

Sabella objęła mnie ramieniem.

– Pójdę z tobą, moja droga.

– To zupełnie niepotrzebne. Przecież musi pani złożyć raport – protestowałam, ale bezskutecznie, bo pani Goodwin odprowadziła mnie pod same drzwi.

Poczęła, aż otworzę, a potem weszła ze mną do środka.

– Filiżanka rumianku dobrze ci zrobi – stwierdziła.

– Obawiam się, że nie mam rumianku – powiedziałam. – Mam zwykłą herbatę, którą zawsze

pijaliśmy w domu.

– Lepšie to niż nic – skomentowała i zaczęła kręcić się po mojej kuchni, wlewając wodę do czajnika i zapalając gaz. – Usiądź, rozepnij guziki żakietu i parę razy odetchnij głęboko.

Zrobiłam, jak kazała.

– Nie sądziłam, że tak mnie to wszystko poruszy – powiedziałam. – Byłam pewna, że jestem silniejsza.

Spojrzała na mnie uważnie.

– Opiekowałam się w życiu kilkoma kobietami i potrafię rozpoznać pewne symptomy – stwierdziła. – Pewnie dlatego tak bardzo ci zależy na ocaleniu Daniela Sullivana.

Poczułam, jak oblewam się rumieńcem.

– Nie wiem, o czym pani mówi.

– Przecież nie urodziłam się wczoraj – odparła. – Nie jesteś pierwszą dziewczyną, której się to przytrafiło. Mam wrażenie, że Sullivan ma nam wiele do wyjaśnienia. I tobie, i mnie. Może jednak powinien posiedzieć w więzieniu? Chyba na to zasłużył.

– Nie – odparłam. – Na to nie mogę pozwolić. Jak by się pani czuła, gdyby to pani mąż został niesłusznie oskarżony i trafił za kratki?

– Prawdopodobnie robiłabym wszystko, by wyszedł na wolność. Zupełnie tak samo jak ty. Rozumiem teraz, że w pewnym sensie i twoje życie zależy od tego, czy Daniel Sullivan zostanie uwolniony, czy nie.

Przełknęłam gulę w gardle, bo nie chciałam się przy niej rozpląkać.

– Ale ja wciąż nie wpadłam na żaden trop! Na przykład sprawa, nad którą teraz pracujemy... Co ona ma wspólnego z Danielem? Taki zdeprawowany typ jak ten, który krzywdzi biedne dziewczyny... Skąd by, u diabła, wiedział o spotkaniu Daniela z Eastmansami? W jaki sposób nakierowałby komendanta w odpowiednie miejsce o odpowiedniej porze?

– Byłabyś zdziwiona, kto potrafi się okazać zdemoralizowanym draniem. To może być ktokolwiek. Ktoś, kogo znasz, ktoś, kogo znam ja. Ale zgadzam się. Jeśli założyć, że kapitan Sullivan mówi prawdę, musi to być człowiek, który zna od środka departament policji.

– Może to ktoś, kto zazdrościł Danielowi sukcesów. Ktoś, kto miał chrapkę na jego stanowisko – zasugerowałam. – Może Quigley i McIver? Przejęli po nim sprawę. A mówi pani, że obaj są bardzo ambitni.

– Tak, ale pozbycie się Sullivana raczej nie wpłynęłoby na ich awans. Znam innych, którzy czekają na odznakę kapitana.

– Cała chwała przypadłaby im w udziale. W końcu ocaliliby świat przed Rozpruwaczem z East Side...

Pokręciła głową.

– Akurat w tym przypadku takie motywacje nie powinny odgrywać żadnej roli. Mam wątpliwości, czy kiedykolwiek uda się nam złapać zabójcę. Oczywiście sprawy wyglądają teraz trochę lepiej, odkąd wiemy, że ta dziewczyna tylko została przebrana za prostytutkę i być może rodzina jej szuka. Ale Quigley i McIver jeszcze o tym nie wiedzą. Zresztą pracowałam z nimi i wiem, że są uczciwi. Quigley pochodzi ze starej, dobrej rodziny, w której przestrzega się zasad.

Honor i tym podobne... McIver, cóż, może trochę swobodniej podchodzi do pewnych rzeczy, ale ufam mu. – Przez chwilę zastanawiała się nad własnymi słowami, po czym powtórzyła: – Tak z pewnością można mu zaufać.

– No i moje śledztwo utknęło w miejscu – zauważyłam. – Nie mam pojęcia, co powinnam teraz zrobić.

– Proszę wypić herbatę i odpocząć – powiedziała. – Muszę już iść, ale dam do gazety ogłoszenie o zaginionej dziewczynie i zobaczymy, czy ktośkolwiek się zgłosi. A tak przy okazji... – W połowie drogi do drzwi wyjściowych odwróciła się, popatrzyła na mnie uważnie i dokończyła: – Nie musisz wcale przez to przechodzić.

– To znaczy? – zapytałam ostrożnie.

– Są sposoby, żeby to zakończyć.

– Ale czy to nie jest ryzykowne?

– Oczywiście zawsze jest ryzyko. Ale chyba mniejsze niż próba przeżycia w tym świecie jako samotna matka.

Podeszła do kuchennego stołu, przy którym siedziałam, i pochyliła głowę.

– Znam pewną kobietę – szepnęła. – Wysyłałam już do niej inne dziewczęta. Wie, co robi. Będzie chciała pieniędzy, ale mogę z nią porozmawiać. Ma u mnie dług wdzięczności, parę razy ostrzegłam ją przed aresztowaniem.

– Zna pani pewną kobietę – powtórzyłam jak papuga. – Ale ja bym nie mogła...

– Czy to ten święty katolicki głos w głowie? Proszę, tylko nie myśl, że Kościół pomoże ci wychować dziecko.

– Nie o to chodzi – powiedziałam. – Obawiam się, że i tak już jestem potępiona. Po prostu nie mogę sobie teraz pozwolić na zwolnienie i złe samopoczucie. Mam tyle do zrobienia!

– Już mówiłam. Ta kobieta jest dobra w swoim fachu. Od razu poczujesz się znacznie lepiej niż dziś, obiecuję. Proszę, pomyśl o tym. Porozmawiam z nią i powiem ci jutro, co ustaliłyśmy między sobą.

– Dziękuję – wyjąkałam. – Tak bardzo się cieszę, że się spotkałyśmy.

– Ja także.

– Chyba powinnyśmy się trzymać razem – dodałam. – Jeśli dowiemy się, kto wpakował Daniela za kratki, może również poznamy zabójcę pani męża.

– Może... – Uśmiechnęła się smutno. Potem ożywiła się, pomachała mi dłonią i zniknęła za drzwiami.

Kiedy zamykałam za nią drzwi, zauważyłam dwa listy wsunięte do skrzynki. Na jednym z nich rozpoznałam gniewne pismo Daniela, na drugim zaś widniał nieznan mi, bardzo staranny charakter pisma. Oczywiście najpierw otworzyłam liścik Daniela.

Pytasz, czy ktokolwiek odwiedzał mnie w więzieniu. Odpowiedź brzmi: nie. Tylko Ty i ten cholerny, głupi adwokat. Czas wlecze się niemiłosiernie, choć od strażnika, który przynosi mi jedzenie, wiem, że zbliża się termin rozprawy. Jedyna pocieszająca wiadomość jest taka, że posiłki się poprawiły i na dodatek opróżniają nam wiadro w celi częściej niż dotychczas. Chodzą słuchy, że w tym tygodniu komendant przeprowadzi tu inspekcję. Założę się, że nie może się wprost doczekać, by zobaczyć mnie w takim stanie. Wiem, że robisz, co możesz, i modłę się o cud. Myślę o Tobie codziennie.

Daniel

Popatrzyłam jeszcze raz na list, a potem włożyłam go na powrót do koperty. Tak więc komendant policji planuje odwiedzić Katakumby... To z pewnością tylko zbieg okoliczności, choć kto wie, może moje pierwsze podejrzenia były słuszne i to on ukartował całą sprawę Daniela. Mógł ukryć pieniądze w dłoni, a potem wsunąć je niepostrzeżenie do koperty.

W takim razie tracę tylko czas, prowadząc dochodzenie w sprawie okrutnych morderstw, podczas gdy powinnam skupić się raczej na czymś innym – pomyślałam. Daniel co prawda nie zna motywów, którymi mógł się kierować Partridge, ale to wcale nie znaczy, że one nie istnieją. Czy ten człowiek o nieposzlakowanej opinii chciał coś ukryć? Wydaje się naturalne, że teraz powinnam się przyjrzeć życiu i kontaktom pana Partridge'a. Nie miałam wprawdzie pojęcia, jak się do tego zabrać, ale pomyślałam, że a nuż Sabella Goodwin będzie mi w stanie pomóc. Może zrobić rozeznanie na policji, a na dodatek pewnie zna wszystkie plotki.

I wtedy przypomniałam sobie również, co mnie czeka, kiedy znów spotkam Sabellę Goodwin. Da mi adres kobiety, która położy kres sytuacji, w jakiej się teraz znalazłam. Na samą myśl przeszył mnie dreszcz. Sabella ma rację w kwestii mojego katolickiego wychowania. Jeśli istnieją grzechy śmiertelne, to jestem pewna, że pozbycie się dziecka do nich należy.

Z drżeniem serca otworzyłam drugą kopertę. Większość listów, które ostatnio dostawałam, zawierała same złe wiadomości.

Droga panno Murphy!

Prawdę mówiąc, dobrze się stało, że nie mogła mi Pani dziś rano towarzyszyć podczas wizyty

w kostnicy. Widok ciała tej dziewczyny był bardzo wstrząsający, nawet dla tak wprawionego w medycznych bojach mężczyzny jak ja. Jestem pewien, że nie dałaby Pani rady, a nawet jeśli się myślę, sytuacja ta zostawiłaby trwały ślad na Pani delikatnej psychice. Na domiar złego ani moja wizyta w kostnicy, ani rozmowa z detektywami nie przyniosła oczekiwanych rezultatów.

Policjanci są zupełnie zdezorientowani działaniami sprawcy, który w biały dzień, tuż pod ich nosem, porzuca ciała dziewcząt. Oczywiście wspomnieli, że sprawę prowadzą od niedawna, odkąd został od niej odsunięty kapitan Daniel Sullivan. Po obserwacji zwłok mogę tylko stwierdzić, że zabójca był silny i wyjątkowo brutalny. Ślady palców zaciśniętych na szyi są wyraźne, podobnie jak siniaki na twarzy, prawdopodobnie od ciosów zadanych pięścią. Mamy do czynienia z kimś, kto lubi ryzyko. Chyba zdaje sobie sprawę, że pragnienie zabijania wymknęło mu się spod kontroli. Prędkiej czy później zrobi fałszywy krok.

Nie jestem pewien, czy to wszystko ma dla Pani jakiegokolwiek znaczenie. Obawiam się, że niekoniecznie. Wciąż nie mamy żadnych dowodów. Zabójcą może być każdy nowojorczyk. Żałuję, że nie mogę Pani bardziej pomóc.

Uniżony sługa

Frederick Birnbaum, doktor medycyny

Po przeczytaniu tego szczegółowego i tak bardzo poprawnego listu musiałam się uśmiechnąć. Ciekawe, co może łączyć tego bon vivanta Ryana i doktora? Ale uśmiech szybko zniknął mi z twarzy. Niczego nowego się z listu nie dowiedziałam. Zdziwiło mnie, że dwaj detektywi twierdzą, iż przejęli sprawę po Danielu. Doskonale pamiętam, że zajmowali się nią we trzech, a Daniel był ich przełożony m. Dlaczego okłamali Birnbauma?

Tę kwestię da się łatwo wyjaśnić. Według pani Goodwin obaj są bardzo ambitni. Nie chcieli przyznać się przed doktorem, że tak niewiele udało im się do tej pory zrobić. Druga możliwość jest taka, że Birnbaum jako cudzoziemiec nie wszystko rozumiał. A oprócz tego nie sposób było sobie wyobrazić, że Quigley i McIver mogliby zaplanować odsunięcie Daniela od sprawy, bo chcieli, żeby chwała spłynęła wyłącznie na nich. Trudno nie zgodzić się z panią Goodwin. To jest jakaś diabelska układanka, którą ciężko będzie złożyć.

Na razie stawiałam na Johna Partridge'a. Mężczyźni z wysoką pozycją zawodową często coś ukrywają. Zakładając, że John Partridge rzeczywiście miał jakąś tajemnicę, to mógł znaleźć się w potrzasku, jeśli Daniel ją odkrył. Ale skoro on sam nawet się nie domyślał, czy przypadkiem nie nastąpił Partridge'owi na odcisk, nie wiedziałam, jak to wszystko sprawdzić. Kto może znać przeszłość i grzechy komendanta? Nikt z kręgu moich znajomych. Nagle mnie olśniło. Gazety! Dziennikarze uwielbiają szukać skandali w życiu osób na świeczniku. Może przejrzenie archiwalnych numerów „Heralda” i „Timesa” rzuci nowe światło na sprawę. A już na pewno znajdę tam życiorys komendanta.

Przebrałam się w lżejszą, swobodniejszą sukienkę, a potem znów wyszłam. Kolejny parny dzień z widmem burzy nad New Jersey – pomyślałam. Od razu zaatakowały mnie muchy i komary i pożałowałam, że nie kupiłam sobie, wzorem dam z wyższych sfer, kapelusza z woalką. W redakcji „Heralda” znów przedstawiłam się jako przedstawicielka Ligi Praworządnych Kobiet,

przysłana przez panią Astor. Kobieta o poważnej twarzy, która dyżurowała w archiwach, obiecała mi wyszukać wszystkie informacje na temat Johna Partridge'a. I to w dodatku już na następny dzień.

Kiedy wyszłam, okazało się, że chmury burzowe są tuż nade mną. Na granitowe płyty chodnika zaczęły spadać pierwsze ciężkie krople deszczu. Miałam wiele planów na popołudnie, między innymi chciałam zajrzeć do okolicznych hoteli w poszukiwaniu Letycji, ale ponieważ nie wzięłam ze sobą parasola, postanowiłam od razu wracać do domu.

Byłam w połowie Patchin Place, kiedy nastąpiło oberwanie chmury, i do domu wpadłam przemoczona do suchej nitki. Powiesiłam sukienkę, żeby wyschła, zrobiłam sobie herbatę i nagle ogarnęło mnie zmęczenie. Wyciągnęłam się na łóżku, słuchając, jak wznaga się ulewa. Powinnam coś zaplanować – pomyślałam. Ale zamiast tego, przy dźwięku piorunów i w szumie deszczu, głęboko zasnęłam.

Obudził mnie głośny grzmot. Było ciemno jak w nocy, a burza najwyraźniej wciąż szalała. Po chwili dotarło do mnie, że dźwięk, który słyszę, to nie grzmot, ale głośne pukanie do drzwi. Włożyłam spódnicę i koszulkę, bo sukienka była ciągle mokra, i zbiegłam po schodach. Na zewnątrz wciąż bardzo padało, a pod czarnym ogromnym parasolem stały Sid i Gus.

– Jak dobrze, że jesteś w domu – powiedziała Sid, wchodząc i strzepując za sobą parasolkę. – Czy złapała cię ta straszna burza? Bo nas tak, przemokłyśmy do suchej nitki. Kazałam Gus wziąć kąpiel, żeby się nie przeziębiła.

– Nic mi nie będzie – zapewniła Gus. – Nie jestem listkiem na wietrze, ale silną kobietą, choć może na taką nie wyglądam.

– Chcecie lemoniady albo herbaty? – zaproponowałam.

– Dziękujemy, właśnie piłyśmy kawę. Wiesz przecież, że Sid musi codziennie wypić parę kaw po turecku. Przyszłyśmy ci opowiedzieć, jaki ciekawy i przyjemny dzień miałyśmy.

– A co robiłyście?

– Bawiłyśmy się w detektywów – powiedziała Sid, siadając w kuchni. – Pytałyśmy o tę zaginioną Letycję. Pamiętasz? Obiecałam, że to zrobimy. Molly, teraz rozumiem, dlaczego tak lubisz swoją pracę. Czulałam się fantastycznie, zaglądając w różne dziwne miejsca i zadając inteligentne pytania.

– Czego się dowiedziałyście? – zapytałam z duszą na ramieniu.

– Niczego istotnego, niestety – odparła Sid. – Wiemy tylko, że kiedy panna Blackwell przyjeżdżała z matką do miasta, zawsze zamieszkiwała w hotelu Brevoort, o rzut beretem stąd.

– Brevoort – powtórzyłam.

To ładny hotel – pomyślałam – choć daleko mu do Plazy lub Astorii, gdzie zapewne zatrzymała się Arabella podczas swoich wizyt w mieście. A to oznacza, że rodzina Letycji jest mniej zamożna niż Nortonowie. Czyżby w takim razie jakikolwiek młodzieniec chciał się położyć na pieniądze?

– Nie znalazłyśmy hotelu, w którym panna Blackwell meldowałaby się ostatnio bez mamy – dodała Gus. – Oczywiście mogła użyć fałszywego nazwiska, ale opisałyśmy ją wszędzie bardzo dokładnie na podstawie fotografii.

– Najpierw myślałyśmy, że może zatrzymała się w Brevoortie, bo to w najbliższym sąsiedztwie Lower East Side – zauważyła Sid. – Raptem parę kroków. A tak przy okazji, wszyscy z wielkim respektem wyrażali się na temat pani Blackwell.

– A jak mówili o Letycji? – zapytałam.

– Regularnie towarzyszyła matce, ale dwa lub trzy razy przyjechała też z narzeczonym. Skomentowano to tak, że tworzą piękną parę i wydają się bardzo w siebie zapatrzeni.

– Tego dnia, kiedy zniknęła, miała przyjechać i pomagać w domu dla emigrantów – powiedziała Gus. – A następnie uczestniczyć w spotkaniu organizacyjnym na temat wycieczki dla dzieci na Coney Island, którą planowano nazajutrz. Panna Blackwell miała być jedną z opiekunek. Zmartwili się, kiedy nie przyjechała.

Wycieczka na Coney Island? Aż do teraz nie widziałam żadnego powiązania pomiędzy Letycją a zamordowanymi dziewczętami, ale na dźwięk tej nazwy dostałam gęsiej skórki. Letycja miała jechać na Coney Island następnego dnia! Tyle że tam nie pojechała. Wszystko jakimś dziwnym trafem kręciło się wokół jednego miejsca. Tylko jak łączyć morderstwo prostytutki, walkę za pieniądze, otrutego konia i wycieczkę dla dzieci? To może być zbieg okoliczności, jeden z wielu, które nas w życiu przesładują, albo moje irlandzkie przewrażliwienie. Zawsze widzę podobieństwa tam, gdzie ich nie ma.

– O co chodzi, Molly? – zapytała Gus.

– Nic. Po prostu zaskoczyła mnie wiadomość, że planowano wycieczkę na Coney Island. Wszystko wydaje się powiązane z tym miejscem, choć zupełnie nie wiem dlaczego.

– Tam dużo się dzieje – powiedziała Sid. – Nowojorczycy w gruncie rzeczy mieszkają w lecie na Coney Island.

Ma rację, a ja znów przesadzam – pomyślałam. Co ma wspólnego Letycja, dziewczyna z wyższych sfer, z martwymi prostytutkami? Po chwili mnie zmroziło – przynajmniej jedna z dziewcząt wcale nie była prostytutką! Powiązanie Letycji z Coney Island jednak należałoby zbadać.

– Powiedźcie mi, proszę, czy w tym domu dla imigrantów natknęłyście się może na ślad jakiegos młodogo człowieka zainteresowanego Letycją?

– Owszem – odparła Sid, która sprawiała wrażenie bardzo z siebie zadowolonej. – Jest pewien student teologii, który od czasu do czasu pracuje jako wolontariusz. Słyszałam, że był pod wielkim wrażeniem panny Blackwell i z zaangażowaniem jej pomagał.

– A czy ona była pod jego wrażeniem?

– O tym nie rozmawialiśmy. Podkreślano natomiast jej przywiązanie do narzeczonego.

– A czy tego młodogo człowieka widziano jeszcze po jej zniknięciu?

– Podobno pojechał na lato do rodziny. Mieszkają w Newport na Rhode Island.

– Dowiedziałyście się, jak się nazywa?

– Oczywiście – odparła Sid. – Widzisz? Spisałyśmy się na medal.

– A ponieważ moja rodzina ma krewnych w Newport, bez problemu znajdziemy jego adres – dodała Gus. – Po prostu musisz nas zrobić partnerkami w swojej firmie.

– Szczerze mówiąc, jesteśmy gotowe jechać do Newport i przesłuchać podejrzanego –

zapropnowała Sid.

– Nie, to nie będzie konieczne – powiedziałam szybko, wyobrażając sobie zamieszanie, do jakiego dojdzie, kiedy Sid i Gus zaczną prowadzić śledztwo. – Świetnie sobie poradziłyście. Dzięki wam oszczędziłam sporo czasu, którego i tak nie mam za wiele.

– Czy li nie wpadłaś na nic, co mogłoby pomóc Danielowi?

Westchnęłam.

– Chciałabym powiedzieć, że wpadłam na jakiś trop, ale, niestety, tak nie jest. Mam pewne wskazówki, teorie, ale żadnego jasnego kierunkowskazu.

– A co z tymi zamordowanymi prostytutkami? – zapytała Sid. – Czy doktor Birnbaum zabrał cię w końcu do kostnicy?

– Policjanci nie chcieli się na to zgodzić – odparłam.

Już miałam im opowiedzieć o swoim spotkaniu z Sabellą Goodwin, ale Gus powiedziała stanowczo:

– I bardzo dobrze. To wcale nie było konieczne.

– Poza tym co to ma wspólnego ze sprawą Daniela, Molly? – dodała Sid.

– Właściwie się z tobą zgadzam – przyznałam. – Przychyłam się teraz do hipotezy, że to komendant policji jest tym, którego powinnam rozpracować. Tylko on mógł z łatwością zaaranżować przekazanie łapówki. I podobno w tym tygodniu odwiedzi Katakumby. Arabella sugerowała, że zwycięzca zawsze chce obejrzeć kłęskę swojej ofiary.

– A wiesz, czym mógł Daniel zdenerwować komendanta policji? Wydawałoby się, że powinni stać po tej samej stronie – stwierdziła Gus.

– Nawet Daniel nie ma pojęcia, o co tu chodzi – odparłam. – Idę jutro do redakcji „Heralda” przejrzeć archiwalne wydania. Może natknę się tam na jakąś niewygodną dla Partridge’a historię z przeszłości – powiedziałam, opierając się łokciami o stół. – Tak żałuję, że nie ma Paddy’ego Riley’a. Tylko on mógłby mi pomóc. Jestem beznadziejnym detektywem.

– Wiemy, że ta sprawa wiele dla ciebie znaczy, Molly, ale obydwie uważamy, że ostatnio się przepracowujesz – orzekła Gus z troską w głosie. – Mizernie wyglądasz. Dlaczego nie odpoczniesz parę dni? Od razu poczujesz się lepiej.

Powinnam teraz wyznać im prawdę – pomyślałam. Staralam się ułożyć w głowie słowa, ale nie potrafiłam. Potem uświadomiłam sobie, że już jutro – za pośrednictwem pani Goodwin – mogę mieć umówione spotkanie z tamtą kobietą. Czy dam radę tam pójść, nie byłam wcale pewna.

– Niedługo odpocznę, obiecuję – powiedziałam.

Kiedy zbudziłam się rano, niebo było szare i padał deszcz. Niezbyt dobry dzień na wycieczkę – pomyślałam. I tak zresztą wcale nie miałam na nią ochoty. Z samego rana dopadły mnie silne mdłości, po których czułam się wyjątkowo słaba. Poza tym nie chciałam, by pani Goodwin pocałowała kłamkę, kiedy przyjdzie mnie odwiedzić. Miałam nadzieję, że zajdzie do mnie, wracając do domu po nocnej zmianie. Byłam podekscytowana i zaciekawiona, jakbym czekała na wyniki jakichś ważnych egzaminów. Niepotrzebnie się nastawiam – perswadowałam sobie w myślach. Niewykluczone, że ta kobieta zażąda dużo pieniędzy albo w ogóle nie zechce mnie widzieć. A jeśli się zgodzi? Na samą myśl serce zaczęło mi szybciej bić. Czy jest jakiś większy grzech niż zabicie własnego dziecka? Ale przecież jakie życie nas czeka? Jak sobie poradzę w roli samotnej matki?

Nadeszło południe, ale pani Goodwin się nie pojawiła. Deszcz zamienił się w mżawkę, a ja zaczęłam się niecierpliwić. W końcu nie mogłam tego wytrzymać. Skoro nie przyszła, pewnie wróciła do domu i spokojnie odsypia przepracowaną noc. Nie zobaczę jej wcześniej niż wieczorem. Powinnam pójść do redakcji „Heralda” i zapoznać się z tym, co przygotowała dla mnie pani Pritchard.

Skręcałam właśnie w Szóstą Aleję, kiedy zauważyłam młodego policjanta, który szedł dziarsko w moją stronę. Rozpoznałam go. To posterunkowy Byrne. Poczułam przyływ nadziei, że może chce iść ze mną do Daniela.

Dotknął czapki, kiedy mnie zobaczył.

– Panno Murphy – powiedział. – Mam pani doręczyć list.

– Od kapitana Sullivana? – zapytałam.

– Niestety, nie. Od jednej z naszych strażniczek. Przeprasza, że nie przyszła osobiście, ale była zmęczona po nocnej zmianie. W dodatku zmokła, więc postanowiła natychmiast wracać do domu, żeby się nie przeziębicić.

Wręczył mi kopertę.

– Dziękuję – powiedziałam. – To miło z pana strony. A czy widział pan ostatnio kapitana Sullivana?

– Nie, proszę pani.

– A może coś o nim mówią w komisariacie?

– Nic nie mówią. Tak jakby nigdy go tam nie było.

– A co ze śledztwem, które prowadzi Quigley i McIver? Może o tym jest głośno?

Skrzywił się.

– Nawet jeśli tak, to do mnie żadne słuchy nie doszły. Jestem szeregowym policjantem.

Wczoraj miałem dyżur w mieście. Straszne zadanie tak stać na rogu ulicy, kiedy nic się nie dzieje.

– I nie widział pan żadnych podejrzanych pojazdów?

– Jakiego rodzaju?

– Wytwornych, dużych?

– Nie, panienko, miały mnie tylko wozy dostawcze, parę dorożek i jeden samochód. To wszystko. Dlaczego panienka pyta?

– Z ciekawości – odparłam, bo nie chciałam zagłębiać się w szczegóły. Lepiej, żeby nikt w kwaterze głównej nie wiedział, że zajmuję się tą sprawą.

Niecierpliwie przestępowałam z nogi na nogę.

– To ja już pójdę, panienko. Muszę wracać do pracy.

– Oczywiście, panie Byrne. Proszę iść – odparłam.

Kiwnął głową i odwrócił się na pięcie. Zastanawiałam się przez moment, czy powinnam była dać mu jakieś pieniądze za fatygę. Ale przecież aktualny stan moich finansów w ogóle mi na to nie pozwalał. Przestałam o tym myśleć i otworzyłam kopertę.

Droga panno Murphy!

Najmocniej przepraszam, że nie przysłałam osobiście, ale po dyżurze w Lower East Side jestem przemoczona do suchej nitki i marzę, by jak najszybciej wysuszyć ubrania i położyć się do łóżka. Przynajmniej nie było dziś ofiar. Ogłoszenie powinno pojawić się już w gazecie i zobaczymy, co nam przyniesie.

A teraz druga sprawa, w której rozmawialiśmy. Moja znajoma nazywa się Rose Butler. Mówiłam z nią. Z przyjemnością Cię przyjmie dzisiaj wieczorem około ósmej, jeśli ten termin Ci odpowiada. Przekazała mi, że nie powinnaś wracać sama do domu do późnej porze, i proponuje, byś u niej została co najmniej na jedną noc. Przekonasz się, moja droga, że to bardzo sumienna i kompetentna osoba. Mieszka przy Allen Street 231.

Mam nadzieję, że skorzystasz z tego zaproszenia. Naprawdę warto! Ale ostrzegam, byś uważała na siebie w okolicach Lower East Side po zmroku. Detektyw Quigley twierdzi, że morderca być może krąży tam powozem lub samochodem i wynajduje atrakcyjne dziewczęta. Niewykluczone, że zabiera je do pobliskiego przybytku albo atakuje w ciemnej alejce czy nawet w pojeździe. Więc proszę, bądź ostrożna – krzycz, uciekaj i zwracaj na siebie uwagę, jeśli coś Cię zaniepokoi.

Uwierz mi, że życzę Ci tego co najlepsze i jestem przekonana, że Twoje zdrowie poprawi się w najbliższej przyszłości.

Oddana przyjaciółka

Sabella Goodwin

Podziwiałam sposób, w jaki to wszystko napisała. Nie było tu żadnych informacji wprost. Pewnie podejrzewała, że list mogą przeczytać niepowołane osoby. Interesujące... Przeszył mnie

dreszcz.

– Pani Rose Butler, Allen Street dwieście trzydzieści jeden – powtarzałam te słowa jak mantrę. Jeśli się zdecyduję, przyjmie mnie dziś wieczorem.

Ręka bezwiednie powędrowała do brzucha. Ósma – pomyślałam. Mam co najmniej osiem godzin, żeby to wszystko przemyśleć. Jeszcze jeden powód, by rzucić się w wir pracy i nie tracić czasu na rozterki.

Wspięłam się po schodach na przystanek elki i zawróciłam w stronę siedziby „Heralda”. Dzisiaj szczególnie zadbałam o strój: włożyłam służbową garsonkę, a włosy związałam ciemną wstążką. Pani w archiwum doceniła najwyraźniej mój profesjonalny wygląd, bo z sympatią skinęła głową.

– Znalazłam ciekawy artykuł na temat komendanta. Co za wspaniały mężczyzna! Cieszę się, że będzie odznaczony.

Wskazała mi miejsce przy długim mahoniowym stole, a potem postawiła przede mną pudełko z zapisanymi kartkami, położyła mi stronami gazet, fotografiami i rysunkami. Usiadłam pod jedną z lamp i zaczęłam to wszystko przeglądać. Można było odnieść wrażenie, że pan Partridge prowadzi wzorowe życie. Zatrudnił go Theodore Roosevelt, kiedy sam był komendantem policji. Najpierw Partridge pracował w różnych nudnych departamentach miasta – komunikacji i w biurze do spraw prac publicznych. Nic szczególnego – pomyślałam, żadnych eksponowanych stanowisk. Według krótkiej notki biograficznej był synem pastora, absolwentem Princeton, prawnikiem, mężem odpowiednio urodzonej kobiety i ojcem czterech córek. Przejrzałam zdjęcia. Na jednym pan Partridge ścisnął dłoń Rooseveltowi, na innym witał się z burmistrzem, a kolejnym przyjmował z jego rąk nominację. Ale kiedy wzięłam do ręki następną fotografię, serce zaczęło mi mocniej bić. Nagłówek brzmiał: *Miejscowi przedsiębiorcy witają w Nowym Jorku zwycięzcę z Irlandii*. Kilku uśmiechniętych mężczyzn stało obok pięknego konia. Przynajmniej miałam jakieś powiązanie – pan Partridge należał do syndykatu, którego koń zwyciężył tamtego dnia na torze w Brighton.

Przez chwilę byłam cała szczęśliwa. Mam cię, komendancie! – powiedziałam sobie w myślach. Po chwili jeszcze raz wszystko przeanalizowałam. John Partridge był jednym z właścicieli zwycięskiego konia. Czy jednak ten fakt ma dla mnie jakieś znaczenie? Koniuszy, z którym rozmawiałam w stajni, powiedział, że oprócz Ballyhoo, który niespodziewanie padł, nie było faworytów. Gdyby za otrucie zwierzęcia odpowiadali ludzie Partridge’a, zadbaliby o to, by nikt ich o nic nie podejrzewał. Przecież to potężni przedsiębiorcy miejscy! W podobnych sytuacjach zawsze kimś się wysługują. A jeśli nawet Daniel odkrył, że Partridge był członkiem syndykatu, co z tego?

Zacząłam pisać list do Daniela, dzieląc się z nim swoimi przemyśleniami, ale szybko się zreflektowałam. Bardzo możliwe, że ktoś czyta naszą korespondencję. Nie mogę nas narażać. Powinnam pójść do prawnika i wymusić na nim kolejną wizytę w Katakumbach. Wciąż jednak nie mam pewności, czy Atkinson nie jest przypadkiem na czyichś usługach! Znowu poczułam, że to wszystko mnie przerasta. Nawet jeśli udowodnię, że syndykat odpowiada za otrucie konia, jak sprawdzić, czy to Partridge ukartował przyjęcie łapówki? Nie uda mi się wyciągnąć Daniela z więzienia – uznałam w końcu.

W takim razie nie mam wyjścia. Powinam złożyć dzisiaj wizytę pani Butler – postanowiłam.

W domu byłam o trzeciej. Czyli zostało mi jeszcze pięć godzin – obliczyłam. Z okna na piętrze wyjrzałam na ulicę. Bardzo potrzebowałam teraz towarzystwa przyjaciółek z naprzeciwka, ale wiedziałam, czym to się może skończyć. Sid i Gus od razu wyczują mój nastrój. Zapytają, co jest nie tak, a ja rozplaczę się i wszystko im opowiem. Pewnie nie będą mnie osądzać, ale po co w ogóle zaczynać takie rozmowy... Skreśliłam wiadomość do pana Atkinsona, prosząc o spotkanie z Danielem w trybie pilnym. Napisałam, że chcę przekazać ważne informacje, które mogą okazać się istotne dla śledztwa. Jeśli Atkinson jest czymś szpiegiem, taki list z pewnością zrobi na nim wrażenie – pomyślałam.

Sid i Gus nie pokazały się przez całe popołudnie. Miałam cichą nadzieję, że zajrzy do mnie pani Goodwin. Bóg jeden wie, jak bardzo potrzebowałam w tej chwili rozmowy. Ogarniał mnie strach przed tym, co miało nastąpić. Wreszcie wybiła siódma trzydzieści, czas, kiedy powinnam wyjść z domu. Spakowałam koszulę nocną, szczotkę do włosów i mały ręcznik, zupełnie jakbym wybierała się z wizytą do przyjaciółki. Wzięłam również książeczkę czekową. Nie miałam pojęcia, ile wyniesie zapłata. Na koncie wciąż było trochę pieniędzy po Paddym, ale te oszczędności szybko topniały. Musiałam płacić za dom, a dochodów na razie żadnych nie miałam. Wciąż jednak zastanawiałam się, czy przypadkiem nie obleci mnie strach, kiedy dotrę do domu pani Butler.

Padła deszcz, więc szłam pod parasolem, omijając kałuże. Czwartą Ulicą doszłam do Pierwszej Alei. Wiedziałam, że po drugiej stronie rzeki Hudson Pierwsza Aleja skręca w Allen. Pewnie mogłam pojechać tramwajem konnym, ale zdecydowałam, że szybciej będzie na piechotę. Poza tym chłodna woda, którą czułam na stopach, pomagała mi zachować trzeźwość umysłu, co było szczególnie ważne w sytuacji, kiedy wszystko wydawało się nierealne. Chyba nigdy wcześniej nie czułam się bardziej samotna. Nawet gdy przyплыłam z Irlandii. Nawet gdy Nuala po raz pierwszy wyrzuciła mnie ze swojego domu na Manhattanie.

Kiedy dotarłam do wschodniej części miasta, nagle zrobiło się tłoczno, a skręciwszy w Pierwszą Aleję, dosłownie weszłam w morze ludzi. Na ulicy biegnącej pod torami elki stał rząd wózków z różnymi towarami, schowanych tutaj przed najgorszym deszczem. Piesi musieli korzystać z wąskiego przejścia pomiędzy sklepami i straganami. Z obydwu stron sprzedawcy głośno zachwalali swój towar. Kiedy indziej bardzo by mi odpowiadał ten zgiełk, teraz traktowałam go jak niepotrzebne zamieszanie, które trzeba jak najszybciej ominąć.

Żałowałam, że nie pojechałam jednak elką, bo droga na Allen okazała się dość długa. Minęłam Rivington, potem Delancey. Na Rivington z tęsknotą spojrzałam w stronę East River, gdzie mieszkał Jacob. Czasy, gdy spieszyłam do jego mieszkania nad rzeką, a on częstował mnie herbatą, wydawały się takie odległe... Życie wtedy było dość spokojne i nie aż tak pokomplikowane. Gdybym tylko darzyła go jakimś uczuciem! Szkoda, że poczucie

bezpieczeństwa nie jest dla mnie tak ważne jak miłość.

Nie ma jednak sensu zastanawiać się nad tym, co by było gdyby... Teraźniejszość zastawiła na mnie pułapkę i żeby się z niej wydostać, muszę odwiedzić panią Butler przy Allen Street 231!

Okazało się, że kobieta mieszka w zwyczajnej pięciopiętrowej kamienicy. Na parterze mieścił się zakład krawiecki, w którym najwyraźniej ktoś jeszcze pracował, bo dostrzegłam światło lampy gazowej. Wszłam do środka i zapytałam o panią Butler. Mężczyzna spojrzął na mnie znacząco, tak jakby wiedział, o co chodzi.

– Trzecie piętro, frontowe wejście – powiedział szybko.

Właśnie tak będę traktowana przez resztę życia, jeśli zdecyduję się na to dziecko – powiedziałam sobie w duchu i zaczęłam się wspinać po schodach. Na drugim piętrze usłyszałam podniesione głosy – mężczyzna i kobieta wymyślali sobie nawzajem, chyba po włosku. Skoro wszystko słychać przez te drzwi, co będzie, jak podczas zabiegu zacznę krzyczeć? Wcześniej nie pomyślałam o bólu, który w końcu nastąpi. Dopiero teraz to sobie uświadomiłam. Widziałam rodzące kobiety i słyszałam, jak płakały, prosząc Najświętszą Panienkę, żeby skróciła ich cierpienie. Zawahałam się i na następne piętro wszłam bardzo powoli. Teraz już nie mogę zawrócić – postanowiłam. W końcu pani Goodwin też naraża swoje dobre imię, kontaktując się w mojej sprawie z kimś, kto prowadzi nielegalny proceder.

Zebrałam się w sobie, pokonałam ostatnie parę schodków i zapukałam do drzwi. Kobieta, która mi otworzyła, mogłaby swobodnie być moją ciotką, starą panną. Była drobna, o dostojnym wygładzie, ubrana w szarą sukienkę z dołem bardziej rozkłoszonym, niż nakazuje dzisiejsza moda. Włosy miała siwe, przykryte czepkiem z siatki w podobnym kolorze. Każdemu, kto by ją spotkał, wydałaby się pewnie damą z towarzystwa, która lepsze czasy ma już za sobą i teraz prawdopodobnie dorabia sobie jako krawcowa.

– Panna Butler? – zapytałam.

– Panna Murphy? Czekam na ciebie, moja droga. Wejdz, proszę, zrobiłam mrożoną herbatę.

Drzwi się za nami zamknęły.

– Wykazałaś się odwagą, przychodząc tutaj, moja droga. – Zajęła miejsce w fotelu. Meble były już stare i zniszczone, ale wciąż jeszcze w dobrym stylu. Też usiadłam. Nalała mi herbaty do wysokiej szklanki. – Zanim zacniemy, muszę mieć pewność, że twój stan jest naprawdę taki, jak myślisz. Nie ma co się przejmować, jeśli tak nie jest. – Uśmiechnęła się miło, a ja pociągnęłam łyk herbaty.

– Czemu przy puszczasz, iż jesteś w ciąży? Niedawne spotkanie z mężczyzną?

Kiwnęłam głową.

– I nie masz miesięcznej niedyspozycji?

Znów potwierdziłam.

– Są jeszcze jakieś inne objawy?

– Wymiotuję bardzo często, jestem słaba, raz zemdlałam.

– A piersi? Bolą bardziej?

Dotknęłam piersi i zrozumiałam, że czuję nawet ten lekki dotyk.

– Rozumiem powiedziała. – W takim razie nie mam wątpliwości. Sprawdź jeszcze sytuację

przed zabiegiem, ale myślę, że rzeczywiście jesteś przy nadziei – dodała i upiła trochę herbaty. – I nie ma żadnej możliwości, żeby ten młody mężczyzna cię poślubił? Zabieg niesie ryzyko, więc dlatego pytam. U mnie od lat nie było śmiertelnego przypadku, ale zawsze może nastąpić krwawienie lub infekcja.

– Ten młody człowiek na pewno się teraz ze mną nie ożeni – powiedziałam. – Jest w więzieniu i trochę tam posiedzi.

– Ojej. To niedobre. Ale może i lepiej, że nie będziesz skazana na tupa z kryminalną przeszłością. Pan Butler był taki sam. Ciągłe wpłatywał się w jakieś nielegalne interesy, licząc na szybki zarobek, którego jednak nigdy nie było.

– Co się z nim stało?

– To samo co z twoim ukochanym. Od dwudziestu lat w Sing-Sing, a ja ciągle uciekam przed wierzycielami. Kiedyś mieliśmy piękny dom... Dość! Przecież nie przyszłaś tu słuchać o moich problemach. Przejdźmy do sedna. Najpierw spora szklanka ginu. Zauważyłam, że to działa prawie na wszystkie dziewczęta. Nie tylko je uspokaja, ale również łagodzi ból. I pozwala dobrze zacząć zabieg. Nie bez powodu mówi się na ten trunek „ruina matek”. – Uśmiechnęła się przebiegle. – A kiedy gin zacznie działać, weźmiesz gorącą kąpiel. Tak gorącą, jak zdołasz wytrzymać. Do tego lekarstwo mojej receptury, które w cudowny sposób zaczyna proces poronienia. Potem wracam ja. Nie będzie to wszystko przyjemne, ale do rana skończymy i będziesz mogła pójść do domu. W porządku?

Pokiwała głową. Nie mogłam wyrzucić ani słowa.

– Moja przyjaciółka pani Goodwin opowiedziała mi o twojej sytuacji finansowej. Czy możemy uznać, że dwadzieścia dolarów załatwi sprawę? Nigdy nie żądam zapłaty, która jest ponad możliwości klientki.

– To miło z pani strony.

– Nie martw się. Wyrównam sobie u pań z towarzystwa.

I znów dziwnie się uśmiechnęła.

– Muszą mi płacić także za milczenie.

Wyciągnęłam książeczkę czekową. Zrobiła przerażoną minę, a potem się roześmiała.

– O nie, moja droga. Przykro mi, tylko gotówka. Nie jestem na tyle głupia, by zostawiać policji jakikolwiek ślad. Nie zamierzam dołączyć do męża.

– Nie mam przy sobie gotówki, ale pójdę rano do banku i podejmę pieniądze.

– Dobrze. Jesteś przyjaciółką pani Goodwin, więc ci ufam. Zaczynamy? Zawsze powtarzam, że nie ma sensu przeciągać spraw w nieskończoność.

Otworzyła zdobiony barek z mahoniowego drewna i wyciągnęła butelkę ginu. Potem naląła mi sporą porcję.

– Wlej to w siebie – powiedziała. – Poczujesz się lepiej. Znasz takie powiedzenie: „Malutki kieliszek nie dojdzie do kiszki”? Musisz wypić dużo.

Zaśmiałam się nerwowo. Patrzyła, jak podnoszę trunek do ust. Nigdy nie piłam mocnego alkoholu, z wyjątkiem porcji brandy dawno temu, kiedy byłam chora. Poczułam się, jakbym wlała w siebie wodę ognistą. Zakaszlałam, a oczy zaszyły mi mgłą.

– Mały mi łykami – upomniała. – Nie pij wszystkiego naraz, jeśli nie jesteś wprawiona.

Przełknęłam, odchrząknęłam, potem znów pociągnęłam łyk. Smak nie był nieprzyjemny, tylko jakiś dziwny. Niczego podobnego nigdy wcześniej nie piłam. Jeszcze nie skończyłam, a już czułam pierwsze efekty. Pani Butler wstała.

– Zostawię cię na chwilę, aż porządnie zaczniesz działać. To nie jest dobra pora na uprzejme konwersacje. Ale mam tu numer magazynu dla pań. Może chcesz przejrzeć? Pójdę sprawdzić, czy woda na kąpiel już się porządnie zagrzała.

Zniknęła za drzwiami, które znajdowały się obok barku. Otworzyłam pismo i starałam się skupić. Były tam przepisy na maseczki z płatków owsianych i ogórka, porady dotyczące czyszczenia zastawy z mosiądzu i rysunek dziewczyny, który zajmował całą stronę. Zaczęło kręcić mi się w głowie, dziewczyna straciła kontury. Odwróciłam kartkę i trafiłam na dłuższy artykuł pod tytułem *Przewodnik dobrej matki. Jak wychowywać zdrowe dzieci*. Na obrazku widniała kobieta z pulchnym dzieckiem na kolanach. Bobas miał wielkie ciemne oczy, niesforne łoki i uśmiechał się z rozkoszą.

Nagle odłożyłam pismo i zerwałam się na równe nogi. Co ja tu robię? Nie chodzi wcale o katolickie wychowanie, o ogień piekielny czy ból; nie chodzi nawet o niepewną przyszłość ani o to, że trudno mi będzie zapewnić rodzinie byt. Przecież noszę w sobie dziecko Daniela i jeśli się urodzi, będzie mi wyglądać dokładnie tak jak ten maluch na obrazku! A ja zamierzam je zabić, zanim po raz pierwszy się zaśmieje, przytuli do rodziców, pozna, czym jest życie. Serce waliło mi tak mocno, że nie byłam w stanie się ruszyć. Po chwili wstałam, przesłam na palcach przez pokój, zabrałam ze stołu torebkę i parasolkę ze stojaka. Wstrzymując oddech, dotarłam do drzwi wejściowych. Otworzyłam je, a potem cicho za sobą zamknęłam. Z impetem zbiegłam ze schodów i wyszłam w ciemną noc.

Deszcz ciągle padał. Gin zaczął działać, więc musiałam oprzeć się o ścianę. Kiedy zamykałam oczy, świat wirował. To straszne – pomyślałam. Jestem pijana, a przecież jakoś muszę dojść do domu! W tym stanie nie powinnam jechać elką, mogłabym na przykład spaść z peronu...

Bez pieniędzy na dorożkę nie mam wyboru, muszę wracać na piechotę – postanowiłam. Spacer w deszczu może przynajmniej trochę mnie otrzeźwi!

Bardzo chciałam jak najszybciej opuścić Allen Street. Nie było to proste, bo nogi mnie nie słuchały. Na pierwszym skrzyżowaniu skręciłam w lewo i poszłam w stronę Bowery. Minęłam parę domów i nagle do mnie dotarło.

– I coś ty zrobiła! – powiedziałam na głos karcącym tonem. – Znowu kierujesz się sercem zamiast rozumem. I co teraz?

– Jakoś to będzie – padła odpowiedź.

Doszłam do Bowery i postanowiłam pójść dalej w kierunku Broadwayu, skąd odjeżdżał tramwaj. Może do niego uda mi się wsiąść. Kiedy dotarłam do kolejnego skrzyżowania, zobaczyłam jakieś zbiegowisko. Na chodniku i na ulicy zebrała się grupa gapiów.

– Rozejść się, rozejść się – usłyszałam, a potem dostrzegłam policjanta, który starał się zapanować nad tłumem.

Nadjechał ambulans zaprzęgnięty w galopujące konie; dzwonki słychać było od strony Broadwayu.

– Czy ktokolwiek widział, co się stało? – zapytał jakiś mężczyzna.

Przyjrzałam mu się uważnie i rozpoznałam detektywa Quigleya. Potem zerknęłam na tabliczkę na rogu budynku i przeczytałam: Elizabeth Street.

To znaczy, że jest kolejna ofiara – pomyślałam.

Walcząc ze swoim stanem, przecisnęłam się przez tłum. W rysztołu leżała postać ubrana na czarno. Wokół wałały się śmieci i odpady naniesione przez deszcz.

– Ktoś ją przejechał. Przemknął tak szybko, że w mgnieniu oka było po wszystkim – powiedziała kobieta z tłumy.

– Jakiego rodzaju był to pojazd? – zapytał Quigley.

– Usłyszałam hałas i tętent kopyt. Pędził jak szalony – odparła kobieta. – Biedaczka nie miała szans. Wpadł na chodnik.

– A może to był uciekający koń? – zasugerował mężczyzna w tłumie.

– Wyglądało tak jakby celowo chciał ją przejechać – powiedział ktoś inny.

– Usłyszałem krzyk i zobaczyłem, jak wielki czarny cień zniknął w ciemności – odezwał się kolejny głos.

– Czy ktoś widział napisy na tym pojeździe? – zapytał Quigley. – Jakiś znak identyfikujący. Czy to był prywatny pojazd?

– Bardzo możliwe – odparła pierwsza kobieta. – Szczerze mówiąc, bałam się o córkę. Przejechał dosłownie centymetr od niej.

– Z drogi! – rozległ się głos i pojawili się sanitariusze z noszami.

– Co tu się stało? – zapytał jeden z nich, ostrożnie podnosząc ciało.

– Potrącił ją powóz – odezwał się jakiś śmiałek – Jechał prosto na nią i wcale się nie zatrzymał.

– Żyje czy kolejna do kostnicy?

– Wyczułem puls – odparł Quigley. – Jak najszybciej do szpitala, na miłość boską.

– Ostrożnie, Bert. Nie wiemy, co ma złamane – powiedział jeden z sanitariuszy.

Ukłękli i podnieśli bezwładne ciało z ulicy. Nie chciałam patrzeć, czy tak jak inne dziewczęta ma zmasakrowaną twarz, ale nie potrafiłam się powstrzymać. Na głowie miała czarny kapelusz, a kiedy przewrócili ją na plecy, ramię opadło jak u szmacianej lalki. Krzyknęłam z przerażenia. To była pani Goodwin!

– Z drogi! Proszę się odsunąć i przepuścić nosze. No dalej, proszę rozejść się do domów! – Posterunkowy poganiał tłum, wymachując pałką.

Nosze wsunięto do ambulansu. Drzwi się zamknęły, a potem konie ruszyły z kopyta.

Muszę ich dogonić – pomyślałam, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Podbiegłam, upadłam, poczułam smród śmieci i odpadków. Kiedy siedziałam tak na ulicy, a świat wokół wirował, dotarło do mnie, że nie mogę w takim stanie iść do szpitala. Z pewnością nie pozwolą mi się zobaczyć z Sabelłą Goodwin, a na dodatek aresztują mnie za pijaństwo. Nie uśmiechała mi się wcale noc w celi przy Jefferson Market. Mogłam się tylko modlić, by moja przyjaciółka przeżyła, a jeśli nie – żeby ktoś usłyszał, co powie przed śmiercią. Najwyraźniej wpadła na trop czegoś, co przestraszyło Rozpruwacza z East Side do tego stopnia, że postanowił zaryzykować. Rozjechał panią Goodwin na oczach przechodniów. Ktoś mógł go zapamiętać! Przynajmniej teraz było jasne, że teoria na temat dużego czarnego pojazdu jest prawdziwa. Może już wcześniej Sabella zauważyła podejrzaną powóz i wyruszyła na poszukiwania? Być może potrafiłaby go nawet zidentyfikować.

Jakimś cudem udało mi się dotrzeć do domu. Od razu weszłam do łóżka. Czułam się fatalnie. Nie tylko z powodu wypitego ginu, ale również dlatego, że straciłam nową znajomą, którą właśnie zaczęłam podziwiać i która została moją współniczką. Jak poradzę sobie sama z tym śledztwem? Natychmiast się zreflektowałam. Przecież to nie moja sprawa! Nic do tej pory nie wskazuje na to, by Rozpruwacz z East Side miał coś wspólnego z aresztowaniem Daniela. Powinnam skupić się na Johnie Partridge’u, a Rozpruwacza zostawić w spokoju. Poczułam ulgę, ale również zdenerwowanie, bo przecież sporo już wiedziałam o zaginionych dziewczętach. Nie lubię nie kończyć spraw, które już zaczęłam. Ale co ja mogę zrobić? Quigley i McIver nie podzielą się ze mną wynikami śledztwa.

Zasnęłam, ale po godzinie obudziły mnie silne skurcze. Przyciągnęłam kolana do piersi i leżałam chwilę, czując ogromny ból. Najpierw zastanawiałam się, co mi mogło zaszkodzić, a potem przypominałam sobie gin. Przecież po to go piłam! Pani Butler mrugnęła do mnie przebiegle i nazwała trunek „ruiną matek”. Wstałam i zaczęłam chodzić po pokoju. Czy to oznacza, że mimo wszystko stracę dziecko? Teraz, kiedy postanowiłam za wszelką cenę je urodzić?

– Błagam, nie – modliłam się cicho.

Zeszłam na dół i zrobiłam sobie herbaty, potem usiadłam przy stole w kuchni i popijałam gorący napój, czekając, aż ból minie. Po jakimś czasie wydało mi się, że odchodzi. Weszłam z powrotem do łóżka i zwinęłam się w kłębek. W końcu zasnęłam.

Kiedy się obudziłam, słońce już wzeszło i jego promienie oświetlały sypialnię. Ptaki śpiewały. Usiadłam i zdałam sobie sprawę, że żyję. Skurcze minęły. Moje dziecko wciąż tam jest! Poczułam się jak nowo narodzona, jakby ktoś dał mi kolejną szansę. Wstałam i zbiegłam po schodach. Przed wyjściem do szpitala Świętego Wincentego zjadłam szybko śniadanie.

W izbie przyjęć siedziała jakaś inna siostra niż ta, którą ostatnio widziałam. Popatrzyła na mnie

groźnie.

– To nie są godziny odwiedzin – powiedziała. – Nie pozwalamy na wizyty o siódmej rano.

– Ale to ważne. Wczoraj wieczorem przywieziono tu ambulansem pewną kobietę, panią Goodwin.

– A tak kłozmarny wypadek

– To nie był wypadek – sprostowałam. – Została celowo przejechana. Ta pani pracuje w policji i prowadzi pewne śledztwo.

– A co pani ma z tym wspólnego? – zapytała ostro. – Jest pani dziennikarką?

– Jestem... – Już miałam powiedzieć, że razem z nią brałam udział w tym dochodzeniu, ale w ostatniej chwili zmieniłam zdanie. – Jej siostrą. Przekazano mi, że stratował ją galopujący koń, ale mam wątpliwości.

Popatrzyła na mnie przenikliwym wzrokiem, jak to mają w zwyczaju pielęgniarki, które potrafią wyciągnąć z dziecka każde kłamstwo.

– Siostrą? Cóż, wiem, że żyje, ale ciągle jeszcze nie odzyskała przytomności.

– Czy mogłabym ją zobaczyć? – zapytałam. – Może mój głos pomoże jej odzyskać świadomość.

Mówiąc to, poczułam się niepewnie. Przecież pani Goodwin nie powiedziała mi nic o swojej rodzinie. Może ma dzieci, które powinny teraz siedzieć przy łóżku matki. To ich głosy, a nie mój, obcej kobiety, mogłyby jej pomóc wrócić do życia.

Ale to i tak nie miało znaczenia. Pielęgniarka pokręciła głową.

– Lekarz nie pozwala mi nikogo tam wpuszczać. Pacjentka ma mieć ciszę i spokój, powiedział. To samo usłyszeli policjanci, którzy byli tu w nocy.

– A jeśli przyjdę w godzinach wizyt? Czy wtedy będę mogła się z nią zobaczyć? – zapytałam.

– Jeśli pacjentka odzyska przytomność, a lekarz pozwoli – odparła.

Gestem dała mi znać, że musi wracać do swoich dokumentów.

Stałam jeszcze chwilę, nie chcąc przyjąć jej „nie” za odpowiedź. Pani Goodwin żyje. To dobra wiadomość – pomyślałam.

– A na którym jest oddziale? – zapytałam.

Znów zatrzymała na mnie spojrzenie. Patrzyła długo i czujnie, dokładnie wiedząc, co mam na myśli. Domyślała się, że znajdę drogę, jak tylko odwróci wzrok. Rzeczywiście chodziło mi to po głowie.

– Jest w tej chwili na obserwacji. Nie potrafię powiedzieć, na który oddział trafi, kiedy odzyska przytomność.

Stałam, wpatrując się w długi, wyłożony kafelkami korytarz. Pielęgniarki przechadzały się tu parami; w białych szeleszczących strojach wyglądały jak duchy. Niestety, było ich zbyt wiele, żebym mogła prześlizgnąć się niezauważona. Muszę się postarać o jakiś habit – pomyślałam, przyznając się do porażki. Przypomniałam sobie o garderobie Paddy’ego Riley’a pełnej różnych przebrań i postanowiłam, że zacznę kompletować własną.

Po powrocie do domu spróbowałam udrapować prześcieradło i jedyny porządny obrus, jaki

miałam. Niestety, nie wyglądałam w tym dziwnym stroju jak siostra miłosierdzia. Szkoda, że w szpitalu nie noszą prostych czepków jak w zgromadzeniu Sióstr Świętego Finbara w Irlandii. Wtedy byłoby mi łatwiej. Nie pozostawało nic innego, jak tylko czekać.

W południe listonosz przyniósł list od adwokata. Atkinson zapewniał, że sprawa posuwa się do przodu, i prosił, bym przekazała mu informacje, o których wspomniałam. Dawał mi również do zrozumienia, że moja wizyta u Daniela w najbliższym czasie stawiałaby osobę adwokata w złym świetle.

– Do diabła z tobą! – prychnęłam.

Nie używałabym dosadnego języka w obecności innych osób, ale poczułam się dobrze, wypowiadając takie słowa na głos, sama do siebie. Jeśli rzeczywiście Atkinson pracuje na rzecz wrogów Daniela, z radością przekaze im to, co ustaliłam. Być może moje życie będzie wówczas w niebezpieczeństwie – pomyślałam.

Zaraz, zaraz... Nie ma co dramatyzować. Co ja takiego wiem? Tylko to, że pan Partridge może być zamieszany w sprawę na wyścigach i że odwiedzi Katakumby w nadchodzącym tygodniu. To istotne fakty, ale nadają się tylko dla ucha Daniela. Jak mu je przekazać, skoro Atkinson nie zamierza mnie zabrać ze sobą do więzienia, a termin kolejnej wizyty przypada dopiero pod koniec miesiąca? Żaden pomysł nie przychodził mi do głowy.

Daniel powinien się również dowiedzieć, że ktoś próbował zabić panią Goodwin i – co gorsza – mogło mu się to udać.

Ponieważ ostatnio zaniedbywałam obowiązki gospodyni, zajęłam się trochę domem. Powiesiłam pranie w ogródku na tyłach i ugotowałam zupę. Czułam się dziś znacznie lepiej, a nawet miałam apetyt. Co za szczęście! Potem umyłam się i znów poszłam do Świętego Wincentego. Zdecydowałam, że choćby się paliło i waliło, muszę się dziś zobaczyć z panią Goodwin.

W drodze do szpitala zatrzymałam się na targu i kupiłam bukiet róż. Kiedy zbliżałam się do budynku, zobaczyłam, że wychodzi z niego dwóch policjantów. Jednego z nich od razu rozpoznałam. Na mój widok się rozpromienił.

– Panna Murphy! Co za spotkanie. Od kilku dni próbuję się z panią skontaktować, ale żona chyba się pomyliła, zapisując pani adres.

– Czy wraca pan od pani Goodwin? – zapytałam. – Czy jej stan się polepszył?

– To wy się znacie?

– Tak, to moja przyjaciółka.

– Wspaniała kobieta – odparł i nagle posmutniał. – Jej mąż nieboszczyk zaczynał ze mną służbę. Co za tragedia!

Przytaknęłam, ale na wszelki wypadek nic więcej nie mówiłam.

– W jakim jest teraz stanie? – zapytałam.

– Trzyma się podobno życia, ale wciąż nie odzyskała przytomności – odparł.

– Właśnie idę do niej z wizytą. Jak pan myśli, pozwolą mi tam wejść?

– Może pani powiedzieć, że sierżant O'Hallaran się zgodził. Jeśli to cokolwiek da, oczywiście.

Przed jej drzwiami stoi policjant na straży.

– Bardzo dziękuję. Próbowałam już dziś rano, ale mnie nie wpuścili.

– Chcą, żeby miała ciszę i spokój – odparł. – Dlatego nie pozwalają na wizyty. Proszę mi powiedzieć, ma pani jakieś nowe wieści na temat kapitana Sullivana?

– Nie mam dobrych wieści – stwierdziłam wymijająco, świadoma obecności drugiego policjanta. Nie chciałam, żeby jakiegokolwiek plotki przedostały się do głównej komendy policji. – Nie ustaję w modlitwach.

– Chciała pani wiedzieć, kto przejął sprawy po kapitanie...

– Już wiem – odparłam. – Panowie Quigley i McIver prowadzą śledztwo w sprawie Rozpruwacza z East Side od samego początku. Kapitan Sullivana wyznaczono w pewnym momencie, by im pomógł i przejął nadzór. A jeśli chodzi o to otrucie konia...

– Ci sami – dokończył za mnie O'Hallaran. – To protegowani Sullivana. Bardzo ich ceni. Są młodzi i ambitni. Jestem pewien, że dobrze poprowadzą obydwa śledztwa. Na pewno tak, jak by kapitan sobie życzył.

– Kto eskortował komendanta tego dnia, kiedy aresztowano Daniela?

– Policjanci, którzy akurat mieli dyżur w okolicy. Na początku McCaffrey i Doyle, a potem Jones i Honeywell.

– A kto zaplanował trasę?

– Wydaje mi się, że komendant szedł tam, gdzie chciał. Zamierzał zobaczyć siedzibę Eastmansów, Walhalla Hall, i te miejsca, gdzie znaleziono ciała dziewczyn. To wszystko.

I jakimś dziwnym trafem wiedział, gdzie Bugsy spotka się z Danielem – pomyślałam. Albo ktoś inny to wiedział. Albo ktoś przekupił jednego z tych czterech policjantów. Przynajmniej miałam cztery nowe nazwiska, które należało sprawdzić. Jest co robić.

– Dziękuję, sierżancie. Pójdę teraz odwiedzić panią Goodwin.

– Jeśli się przebudzi, proszę jej powiedzieć, że byliśmy. O'Hallaran i Hendricks. Proszę przekazać, że życzy my jej powrotu do zdrowia.

– Przekażę.

Drugi z policjantów się uklonił, O'Hallaran mi pomachał i poszli przed siebie, a ja weszłam do szpitala.

– Wizyty zaczynają się dopiero za dwadzieścia minut – powiedziała ta sama ponura siostra. – A jeśli chodzi o panią Goodwin, to obawiam się, że...

– Sierżant O'Hallaran wydał mi zezwolenie na wizytę – odparłam, starając się nie patrzeć na nią z góry.

– Rozumiem – prychnęła niezadowolona. – Jest na oddziale siostry Mercy. Pierwsze piętro, trzeba iść wzdłuż korytarza.

Weszłam na górę i po kolei mijalam wszystkie oddziały, aż dotarłam na sam koniec korytarza. Od razu wiedziałam, w której sali jest pani Goodwin, bo przed drzwiami stał młody policjant. Powtórzyłam informację, że kapitan O'Hallaran wyraził zgodę na moją wizytę, i dodałam jeszcze, że jestem siostrą pani Goodwin. Na tym etapie nie mogłam ryzykować.

– Ktoś u niej teraz jest – powiedział. – Ale proszę wejść, skoro jest pani siostrą.

Otworzył mi drzwi. Sala była ogromna, ale część tuż przy drzwiach zasłonięto parawanami, tak by wydzielić prywatną przestrzeń dla pacjentki. Kiedy weszłam, zobaczyłam mężczyznę, który pochylał się nad łóżkiem. Wyprostował się i odwrócił w moją stronę. Wtedy zobaczyłam, że to Quigley.

– Co pani tu robi? Wyraźnie mówiłem, żadnych gości.

Widziałam, że nie może sobie przypomnieć, skąd mnie zna.

– Jestem przyjaciółką pani Goodwin. – Postanowiłam, że nie będę przed nim udawać nikogo z rodziny. – Sierżant O'Hallaran powiedział mi, że mogę ją zobaczyć i że to powinno poprawić jej stan.

– Cóż – odparł, niezbyt zadowolony. – Widzi pani, że ciągle jest nieprzytomna. Siedzę tu od rana, bo mam nadzieję, że dojdzie do siebie i zacznie mówić. Kiedy pani wchodziła, coś akurat wymamrotała przez sen. Niestety, nie zrozumiałem.

– To prawdziwa tragedia. – Westchnęłam. – Bardzo podziwiam tę kobietę.

Przeszłam obok niego i stanęłam przy łóżku. Sabella Goodwin leżała nieruchomo. Jej oblicze było białe jak prześcieradło. Na głowie miała bandaż, a na jednej połowie twarzy spore zadrapania. Trudno było stwierdzić, czy żyje, czy już umarła.

Przysiadłam na krawędzi łóżka i wzięłam ją za rękę.

– Sabello? Pani Goodwin? To ja, Molly. Molly Murphy, pani współniczka. Musi pani szybko dojść do siebie – zaczęłam mówić pogodnym tonem, chociaż jej ręka była zimna i bezwładna, tak jakby pani Goodwin już nie żyła.

– Chwileczkę – powiedział Quigley ostro. – Już pamiętam. Ostatni raz widziałem panią z tym niemieckim lekarzem. Fräulein jakaś tam. Przecież nie jest pani Niemką. O co chodzi?

Starałam się szybko zebrać myśli, zastanawiając się, co mogę mu powiedzieć. W gruncie rzeczy jedziemy na tym samym wózku – pomyślałam.

– Przepraszam. Namówiłam doktora Birnbauma, żeby zabrał mnie ze sobą na spotkanie. Byłam zainteresowana tą konkretną sprawą. Moja przyjaciółka pani Goodwin opowiedziała mi o wszystkim i starałam się jej jakoś pomóc.

– Dlaczego? – Obrzucił mnie spojrzeniem. – Zwykła ciekawość?

Powiedzieć mu prawdę o Danielu? Przecież go dobrze zna... Nie. Nie wiem, z kim będzie rozmawiał na mój temat. Może ma interes w tym, by Daniel nigdy nie wyszedł na wolność.

Zdecydowałam się na kolejne kłamstwo.

– Jestem... tak jakby studentką psychologii. Starałam się przekazać pani Goodwin pewne wskazówki, które mogłyby jej pomóc w śledztwie. Rozmawiałam na ten temat z doktorem Birnbaumem.

– Rola pani Goodwin była niewielka. Ona tylko patrolowała ulice i miała zwracać uwagę na podejrzanе zachowanie – powiedział. – Nie jest detektywem. To, co zrobiła, może ją kosztować życie. Kto wie, czy pani amatorskie wskazówki się do tego nie przyczytniły. Proponuję, żebyście obydwie trzy mały się z dala od sprawy i zostawiły ją w rękach profesjonalistów.

Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć na takie dictum, ale na szczęście z kłopotliwej sytuacji wybawiła mnie pielęgniarka.

– Co się tutaj dzieje? – zapytała. – Wydawało mi się, że słyszę podniesione głosy. Mówiłam wyraźnie, że pacjentka potrzebuje spokoju i ciszy. Żadnych gości. Bez wyjątku. Już was tu nie ma.

– Jestem oficerem policji odpowiedzialnym za sprawę, nad którą pracowała pani Goodwin – oświadczył Quigley lodowatym tonem. – Muszę z nią porozmawiać, jak tylko się obudzi.

– Nie obudzi się tak szybko – odparła. – Miała wczoraj potworne bóle, więc daliśmy jej sporo morfiny.

– Czy została bardzo poturbowana? – zapytałam.

– A kim pani jest?

– Bliską przyjaciółką. – Nie mogłam już udawać siostry, skoro Quigley stał obok – Wczoraj wieczorem byłyśmy umówione, ale przyszedłam za późno.

– Cóż, nie wróciła jeszcze z tamtej strony – stwierdziła pielęgniarka, patrząc na mnie przychylniej niż na Quigleya. – Ale miała mnóstwo szczęścia. Oprócz obrażeń głowy, które, dzięki Bogu, są powierzchowne, ma tylko połamane żebra i mnóstwo zadrapań. Wydaje się, że uniknęła końskich kopyt. Z nimi by nie wygrała. Jeśli los pozwoli, stanie na nogi w parę dni. O to należy się teraz modlić.

– Ach, to wspaniałe wieści! – powiedziałam.

– Będą wspaniałe, jeśli dacie jej spokój. Zmykajcie obydwójce.

– Da mi siostra znać, kiedy pacjentka odzyska świadomość? – zapytał Quigley. – To jest istotne dla sprawy.

– Poinformuję pana, jak będzie miała wystarczająco dużo siły, by rozmawiać – obiecała siostra. Zrobiła gest, jakby zaganiała nas przed sobą niczym stado kaczek

Zawahałam się.

– Przyniosłam kwiaty. Czy znajdzie się jakiś wazon, żebym mogła je tu zostawić?

– Jak miło! – Siostra pochyliła się i powąchała żółte róże. – Przypominają mi dzieciństwo. Ojciec takie hodował. Tak, coś powinno się znaleźć w szpiarce. Proszę pójść na oddział obok i poprosić o słoik. Niech panienka się powoła na siostrę Mercy.

Podziękowałam i po chwili miałam już słoik pełen wody. Może nie był to najpiękniejszy wazon na świecie, ale pasował idealnie. Miałam też doskonały pretekst, by wrócić do sali. Musiałam przecież postawić kwiaty przy łóżku pacjentki. W pobliżu nie było nikogo, a kiedy stawiałam słoik z kwiatami, usłyszałam, że pani Goodwin cicho wdycha. Spojrzałam na nią i zobaczyłam, że oczy ma otwarte.

– Obudziła się pani, jak wspaniale! – powiedziałam.

Patrzyła na mnie chwilę i widać było, że nie może sobie przypomnieć, skąd się znamy. Przestraszyłam się, że może straciła pamięć.

Po chwili uśmiechnęła się słabo.

– Molly Murphy. Co tutaj robisz?

– Przyszedłam się z panią zobaczyć. Jak się pani czuje?

– Teraz dobrze, bo działa morfina – powiedziała. – Wcześniej czułam się tak, jakby skakało po

mnie stado słoń. Prawie mnie przejechał, prawda?

– Tak, siostra twierdzi, że miała pani dużo szczęścia. Tylko żebra są połamane. Chwała Bogu, koń pani nie stratował.

– Usłyszałam tętent i w ostatniej chwili przywarłam do muru. Wydaje mi się, że uderzył mnie powóz albo dyszel.

– Czy widziała pani, co to był za powóz?

– Wszystko działo się tak szybko – odparła. – Było ciemno, padał deszcz. A powóz był czarny. To wszystko, co pamiętam.

– Ktoś chciał panią przejechać? Jak pani myśli?

– Oczywiście. Koń w pełnym galopie pędził prosto na mnie. Najdziwniejsze jest to, że chwilę przedtem jeden urwis powiedział mi, że w rynsztoku przy Elizabeth Street leży coś dziwnego, i poprosił, żebym tam poszła. Mówił prawdę, to coś wyglądało jak zanurzony do połowy kawałek czerwonej satyny. Pochylałam się, żeby to wyjąć, kiedy nadjechał ten powóz.

– Czyli zwabili tam panią, a powóz już czekał.

– Na to wygląda.

– Dlaczego? Czy wpadła pani na jakiś ślad, od kiedy się widziałyśmy?

– A niech mnie, nie mam bladego pojęcia – powiedziała. Zamknęła oczy i westchnęła. – Może coś mi przyjdzie do głowy, ale teraz nie mogę sobie przypomnieć. W głowie mi szumi od tej morfiny...

– Może uda nam się odnaleźć to dziecko i ustalić, kto je przysłał.

W drzwiach pojawiła się siostra Mercy.

– Wyraźnie prosiłam, żeby poszła pani do domu – powiedziała surowym tonem.

– Stawiałam kwiaty, kiedy się obudziła – wyjaśniłam. – Przecież to wspaniała wiadomość.

– Owszem. Ale jeśli życzy pani przyjaciółce szybkiego powrotu do zdrowia, proszę dać jej odpocząć.

– Dobrze. Już idę... Czy jest coś, co mogłabym zrobić?

– Odebrać moją pocztę – odparła Sabella po chwili namysłu. – Może ktoś odpowiedział na nasze ogłoszenie.

– Natychmiast to zrobię – obiecałam. – Gdzie pani mieszka?

– Siódma Wschodnia numer czterysta dwadzieścia dziewięć, zaraz przy Tompkins Square. Budynek z brązowej cegły. Przed drzwiami stoją dwie donice z drzewkami laurowymi mi.

– Trafię – zapewniłam. – Ma pani klucze?

– Mam klucz w torebce. Ale nie wiem, gdzie ona jest. – Spróbowała się rozejrzeć, ale natychmiast opadła na poduszki, krzywiąc się z bólu. – Poproszę sąsiadkę. Ma zapasowy klucz. Pani Oliver spod czterysta trzydziestego pierwszego.

– W porządku. Coś jeszcze? Może ma pani rodzinę, z którą należy się skontaktować?

Pokręciła głową.

– Nie, moja droga. Mam siostrę w Ohio, ale oprócz niej nikogo. Wiesz, że mój mąż zginął, a jedyne dziecko umarło na dyfteryt...

Spojrzała na mnie pytająco i od razu się zorientowałam, o co chodzi. Chciała wiedzieć, czy jestem jeszcze w ciąży.

– Odwiedziłam pani przyjaciółkę wczoraj wieczorem – powiedziałam. – Ale zmieniłam zdanie.

– Aha. – Zamknęła oczy i wykrzywiła twarz. – Chyba morfina przestaje działać. Czuję się tak jakby stratował mnie byk

– Zawołam lekarza – obiecała siostra Mercy. – Da pani następną dawkę. Chce dzisiaj zabandażować pani żebra. Będzie łatwiej oddychać.

– W takim razie wrócę jutro. – Lekko dotknęłam ręki pani Goodwin. – Może coś przynieść? Winogrona? Pomarańcze?

Pogłaskała mnie po dłoni.

– Proszę na siebie uważać. Trzymać się z daleka od Lower East Side.

– Dobrze.

– Obiecuj, że nie pójdziesz tam sama.

– Dobrze. Obiecuję.

Kiedy wychodziłam, usłyszałam jeszcze, jak siostra Mercy mówi:

– Ma pani bardzo dobrą przyjaciółkę, pani Goodwin. Święta dziewczyna.

Gdyby tylko wiedziała! – pomyślałam, uśmiechając się sama do siebie.

Postanowiłam, że pójdę do domu pani Goodwin w czasie, gdy roznoszone są listy. Bardzo chciałam również porozmawiać z dwoma policjantami, którzy towarzyszyli Partridge'owi tamtego feralnego dnia, ale obiecałam przyjaciółce, że sama nie będę chodziła po Lower East Side. Biorąc pod uwagę jej stan, nie mogłam nie dotrzymać słowa. Poza tym miałam wrażenie, że John Partridge wybrał wtedy konkretną trasę w jednym określonym celu. A teraz planował wizytę w Katakumbach. Czyżby chciał po prostu pokazać Danielowi, kto tu rządzi, czy też ma oprócz tego inny okrutny plan w zanadrzu?

Zerknęłam na zegar. Skoro chcę być w domu pani Goodwin w porze popołudniowej poczty, nie mogę sobie pozwolić na wizytę u Atkinsona i przekonywanie go, by zabrał mnie dziś do Katakumb. Wizyta u Daniela musi poczekać do jutra – zdecydowałam. Od strony Hudsonu wiał silny wiatr, więc zdjęłam pranie, a potem rozpoczęłam długi marsz przez miasto, mijając Cooper Union i Tompkins Square. Wiatr przywiał deszczowe chmury, a deszcz sprawił, że temperatura spadła, więc wieczór okazał się całkiem przyjemny. Wreszcie miałam możliwość spokojnie pomyśleć. Od dawna uważam, że długi spacer pomaga uporządkować myśli.

Byłam bardzo ciekawa, czy przysłała jakaś odpowiedź na ogłoszenie. Skoro ta biedaczka, która zginęła wczoraj, nie była prostytutką, jest szansa, że pozostałe dziewczęta też nie miały nic wspólnego z najstarszym zawodem świata. Jeśli tak, gdzie ten potwór zaczepiał swoje ofiary i jak je namawiał, by z nim poszły? Pomyślałam, że hipoteza Quigleya ma ręce i nogi. Morderca przeszukuje ulice, wypatrując odpowiedniej kandydatki. Może proponuje przejażdżkę, a może po prostu siłą wciąga dziewczynę do powozu? Jeśli w odpowiedzi na ogłoszenie przyjdą listy z jednej konkretnej dzielnicy, będziemy wiedziały, gdzie na poważnie należy zacząć poszukiwania.

Dom pani Goodwin stał w milej, spokojnej okolicy, zaraz za skwerem z niewielkim zielonym parkiem. Schody były starannie zamiecione, a kłamka u drzwi wypolerowana. Dzieci grające w klasy na chodniku wyglądały na zadbane. Wzięłam klucz od sąsiadki, która na wieść o wypadku pani Goodwin bardzo się zmartwiła.

– Ta wspaniała, dzielna kobieta poświęca życie dla innych i proszę spojrzeć, co z tego ma – powiedziała. – A wcześniej jej mąż... Był jednym z lepszych policjantów, zginął na służbie.

Już miałam włożyć klucz i przekręcić go w zamku, ale drzwi otworzyły się same. To dziwne – pomyślałam i zawałałam się. Nie było śladów włamania, więc po chwili zdecydowałam, że musi być jakieś logiczne wytłumaczenie – pani Goodwin wychodziła w takim pośpiechu, że zapomniała zamknąć dom, dzisiejszy silny wiatr sprawił, że drzwi się same otworzyły, lub też jakaś inna znajoma czy sąsiadka ma zapasowy klucz.

– Hop, hop! – zawołałam. – Czy ktoś tam jest?!

Stałam chwilę nieruchomo w wąskim holu, ale z mieszkania nie dochodził żaden szmer. Na wszelki wypadek zostawiłam drzwi otwarte na oścież. Na wycieraczkę nie było, niestety, żadnych

listów. Prawdopodobnie powinnam od razu wyjść, ale ciekawość zwyciężyła. Korytarz prowadził do czystej kuchni. Nad piecykiem wisiał rząd wypolerowanych miedzianych garnków. Dalej przeszłam do salonu, gdzie stały meble przykryte pokrowcami chroniącymi przed kurzem, a potem filarom do kolejnego pokoju, który najwyraźniej był używany na co dzień. Meble były tam nieco sfatygowane, a na kominku stało zdjęcie w ramce przedstawiające mężczyzną w policyjnym mundurze. Przez chwilę mu się przyglądałam. Męża zabrało, ale ona wciąż kontynuuje jego pracę – pomyślałam. Jakże szlachetnie! To dla mnie zaszczyt, że właśnie taka osoba została moją przyjaciółką. Miała wszelkie powody, by nienawidzić Daniela i winić go za śmierć męża, a tym samym przenieść swoją niechęć i na mnie. Mimo wszystko mi zaufała. A nawet więcej – postanowiła pomóc.

Rozejrzałam się po pokoju i moją uwagę przykuł jakiś papier wystający spod fotela. Nie wydało mi się możliwe, by pani Goodwin zostawiła przed wyjściem taki nieporządek, więc podniosłam papier z podłogi. To była nowa kłopta. Postanowiłam schować ją w dębowym sekretarzyku nieopodal. Ale kiedy go otworzyłam, okazało się, że wszystkie znajdujące się w środku dokumenty są w ogromnym nieładzie. Ktoś najwyraźniej je przeglądał, a potem upchnął byle jak

Zamarłam, zdając sobie sprawę, co to oznacza. On albo ona może być teraz na górze i przeszukiwać pokoje. Na palcach ruszyłam do wyjścia.

– Wychodzę – powiedziałam głośno i zamknęłam za sobą drzwi.

Potem doszłam do rogu, stanęłam w ukryciu i spokojnie czekałam. I czekałam. Nikt nie nadchodził. Czułam silną pokusę, by zawrócić i sprawdzić, czy w pokojach na górze też jest bałagan, ale nie miałam odwagi. Potem zobaczyłam, że z przeciwnej strony zbliża się listonosz. Najwyraźniej poczta przychodzi tu później, niż zakładałam. Niewykluczone, że będzie w niej coś ważnego! Pokusa sprawdzenia, co przyniósł listonosz, wzięła górę nad strachem. Już zebrałam się w sobie, by znów udać się w stronę domu pani Goodwin, kiedy zobaczyłam, że od strony Tompkins Square idzie w moim kierunku posterunkowy. Podbiegłam do niego.

– Zna pan panią Goodwin? Mieszka tu w pobliżu.

– Oczywiście. Jej mąż był moim dobrym znajomym.

– Słyszał pan, że ona jest teraz w szpitalu? Potrafił ją powóz konny.

– Tak, mówiono o tym dzisiaj na posterunku. Jak się teraz czuje?

– Lepiej, niż można by przypuszczać. Odżyła przytomność, próbuje nawet rozmawiać.

– To bardzo dobra wiadomość, panienko. – Popatrzył na mnie, wyjął chusteczkę, otarł twarz z potu i chciał już iść dalej.

Położyłam mu dłoń na ramieniu.

– Pani Goodwin przysłała mnie po pocztę, ale w domu najwyraźniej ktoś buszował. Przeszukał całe biurko. Nie weszłam na górę, bo bałam się, że wciąż tam jest. Nie jestem pewna, ale może mógłby pan sprawdzić.

– Ktoś się włamał?

– Nie, zamek był cały, ale drzwi same się otworzyły.

– Serio? Proszę się nie martwić, panienko. Będę miał ten dom na oku.

– Ale to jest coś poważniejszego, niż pan myśli, panie władzo. Pani Goodwin pracowała przy sprawie Rozpruwacza z East Side. Potwierdzą to panowie Quigley i McIver. Zna ich pan? – zapytałam.

– Oczywiście, to policjanci z komendy głównej.

Listonosz dotarł właśnie do drzwi pani Goodwin i widziałam, jak coś wrzucił do środka.

– Muszę tam wrócić, bo widzę, że poczta przysłała – powiedziałam. – Czy mógłby pan pójść ze mną i sprawdzić, czy na górze nikt się nie ukrywa?

– Dobrze, panienko.

Zgodził się, ale nie wyglądał na zadowolonego.

– Prawdopodobnie nikogo tam nie ma – dodałam. – Od ponad pół godziny obserwuję dom i przez ten czas nikt stamtąd nie wyszedł. Ale na wszelki wypadek wolałabym, żeby towarzyszył mi duży i silny mężczyzna.

Sprawa miała wrażenie pewnego siebie, rękę trzymał na palce. Otworzyłam drzwi, podniosłam kopertę, która leżała na wycieraczkę, i wpuściłam policjanta do środka.

– Nie widać, żeby kłówał tu był! – zawołał z góry, sprawdzwszy dwie sypialnie i dużą garderobę. – Chyba się panience zdawało.

– Nie. Ktoś najwyraźniej przeszukiwał biurko. Proszę sprawdzić. Odpowiedzialni za śledztwo policjanci powinni się o tym dowiedzieć.

– Dobrze – odparł. – Przekażę im.

Pozwoliłam mu wyjść, ale nie byłam pewna, czy potraktuje sprawę odpowiednio poważnie. Prawdopodobnie uznał, że histeryzuję. Bardzo chciałam zajrzeć natychmiast do listu. Na wszelki wypadek zamknęłam drzwi na łańcuch i poszłam do kuchni. List był zaadresowany po prostu do SG, w miejscu jej zamieszkania. Nadawca wysłał go z Queens. Parę razy obracałam kopertę w dłoniach, dobrze wiedząc, że powinnam poczekać, aż pani Goodwin sama ją otworzy. Ale ciekawość wzięła górę. Jeśli to list, na który czekamy, trzeba jak najprędzej poznać jego treść. Jeśli nie, nie muszę się spieszyć z przekazaniem go do szpitala. Otworzyłam kopertę. Pismo było okrągłe, raczej dziecinne, ale staranne i bez kleksów.

Szanowna Pani lub szanowny Panie!

W dzisiejszym „Heraldzie” widziałam ogłoszenie. Moja siostra Denise Lindquist (zwana w rodzinie Dilly) zniknęła ponad miesiąc temu. Wszyscy uważają, że uciekła z chłopakiem, ale ja w to nie wierzę. Dilly jest dobrą dziewczyną; ciężko pracowała w fabryce guzików i tak po prostu nie uciekałaby z domu.

Tuż przed zniknięciem zwierzyła mi się z jednej rzeczy, a ja obiecałam, że nikomu o tym nie powiem. Powiedziała, że dostała liścik od jakiegoś chłopca, w którym prosił ją, by zechciała się z nim spotkać na Coney Island. Była bardzo podekscytowana. Powiedziała mi, że nigdy wcześniej nie miała schadzeki. I już nie wróciła do domu. Rodzice są ze Szwecji. Bardzo surowo nas traktują i nie pozwalają widywać się z chłopcami. Stwierdzili, że Dilly zeszła na złą drogę, i w ogóle przestali o niej mówić. Poszłam na policję, ale tam nikt nie przejął się losem mojej siostry.

Wpatrywałam się w list z coraz większym zainteresowaniem. Pojechała na Coney Island spotkać się z chłopcem... Jej zniknięcie na pewno ma związek ze sprawą. A ten chłopak? Musi być na tyle atrakcyjny, że dziewczęta podejmują duże ryzyko, by się z nim zobaczyć.

Chciałam jak najszybciej położyć ten list pani Goodwin, ale byłam pewna, że po raz drugi tego samego dnia nie uda mi się przedrzeć przez kordon sióstr. Trzeba cierpliwie poczekać do rana – pomyślałam. To nawet lepiej, być może poranną pocztą przyjdzie coś jeszcze. Właśnie wkładałam list na powrót do koperty, kiedy usłyszałam hałas przy drzwiach wejściowych. Stałam w progu kuchni na końcu holu i widziałam, jak gałka się przekręca i ktoś za nią pociąga. Łańcuch stawił opór, więc po chwili drzwi zamknęły się z impetem.

Serce waliło mi jak młotem. Skoro nie mógł wejść normalnie, czy obejdzie dom i spróbuje się włamać od tyłu? Było to prawie niemożliwe. Malutki ogródek odgradzony był od sąsiednich posiadłości płotem, a budynek zajmował całą szerokość posesji. Zdecydowałam, że najwyższy czas się zbierać.

– Ktoś jest przed drzwiami, proszę pana! – zawołałam z najlepszym irlandzkim akcentem, na jaki było mnie stać.

Potem przeszłam do pokoju za kuchnią, zrobiłam szparę między firankami i wyjrzałam. Nikogo nie było widać. Pomyślałam, że może czyha gdzieś za donicami przy wejściu i dlatego nie widzę go z okna. Czekałam spokojnie. Wreszcie znów ujrzałam posterunkowego – jeszcze raz robił obchód, nadchodząc z drugiej strony ulicy. Zdjęłam łańcuch z drzwi, rozejrzałam się w prawo i w lewo, a następnie szybko do niego podbiegłam.

– Znów tu był – powiedziałam szybko.

– Kto, panienko?

– Ten włamywacz. Chciał wejść drzwiami, ale założyłam łańcuch od środka.

– Mężczyzna? Może go panienka opisać?

– Nie widziałam go – odparłam zniecierpliwiona. – Patrzyłam przez okno, ale go nie widziałam.

– Stałem tam na rogu przez ostatni kwadrans i nikogo nie zauważyłem. Jest panienka pewna?

– Owszem, całkiem pewna. Gałka się przekręcała. A jak się przekonał, że nie da rady wejść, puścił drzwi, a one się zamknęły. Musiał uciec, kiedy pan nie patrzył w jego stronę.

– Może.

Coś jeszcze przyszło mi do głowy.

– A widział pan może jakieś pojazdy?

Prychnął.

– Ostatnio nie – odparł. – Chyba jest panienka trochę przewrażliwiona, pewnie martwi się o przyjaciółkę. Proszę wrócić do domu, odpocząć i wypić coś na ochłodę.

Nic więcej dziś nie mogłam zrobić, więc przyznałam mu rację.

– Będzie pan miał oko na ten dom i w razie czego poinformuje kogo należy?

– Już to zrobiłem, panienko – odparł. – Proszę się nie martwić. Nie będzie tu żadnego włamania.

Wzięłam list i przekręcając klucz w zamku, zamknęłam drzwi. Przejrzał dokumenty Sabelli – pomyślałam. W domu raczej nie ma nic innego, co mogłoby go zaciekawić, więc pewnie nie wróci. Ale dlaczego przyszedł dziś po południu? Wiedział, że tu będę? Raczej nie. Skąd mógłby przypuszczać, że coś mnie łączy z panią Goodwin albo że mam przyjść po jej listy? Po chwili zrozumiałam. Był tu z tego samego powodu. Zauważył w gazecie ogłoszenie i chciał mieć pewność, że korespondencja nie trafi do rąk adresata. Być może zabrał też poranną pocztę...

Postanowiłam wrócić z samego rana i przejąć listy, zanim pójde odwiedzić przyjaciółkę w szpitalu. W jedno nie wątpiłam. Byłyśmy na właściwej drodze. Nasze działania najwyraźniej wyprowadziły go z równowagi.

Wracając do domu Siódmą Ulicą, miałam wrażenie, że ktoś mnie śledzi. Odwróciłam się, ale nie zauważyłam nic podejrzanego. Gospodynie dźwigały zakupy, dzieci się bawiły, tatusiowie wracali z pracy. Ale to dziwne uczucie mnie nie opuszczało, aż w końcu doszłam do gwarnej okolicy Uniwersytetu, gdzie jak zwykle było mnóstwo studentów. Przecięłam Washington Square i wchodząc na Patchin Place, jeszcze raz się obejrzałam, zanim podeszłam do drzwi frontowych swojego domu.

Ledwo usiadłam przy kuchennym stole, a już rozległo się pukanie, które znów przypawiło mnie o szybsze bicie serca.

– Kto tam?! – zawołałam.

– Swój – usłyszałam głos Sid.

Otworzyłam drzwi i ujrzałam obydwie przyjaciółki. Uśmiechały się do mnie szeroko.

– Czemu się tak chowasz? – zapytała Sid.

– Zdawało mi się, że ktoś mnie śledzi – odparłam. – Nieważne. To znów moja bujna irlandzka wyobraźnia.

– Chodź do nas na kolację, Molly – zaproponowała Gus. – Będziemy miały na oku wszystkie podejrzané typy, które czają się na ulicy. Opowiemy ci, co dziś robiłyśmy. Zamieniamy się we wspaniałych detekty wów.

– Nigdy nie zgadniesz, gdzie dzisiaj byliśmy – dodała Sid, a następnie wzięła mnie za rękę i wyprowadziła z domu. – No, dalej. Zapytaj...

– Gdzie dziś byliście? – zapytałam przerażona, zamykając drzwi na klucz.

– W Newport na Rhode Island, żeby popytać o tego tajemniczego młodego mężczyznę, którego coś łączyło z Letycją Blackwell.

– Pojechaliście aż na Rhode Island?

– To wcale nie tak daleko. Zaledwie parę godzin pociągiem – odparła Sid. – Wybrałyśmy się tam nawet na przyjemny spacer wzdłuż oceanu.

– I udało się wam zlokalizować tego człowieka?

Sid otworzyła drzwi domu na przeciwko i wciągnęła mnie do środka.

– Oczywiście. Gus jest niesły chana. Ona zna wszystkich, wiesz? Przechadzałyśmy się po plaży zaledwie pięć minut, a ona już wpadła na przyjaciółkę z dawnych lat. Z Bostonu. Pięć minut później wiedziałyśmy, co się dzieje w każdej zagrodzie.

– Zagrodzie? – spytałam skonfundowana.

Sid się zaśmiała.

– Tak mówią na swoje domy. Zagrody. To, że każdy taki domek ma dwadzieścia pięć sypialni,

w ogóle ich nie dziwi. W Newport spędzają wakacje sławni i bogaci.

Przeszłyśmy przez kuchnię i skierowałyśmy się do ogródka na tyłach. Na pleconym stoliku stał dzbanek lemoniady i szklanki. Sid wskazała mi fotel.

– No i co z tym chłopcem? – zapytałam. – Tylko mi nie mówcie, że pochodzi z dobrej i zamożnej rodziny.

Gus sprawiała wrażenie bardzo z siebie zadowolonej.

– Nie jest wprawdzie Vanderbiltem, ale dom ma dość imponujący, prawda, Sid?

– Biedni nie są – zgodziła się przyjaciółka. – I okazało się, że jego matka chodziła do tej samej szkoły co mama Gus, więc oczywiście zostałyśmy zaproszone na lunch.

– I widziałyście go?

– Nie, bo podobno pracuje teraz jako opiekun na koloniach dla dzieci. Nad jakimś jeziorem. Nazywa się Harold Robertson. Ojciec, który całe życie poświęcił interesom, jest załamany. Chłopak nie interesuje się rodzinną firmą i cały swój czas poświęca na pomoc innym. Studjuje teologię, a w wolnych chwilach pracuje na rzecz ubogich. Matka pokazała nam jego zdjęcie. Taki pulchny, kochany dzieciak, wyrosnięty chórzysta.

– Dowiedziałyście się czegoś o Letycji?

Gus skinęła głową.

– Opowiadał matce o cudownej dziewczynie, która pomagała mu przy organizowaniu domu dla imigrantów, i podobno bardzo żałował, że jest z kimś zaręczona, bo byłaby dla niego odpowiednią partią.

– Ale matka jej nie poznała – dodała Sid. – Mówiła, że tego dnia, kiedy Letycja zaginęła, był bardzo przygnębiony. Powiedział, że mieli razem jechać na Coney Island, ale dziewczyna nie przyszła na spotkanie.

– I chłopak siedzi teraz gdzieś nad jeziorem na koloniach dla ubogich? – spytałam.

– Na to wygląda – potwierdziła Sid.

– Daleko od Nowego Jorku?

– Gdzieś na prowincji, tak zrozumiałam – odparła Gus. – Mama Harolda powiedziała, że są tam strasznie prymitywne warunki i nie rozumie, dlaczego on w ogóle pojechał z tymi dziećmi, skoro wychowała go na mężczyznę wymagającego.

– Dlaczego o to pytasz, Molly? – zainteresowała się Sid z charakterystyczną dla siebie czujnością.

– Bo nie tylko Letycja zaginęła, planując wycieczkę na Coney Island. Dowiedziałam się również o pewnej panience, która pojechała tam spotkać się z chłopakiem i nigdy nie wróciła.

– Chyba nie myślisz, że Harold Robertson...! – krzyknęła Gus.

– Nie widziałam go na oczy, więc nie wiem, co o nim sądzić. Próbuję złożyć układankę, w której brakuje elementów. Mam imię i nazwisko, zaginioną dziewczynę i planowaną wycieczkę na Coney Island.

– Czyli myślisz, że mógł zabić Letycję na Coney Island i potem co...? Zabić ją? Ukryć jej ciało? – Sid wpatrywała się we mnie z nieskrywanym przerażeniem, ale równocześnie z rosnącą

ciekawością.

– Może wcale nie ukrył – zauważyłam.

– Co masz na myśli?

– Przynajmniej jedna z ofiar Rozpruwacza z East Side nie była prostytutką. Przebrano ją tylko, by wyglądała jak kobieta lekkich obyczajów. Może z innymi było podobnie.

– To niesłychane – powiedziała Gus. – Ale, Molly, dlaczego zajmujesz się Rozpruwaczem? Tylko nie mów mi, że prowadzisz śledztwo.

– Chcę się dowiedzieć, dlaczego Daniel siedzi w więzieniu – odparłam. – Te sprawy wcale nie muszą mieć ze sobą związku, ale ostatnio pomagałam pewnej kobiecie z policji, która jest w to zaangażowana, i...

– Kobieta w policji? To chyba coś nowego?

– Owszem. Ona jest wspaniała. Do niedawna pracowała jako strażniczka, ale teraz zaczęli jej powierzać poważniejsze obowiązki.

Sid poklepała Gus po plecach.

– Widzisz? To nasza przyszłość zawodowa!

– Przestańcie! – zaśmiałam się. – Jest bardzo inteligentna, ale nie ma łatwo. Koledzy w pracy jej nie ufają i traktują z góry, a teraz leży w szpitalu, bo przejechał ją powóz.

– Przejmujesz jej zadania?

– Nie do końca. Po prostu pomagam – odparłam. – Obiecałam jej, że sama nie pójdę do Lower East Side.

– Dzięki Bogu – jęknęła Gus. – Powiedz nam, masz już podejrzanego? Myślisz, że to ktoś stawiany za wzór cnót, tak jak sugerował doktor Birnbaum?

– Uważam, że jest bardzo bystry i lubi ryzyko.

– Czy to może być Harold Robertson? – zapytała Sid. – On rzeczywiście jest wzorem obywatela.

– Musimy się dowiedzieć, gdzie są te kolonie dla dzieci, a potem sprawdzić, czy można się stamtąd łatwo dostać na Coney Island i z powrotem – zasugerowała Gus.

– Ale dlaczego Coney Island? – Sid nie dawała za wygraną. – Jeśli zaczepia dziewczęta, a potem je zabija, może to robić w Central Parku albo w Palisades na drugim brzegu Hudsonu. Moim zdaniem Coney to ostatnie miejsce, gdzie można popełnić zbrodnię bez świadków. Tam są teraz straszne tłumy.

– Może ją zabrał do hotelu – zasugerowała Gus. – W okolicy Brighton Beach jest mnóstwo tanich hoteli.

– Ale jaka porządna dziewczyna poszłaby do hotelu z obcym mężczyzną? – zapytałam. – Z pewnością nie Letycja Blackwell.

– Masz rację – zgodziła się ze mną Sid. – To dziwne.

– Proponuję, żebyśmy coś zjadły – powiedziała Gus i ruszyła do kuchni. – Dołączysz, Molly, prawda?

Przed oczami przemknęło mi wspomnienie ostatnich wegetariańskich dań, które jadłam w tym

domu, nie potrafiłam jednak znaleźć grzecznej wymówki.

- Dziękuję. Z przyjemnością – odparłam.
- Kotlety wieprzowe! – krzyknęła Gus ze spiżarni.
- Kotlety? Myślałam, że zostałyście buddystkami.

Sid się skrzywiła.

– Uznałyśmy, że daleko nam do buddystów. Jesteśmy kobietami czynu, a kobiety czynu potrzebują czerwonego mięsa na wzmocnienie.

- Ryan będzie rozczarowany – zauważyłam. – Wykosztował się na szaty.

Kotlety wieprzowe chyba nie najlepiej mi zrobiły, bo znów miałam w nocy ten straszny sen. Tym razem był mniej wyraźny, ale słyszałam śmiech, widziałam wodę i krew, wszystko zasnutę przerażającą mgłą, która sprawiła, że zbudziłam się zrana potem. Zeszłam na dół i zobaczyłam, że jest już wpół do piątej. Nie ma co kłaść się znów do łóżka – postanowiłam.

Umyłam się, ubrałam i o świcie byłam w domu pani Goodwin. Chciałam mieć pewność, że nie umknie mi żaden list z porannej poczty. Na Siódmej Ulicy nie było żywego ducha. Niestety, nie zauważyłam też żadnego policjanta w pobliżu. Wsadziłam klucz do zamka i przekręciłam. Chyba jestem niespełna rozumu – pomyślałam. Idę do domu, po którym kręcił się wczoraj jakiś podejrzany typ, pewnie bardzo niebezpieczny. Ale muszę przecież przejąć tę pocztę! Stałam w holu, nadśledzając i czekając, aż mój szósty zmysł podpowie mi, że jestem w niebezpieczeństwie. W głowie nie zadzwonił mi jednak żaden alarm. Zostawiłam drzwi otwarte i poszłam do pokoju na tyłach sprawdzić, czy ktoś jeszcze grzebał w biurku. Nic się tam nie zmieniło.

Wtedy usłyszałam jakiś dźwięk i czyjeś kroki w korytarzu. Zamarłam, a potem zaczęłam szukać kryjówki, ale nic nie znalazłam. Zanim zdołałam uzbroić się w coś skutecznieszego niż nóż do papieru, w drzwiach pojawił się jakiś mężczyzna. Przystanął, kiedy mnie zobaczył.

– Co pani tu robi? – zapytał.

Wtedy go rozpoznałam.

– Detekty w McIver? Ale mnie pan przestraszył.

– I vice versa. Czy może mi pani powiedzieć, co tutaj robi?

– Pani Goodwin dała mi klucz – odparłam. – Chciała, żebym wpadła zabrać pocztę.

Przypatrywał mi się podejrzliwie.

– Dziwne. Ja mam klucz do domu pani Goodwin. A dlaczego szuka pani poczty tutaj, a nie na wycieraczce?

– Cóż... pani Goodwin poprosiła wczoraj, żebym wzięła klucz od sąsiadki, i tak też uczyniłam. Ale kiedy przyszłam, drzwi były już otwarte, więc weszłam do środka i zobaczyłam, że ktoś spłądował biurko. Wtedy zaalarmowałam policję. Wypatrzyłam na ulicy posterunkowego i poprosiłam, by poinformował pana i detektywa Quigleya o włamaniu. Pomyślałam sobie, że może mieć ono coś wspólnego ze sprawą, nad którą panowie pracują, i z wypadkiem mojej przyjaciółki.

– Rozumiem – powiedział i trochę się rozluźnił. – Mam nadzieję, że pani zbyt nie wystraszyłam. Postanowiłam tu zajrzeć w drodze do pracy i okazało się, że drzwi są otwarte. Rozumie pani, podejrzewałam, że...

– ...jestem włamywaczem – dokończyłam za niego.

– A kim pani dokładnie jest? – zapytał. – Ostatnim razem, kiedy się widzieliśmy, przedstawiono panią jako asystentkę doktora Birnbauma, ale nie jest pani ani Niemką, ani Austriaczką, chyba że i w tych krajach mówi się teraz z irlandzkim akcentem.

– Nie, to był swego rodzaju wybieg. Jestem przyjaciółką pani Goodwin – powiedziałam, nakazując sobie nie wspominać o swojej znajomości z Danielem. – Podobnie jak doktor Birnbaum byłam zainteresowana sprawą, a potem wydarzył się ten tragiczny wypadek. Chcę pomóc przyjaciółce.

– To się pani chwali – stwierdził, ale w jego oczach nie zauważyłam uśmiechu. – A kim pani tak naprawdę jest?

– Nazywam się... – Nie pamiętałam, jakie nazwisko podałam Quigleyowi. Prawdziwe? Delaney? Wszystkie kłamstwa teraz się na mnie mszczą, pomyślałam. – Murphy – powiedziałam w końcu. – Molly Murphy. Może pan zweryfikować z panią Goodwin.

– Jeśli z tego wyjdzie – odparł. – Ostatniej nocy miała kryzys.

– Naprawdę?

– Tak. Kiedy ją odwiedziłem przed chwilą, znów była nieprzytomna.

– O nie! Lekarze mówili, że miała takie szczęście!

– Rany głowy są niebezpieczne. A złamane żebra mogą uszkodzić płuca lub nawet serce.

– Zjrzę do niej, jeśli mnie wpuszczą – powiedziałam. – Oczywiście najpierw zaczęłam na pocztę.

Patrzył na mnie przez chwilę, jakby chciał coś powiedzieć, ale potem zrezygnował. Może zdał sobie sprawę, że z własnej woli się nie ruszę, a nie może mnie przecież wyrzucić.

– No dobrze – oznajmił w końcu. – Zostawię panią. Proszę tylko pamiętać, by zamknąć za sobą drzwi. Nie chcemy tu już żadnych włamań, prawda?

– Oczywiście, że nie. I cieszę się, że traktuje pan tę sprawę tak poważnie. Bardzo martwię się o zdrowie pani Goodwin. Obawiam się, że nieświadomie mogła nadepnąć na odcisk Rozpruwaczowi z East Side i on teraz stara jej się pozbyć.

– Może pani mieć rację – stwierdził. – Ale jeśli tak jest, proszę to ostrzeżenie wziąć również do siebie. Z tym człowiekiem nie ma żartów.

Zanim sobie poszedł, popatrzył na mnie jeszcze długo i przeciągle.

Parę minut później na wycieraczkę leżała poranna poczta. Znalazłam w niej cztery listy na temat zaginionych dziewcząt. Trzy raczej nie miały związku ze sprawą. Jeden dotyczył emigrantki niemieckiej, która miała przybyć na Ellis Island, a potem jechać pociągiem do rodziny w Albany, lecz nigdy tam nie dotarła. Drugi opisywał częsty przypadek ucieczki z abszty fikantem, którego nie akceptuje rodzina dziewczyny. Nadawcą trzeciego listu był młody mężczyzna, który tęsknił za ukochaną. Ale czwarta koperta przyszła od pewnego Włocha, pana Rosettiego. W zeszłym tygodniu jego córka Rosa nie wróciła z pracy w szwalni. Ojciec szalał z rozpacz. Rozmawiał już z koleżankami Rosy i ustalił tylko, że dziewczyna była tego dnia bardzo podekscytowana. Po pracy spieszyła się, tak jakby miało się zdarzyć coś wyjątkowego. Poszedł też na policję, ale nie spotkał się tam ze zrozumieniem. W kopercie oprócz listu było zdjęcie. Przedstawiało cztery roześmiane czarnowłose dziewczyny na tle oceanu. Na odwrócenie pan

Rosetti napisał: *Moje córki. Rosa stoi po prawej.*

Przypomniałam sobie ciemny pukiel włosów wymykający się spod prześcieradła w kostnicy. To mogła być Rosa! Pomyślałam o biednym ojcu, który wciąż żyje nadzieją, nieświadomy, że córka umarła w straszliwych okolicznościach.

Włożyłam listy do torebki, wyszłam i zamknęłam starannie drzwi. Prosto spod domu pani Goodwin udałam się do szpitala Świętego Wincentego.

Dyżur pełniła ta sama siostra, którą spotkałam pierwszego dnia.

– To znowu pani. – Popatrzyła na mnie surowo. – Chyba jasno się wyraziłam. Żadnych wizyt.

Pochyliłam się nad kontuarem.

– Sostro, proszę zrozumieć – szepnęłam. – To jest wyjątkowa sytuacja. Zdaje sobie siostra sprawę, że pani Goodwin pracuje w policji, prawda? Słyszała też siostra zapewne o Rozpruwaczu z East Side.

– Owszem – odparła. – Ta nieszczęsna dziewczyna trafiła tu zaledwie parę dni temu.

– Otóż to – powiedziałam. – Pani Goodwin robiła pewne rozeznanie, kiedy zdarzył się wypadek. Pomagam jej, choć nie jestem oficjalnie zatrudniona w policji. Mam przy sobie parę listów, które pani Goodwin musi natychmiast obejrzeć. Więc jeśli siostra zabroni mi tam wejść, praca wyraźnie się opóźni, a Rozpruwacz będzie dalej spokojnie polował na kolejne ofiary. Czy o to właśnie siostrze chodzi?

Wydawała się zaskoczona. Nauczycielki w szkole miały zawsze podobny wyraz twarzy, kiedy się im stawiałam. Po chwili skinęła głową.

– Dobrze. Droga wolna, ale to siostra Mercy zdecyduje, czy może pani odwiedzić pacjentkę.

– Dziękuję. I proszę się nie denerwować. Chcę dla pani Goodwin jak najlepiej, podobnie jak siostra. Nic złego jej nie zrobię.

Weszłam po schodach na górę. Przed salą nie było dziś policjanta, ale kiedy pchnęłam drzwi, od razu ujrzałam siostrę Mercy siedzącą nieruchomo przy łóżku pacjentki niczym stróżujący pies. Jak tylko weszłam, odwróciła się.

– Nie wiem, jakim cudem udało się tu pani dostać, ale ta wizyta i tak nie ma sensu – powiedziała. – Biedactwo, znów straciła przytomność.

Popatrzyłam na bladą, spokojną twarz pani Goodwin.

– Co się stało? – spytałam.

– Nie mam pojęcia – odparła siostra Mercy. – Wczoraj wieczorem było tak dobrze! Nawet mówiłyśmy, że zaraz będzie mogła spróbować wstać i pochodzić. A potem nagle nie mogliśmy jej dobudzić. Zawołałyśmy doktora i on też był w szoku.

– Czy to możliwe, że została otruta?

– Przez kogo? Widzi pani, jak surowe jesteśmy, jeśli chodzi o odwiedzających. A wszystkie lekarstwa są zamknięte na klucz w naszym pokoju.

– A morfina, którą dostawała przeciwbólowo? Może jakaś fiołka leżała tu niedaleko?

– Leżała? Nikt poza nami nie ma kluczy do szafki z morfiną.

– I doktor naprawdę nie mógł wyjaśnić, dlaczego znów straciła przytomność?

– Obrażenia głowy dają czasem dziwne objawy – powiedziała, niczym echo powtarzając słowa McIvera.

Obserwowałam pacjentkę. Miała spokojny, równomierny oddech.

Nie mogę nic zrobić, dopóki się nie obudzi – pomyślałam.

– Przyjdę później. Mam nadzieję, że do tej pory odzyska przytomność. Gdyby tak się stało, proszę jej powiedzieć, że Molly ma dla niej wiadomości. A teraz.. – zawiesiłam głos i popatrzyłam znacząco na pielęgniarkę – będzie na nią siostra uważała, prawda?

– Nie spuszczę jej z oka – odparła i wtedy zrozumiałam, że może mieć takie same podejrzenia jak ja.

Poczułam się lepiej, wiedząc, że zostawiam panią Goodwin w dobrych rękach. Miałam mnóstwo zadań do wykonania, zanim się obudzi, a jedno było ściśle związane z Danielem. Chciałam go ostrzec, że do więzienia wkrótce wybiera się z wizytą pan Partridge, i zrelacjonować mu wszystko, czego się dowiedziałam w ostatnim czasie. Oprócz tego pragnęłam również go zobaczyć i sprawdzić, jak się ma.

Wysłałam ze szpitala i pojechałam z Szóstej Alei aż do stacji końcowej na Rector Street, a potem zawróciłam trochę Broadwayem i w końcu dotarłam do budynku, w którym miał swoje biuro J.P. Atkinson. Zamierzałam zmusić tego wymocza, żeby zabrał mnie do Daniela. Gdy w końcu dotarłam na szczyt schodów, miałam straszne zawroty głowy i musiałam oprzeć się o ścianę, żeby zebrać siły. Zapukałam, otworzyłam drzwi i ze zdziwieniem zobaczyłam, że pana Atkinsona nie ma. Sekretarka zdenerwowała się, że jej przeszkadzam; odniosłam wrażenie, że właśnie sobie przysypiała.

– Czy wie pani, kiedy wróci? – zapytałam.

Wzruszyła ramionami.

– Trudno powiedzieć. Proszę zostawić wiadomość.

– A wie pani, dokąd poszedł? Bardzo chciałam z nim dziś porozmawiać.

– Wydaje mi się, że miał umówione spotkanie z klientem w więzieniu – odparła.

– W Katakumbach?

– Skądże! W hotelu Plaza – zażartowała.

– Dziękuję, bardzo jest pani pomocna – powiedziałam z przekąsem. – Spróbuję go tam znaleźć.

Zeszłam na dół i na Broadwayu wskoczyłam do tramwaju. Potem uświadomiłam sobie, że ze względu na swój stan powinnam zachowywać się inaczej, bardziej statecznie, ale po chwili o tym zapomniałam i przy Ratuszu wyskoczyłam z tramwaju, jeszcze zanim zatrzymał się na przystanku.

Odłąd byłam ostatni raz w Katakumbach, wiele się tu zmieniło, choć prace remontowe wciąż trwały.

– Mam wiadomość dla pana Atkinsona, prawnika – powiedziałam, zanim kłokolwiek zdążył mnie zatrzymać. To samo przekazałam sierzantowi w recepcji, podkreślając, że muszę rozmawiać z panem Atkinsonem natychmiast, bo mam informacje ważne dla jego klienta. Nie byłam pewna, czy tym klientem jest Daniel, czy ktoś inny, ale przynajmniej miałam gwarancję, że pan Atkinson zechce się ze mną spotkać.

– Proszę tu poczekać. – Sierzant wskazał mi krzesło obok biurka.

Usiadłam i czekałam, wsłuchując się w dochodzące z zewnątrz nieznośne stukanie. W końcu na korytarzu rozległy się kroki i sierzant pojawił się znowu, tym razem w towarzystwie pana Atkinsona, który wyglądał na dość zdenerwowanego.

– Panna Murphy! – wykrzyknął. – Co pani tu robi?

– Depczę panu po piętach, panie Atkinson. Mówiłam już wcześniej, że mam ważne informacje dla kapitana Sullivana.

– A ja mówiłem, że może pani podzielić się nimi ze mną, a ja przekażę wszystko dalej, jeśli uznam, że warto.

– Co oznacza, że Daniel może się niczego nie dowiedzieć – odparłam, widząc, że sierżant w recepcji słucha nas z zainteresowaniem. – Mam wrażenie, panie Atkinson, że już dawno osądził pan i skazał Daniela Sullivana. Tylko pro forma będzie pan uczestniczył w tej rozprawie.

– Jest pani niesprawiedliwa, panno Murphy. Zapewniam panią, że robię co w mojej mocy, a sprawa wcale nie jest łatwa.

– Chciałabym wiedzieć, kto pana do niej wyznaczył – powiedziałam.

– Już mówiłem. Jest grupa obrońców z urzędu i akurat wypadła moja kolejka. Zbieg okoliczności.

– Niezbyt szczęśliwy dla Daniela.

– Zapewniam panią, że mógł trafić o wiele gorzej. Niektórzy obrońcy z urzędu nie są zainteresowani niczym poza swoją wypłatą.

– A pan? Czy może mi pan uczciwie powiedzieć, że robi wszystko, by uwolnić Daniela? Przecież uważa pan, że kapitan jest winny.

Już chciał coś powiedzieć, ale przerwał, bo przy wejściu powstało jakieś zamieszanie. Drzwi otworzyły się z impetem, sierżant stanął na baczność, a do więzienia wkroczył komendant John Partridge we własnej osobie w towarzystwie całej świty sługusów.

– Witamy pana. Naczelnik już czeka. Powiadomię go, że jest pan na miejscu – powiedział sierżant i pobiegł korytarzem.

Partridge rozejrzał się znudzonym wzrokiem. Wstrzymałam oddech, modląc się, żeby mnie sobie nie przypomniął. Nagle powiedział:

– Atkinson! Jak się pan miewa?

– Dziękuję, proszę pana. Dobrze. A pan?

– Nie narzekam, choć Nowy Jork jest nieznośny o tej porze roku. Nie rozumiem, dlaczego w taki dzień jesteśmy na służbie, zamiast zająć się przyjemnościami i jak każdy rozsądny obywatel pojechać nad morze.

– Niektórzy z nas nie mogą sobie na to pozwolić – stwierdził Atkinson, uśmiechając się smutno.

W tym momencie Partridge zawiesił spojrzenie na mnie.

– Skądś znam tę młodą damę. Panna...

– Murphy, proszę pana – powiedział Atkinson.

– Murphy? A to interesujące... – prychnął komendant. – Kiedy się spotkałszy ostatni raz, nazwisko brzmiało inaczej. Delaney, zdaje się... Jakaś liga kobieca pani Astor... Dobrze pamiętam?

– Owszem – odparłam.

– Fascynujące. – Komendant zmrużył oczy. Wyglądał teraz jak polujący ptak – Tak się zdarzyło, że akurat tego samego wieczoru jadłem kolację w towarzystwie pani Astor. Nigdy o pani nie słyszała.

– Nie powiedziałam, że się znamy. Powiedziałam tylko, że pracuję dla naszej wspólnej sprawy

– dodałam szybko.

– Raczej dla swojej własnej sprawy – odparł Partridge. – Pani Astor nie słyszała o żadnej Lidze Praworządnych Kobiet czy jak tam się nazywacie. Więc teraz naprawdę mnie ciekawi, co pani tutaj robi. Kim pani jest? Żądną sensacji reporterką?

– Przyjaciółką pana Sullivana – odparł Atkinson, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć. Zaakcentował słowo „przyjaciółka”, by Partridge dokładnie zrozumiał, o co chodzi.

Postanowiłam go zignorować.

– Zgadza się – powiedziała. – Jestem przyjaciółką kapitana Sullivana, jedną z nielicznych osób, które go nie opuściły i nie stchórzyły. Z całych sił próbuję udowodnić jego niewinność, bo wydaje się, że nikomu poza mną na tym nie zależy.

Powiedziałam to! Rzuciłam rękawicę, choć nie przemysślałam wcale konsekwencji.

Partridge nie przestawał prychać.

– W takim razie wyznaczyła sobie pani nadwyzczaj trudne zadanie, panno... eee... Murphy. Zadanie skazane na porażkę. To przestępstwo zostało popełnione przy świadkach. Ja i dwóch policjantów widzieliśmy całe zdarzenie. Sullivan spotkał się ze znanymi członkami gangu, a pieniądze trafiły z ręki do ręki. Nie rozumiem, jak chce pani dowieść, że nie widzieliśmy tego, co widzieliśmy.

Popatrzyłam mu prosto w oczy.

– Rozumiem, że widział pan to, co pan widział. Ale Daniel spotykał się z tym członkiem gangu w innym celu. Miał dostać listę nazwisk, nie łapówkę. Podobnie jak on uważam, że cała ta scena została starannie zaaranżowana przez kogoś, kto źle mu życzy. Przyprawdzono pana we właściwym momencie, a pieniądze jakimś dziwnym trafem znalazły się w kopercie.

Komendant zaśmiał się.

– Jak niby? A może to Monk Eastman chciał usunąć Daniela ze swojej drogi?

– Nie. Proszę mi wierzyć. Rozmawiałam z Monkiem na ten temat. Ktoś albo zastraszył gangstera, który wręczył łapówkę, albo w jakiś sposób podmienił koperty.

– Czy rozmawiano z tym gangsterem? – zapytał Partridge Atkinsona.

Ten pokręcił głową.

– Uciekł z miasta, panie komendancie.

– Zrobił sobie przyслугę. – Partridge znów się zaśmiał.

– Albo komuś innemu – odparłam. – Komuś, komu zależy na milczeniu i na tym, by obrona nie miała żadny ch świadków.

– A kim ta tajemnicza osoba może być? – zapytał komendant. – Udało się pani rozszyfrować konspiracyjne działania skierowane przeciwko panu Sullivanowi?

– Pracuję nad tym – powiedziała. – Wydaje się, że są ludzie, którzy z różnych względów chcieli się pozbyć Daniela. Myślę, że za tą sprawą stoi ktoś, kto ma w sercu wiele nienawiści i złości.

W tym momencie pojawił się naczelnik więzienia.

– Panie komendancie! – zawołał z otwartymi ramionami. – Co za zaszczyt! Przyszedł pan

obejrzeć przebieg prac remontowych? Wspaniale! Będzie pan zdziwiony, jak szybko powstaje nowe skrzydło.

Podali sobie dłonie, wymienili uprzejmości. Usunęłam się na bok, uznając, że w tym momencie najlepiej byłoby zniknąć. Cała grupa już się miała oddalić, kiedy Partridge zwrócił się nagle do adwokata.

– Przyszedł pan dzisiaj zobaczyć się z Sullivanem?

– Nie, mam sprawę do innego klienta.

– A jaki jest cel wizyty panny Murphy?

– Chciała zobaczyć się z Sullivanem. Ale nie wydałam na to zgody. Takie spotkania dają osadzonemu fałszywą nadzieję i utrudniają śledztwo.

– Słusznie – odparł Partridge, a potem zwrócił się do mnie. – Moja rada dla ciebie, moja droga damo... Proszę wrócić do domu i zostawić sprawy w rękach profesjonalistów. Atkinson robi, co może.

– Gdyby tylko Sullivan chciał współpracować, dostałby najniższą karę z możliwych – stwierdził Atkinson. – Ale on jest uparty. Wciąż nie przyznaje się do winy.

– Bo nie powinien! – krzyknęłam, zanim się zorientowałam, że w tym akurat momencie powinnam udawać bezbronną kobietkę.

– Ona twierdzi, że ma dla Sullivana nowe informacje, ale nie chce się nimi ze mną podzielić – dodał adwokat tonem ucznia, który skarzy się nauczycielowi.

– A może po prostu wszyscy złóżmy teraz wizytę Sullivanowi – zaproponował przyjaźnie Partridge. – Ocenię wówczas, czy jego linia obrony jest słuszna i czy rzeczywiście takie konspiracyjne działanie miałyby sens.

– Wydaje mi się, że znam już odpowiedź na to pytanie – stwierdziłam. – Nie chcę narażać Daniela na dalsze nieprzyjemności, wystawiając go na pastwę oskarżyciela i obrońcy, który nie zamierza walczyć o jego wolność!

Z wysoko uniesioną głową ruszyłam w kierunku wyjścia, kiedy Partridge złapał mnie za rękę.

– Podziwiam pani odwagę i oddanie – powiedział. – Ale chyba sobie pani nie zdaje sprawy, że igrza z ogniem. Proszę wrócić do domu i poczytać Sherlocka Holmesa. W prawdziwym życiu młode kobiety, które mieszają się w nie swoje sprawy, zwykle w dziwny sposób tracą życie.

Puścił moją rękę.

– Naczelniku, proszę mnie zaprowadzić do tego nowego skrzydła – zażądał i już go nie było.

Wyszłam sama z budynku i stanęłam w kurzu, który unosił się z budowy. Starałam się opanować galopujące myśli. Czy jego słowa można uznać za groźbę, czy po prostu chciał w ojcowski i opiekuńczy sposób ostrzec młodą dziewczynę? Nie miałam pojęcia. Ale, co więcej, byłam na siebie wściekła. Musiałam przyznać mu rację. Odsłaniając wszystkie karty, prawdopodobnie zaszkodziłam Danielowi. Teraz Partridge zna moje plany i może zrobić, co mu się żywnie podoba. Może pospieszyć się z procesem albo przenieść więźnia w inne miejsce. Wystarczy wilgotna i ciemna cela, a w niej chory na gruźlicę towarzysz niedoli. Więcej nie potrzeba.

Nie mogłam na to pozwolić. Otrzepałam kurz z ramion i z rękawów, a potem wyszłam na

słońce. Przynajmniej nie zdradziłam się, z jaką informacją przychodzę. Jeśli za uwięzieniem Daniela stoi Partridge, będzie mu to chodziło po głowie. Z pewnością już się zastanawia, co takiego odkryłam. Cóż... to wszystko oznacza, że nie mogę czuć się bezpieczna.

Resztę poranka spędziłam przy łóżku pani Goodwin, która leżała bez ruchu, spokojnie oddychając. Ogarnął mnie strach, że nigdy się nie obudzi i niepostrzeżenie umrze.

– Pani Goodwin – powiedziałam głośno. – Sama nie dam rady. Proszę się obudzić! Mamy już dwa listy od rodzin zaginionych dziewcząt i jestem pewna, że jeden z nich dotyczy biedaczki, którą razem widziałyśmy w kostnicy. Jeśli szybko wróci pani do pracy, może wspólnie zapobiegniemy kolejnym zbrodniom.

Zdawałam sobie sprawę, że marnuję czas, rozmawiając z nieprzytomną, ale poczułam się podniesiona na duchu, a w każdym razie mniej samotna. Bo, szczerze mówiąc, akurat teraz czułam się fatalnie. I nie miało to nic wspólnego z moim poczuciem bezpieczeństwa. Bardziej przejmowałam się tym, że Daniel spędzi w więzieniu dobrych parę lat. W drodze do szpitala dotarło do mnie, że mogę nigdy nie znaleźć dowodów na jego niewinność. Gdybym musiała skonfrontować swoją wersję wydarzeń z wersją komendanta, jaki sąd dałby mi wiarę?

Musiałam również przyznać, że wciąż kocham Daniela. Trzymałam uczucia na wodzy, kiedy dowiedziałam się, że jest zaręczony z inną. Teraz jednak emocje wzięły górę. Miał swoje wady, nie zawsze dobrze mnie traktował, ale bez względu na to wciąż darzyłam go uczuciem. My, kobiety, już tak mamy. Zamiast kierować się głosem rozsądku, słuchamy tego, co podpowiada serce.

Otrząsnęłam się z ponurych wspomnień i użalania się nad sobą. Moja słabość nie pomoże teraz ani Danielowi, ani pani Goodwin.

– Wracając do tych dziewcząt... – powiedziałam do śpiącej przyjaciółki – ktoś powinien porozmawiać z rodzinami. Może znajdzie się jakiś list od tego chłopaka. Może któraś go zachowała. Można by się też dowiedzieć, czy dziewczęta miały na ciele jakieś znaki szczególne. A może zna pani inne sposoby, które pozwolą nam zidentyfikować ofiary.

– Tylko ekshumacja – usłyszałam nagle słaby głos. Pani Goodwin przyglądała mi się uważnie. – Jaki dziś dzień?

– Czwartek – odparłam.

– Ekshumację zaplanowano na piątek – Westchnęła, jakby mówienie sprawiało jej dużo trudu. Spróbowała usiąść, szyczała z bólu i z powrotem opadła na poduszki. – Będziesz musiała pojechać sama. Ja nie mam siły.

– Jak niby mam pójść na ekshumację? – zapytałam przerażona, bo wyobrażenia podsunęła mi obraz ludzkich szczątków częściowo zjedzonych przez robactwo. – Na pewno mnie nie wpuszczą.

– Nie mogą cię tam zobaczyć – odparła. – Musisz udawać, że przyszedł na sąsiedni grób opłakiwać kogoś z rodziny. Trzymaj się daleko, ukryj pod dużym kapeluszem i patrz uważnie, kto przyjdzie. Informacja o ekshumacji powinna już przedostać się do prasy. Ktoś może być ciekaw,

co wykopiemy.

– Myśli pani, że Rozpruwacz pojawi się tam we własnej osobie?

– Niewykluczone. Z doświadczenia wiem, że mordercy są zafascynowani sprawami, które ich dotyczą. Słyszałam o ludziach zgłaszających się na ochotnika do poszukiwań zaginionych dziewcząt, podczas gdy to oni je mordowali i zakopywali. Świadomość, że wiedzą więcej od policji, dostarcza im zapewne dodatkowych emocji.

– Dobrze, zrobię to – powiedziałam. – Chociaż wcale nie chcę pani tu tak zostawiać. Wszyscy okropnie się zmartwiłiśmy, kiedy wczoraj wieczorem znów straciła pani przytomność. Czy zanim to nastąpiło, poczuła się pani gorzej?

Pokręciła głową.

– Nie, nie czułam się gorzej. Teraz jestem oszołomiona; domyślałam się, że chwilę spałam.

– Była pani nieprzytomna – powiedziałam. – Nie mogli pani dobudzić.

– Dziwne – stwierdziła i zamknęła oczy.

– Nie czuła pani nic przed zaśnięciem? – zapytałam. – Na przykład ukłucia?

Spojrzała na mnie uważnie.

– Sugerujesz, że ktoś dał mi zastrzyk? Ktoś chciał mieć pewność, że zasnę?

– I że może się pani nie obudzi – dodałam. – Nie mam pojęcia, w jaki sposób ta osoba się tutaj dostała, ale nasz morderca to bardzo sprytna kreatura.

– Rzeczywiście – odparła. – Potraktuję twoje ostrzeżenie poważnie. Poproszę, by natychmiast przeniesiono mnie do domu i udzielono ochrony policyjnej.

– Da sobie pani radę w domu?

– Zatrudnię pielęgniarkę.

– Świetny pomysł. Postaram się panią odwiedzać jak najczęściej.

Pogłaskała mnie po rękę.

– Dobra z ciebie dziewczyna. Przykro mi, że nie wyszło z tą moją przyjaciółką.

– Taką podjęłam decyzję. Prawdopodobnie niezbyt mądrą.

Uśmiechnęła się słabo.

– Musimy podążać za sercem. Koniec końców to może się okazać właściwe.

– Przynajmniej jestem w pełni sił właśnie teraz, kiedy mnie pani potrzebuje – odparłam. – Mogę pójść na ekshumację, a nawet odwiedzić i przepłakać rodziny zaginionych dziewcząt.

Znów spróbowała usiąść.

– Ach, tak, listy! Masz je przy sobie?

Wyciągnęłam koperty z torebki. Przeczytała w milczeniu, a potem skinęła głową.

– Wygląda na to, że list od Włocha dotyczy tej dziewczyny, którą widziałyśmy w poniedziałek. Zgodzisz się ze mną?

– Owszem. A ta druga, Szwedka Dilly Lindquist, też miała schadzkę z chłopcem na Coney Island.

– Tak, musimy tam jechać jak najszybciej. Wydaje się, że Coney Island to kluczowe miejsce

w tej sprawie, prawda?

– Wiemy, że pierwsza zamordowana była prostytutką, a jej ciało znalezione pod promenadą. Ale to nie wszystko. Zupełnie niezależnie zostałam poproszona o odszukanie młodej arystokratki, która rzekomo uciekła z chłopakiem bez grosza przy duszy. To akurat może nie mieć związku z naszą sprawą, ale zaintrygował mnie fakt, że dziewczyna w dniu zniknięcia również miała się udać na Coney Island. Z młodym mężczyzną, który nie był jej narzeczonym.

Sabella Goodwin westchnęła.

– Czy znamy imię i nazwisko tego młodzieńca?

– Tak. Moje współpracownicy odwiedziły jego matkę. To dobra rodzina, spędzają lato w Newport na Rhode Island.

– Wystarczająco blisko, żeby wybrać się tam pociągami. No i mają pieniądze, by wynająć powóz, jeśli zajdzie potrzeba. Musimy przekazać tę informację naszym detektywom.

– Chłopak rzekomo jest poza domem. Pomaga na koloniach letnich dla ubogich dzieci gdzieś w Nowej Anglii – dodałam. – Nikt jeszcze tego nie potwierdził, ale niewykluczone, że w pobliżu jest stacja kolejowa albo miasto.

– Dobra robota – pochwaliła mnie pani Goodwin. – Wszystko pasuje jak ulał. Syn bogatych rodziców. Może czuje się nieswojo w towarzystwie dziewcząt, może ma nie po kolei w głowie. Otoczony opieką przez rodzinę... Tak, nasi detektywi muszą go jak najszybciej przesłuchać. Napisz, proszę, na kartce wszystko, co o nim wiesz, a ja przekażę im te informacje, jak tylko to będzie możliwe.

Wcale nie miałam ochoty nic pisać, ale nie potrafiłam powiedzieć czemu. Chyba dlatego, że do tej pory była to nasza sprawa – moja i Sabelli Goodwin. Nie chciałam jej oddawać w ręce dwóch zarozumiałych młokosów, którzy najwyraźniej nie cenili ani mnie, ani moich umiejętności.

– Mogę się wybrać do Nowej Anglii i sama go najpierw przesłuchać – zaproponowałam.

– Wykluczone – odparła stanowczo. – Jeśli ten uroczy młody człowiek rzeczywiście jest naszym Rozpruwaczem z East Side, to sprytny i nieobliczalny typ. Na dodatek potrafi zabijać. Nie chcę, byś stała się jego kolejną ofiarą.

– Nie będzie wiedział, że mam coś wspólnego z tym śledztwem – zauważyłam. – Przesłucham go tylko w sprawie zaginięcia panny Blackwell.

Sabella energicznie potrząsnęła głową.

– Jeśli ją zabił, nie sądzisz, że możesz być następną? A na koloniach, gdzieś daleko od cywilizacji, znajdzie się okazja, prawda?

Miała rację.

– Dobrze. Napiszę wszystko, co wiem. Zostanę tutaj, dopóki nie zorganizujemy pani powrotu do domu. Może zadzwonimy teraz po siostrę i sprawdzimy, jak szybko mogą panią wypisać?

Pani Goodwin spojrzała na mnie i roześmiała się.

– Jesteś bardzo stanowcza, wiesz o tym? – powiedziała. – Zawsze słyszałam, że zachowuję się zbyt ostro jak na kobietę, ale widzę, że tobie należy się palma pierwszeństwa.

Odwzajemniłam uśmiech.

– To dlatego, że w Nowym Jorku mogę liczyć tylko na siebie. Jeśli sama nie zadbam o swoje sprawy, nikt za mnie tego nie zrobi.

– Właśnie dlatego musisz zachowywać się rozsądnie i zbytnio nie ryzykować – powiedziała. – Jeszcze przez jakiś czas będę za słaba, by grać rolę twojego ochroniarza.

– Proszę się nie martwić – powiedziałam. – Nie mam zamiaru skończyć w kostnicy.

Ku naszemu zdziwieniu siostra Mercy uznała, że wypisanie pani Goodwin ze szpitala jest doskonałym pomysłem.

– Większa szansa na ciszę i spokój – powiedziała i popatrzyła na mnie znacząco.

Od razu odgadłam jej myśli.

Jeszcze tego samego wieczoru Sabella przyjechała do domu. Sąsiadka, która mieszkała za ścianą i wcześniej dała mi klucz, teraz troskliwie opiekowała się panią Goodwin, gotując dla niej pożywny rosół. Obiecała zostać na noc, a rano miała ją wymienić pielęgniarką. Policjant, z którym rozmawiałam dzień wcześniej, został wyznaczony do pilnowania domu. Wróciłam na Patchin Place uspokojona, z mocnym postanowieniem, że wyśpię się porządnie przed jutrzejszym trudnym dniem.

O brzasku byłam na nogach i od razu udałam się na Hart Island, gdzie chowano zmarłych o nieustalonej tożsamości. Pani Goodwin ostrzegła mnie, że ekshumacja odbędzie się wcześniej i że czeka mnie daleka droga. Chyba jednaknie zdawała sobie sprawy, jak długa i męcząca będzie to podróż. Jestem pewna, że sama nigdy tam nie jechała. Bo i po co?

Okazało się, że Hart Island to maleńka wyspa na środku cieśniny Long Island, w połowie drogi między Bronxem a Long Island. Można tam się dostać jedynie z małej City Island, która z kolei położona jest pośrodku jakichś pierońskich bagien. Odbyłam podróż najpierw kolejką do Cieśniny Harlemskiej, skąd popłynęłam promem, który pokonując wąski kanał Hell Gate, docierał do cieśniny Long Island.

Poranek był dość pochmurny i kiedy wreszcie przybiliśmy do City Island, poczułam się mocno przemarznięta. Nie wiem, kto wymyślił taką nazwę dla tego miejsca, bo nigdy nie widziałam czegoś, co mniej by przypominało miasto. Zacumowaliśmy przy osobliwym zakątku, najwyraźniej należącym do żeglarzy i konstruktorów łódek. Miejsce to sprawiało wrażenie, jakby było z innej epoki. W porcie mimo tak wczesnej pory wrzało jak w ulu. Zewsząd dobiegało stukanie młotkami, jakiś holownik gwizdem oznajmiał, że odbija od brzegu. Zapytałam, skąd odpływa prom na Hart Island, ale ludzie popatrzyli na mnie ze zdziwieniem. Tam płyną tylko łodzie rządowe – usłyszałam. Dzisiaj rano już odbył się kurs. Wyspa to jeden wielki cmentarz, smutne miejsce, gdzie znajdują się nieoznaczone groby zmarłych, którzy nigdy nie zostali zidentyfikowani lub byli zbyt ubodzy, by zapłacić za przypożytki pochówek.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odparłam żeglarzowi, który przekazał mi te wszystkie informacje. – Ale jestem tu nie bez powodu. Dzisiaj przeprowadzają tam ekshumację i obawiam się, że mogą wykopać szczątki mojej ukochanej siostry. Czy wie pan, w jaki sposób mogłabym się dostać na wyspę?

Staralam się wyglądać na podenerwowaną, bezradną i zrozpaczoną.

– Chyba Tom mógłby tam panienkę przeprowadzić, prawda, Tom? – Jeden z mężczyzn zwrócił się

do człowieka o pomarszczonej twarzy, który siedział na brzegu i palił fajkę.

– A co za to dostanę? – odparł tamten.

– Daj spokój. Okaż serce – zaczął go strofować ktoś inny. – Chce się dowiedzieć, czy wykopią jej siostrę. To taka straszna fatyga?

– Zapłacę – obiecałam, bo przecież dostałam od pani Goodwin pieniądze na podróż. – Będę dozgonnie panu wdzięczna za pomoc.

Stary Tom wstał, splunął na ziemię i kiwnął na mnie głową.

– Niech idzie za mną – powiedział. – Póki wiatr jest dobry.

Pomógł mi zejść z pomostu do zwykłej łódki. Odbiliśmy i spokojnie wypłynęliśmy z portu. Po chwili znaleźliśmy się w zupełnie odrealnionym świecie. W mieście poranne niebo było bezchmurne i obiecywało piękną pogodę. Podczas podróży na City Island mgła gęstniała coraz bardziej, zwłaszcza na mokradłach. Teraz ujrzałam krajobraz całkowicie spowity oparami, które pelzały, to unosząc się coraz wyżej nad bagniskiem, to opadając. Było zupełnie cicho, słyszałam jedynie wodę rozbijającą się o brzegi łódki i rytmiczne skrzywienie wiosł. Nie miałam pojęcia, dokąd płyniemy ani jak daleko jest wyspa. Po chwili nawet bagna przestały być widoczne i mogłam dostrzec jedynie tafłę wody po dwóch stronach łódki. Czułam się jak we śnie i nawet przyszło mi do głowy, że oto przepawiam się przez Styks i za chwilę znajdę się po drugiej stronie życia.

W pewnym sensie tak właśnie było. Zmarli właśnie tędy płynęli na miejsce spoczynku. Siedziałam, mocno trzymając się burty, a głowę miałam pełną niespokojnych myśli. Bałam się, że wpadniemy na skałę, zderzymy się z inną łódką albo niepostrzeżenie wypłyniemy na szerokie morze. Bałam się również widoku, jaki ujrzę, kiedy wreszcie dotrzemy na Hart Island. Cieszyłam się, że stary Tom nie jest zbyt rozmowny. Zawzięcie wiosłował z obojętnym wyrazem twarzy, płynnie prowadząc łódź po gładkiej tafli wody. Przynajmniej nie ma fal – pomyślałam. Jedna rzecz, za którą powinienam być wdzięczna, bo i bez fal czułam się dość niepewnie.

Wydawało się, że podróż nie ma końca. Straciłam poczucie czasu. Mgła momentami opadała i naszym oczom ukazywało się czyste niebo. W pewnej chwili z rzeki poderwał się niespodziewanie do lotu kormoran, sprawiając, że serce zabiło mi jeszcze mocniej. Stary Tom spojrział wtedy w niebo, posłał mi słaby uśmiech, a potem znów wrócił do swojego zajęcia.

Bagien było coraz więcej, po chwili dojrzałam kawałek piaszczystej plaży, w końcu zobaczyłam drewniany pomost. Była przy nim zacamowana duża łódź motorowa. Mimo podeszłego wieku Tom rześko zeskoczył i pomógł mi wysiąść.

– Poczekaj pan tu na mnie, prawda? – zapytałam przerażona.

– Proszę się nie martwić, stary Tom będzie tu cały czas – odparł całkiem przyjaznym tonem i przywiązał łódkę do desek pomostu.

Przeszłam po chwiejnej kładce i minęłam dziwną budkę, która pewnie służyła grabarzowi za domek. Spodziewałam się ujrzeć jakieś nagrobki, krzyże, coś, co zasugeruje, że jestem na cmentarzu. Jednak dopiero kiedy moja noga trafiła na twarde kamień, spojrzałam w dół i dostrzegłam metalową tabliczkę z numerem. Wtedy zdałam sobie sprawę, że stąпам po grobach. Przerażona, szybko cofnęłam nogę. W Irlandii uważamy, że przejście przez czyjś grób wroży nieszczęście. Ale tabliczki były wszędzie. Nie sposób nie nadepnąć – stwierdziłam.

Ruszyłam dalej, wypatrując ścieżki.

W pewnym momencie mgła się podniosła i ujrzałam przed sobą rozległą łąkę. Widziałam jakieś pochylone drzewa, ale oprócz tego nic. Żywego ducha. Pomyślałam, że może już dokonali ekshumacji i wrócili na ląd. Przez chwilę zastanawiałam się, co zrobić, a potem dobiegł mnie rytmiczny dźwięk. Wyraźnie się przybliżał. Szybko ukryłam się za najbliższym drzewem. Moim oczom ukazał się szereg maszerujących mężczyzn. Szli gęsiego, jeden tuż za drugim. Dostrzegłam pasiaki i wtedy zdałam sobie sprawę, że dźwięk pochodzi z metalowego łańcucha, który m mężczyźni są połączeni. Więźniowie!

Ten widok naprawdę mnie przestraszył. Czy to znaczy, że na wyspie jest również więzienie, czy też stary Tom się pomylił i zabrał mnie w inne miejsce? To by dopiero było – pomyślałam. Po chwili jednak zobaczyłam trochę dalej inną grupę. Więźniowie szli w jej kierunku, potykając się, kiedy nadzorca wydawał głośniejsze komendy. Gdy mnie minęli i powoli znikali we mgle, wyszłam z ukrycia i podążyłam za nimi.

Mgła była moim sprzymierzeńcem. Mogłam podejść całkiem blisko, nie będąc zauważona. W końcu ukryłam się za jakimś krzakiem. Usłyszałam głosy. Ktoś wydawał polecenia.

– To jest pierwsze miejsce. Zaczynjcie tu kopać.

– No dalej, chłopaki. Bierzcie łopaty.

Więźniowie zabrali się do pracy. Najpierw usłyszałam, jak metal uderza o twardą ziemię, potem rozległy się pokrzykiwania, mężczyźni wyciągnęli trumnę i położyli ją na trawie. Następnie przeszli dalej i cały proces zaczął się od początku. Przykucnąwszy, podbiegłam do kolejnego drzewa i przywarłam do pnia. Stąd miałam zdecydowanie lepszy widok. Mężczyzna w ciemnym garniturze i kapeluszu był prawdopodobnie kłonerem. W grupie zauważyłam również kilku mundurowych. Wydawało mi się, że w jednym z nich rozpoznaję McIvera, który stał obok starszego mężczyzny w mundurze kapitana. Kilku znudzonych posterunkowych pilnowało więźniów, przyglądając się beznamiętnie, jak tamci znów kopią, a po chwili wyciągają kolejną trumnę. Ta chyba nie leżała w ziemi zbyt długo, bo zobaczyłam, że wszyscy wyjmują chusteczki i przykładają je do nosa. Niektórzy zaczęli kaszleć. McIver i drugi mężczyzna cofnęli się, kiedy trumna spoczęła na trawie, wydając przy tym głuchy dźwięk.

Przyszło mi do głowy, że wcale nie zamierzają się teraz zająć ekshumacją. Czyżby chcieli z powrotem przewieźć ciała do kostnicy i dopiero tam je zbadać? Przez jakiś czas nie mogłam sobie przypomnieć, co w ogóle tutaj robię... Po chwili pamięć wróciła. Zdaniem pani Goodwin morderca mógł przypląć na wyspę w roli obserwatora...

W tej samej chwili otuliła mnie gęsta, chłodna mgła. Uświadomiłam sobie, że jestem tu zupełnie sama i bezbronna. Jeśli nagle z tyłu wysunie się czyjaś ręka i zatka mi usta, nie będę się mogła obronić. Odwróciłam się gwałtownie i spojrzałam za siebie. Co to za ciemny cień? Czy ktoś stoi za tymi skałami? Kiedy mewa zerwała się do lotu, krzykując charakterystycznie, omal nie dostałam zawału.

Wyciągnięto trzecią, a potem czwartą trumnę. Mgła zaczęła opadać, ukazując skalisty brzeg i błękit wody. Zrozumiałam, że za chwilę i ja stanę się widoczna. Będziemy z Tomem w niezłych tarapatach, jeśli ktoś odkryje naszą obecność na wyspie. Szybko wróciłam na pomost, starając się bieć drogą, którą wciąż spowijała mgła. Kiedy wreszcie weszłam do łódki, brakowało mi tchu.

Najwyraźniej przestraszyłam Toma, bo na mój widok gwałtownie się podniósł.

– Tak sztybko? – zapytał. – Widziała panienka wszystko?

– Niepotrzebnie traciłam czas. Trumny są zamknięte. Zabierają je do miasta i dopiero tam otworzą. Muszę teraz jechać do kościoła.

– To nie będzie przyjemny widok – zauważył Tom. – Kiedyś widziałem zwłoki. Morze je wyrzuciło. Na samo wspomnienie robi mi się niedobrze.

– Wiem – odparłam. – Ale chcę poznać prawdę.

Skłinał głowę.

– Rozumiem. Prawda jest lepsza niż niewiedza. W tę lub we w tę.

Wypowiadając te słowa, odepchnął łódkę wiosłem od pomostu i ruszyliśmy z powrotem. W połowie drogi na City Island wyprzedziła nas motorówka, wzburzając wodę. Nasza mała łódka zakłuła się na falach.

Kiedy wróciłam do miasta, po mgłę nie było ani śladu. Już na promie ogrzewały mnie promienie słońca. Cieszyłam się, że znów jestem na lądzie, i z radością pospieszyłam do domu pani Goodwin. Po spokojnej nocy czuła się znacznie lepiej i z zainteresowaniem wysłuchała mojej opowieści. Zwróciła uwagę na fakt, że w grupie obserwującej ekshumację był jakiś tajemniczy policjant.

– Z twojego opisu wynika, że to kapitan Paxton – stwierdziła. – Cóż.. współczuję Quigleyowi i McIverowi. Nie będą zachwyceni, że to właśnie on nadzoruje teraz śledztwo. Stara szkoła. Jestem pewna, że da im popalić.

– Uda mu się rozwiązać zagadkę?

– Jeśli jemu się nie uda, nikt tego nie zrobi. Brakuje mu intuicji i sprytu Sullivana, ale to skrupulatny śledczy. Mąż był o nim dobrego zdania. Przyjaźnili się od dawna.

– W takim razie to dobra wiadomość – zauważyłam. – Może zechce skorzystać z naszych rad.

Prychnęła.

– Absolutnie nie. Wręcz przeciwnie. Zawsze stał na stanowisku, że kobiety nie nadają się do pracy w policji, a kiedy ktoś zaproponował, żebym przejęła obowiązki śledcze, omal nie dostał apopleksji. Jego zdaniem miejsce kobiet jest w domu; powinny szyć i zajmować się dziećmi. Całkowicie podporządkował sobie żonę. Biedaczka robi to, co każe. Urodziła mu jedenaścioro dzieci. – Mówiąc to, pani Goodwin wzniosła oczy do nieba. – Kiedyś ją spytałam, czy słyszała o kontroli urodzin, a ta odparła, że mąż nie pochwała takich rzeczy.

– Na świecie jest mnóstwo kobiet jej pokroju. Siedzą w domu i nie mają nic do powiedzenia – zauważyłam. – Jeśli kiedykolwiek wyjdę za mąż, nie pozwolę się tak traktować.

Uśmiechnęła się.

– W to akurat nie wątpię.

– Czyli co? – zapytałam. – Naprawdę chce pani przekazać temu Paxtonowi wszystkie informacje i zająć się szyciem?

– Bez względu na to, jak mnie to mierzi, nie mamy wyjścia – odparła. – Stan zdrowia nie pozwala mi na pracę i nie chciałabym też być na twoim miejscu, gdyby kapitan Paxton się dowiedział, że przejęłaś obowiązki policji.

– Przynajmniej powinnyśmy mieć pewność, że przekazujemy prawdziwe informacje – powiedziałam. – Nie wiemy, czy te zaginione dziewczęta rzeczywiście zostały zamordowane i czy to ich ciała teraz ekshumowano. To może być tylko błąd zbieg okoliczności. Mogły przecież uciec z domu z wielu powodów.

– W takim razie co proponujesz, moja droga?

– Uważam, że powinnam jechać teraz do kostnicy, choć wcale nie mam na to ochoty – odparłam. – Musimy poznać prawdę. Jeśli uda się zidentyfikować choć jedną z dziewcząt, będziemy wiedziały, że jesteście na dobrym tropie. I trzeba również skontaktować się z rodzinami. Muszą nam dokładnie opisać każdą zaginioną, ze znakami szczególnymi, które pomogą w identyfikacji, włącznie.

– Zgoda – stwierdziła pani Goodwin. – Powiedz mi jeszcze raz... skąd one pochodzą?

– Jedna z Brooklynu, jedna z Queens. Obydwa miejsca mają dobre połączenie z Coney Island.

Spojrzała na mnie znacząco.

– Chcesz popłynąć na Coney Island, prawda?

– Uważam, że ta wyspa jest kluczem do wszystkiego. Powinnyśmy szukać tam młodego mężczyzny, który poluje na atrakcyjne dziewczyny. Ale nie mam pojęcia, jak nawiązuje kontakt i w jakich działach rejonach. Zupełnie nie wiem, gdzie rozpocząć poszukiwania.

– Może za parę dni poczuję się na siłach, by ci towarzyszyć.

– Proszę nie żartować. To ostatnie miejsce, do jakiego mogłaby się pani udać – zauważyłam. – Ktoś by panią popchnął w tłumie i co wtedy?

– Nie jestem wcale taka delikatna – odparła. – Poza tym na pewno można wypożyczyć fotel na kółkach, który normalnie służy do kąpieli w morzu, a nam posłuży do czegoś innego. Będziesz mnie pchała w tym fotelu na Coney Island.

Zaśmiałam się.

– Chciałabym to zobaczyć.

Pani Goodwin też zachichotała, ale po chwili znów stała się poważna.

– Zdrowieję, ale przede mną jeszcze długa droga – powiedziała. – Przez jakiś czas musisz działać w pojedynkę.

– Pójdę do kostnicy trochę później – zdecydowałam. – Nie chcę narazić się na nieprzyjemności, a pewnie roi się tam teraz od policjantów.

– A co chcesz uzyskać?

– Nie jestem pewna – odparłam. – Potrzebuję potwierdzenia, że te dziewczyny nie były prostytutkami, i może... – Nie dokończyłam, bo to, co chciałam powiedzieć, wydało mi się zbyt dziwaczne.

Wychodząc, cieszyłam się, że pani Goodwin jest pod dobrą opieką pielęgniarki. Szepnęłam siostrze, żeby nie zostawiała pacjentki z nikim sam na sam i pod żadnym pozorem nie wpuszczała nikogo obcego do domu. Kobieta skinęła głową i wyprostowała ramiona.

– Proszę się nie martwić. Ze mną nikt nie wygra.

Wróciłam do domu coś zjeść. Zastanawiałam się, czy nie powinnam napisać do Daniela, który pewnie z niepokojem czeka na wieści. Niestety, nie było nic interesującego, czym mogłabym się z nim podzielić. Żadnych pokrępiających informacji. Ale przecież już dawno nie dostał ode mnie listu. Tak więc usiadłam przy stole i skreśliłam parę wesołych zdań. Napisałam, że bardzo ciężko pracuję i wreszcie mam wrażenie, że znalazłam właściwą drogę do rozwiązania zagadki. To nie była do końca prawda, ale jakoś powinnam podtrzymać Daniela na duchu, prawda? Zwłaszcza że sama nie byłam w najlepszym nastroju.

Późnym popołudniem znów ruszyłam w stronę szpitala Bellevue i kostnicy. Wyprawę odkładałam do ostatniego momentu, tak bardzo bałam się tego, co mnie tam czeka. Straciłam już przytomność na widok ciała pod prześcieradłem, zemdlilo mnie od zapachu formaliny.

Co się stanie teraz, kiedy będę musiała oglądać rozkładające się zwłoki?

I tak prawdopodobnie mnie nie wpuszczą – powtarzałam sobie. Poproszę lekarza, żeby dokładnie opowiedział mi o swoich odkryciach, i wrócę do domu. Poczułam się trochę lepiej, ale tylko do momentu, gdy doszłam do wysokiego muru otaczającego szpital. Potem już wlokłam się noga za nogą i przystawałam parę razy, zanim w końcu zdecydowałam się wejść za bramę. Dwa razy obeszłam kostnicę, starając się dostrzec coś przez okna i sprawdzić, czy policja jest cały czas w środku. Potem wzięłam głęboki wdech, wyciągnęłam chusteczkę, by mieć ją w pogotowiu, i pchnęłam mocno drzwi.

W wyłożonym marmurem korytarzu nikogo nie było, ale zapach w środku był silniejszy niż kiedykolwiek – słodki i bardzo intensywny. Żołądek od razu zaczął się buntować i musiałam przełknąć żółć. Nie chciałam znów się skompromitować. Doszłam do sali badań, do której prowadziły podwójne drzwi. Przyłożyłam do nich ucho i zaczęłam nadsłuchiwać. Dochodziły mnie przytłumione głosy. Czy to oznacza, że policjanci jednak wciąż są w środku? Nie miałam zamiaru stanąć oko w oko z wściekłym McIverem lub Quigleyem ani z tym nowym kapitanem. Chciałam tylko zobaczyć, co się tam dzieje. W drzwiach nie było dziurki od klucza, ale była szpara, przez którą starałam się coś dojrzeć. Mignął mi biały fartuch, ale nigdzie nie widziałam munduru.

Po chwili biały fartuch zaczął się powiększać i rozumiałam, że ktoś idzie w moją stronę. Szybko przywarłam do ściany. Drzwi otworzyły się raptownie i z sali wyszedł młody człowiek

– Powiedz im, że mogę już oglądać kolejną! – zawołał ktoś z głębi pokoju. – Napij się koniecznie kawy, bo wyglądasz, jakbyś miał mi tu zaraz zemdleć.

– Dobrze się czuję, proszę pana. Nic mi nie jest – odparł młody mężczyzna.

Miał okrągłe okulary i miłą twarz studenta, ale rzeczywiście nie wyglądał najlepiej. Pomyślałam nawet, że może powinien był wybrać inny zawód. Przeszedł obok, nie zwróciwszy na mnie uwagi, i pchnął kolejne drzwi w głębi korytarza.

Znałam ten pierwszy głos z sali. To był ten sam lekarz, z którym wcześniej rozmawiałam. Zebrałam się na odwagę i stanęłam w drzwiach. Od razu uderzył mnie straszliwy smród, zupełnie nie do wytrzymania. Z oczu poleciały mi łzy i zaczęłam mieć odruchy wymiotne. Cuchnęło gorzej niż na targu mięsny w upalny dzień. Przyłożyłam chusteczkę do nosa, lecz nawet zapach wody kolońskiej, którą była nasączona, niewiele pomógł. Na kamiennym stole leżały dwa ciała, przy czym jedno z nich – o zgrozo! – było całkowicie odkryte. Starałam się nie patrzeć, ale i tak mój wzrok powędrował w tamtą stronę i nagle niechcący westchnęłam. Doktor natychmiast się odwrócił.

– Młoda damo, co tu robisz? To nie jest właściwe miejsce dla pań. Proszę wyjść!

– Zgadza się bez dwóch zdań – odparłam. – Ale przysłała mnie pani Goodwin. Muszę z panem natychmiast pomówić, jeśli to możliwe.

– Z przyjemnością zaczerpnę świeżego powietrza – powiedział.

Przeszedł przez salę, wytarł ręce w ścierkę, zupełnie jak rzeźnik, a następnie otworzył przede

mną drzwi. Z ulgą odetchnęłam parnym letnim powietrzem, kiedy znaleźliśmy się na zewnątrz.

– To o co chodzi? – zapytał. – Mam tylko chwilę, bo za moment student przyniesie kolejne ciało. No, chyba że po drodze zemdleje – dodał i uśmiechnął się.

Tak szybko, jak potrafiłam, opowiedziałam mu o listach, które dostałyśmy od rodzin zaginionych dziewcząt.

– Chciałyby panie sprawdzić, czy któraś z tych biedaczek leżących teraz u mnie na stole nie jest przypadkiem jedną z nich – zauważył ponuro.

– Czy ma pan absolutną pewność, że te dziewczyny pracowały jako kobiety lekkich obyczajów? – zapytałam. Jakoś nie potrafiłam w obecności mężczyzny wypowiedzieć słowa „prosty tutka”. „Kobieta lekkich obyczajów” i tak ledwo mi przeszła przez usta.

– Jeśli pyta pani o to, czy któraś z tych dziewcząt wciąż była dziewicą, to nie potrafię dać odpowiedzi. Proszę zrozumieć, jest lato. Procesy rozkładu zachodzą bardzo szybko, a tkanie miękkie zanika dość gwałtownie.

Staralam się spokojnie patrzeć w dal, na zielony trawnik, nie dać się ponieść emocjom i obrazom, które przed chwilą miałam przed oczami.

– Ale w ostatnich kilku przypadkach zanotowałem, że doszło do stosunku seksualnego przed morderstwem. To oznacza, że napastnikowi się udało – powiedział i spoglądając na mnie, dodał: – Mówi pani, że te zaginione dziewczęta to Włoszka i Szwedka?

Przytaknęłam.

– Jedna z tych, które badałem przed chwilą, miała blond włosy, jakich nigdy przedtem nie widziałem – oznajmił. – Może to ta Szwedka?

– Piękne blond włosy? – zapytałam.

– Tak Wspaniałe. Prawie białe. Byłem w szoku, kiedy otworzyliśmy trumnę. Całkowicie zakrywały jej ramiona, jak płaszcz, można powiedzieć.

Poczułam, że przeszył mnie dreszcz.

– Czy można kogoś zidentyfikować na podstawie włosów?

– Tak – odparł. – Jeśli rodzina przechowuje w odpowiednim miejscu jakiś pukiel zaginionej, możemy dokonać porównania pod mikroskopem.

– A czy ja mogłabym wziąć teraz próbkę i sama porównać?

Spojrzał na mnie zdziwiony.

– Pani? A dlaczego? To zadanie policji. Dzisiaj tu zresztą byli. Wzięli i włosy, i miarę Bertillona.

– Pani Goodwin przekaże wszystko swoim przełożonym, jak tylko zakończy śledztwo – powiedziałam. – Ale są pewne rzeczy, które same musimy sprawdzić.

– To dlaczego jej tu nie ma? Proszę tylko nie mówić, że nie dała rady; przecież to pani zemdlą.

– Miała wypadek. Potrącił ją powóz.

– O Boże! Przeżyła, prawda?

– Na szczęście tak, ale jest przykuta do łóżka, więc staram się robić, co mogę, by jej pomóc.

Doktor pokręcił głową.

– Mógłbym przekazać włosy pani Goodwin, bo wiem, kim jest. Oficjalnie. A pani naraża się na oskarżenie o utrudnianie śledztwa policji.

– Nie zamierzam nic utrudniać, próbuję tylko przyspieszyć dochodzenie – zaprotestowałam. – Śledczy nie chcą słuchać nas, kobiet, choć być może jesteśmy na właściwej drodze. Proszę tylko o próbkę włosów.

Wtedy się zaśmiał.

– No dobrze, zgoda. Proszę tu poczekać. Pewnie nie chce pani znów wchodzić do środka.

Poczełam. Po chwili wrócił z kopertą.

– Proszę. Próbki włosów pozostałych ofiar będę przechowywał na wypadek, gdyby pani Goodwin potrzebowała ich na późniejszym etapie.

Podziękowałam i pożegnałam się, ściskając w rękę swój skarb. Przed powrotem do domu zajrzałam jeszcze do Sid i Gus, by sprawdzić, czy mają może adres doktora Birnbauma. On z pewnością dysponuje mikroskopem i mógłby porównać pukle – pomyślałam. Jednocześnie nie bardzo chciałam mu się zwierzać ze swoich przemyśleń. Zależało mi na tym, by najpierw ustalić fakty. Ale w głowie miałam wyraźny obraz – w jednej ławce w szkole panny Marchbank siedzą obok siebie dwie dziewczynki. Jedna z nich jest blada i delikatna, ale ma przepiękne blond włosy, które łagodnie spływają na ramiona.

Okazało się, że doktor Birnbaum mieszka w hotelu Lafayette na University Place, dokładnie tam, gdzie i Ryan O'Hare ma apartament. No tak! To tłumaczy, jak się poznali – pomyślałam. Ucieszyłam się, że nie muszę iść daleko. Wstałam jeszcze przed świtem i miałam już za sobą cały dzień pracy. W drodze do hotelu z utęsknieniem zerknęłam w stronę fontanny na Washington Square, skąd dochodziły piski i krzyki uszczęśliwionych dzieci. Dźwięk ich głosów przywołał przyjemne wspomnienia – w tej samej fontannie kąpali się zawsze Bridie i Szelma, dopóki ich nie nakryłam i nie przyprowadziłam zawstydzonych do domu. Teraz zastanawiałam się, kiedy wreszcie znów zobaczą małych O'Connorów.

Pochłonięta myślami, omal nie minęłam hotelu Lafayette. Na szczęście w dobrym momencie spojrzałam do góry, na pasiastą markizę nad oknem hotelowej restauracji. Nadawała budynkowi kontynentalny wygląd. Recepcjonista potwierdził, że pan Birnbaum tu mieszka i prawdopodobnie jest teraz w swoim pokoju. Najwyraźniej uznał, że wyglądam przyzwoicie, bo pozwolił mi wejść na górę. W hotelu nie mieli jeszcze systemu telefonicznego. Pokój doktora znajdował się na trzecim piętrze, skąd okna wychodziły na University Place. Pukając, słyszałam dobiegające zza drzwi śmiechy. Otworzył nie kto inny, tylko Ryan, ubrany tym razem w stylu miejskim, w zwykłą białą koszulę i jasne spodnie. Najwyraźniej minęły czasy falbanek i buddyjskich strojów.

– Molly, cóż za wspaniała niespodzianka! Czekamy na niemieckich przyjaciół Fritza, ale ty jesteś równie miłym gościem. Wchodź.

Zaprosił mnie do przestronnego pokoju z wygodnymi fotelami i biurkiem po jednej stronie oraz łóżkiem po drugiej. Było tu nad wyraz porządknie – oprócz stosu książek nie zauważyłam żadnych prywatnych przedmiotów. Birnbaum siedział przy biurku. Zerwał się na mój widok. Chyba był zmieszany, może dlatego, że właśnie przyłapałam go, jak przyjmuje u siebie Ryana.

– Panno Murphy. – Uklonił się i stuknął obcasami. – Czemu zawdzięczamy tę wizytę?

– Mam do pana prośbę, doktorze. Chodzi o tę sprawę, nad którą pracuję. O zamordowane dziewczęta.

Popatrzył na mnie podejrzliwie.

– Mam nadzieję, że nie chce pani być znów moją asystentką. To było dla mnie zbyt kłopotliwe.

– Proszę się nie obawiać. Nie będę pana więcej stawiać w niezręcznej sytuacji. Wie pan, co się ostatnio zdarzyło, prawda?

– Tak, czytałem o planach ekshumacji ciał pozostałych zamordowanych dziewcząt.

– Owszem. Odbyła się dzisiaj. Byłam przy tym obecna.

– Jak to możliwe? Nie wyobrażam sobie, że tych dwóch poprosiło panią o pomoc.

– Nawet nie wiedzieli, że tam jestem – odparłam, zerkając na Ryana.

Uśmiechnęliśmy się do siebie.

– *Mein Gott!* Pani nie przestaje mnie zadziwiać, panno Murphy – odparł Birnbaum, ocierając chusteczką pot z czoła. – Proszę usiąść. Ryanie, należesz gościowi wina?

Usiadłam w fotelu.

– Dziękuję za wino – powiedziałam, kiedy Ryan podnosił butelkę. Wzruszył ramionami i napełnił swój kieliszek. – Nie będę dłużej trzymać pana w niepewności. Być może słyszał pan, że te dziewczęta nie były prostytutkami. Pochodziły z normalnych rodzin, tylko ktoś je przebrał za kobiety lekkich obyczajów.

– To niesłychane – skomentował Birnbaum. – Nasz zabójca bardzo się napracował. Po co? Wciąż zadaję sobie to pytanie. Skoro chciał napaść i zamordować te dziewczyny, dlaczego nie ukrył ciała? Mógł je zakopać w ogrodzie lub w lesie, wrzucić do jeziora. Gdyby tak zrobił, szansa, że ktoś odkryje prawdę, byłaby niewielka. Dlaczego afiszuje się w ten sposób? O co mu chodzi?

– Może o to, że prostytutki nie mają znaczenia – zasugerowałam. – Jeśli kobiety się źle prowadzą, kto by się tam przejmował ich śmiercią? Może tak właśnie myśli zabójca.

– A nie mówiłem, że jest bystra?! Kwiat żeńskiej części irlandzkiego społeczeństwa – wtrącił Ryan.

Tę butelkę wina napoczął chyba jeszcze przed moim przyjściem – pomyślałam. Zrobił się elokwentny jak każdy Irlandczyk po kilku głębszych. Ale złe samopoczucie jeszcze go dopadnie.

Doktor Birnbaum w zamyśleniu głąskał się po brodzie.

– Niewykluczone. Choć coś mnie tu niepokoi. Coś, czego nie umiem nazwać, coś, czego nie rozumiem. Morderca to brutal, który napada na dziewczynę, potem ją zabija, a jednocześnie przejawia cechy niesłychanie inteligentnego mężczyzny, który gra policji na nosie. Nie boi się podejmować ryzyka, ale w życiu codziennym zachowuje się bardzo poprawnie, bo przecież nikt go o nic nie podejrzewa. Tak jakbyśmy mieli do czynienia z podwójną osobowością. Taka mnie wyjątkowo fascynuje. Nie mogę się wprost doczekać, kiedy się spotkamy.

– A ja nie mogę się doczekać, kiedy go złapię – odparłam. – Robi mi się niedobrze, gdy myślę o tych biednych dziewczętach, które wyobrażały sobie, że spotkały miłość swojego życia, a on je tak potraktował.

– Miłość życia? Co pani ma na myśli?

Pokrótce opowiedziałam, co ustaliłyśmy z panią Goodwin.

– Spotykały się z młodzieńcem? – Popatrzył na mnie kompletnie zdezorientowany. – Nie chce mi się wierzyć, że mordercą jest młody człowiek. Taki zabija pod wpływem chwili. Później panikuje i stara się za wszelką cenę ukryć ciało. Te zabójstwa ktoś na chłodno kalkuluje, a potem punkt po punkcie realizuje perfekcyjnie cały plan. Nie, to niemożliwe, by za tym stał młódzieniec.

– To w jaki sposób zwabia te dziewczęta? Przynajmniej dwie z nich zaryzykowały spotkanie. Musiał być atrakcyjny i pociągający, skoro dla niego postanowiły sprzeciwić się rodzicom.

Doktor Birnbaum pokręcił głową.

– Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Ale właściwie czego pani ode mnie oczekuje?

– Zastanawiam się, czy mógłby pan porównać dwa puki włosów. Jeden zabrałam z kostnicy, drugi, mam nadzieję, prześle mi wkrótce rodzina zaginionej dziewczyny. Na pewno coś znajda na

szczotce lub na poduszce.

– Zawsze podróżuję z mikroskopem – odparł. – Nie jest to najnowszy model, więc nie dam pani wiążącej odpowiedzi. Dokładne badania musielibyśmy przeprowadzić w nowoczesnym laboratorium. Policja na pewno takie ma. Dlaczego nie zgłosi się pani do nich?

– Zamierzam to zrobić – oznajmiłam. – Ale najpierw chciałabym potwierdzić swoje przypuszczenia.

– Dobrze – zgodził się. – Czy ma pani ze sobą ten pukiel włosów?

– Nie, zostawiłam w domu. Teraz, skoro wiem, że mogę liczyć na pańską pomoc, poproszę rodzinę o próbkę. Zrobię to jutro z samego rana.

– Najmocniej przepraszam, nie chcę być niegrzeczny, ale łąda moment spodziewamy się odwiedzin przyjaciół z Uniwersytetu we Fryburgu. Idziemy z nimi na kolację.

Wstałam.

– W takim razie do widzenia – powiedziałam. – I bardzo dziękuję za pomoc.

Kiedy Birnbaum odprowadzał mnie do wyjścia, Ryan nawet nie ruszył się z fotela. Zamglonym wzrokiem wpatrywał się w swój kieliszek.

Byłam potwornie zmęczona po całym dniu intensywnej pracy, mimo to ruszyłam w stronę Broadwayu, skąd jechał tramwaj w kierunku północnym, do Gramercy Park. Miałam nadzieję, że zastanę tam Arabellę Norton. Nie zamierzałam się z nią dzielić swoimi podejrzeniami, ale postanowiłam działać. Im prędzej poznamy prawdę, tym lepiej.

Kiedy stanęłam na przepięknym skwerze przed domem panny Van Woekem, usłyszałam śmiech i czyjeś głosy. Potem zobaczyłam ruch za zasłonami i domyśliłam się, że w domu przyjmuje się właśnie gości. Niezbyt fortunny czas na wizytę – pomyślałam. Wróciłam w związku z tym do siebie, zjadłam kolację i wcześniej poszłam spać. Noc okazała się spokojna. Nie męczyły mnie żadne dziwne sny.

Rano znów odbyłam podróż do Gramercy Park. Znając już trochę zwyczaje wyższych sfer, uznałam, że Arabella śniadanie je najpewniej o dziewiątej. W związku z tym zaplanowałam wizytę na dziesiątą, mając nadzieję, że wpasuje się między śniadanie a pierwszą wyprawę po zakupy lub do krawcowej. Miałam szczęście. Podalam pokojówce swoją wizytówkę, choć oczywiście dobrze wiedziała, z kim ma do czynienia, i poprosiłam o rozmowę z panną Norton. Po chwili wprowadzono mnie do salonu. Arabella siedziała przy biurku ciotki i pisała list. Na mój widok aż podskoczyła.

– Panno Murphy! Jakież wieści dla mnie?

– Niewyłączone, panno Norton – odparłam. – Choć obawiam się, że nie będą one przyjemne.

– Złe wiadomości? Najgorsze?

– Może się mylę. Miejmy nadzieję.

Podeszła do kanapy.

– Proszę mi wybaczyć brak manier. Zechce pani usiąść. Czy zawołać służącą i poprosić, by podała nam kawę?

Musiałam w duchu przyznać, że kobiety pokroju Arabelli są wyjątkowo dobrze wychowane. Podziękowałam za kawę, bo wiedziałam, że panna Norton pragnie jak najszybciej usłyszeć, co

mam jej do powiedzenia.

– Słyszała pani zapewne o seryjnym mordercy, którego nazywają Rozpruwaczem z East Side?

– Owszem. Ale przecież on poluje na kobiety lekkich obyczajów – odparła Arabella, oblewając się rumieńcem.

– Nie tylko. Niektóre z nich okazały się zwykłymi dziewczynami, które zabójca odpowiednio przebrał – wyjaśniłam, oszczędzając jej szczegółów.

– Ale to nie ma nic wspólnego z Letycją. Ona nie zapuszczała się w podejrzone miejsca, a jej manieri i wygląd nie pozostawiały cienia wątpliwości. Nie można jej było pomylić ze zwykłą dziewczyną.

– Zgodziłabym się z panią pod każdym względem, panno Norton, gdyby nie pewien fakt. Jedna z ofiar ma przepiękne blond włosy. Uznałam, że taki zbieg okoliczności należy szybko zbadać, choć muszę dodać, że również pewna Szwedka zgłosiła zaginięcie swojej siostry. Szwedzi mają na ogół blond włosy, więc ofiarą niekoniecznie jest Letycja.

– Nie rozumiem. – Arabella nie przestawała się dziwić. – Gdzie niby Letycja mogła się zadawać z takimi ludźmi?

– Jeśli o to chodzi, sama pani powiedziała, że razem z matką pomagały w pewnym domu dla imigrantów. Problem w tym, że te dziewczęta coś łączy. Wszystkie były tuż przed zaginięciem na Coney Island.

Arabella zaśmiała się z wyraźną ulgą.

– No to wszystko jasne. Letycja nigdy nie wybrałaby się w takie miejsce. Rozmawialiśmy kiedyś na ten temat i obie stwierdziłyśmy, że rozrywki tego typu w ogóle nas nie interesują.

– Ale miała tam zaplanować pobyt dzieci, którymi się opiekowała w przytułku dla imigrantów. Feralnego dnia pojechała na Coney Island.

– Przecież nie dotarła nawet do Nowego Jorku. Narzeczony czekał na nią godzinami.

– A jeśli pojechała wcześniejszym pociągiem? Może jakimś dziwnym trafem nie spotkali się na stacji i Letycja wyruszyła sama? Pojechała na Coney Island, a tam dopadło ją przeznaczenie...

– Proszę... – Arabella zasłoniła usta dłonią. – To, co pani sugeruje, jest zbyt straszne. Widziała pani ciało? Czy... czy jest jakieś podobieństwo?

– Nie mogę powiedzieć.

Już chciałam dodać coś na temat zmasakrowanej twarzy, ale się powstrzymałam.

– Prawdę mówiąc, nie widziałam ciała. Stchórzyłam. Od jakiegoś czasu spoczywało w ziemi. Tylko włosy mogą nam pomóc w identyfikacji.

– Można w ten sposób ustalić czyjąś tożsamość?

– Jeśli przelaże mi pani trochę włosów Letycji, lekarz zbada próbkę pod mikroskopem.

– Zadziwiające – przyznała Arabella. – Z pewnością rodzina Letycji znajdzie w domu jakieś jej włosy. Może trzymają je w jakimś pudełku, może są na kapeluszu, który kiedyś nosiła, albo po prostu na grzebieniu. Zadzwonię tam zaraz i poproszę, by wysłali przesyłkę pociągiem. Jeśli wszystko się uda, poznam prawdę jeszcze przed wyjazdem.

– Chyba nie chce pani jechać do Europy z tak straszną świadomością – zauważyłam.

– To lepsze niż brak informacji.

Przytaknęłam.

– A co ze sprawą Daniela? – zapytała. – Wciąż mu pani pomaga? Nie wyszedł jeszcze z tego okropnego więzienia?

– Niestety. W sprawie są nawet jakieś postępy, ale nie zmierzają w konkretnym kierunku.

– A wie pani, kto za tym wszystkim stoi?

– Chyba tak – odparłam – ale ta wiedza niewiele mi daje. To komendant policji we własnej osobie. Był świadkiem wręczenia łapówki. Właśnie na podstawie jego zeznań skazują Daniela.

– Jakże ma powody, by tak go nienawidzić?

– Być może jest zamieszany w skandal na wyścigach konnych. Daniel prowadził śledztwo w sprawie otrucia konia.

– Ale to taka błaha rzecz – stwierdziła panna Norton.

– Komendant ma nieposzlakowaną opinię, z której jest bardzo dumny. Może nie chciał, by nawet drobna sprawa położyła się cieniem na jego wizerunku.

– Mógł po prostu odsunąć Daniela od śledztwa i oddać je w ręce mniej kompetentnego oficera.

Musiałam przyznać jej rację.

– Nie wiem – powiedziałam. – Naprawdę nie wiem. Wiem tylko, że czas mija, a ja nie widzę możliwości, by Daniel wyszedł na wolność.

– Dlaczego trzymają go w więzieniu, skoro nawet nie było jeszcze rozprawy? – zapytała Arabella. – Nie znam się na prawie, ale czemu nie mógł wpłacić kaucji?

– W tym cały problem. Ponieważ oskarżono go o powiązania z gangiem, zablokowano mu konto w banku. Nie chce prosić nikogo o pożyczkę, bo boi się, że złe wieści dotrą do ojca, który jest podobno bardzo chory.

– Cóż, najwyraźniej Daniel zachował jeszcze jakieś resztki honoru – zauważyła. – Ale w gruncie rzeczy nie postępuje roztropnie.

– Pewnie nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby ojciec przez niego dostał zawału serca. Do niedawna miałam nadzieję, że uda mu się szybko wyjść na wolność, ale im dłużej to wszystko trwa, tym bardziej... – Ku mojemu przerażeniu z oczu trysnęły mi łzy. Odwróciłam się wprawdzie, ale za późno.

Arabella podeszła do mnie i nieśmiało położyła mi rękę na ramieniu.

– Droga panno Murphy, proszę się nie denerwować. Jestem pewna, że wszystko się dobrze skończy. Prawda musi ujrzeć światło dzienne. Nie zostawią niewinnego człowieka w więzieniu.

– Zostawią – odparłam. – Kto da mi wiarę? Kto przyzna rację Danielowi, a nie tak wszechwładnemu człowiekowi jak komendant?

W tym samym momencie drzwi się otworzyły i do salonu weszła panna Van Woekem.

– Molly Murphy? – powiedziała podniesionym głosem. – Co tu, u licha, robisz?

Zauważyła łzy na moich policzkach, mimo że starałam się je wytrzeć chusteczką.

– Zważywszy na wasze wzajemne relacje, dziwię się, że przychodzisz z wizytą akurat wtedy,

gdy gości u mnie Arabella. Mam nadzieję, że nie rzuciłyście się sobie do gardeł.

– Ależ, ciociu, to wszystko przeszłość – uspokoiła ją Arabella. – Jesteśmy teraz przyjaciółkami. Panna Murphy przyszła tu do mnie w pewnej konkretnej sprawie. Niedawno poprosiłam ją o pomoc.

– A panna Norton pocieszała mnie, kiedy się zdenerwowałam – dorzuciłam.

Ciotka Arabelli patrzyła to na jedną z nas, to na drugą.

– Życie nie przestanie mnie nigdy zadziwiać – powiedziała w końcu. – A o jaką pomoc prosiłaś pannę Murphy, moje dziecko?

– O... – Arabella spojrzała na mnie, szukając wsparcia.

– Panna Norton poprosiła mnie, bym odnalazła jej przyjaciółkę. I chyba mi się udało – oznajmiłam. – A teraz naprawdę muszę już iść. Mam wiele spraw do załatwienia. Zresztą chyba nie tylko ja – dodałam, patrząc na Arabelle. – Proszę wybaczyć mi to najście, panno Van Woekem.

Skloniłam głowę i ruszyłam w stronę wyjścia.

– Zaraz załatwię telefonicznie to, o czym rozmawiałyśmy! – zawołała jeszcze za mną Arabella.

Zamykając drzwi, usłyszałam głos panny Van Woekem:

– Trzeba przyznać, że Irlandczycy są bardzo emocjonalni. O co właściwie chodziło?

W drodze powrotnej postanowiłam odwiedzić panią Goodwin. Wstąpiłam do sklepu i kupiłam trochę winogron. Drzwi otworzyła mi sąsiadka. Najwyraźniej była w swoim żywiole. Dyrgowała zarówno panią Goodwin, jak i pielęgniarką.

– Zrobiłam dla niej leguminę – oznajmiła od progu. – Galaretką z cielęcych nówek się chłodzi, a na żebra zaraz położę kompres.

– Powtarzam jeszcze raz, że kompres na złamane kości nie pomaga – wtrąciła pielęgniarka. – Ale jakbym mówiła do ściany...

Spojrzały na siebie groźnie.

Postanowiłam interweniować.

– Bardzo jestem pani wdzięczna. Co za szczęście, że pani Goodwin ma tak oddaną sąsiadkę! – powiedziałam. – Może pójdzie pani teraz do domu trochę odpocząć... Musi pani być wykończona.

– Owszem, jestem na nogach od bladego świtu – odparła sąsiadka i na szczęście wyszła.

– Dziwna kobieta – mruknęła pielęgniarka. – Przychodzi tu i wydaje rozkazy, jakbym była jej służącą. Biednej pacjentce też nie odpuszcza.

– A jak się ona miewa? – zapytałam.

– Proszę wejść na górę i się przekonać.

Wspięłam się po schodach. Pani Goodwin siedziała w fotelu obok łóżka.

– Tak się cieszę, że widzę panią w lepszej formie! – powiedziałam. – Przyniosłam trochę winogron.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Nie miałam wyjścia. Te dwie nie dają mi spokoju. Musiałam wyzdrowieć.

– Jest pani pewna, że to nie za szybko?

– Cóż... w głowie strasznie mi się kręci, kiedy próbuję wstać. Żebra boją, jakby muł mnie kopnął, ale poza tym nic mi nie jest – oświadczyła pani Goodwin. – Po co marnować czas, leżąc w łóżku? Proszę mi teraz wszystko opowiedzieć. Denerwowałam się, kiedy nie przyszedł wczoraj wieczorem.

– Chciałam załatwić jak najwięcej – odparłam i zrelacjonowałam kolejne wizyty: w kostnicy, a potem u doktora Birnbauma. – Nie chcę niepotrzebnie martwić rodziny Letycji Blackwell, więc postanowiłam zbadać próbki włosów, zanim przełożymy sprawę temu kapitanowi.

– A ja bardzo bym chciała przesłuchać rodziny, zanim wkroczy policja.

– Nie wiem zupełnie, jak to zrobić. Sama mi pani mówiła, że wpakuję się w niezłe kłopoty, jeśli zacznę działać za plecami detekty wów. A pani przecież nie może mi jeszcze pomóc.

– Może jednak mogę...

– Niby jak? Przecież nie wsiądzie pani do tramwaju! I jak sobie pani poradzi w tłumie na ulicy? – zapytałam. – Nie możemy ryzykować.

– Jest pewne wyjście – powiedziała. – Tak się składa, że brat mojego zmarłego męża prowadzi na Brooklynie mały warsztat samochodowy. Ma też własne auto, nigdy go wprawdzie nie widziałam, ale to przecież bezpieczniejsze niż ścisk w tramwaju albo jazda dorożką.

– Ale nie możemy narażać pani zdrowia. Naprawdę uważam, że powinna pani teraz przede wszystkim zadbać o siebie.

– Właśnie to robię – odparła. – Jeśli uda nam się przekazać Paxtonowi wszystko, co wiemy, przełożeni zaczną mnie traktować poważnie. Ważne, żebyśmy zdążyły to zrobić, zanim ci dwaj przemądrzali detektywi coś ustalą. Twoja opinia też w tym nie ucierpi. Wręcz przeciwnie.

Chciałam coś powiedzieć, ale podniosła rękę.

– I szczerze mówiąc, wolę już trochę potrząść się w aucie niż przez cały dzień słuchać tych tam na dole. Pomyślałam, że już dziś mogłybyśmy wybrać się razem na Brooklyn i sprawdzić, czy Bert ma czas i może nas obwieźć po mieście. To jak?

Obrzuciła mnie zadziornym i zdecydowanym spojrzeniem.

– Dobrze. Umowa stoi.

Muszę przyznać, że wprost nie mogłam się doczekać, kiedy porozmawiamy z rodzinami dziewcząt. Być może powiedzą nam coś, co pozwoli zidentyfikować tego potwora. Ale... czy przypadkiem nie wyciągam pochopnych wniosków? Może Rozpruwacz napadał na dziewczyny, zanim dotarły tam, dołąd miały dotrzeć. Po prostu gdzieś po drodze wciągał je do powozu. W takim przypadku nie ma szans, by go znaleźć, chyba że następnym razem zrobi to przy świadkach.

Arabella Norton rzeczywiście się pospieszyła. Parę godzin po naszej rozmowie doręczono przesyłkę pod mój adres. Zawierała srebrne puzderko, a w nim był pukiel jasnych włosów. Zniosłam go od razu do Birnbauma i poprosiłam, by jak najszybciej zbadał obydwie próbki.

Miałam przecucie, że wkrótce poznam prawdę. Jeśli intuicja mnie nie myli, ściśnie mi się serce. Nie odczuję żadnej ulgi. To, co mnie czekało, było nie do pozazdroszczenia. Położyłam się na chwilę i zaczęłam rozmyślać, czemu to wszystko robię. Nie pracuję przecież dla policji i nie muszę nikomu nic udowadniać. Poza tym jakie to może mieć znaczenie dla sprawy Daniela? Ale wiedziałam, że pani Goodwin na mnie liczy. W sytuacji, w jakiej się znalazła, potrzebuje mnie bardziej niż dotychczas. Bo o swojej obecnej sytuacji wołałam nawet nie myśleć.

Kiedy po wyjściu od doktora Birnbauma dotarłam pod drzwi pani Goodwin, czekała już na nas dorożka.

– Stwierdziłam, że nie mogę ryzykować i jechać tramwajem przez most Brooklyński – powiedziała.

– Dorożka będzie kosztowała majątek – zaniepokoiłam się.

– Rachunek przedstawię swoim przełożonym razem z wynikami naszego śledztwa. – Uśmiechnęła się chytrze. – Kiedy zobaczą, co osiągnęłyśmy, nie będą mieli śmiałości mi odmówić. Koledzy mają dostęp do służbowych pojazdów. Ja nie.

– Racja – odparłam.

Ta kobieta nie przestaje mnie zadziwiać – pomyślałam. Powinna się od niej uczyć.

Razem z woźnicą pomogliśmy pani Goodwin umościć się na poduszkach, którymi wyłożyliśmy tylne siedzenie. Na moście Brooklyńskim było dość tłoczno, najwyraźniej wszyscy, korzystając z tego, że w sobotę szło się do pracy tylko na pół dnia, uciekali z miasta przed upałem.

Pewnie jadą na plażę Coney Island – pomyślałam, zastanawiając się, kiedy pani Goodwin będzie w stanie wybrać się tam ze mną. Nie chciałam jechać sama.

Skęciliśmy na Brooklyn. Powóz zatrzymał się w uliczce, przy której stały drewniane domki, a w nich funkcjonowało mnóstwo jakichś warsztatów i pracowni. Dom szwagra pani Goodwin był na samym końcu. Przed wejściem widniał imponujący napis: U GOODWINA. CZĘŚCI ZAMIENNE, NAPRAWA POJAZDÓW.

Zapukałyśmy. W drzwiach stanął szwagier Sabelli – potężny, rumiany mężczyzna z dłońmi i jak bochny chleba, ubrany jedynie w podkoszulek, spod którego prześwitywała owłosiona klatka piersiowa.

– Sabella! Cóż za niespodzianka! Proszę, wejdź. Marge się ucieszy. – Podszedł do pani Goodwin i chciał ją uściskać, ale ta szybko go powstrzymała.

– Przyszedłam poprosić cię o przysługę, Bert – oznajmiła. – I pozwól, że przedstawię swoją asystentkę i młodszą przyjaciółkę, pannę Murphy. Molly, to jest Albert Goodwin.

– Miło mi panią poznać. – Ucisnęła mi dłoń, wyraźnie onieśmielony formalnościami. – Wejdźcie, proszę. W czym mogę wam pomóc, Bello?

Pani Goodwin opowiedziała pokrótce o swoim wypadku, a potem, czekając, aż Bert wyszykuje samochód do drogi, wypiliśmy kawę w przytulnej kuchni. Pojazd nie przypominał aut, którymi wcześniej jeździłam. Szczerze mówiąc, wyglądał trochę tak, jakby pan Goodwin skłecił go sam w domu. Po prostu pudełko na czterech kołach. Bert parę razy musiał zakręcić korbą. W końcu silnik zaskoczył, prychnął i zaczął miarowo terkotać. Usiadłam z tyłu, a Sabella obok szwagra. Mimo że podróżowało się wygodniej niż dorożką, z miny pani Goodwin można było wywnioskować, że nie czuje się najlepiej. Oczywiście nie pisnęła ani słowa.

Pierwszy adres był na szczęście niedaleko, w bocznej uliczce odchodzącej od Flushing Avenue. Jak tylko się zatrzymaliśmy, zauważyłam, że jesteśmy we włoskiej dzielnicy – zapachy, dźwięki, cała ta intensywność życia, tak charakterystyczna dla Włochów, była tutaj bardzo odczuwalna. Włosi nie mówią – oni krzyczą, śmieją się i kłócą, a wszystko to z błyszczącymi oczami i niesłychaną gestykulacją. Działka bawiła się i hałasowała, a uliczny grajek pięknie i czysto śpiewał włoską piosenkę, która od razu wpadła mi w ucho. Nasze auto wzbudziło spore zainteresowanie. Gromadka maluchów przerwała zabawę i natychmiast nas otoczyła. Bert wychylił się i rozpedził dzieciarnię, zanim któreś zdążyło uszkodzić jego cenną zabawkę albo poparzyć się o rozgrzaną blachę.

Zapytaliśmy o dom państwa Rosettich i tłumek czarnych rozczochańców zaprowadził nas pod właściwe drzwi. Mężczyzna, który je otworzył, wyglądał, jakby nie przespał kilku nocy. Pani Goodwin pokazała mu swoją odznakę i zostałyśmy zaproszone do środka. Z kuchni wyjrzała tęga kobieta ubrana od stóp do głów na czarno.

– Te panie są z policji, *mamma* – wyjaśnił Rosetti łamaną angielszczyzną.

– Mają dla mnie jakieś wieści od mojej Rosy? – zapytała kobieta.

– Obawiam się, że jeszcze nie – odpowiedziała pani Goodwin. – Ale chciałybyśmy zadać pani córkom parę pytań, żeby sprawdzić, czy może zapamiętały coś ważnego.

– *Bene*. – Mężczyzna kiwnął głową. – Młodsze dziewczynki są w domu, a Lucia powinna zaraz wrócić z fabryki. Gina! Sophia! *Mamma*, zawołaj swoje córki!

Kobieta na moment zniknęła i wkrótce do pokoju wbiegły dwa podlotki.

– O co chodzi, *papà*? – zapytały, patrząc na nas nieśmiało.

– Panie mają pytania dotyczące Rosy – odparł ojciec. – Odpowiadajcie grzecznie. Powiedźcie wszystko, co pamiętacie.

– Nic nie wiemy, *papà*. Już ci to mówiłyśmy – odparła starsza dziewczynka. – Gdybyśmy mogły pomóc odnaleźć Rosę, na pewno byśmy to zrobiły.

Pani Goodwin wyciągnęła list i zwróciła się do ojca.

– Podobno tego dnia poszła do fabryki i już nie wróciła do domu...

– Pracowała razem z siostrą, ale Lucia została jeszcze w fabryce po pracy. Próbuje stworzyć związek zawodowy. Lucia jest taka... – Przerwał i uderzył się w pierś. – Moja Lucia. Silna. Ma ikrę i ogromne serce.

– Czy ktoś widział, jak Rosa wychodziła z pracy?

– Jedna z koleżanek mówiła, że Rosa się spieszyła i wyglądała na podekscytowaną, ale nikomu nie powiedziała, dokąd idzie.

– Czy miała narzeczonego?

– Narzeczonego?! – Mężczyzna aż krzyknął. – Przecież to dopiero szesnastolatka! Żadnych chłopców. Za młoda! Tak jej mówiliśmy. W odpowiednim czasie znajdziemy jej milego Włocha.

Spojrzał na stojącą w drzwiach żonę, a ta pokiwała głową.

Sabella zerknęła na mnie, a potem powiedziała:

– Panie Rosetti, bardzo chciałybyśmy porozmawiać z pańskimi córkami na osobności, bez pana i pańskiej żony. Może dziewczynki są zbyt nieśmiałe, by zdradzić tajemnicę, którą Rosa im powierzyła. Może chciała coś przed państwem ukryć.

– Rosa o wszystkim mówiła mamie i tacie – zaproponował Rosetti zdenerwowanym głosem.

– Czasem nawet najlepsze córki nie mówią o wszystkim rodzicom – wtrąciłam cicho. – Przecież zależy państwu, by się dowiedzieć, co przydarzyło się Rosie, prawda?

– Mam sobie pójść? – zapytał.

– Skoro to pomoże... – zasugerowała pani Goodwin.

– *Bene*. – Demonstracyjnie wzruszył ramionami. – Byleby tylko Rosa wróciła do domu. Chodź, *mamma*.

Drzwi się za nimi zamknęły.

– Dobrze, dziewczęta – zaczęła pani Goodwin. – Musimy wiedzieć, czy siostra powiedziała wam cokolwiek, czego nie chciała zdradzić rodzicom. Czy miała jakiegoś wielbiciele? Planowała spotkanie z jakimś chłopcem?

– Nie, *signora* – odparła starsza dziewczynka. – Nigdy by tego nie zrobiła. *Papà* nam nie pozwala. Kiedy gdzieś idziemy bez rodziców, to zawsze razem i zawsze pilnujemy się nawzajem.

– Tak jak na tej fotografii? – Pani Goodwin wyjęła zdjęcie.

Uśmiechnęły się.

– Tak, *signora*.

– Czy zostało zrobione na Coney Island? – spytałam.

– Oczywiście. – Rozjaśniły się na samo wspomnienie wycieczki.

– Często tam jeździecie?

– Kiedy są pieniądze. Podróż kosztuje tylko centa, a mama pakuje nam jedzenie, więc nic nie musimy kupować na miejscu. Czasami Lucia funduje wszystkim wesołe miasteczko albo jakieś przedstawienie, a czasem tylko spacerujemy i przyglądamy się ludziom.

– Czy podczas którejś z wycieczek Rosa spotkała jakiegoś chłopca?

– Nie, nigdy – zaprzeczyła starsza z sióstr.

– Ale przecież dostała ten liścik – wtrąciła młodsza.

– Jaki liścik? – szybko podchwyciła pani Goodwin.

Młodsza dziewczynka popatrzyła na starszą lekko przestraszonym wzrokiem i wyjaśniła odważnie:

– Ostatnim razem Rosa się śmiała i powiedziała nam, że jakiś chłopak wsunął jej liścik do kieszeni. Było tam napisane, że mu się podoba i że chciałyby się z nią spotkać.

– Widziałyście tego chłopca?

– Nie, i Rosa też go nie zauważyła. Po prostu znalazła liścik w kieszeni. Tam można to zrobić bez problemu. Jest zawsze taki tłum, że aż trudno się idzie.

– A gdzie to dokładnie było? – zapytałam.

– Na Bowery. Wiecie gdzie? Taka ulica przecinająca stragany. Lucia zarobiła trochę więcej i nas zaprosiła. Powiedziała, że możemy sobie wybrać, co chcemy. Poszłyśmy do teatru osobliwości, bo nigdy tego nie widziałyśmy. Ale tam było fajnie!

– Potem Rosa powiedziała, że chce jeszcze odwiedzić pawilon egipski, bo tam może porwie ją jakiś szejka i zabierze do swojego harem. Śmiałyśmy się z tego. Rosa czasem bywała niegrzeczna, mówiła dziwne rzeczy. Była tam pani kiedyś? Widziałyśmy prawdziwe wielbłądy, tancerki brzucha i połykaczy ognia. To fantastyczne miejsce. Zupełnie nie z tej ziemi.

– Czy zatrzymała ten liścik? Macie go może? – zapytała pani Goodwin.

– Nie! Lucia kazała jej zapomnieć o spotkaniu i wyrzucić karteczkę. Rosa powiedziała, że siostra wszystkim psuje zabawę, że nigdy żaden chłopak nie napisał jej nic miłego, więc Lucia wyrwała Rosie ten liścik, zgnoićła go i sama wrzuciła do śmietnika. „Wiesz, co by na to powiedział *papà*, prawda?”, zapytała.

– I już potem ten chłopak się nie odezwał?

– Nie. Musiałyśmy wracać do domu. Lucia była wściekła na Rosę.

– Na jak długo przed zniknięciem to wszystko się wydarzyło?

Dziewczynki zmarszczyły czoło.

– Cztery dni. To była niedziela.

Pani Goodwin wstała.

– Poproszę waszego ojca, żeby pozwolił mi przejrzeć jej rzeczy. Może miała jakiś schowek na listy i pamiątki.

Dziewczynki popatrzyły po sobie i roześmiały się.

– Mamę jedną szufladę na cztery – powiedziała młodsza. – Nie mamy miejsca na sekrety.

– Mimo wszystko chciałabym tam zajrzeć – nie poddawała się Sabella.

Pan Rosetti zaprowadził nas na górę i ostrożnie weszliśmy do pokoju. Każda z sióstr miała po jednej zmianie ubrań, kilka par dobrze pocerowanych pończoch, modlitewnik, różaniec i jakiś skarb – jedwabną chusteczkę do nosa albo tanią broszkę.

– Proszę mi powiedzieć, panie Rosetti – zaczęła ostrożnie Sabella. – Czy Rosa ma jakieś znaki szczególne, które pomogłyby w identyfikacji? Może jakiś pieprzyk albo bliznę? Coś, co ją wyróżnia.

Zmienił się na twarzy.

– Myślicie, że stało się jej coś złego?

– Nie wiemy, pytam na wszelki wypadek

– Nie – odpowiedział. – Nie ma znaków szczególnych. Jest doskonała. Piękna i pełna życia. Wszyscy kochają Rosę.

W tej samej chwili wpadła do domu Lucia, najstarsza z sióstr.

– Są jakieś wieści od Rosy? – zapytała, patrząc na nas z nadzieją.

– Jeszcze nie – odparła pani Goodwin. – Uważamy, że jej zniknięcie ma coś wspólnego z zaginięciem kilku innych dziewcząt. Słyszałyśmy, że podczas wycieczki na Coney Island siostra dostała bilecik od jakiegoś młodzieńca.

– O to chodzi? – Lucia pokręciła głową. – To zwykłe zaczepki. Zawsze zdarzają się w takich miejscach. Chłopcy zaczepiają dziewczyny. Już tacy są. Nieważne. Kazałam Rosie wyrzucić ten liścik

– Więc nie sądzisz, że mogła potem wrócić i pójść na spotkanie?

– Niby jak? Sama zniszczyłam ten liścik. Wrzuciłam do śmieci.

– Może zapamiętała najważniejsze fragmenty – zasugerowała pani Goodwin.

– Nie sądzę – odparła Lucia przerażonym tonem. – To znaczy... Nie wiem, jak dokładnie go przeczytała.

Po chwili energicznie pokręciła głową.

– Nie, nie zrobiłaby tego. Przecież wiedziała, jak by to potraktował *papà*. W żadnym razie by tak nie postąpiła.

Odniosłam jednak wrażenie, że Lucia wcale nie była tego taka pewna. Rosa, ta radosna Rosa, niegrzeczna dziewczynka, mogła jednak sprzeciwić się tatusiowi.

Cała rodzina odprowadziła nas do wyjścia. Pan Rosetti uściśnął nam dłonie.

– Dziękujemy z całego serca, że szukacie naszej córki – powiedział. – Będziemy dozgonnie wdzięczni, jeśli dzięki wam znów powitamy ją w domu.

Wracając do Berta, który nieopodal pilnował auta, prawie się uśmiechałyśmy.

– Przynajmniej wiemy, że dostała od kogoś liścik na Coney Island – stwierdziłam, kiedy Bert uruchomił samochód i ruszyliśmy, odstrasząc klaksonem ciekawskie dzieci. Po chwili wjechaliśmy na Flushing Avenue. – Dwie zaginione dziewczyny otrzymały bilecik od jakiegoś chłopca. Pisał, że bardzo mu się podobają. Czy zasugerował miejsce i czas spotkania? Tego nie wiemy.

– To prawda – powiedziała Sabella Goodwin. – Może za chwilę się okaże.

Dzień zrobił się nagle bardzo gorący, a słońce padało wprost na przednie siedzenia, więc przeniosłam się do tyłu i usiadłam na zwykłej kanapie, takiej jak w starym powozie.

– Szłoda, że nie pomyślałyśmy o parasolce – zauważyła pani Goodwin. Wyglądała na zgrzaną i umęczoną. Pewnie bolał ją bok

Zaproponowałam przystanek na coś zimnego – napój albo lody, ale odmówiła.

– Nie, praca czeka – powiedziała i zdałam sobie wtedy sprawę, że nie chodzi jej o wygody, tylko o kolejną trudną rozmowę z rodziną, która zmartwi się, słysząc złe wieści.

Pojechaliśmy na północ Pięćdziesiąt Ósmą aż do Queens. Państwo Lindquistowie mieli mieszkanie nad piekarnią, więc dookoła unosił się przyjemny aromat świeżego pieczywa. Weszliśmy po schodach na tyłach budynku. Drzwi otworzyła nam młoda kobieta o okrągłej twarzy, niebieskich oczach i jasnych włosach.

– Czy nazywasz się może Krissy Lindquist? – zapytała pani Goodwin.

– Tak – odparła dziewczyna, wyraźnie zaniepokojona.

– Napisałaś do mnie list w związku z zaginięciem siostry.

– Coś już wiecie?

– Jeszcze nie. Chciałabym ci jednak zadać parę pytań – odparła pani Goodwin. – Czy możemy teraz porozmawiać?

Dziewczyna nerwowo zerknęła za siebie, a potem zamknęła drzwi.

– Zejdźmy na dół – poprosiła. – Na ulicy będzie bezpieczniej.

Stanęłyśmy pod markizą piekarni.

– Posłuchaj, Krissy – zaczęła pani Goodwin. – Napisałaś, że twoja siostra dostała jakiś liścik. Widziałas go może?

– Nie. I podejrzewam, że go sobie wymyśliła. Czasem mija się z prawdą.

Dziewczyna mówiła z wyraźnym obcym akcentem, choć w charakterystyczny dla nowojorkczyków sposób.

– A opowiedziała ci może o chłopcu, z którym miała zamiar się spotkać?

– Nie. Też nie. Zadałam jej parę pytań, ale była bardzo tajemnicza. I zadowolona z siebie, bo do mnie nigdy żaden chłopiec nie napisał, a jestem od niej starsza.

– Czy byliście może niedawno na Coney Island?

– Nie. To znaczy tylko ona. Miałyśmy jechać razem, ale ja się rozchorowałam. Mówiła, że tam jest wspaniale. Jak w krainie marzeń. Przykro mi było, że nie mogłam pojechać, więc nie zadawałam jej zbyt wielu pytań.

– Sądziś, że to właśnie tam kogoś poznała?

Krissy pokręciła głową.

– Nie wiem. Mogła poznać gdziekolwiek, ale na Coney Island łatwo jest się umówić na potajemną schadzkę. Tyle tam ludzi, prawda? To prawie tak, jakby się było niewidzialnym. Nikt nie doniesie ojcu.

– Czy masz może zdjęcie Denise?

Spojrzała w górę.

– Proszę poczekać. Przyniosę.

Po chwili zbiegła zdyszana. Wręczyła nam fotografię, portret z pewnością zrobiony u fotografa. Przedstawiał śliczną, pulchną nastolatkę z włosami dziwnie zebrany mi z boku. Od razu zwróciłam uwagę, że jest brunetką. Pomyślałam też, że dziewczyna w kostnicy była o wiele drobniejsza.

– To nie ona – powiedziałam bez namysłu.

– Kogoś znaleźliście? – zapytała Krissy.

– Tak, ciao – odparła szybko pani Goodwin. – Ale to nie twoja siostra.

– Czyli jest jeszcze nadzieja – stwierdziła Krissy, składając ręce jak do modlitwy. – Proszę posłuchać. Ona nigdy nie uciekłaby tak po prostu, zostawiając mnie, mamę i tatę w niepewności. Była dobrą córką i dobrą siostrą. Więc myślałam, że stało się coś naprawdę złego. Czyta się o tym przecież w gazetach. Różne złe rzeczy przytrafiają się dziewczętom.

Pani Goodwin położyła jej dłoń na ramieniu.

– Nie mogę zagwarantować, że twojej siostrze nic się nie stało, Krissy. Muszę cię jeszcze o coś zapytać. Czy twoja siostra miała jakieś znaki szczególne na ciele?

Krissy patrzyła na nas zdziwiona, więc pani Goodwin uściśliła:

– Coś, dzięki czemu można ją rozpoznać. Pieprzyk? Złamany ząb? Blizna?

– Cóż. Straciła kiedyś opuszkę palca. Jak była mała, drzwi powozu przytrzasnęły jej palec. – Uniosła prawą rękę.

– Dziękuję. To nam bardzo pomoże – powiedziała pani Goodwin. – Czy możemy zabrać tę fotografię?

– Jeśli mi ją potem oddacie. To wszystko, co teraz mam. Rodzice nawet nie wypowiadają jej imienia. I nie chcą mnie słuchać.

W tym samym momencie rozległy się głośne kroki na betonowych schodach i po chwili naszym oczom ukazał się potężny blondyn. Miał czerwone szelki i podwinięte rękawy koszuli.

– Co tu się dzieje?! – wybuchnął i natychmiast przeszedł na szwedzki.

Córka odpowiedziała mu, co rusz spoglądając na nas z niepokojem.

– Idźcie sobie – nakazał groźnie. – Powiedz im, Krissy, że mają sobie pójść. – I znów dodał coś po szwedzku.

Krissy spojrzała na niego błagalnie.

– Ależ tato...

– Powiedz im! – wrzasnął mężczyzna.

– Mówi, że nie chce swojej córki widzieć na oczy, nawet jeśli ją znajdziecie. Nie chce jej znać. Nie jest dobrą córką, dała się wykorzystać... – Po policzku Krissy spłynęła łza. – Ale nie wierzcie mu, proszę. Szukajcie jej, ja was błagam.

– Nie martw się, dziecko. – Pani Goodwin uśmiechnęła się do Krissy. – Zrobimy co w naszej mocy. Zapewniam cię.

Odeszliśmy, czując na sobie wściekły wzrok pana Lindquista, który stał z rękami opartymi na biodrach.

– Obawiam się, że wkrótce w tych dwóch rodzinach zapanuje żaloba – powiedziała pani Goodwin, gdy samochód ruszył i poczułyśmy na twarzy gorący wiatr.

Kiedy wróciliśmy do domu Berta, jego żona zaproponowała, żebyśmy zjadły z nimi kolację.

– Macie szczęście, że przyszyście dziś, a nie jutro – powiedziała, zbierając talerze ze stołu. – Nie pomógłby wam wcale. Cały dzień będzie polerował i przygotowywał to głupie auto do podróży na Coney Island.

– Na Coney Island? Chcą państwo spędzić dzień na plaży? – zapytałam szybko, starając się nie okazać zbytnej ekscytacji.

Bert się roześmiał.

– Nie znoszę tego miejsca. Ani tłumów. Ale uwielbiam boksy, a jutro wieczorem będzie walka. Połowa Nowego Jorku się wybiera. Zamierzam wyjechać wcześniej, żeby zająć dobre miejsce.

– Cała sala głupców patrzy, jak dwóch idiotów się bije – mruknęła do nas Marge. – Ja się na pewno nigdzie nie wybieram. Za żadne skarby świata.

– To nie jest miejsce dla kobiet – odparł Bert. – Ale mężczyźni potrzebują takich rozrywek. Jakiego głupiego prawda chciało ich zabronić – dodał i popatrzył na bratową. – Twój mąż był pod tym względem taki jak ja. Nic nie sprawiało mu większej przyjemności niż widok porządnej walki.

– Wiem. I mnie się to też udzieliło – powiedziała niespodziewanie pani Goodwin. – Szczerze mówiąc, chętnie bym tam z tobą jutro pojechała.

Bert się zaśmiał.

– Nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać, Bello. Poobijasz się strasznie w tłumie. Jedź, jeśli chcesz, ale ostrzegam, że nie będzie przyjemnie.

– Czy to aby rozsądne? – szepnęłam. – Przecież musi pani na siebie uważać.

– Takiej okazji nie możemy przepuścić – powiedziała cicho. – Z Bertem będziemy chyba

bezpieczne – dodała już głośniej.

– Chyba? Z całą pewnością. Na walkę jedzie połowa departamentu policji nowojorskiej – zauważył Bert.

– Żeby jej zakazać? – spytałam.

Odchylił głowę do tyłu i głośno się roześmiał.

– Zakazać? Raczej robić zakłady. Policjanci uwielbiają walkę wręcz. Mam rację, Bello, prawda?

– Owszem – odparła pani Goodwin. – Pewnie rzeczywiście wszyscy tam pojadą. Whitey na pewno by do nas dołączył.

– Ale panią chyba zostanie w Nowym Jorku, co? – zwrócił się do mnie Bert.

Jego żona spojrzała na mnie jak na sprzymierzeńca.

– Może zostać ze mną i dotrzytać mi towarzystwa – zaproponowała.

– O nie! Bardzo lubię boks. W Irlandii chodziłam z braćmi na wszystkie walki.

– No i masz ci los! – jęknął Bert. – Słyszałaś, Marge? Ale ostrzegam was obie. Jeśli zdecydujecie się ze mną jechać, proszę nie błagać mnie po pięciu minutach, żebym was zawiózł z powrotem do domu. Nie ruszę się stamtąd, dopóki walka się nie skończy. Choćby trwała całą noc.

– Nawet by nam to nie przyszło do głowy – zapewniłam.

– W takim razie czekam tu na was jutro o szóstej. Impreza zaczyna się o wpół do dziewiątej, ale lepiej wyjechać wcześniej.

– Bardzo ci dziękujemy, Bert – powiedziała pani Goodwin.

– Skoro tak, to może zostanieie u nas na noc. Po co wracać do miasta? – zaproponowała Marge Goodwin. – Tak dawno nie rozmawiałyśmy, Bello. Przygotuję na kolację dobre włoskie spaghetti.

– To miło z twojej strony – odparła pani Goodwin. – Przyjmujemy zaproszenie, prawda, Molly?

Nie mogłam odmówić.

– Bardzo nam miło – dodałam ze swej strony.

Kiedy wieczorem byliśmy już same w pokoju gościnnym na piętrze, nie omieszkłam poruszyć trudnego tematu.

– Czy pani wie, co robi? Przecież wciąż powinna pani leżeć w łóżku. Nawet dzisiejsza krótkła przejażdżka nie była dla pani łatwa. Widziałam.

– W policji trzeba być twardym. Kiedy nam się trafi kolejna taka okazja? Poza tym jedziemy z Bertem, a gdyby groziło nam jakieś niebezpieczeństwo, na miejscu będzie połowa policji z Nowego Jorku.

– No i właśnie tego nie rozumiem – zauważyłam. – Myślałam, że jednym z powodów, dla których Daniel został aresztowany, jest organizowanie nielegalnej walki. A teraz słyszę, że większość jego kolegów będzie uczestniczyć w tym wydarzeniu.

– Oficjalnie walka jest nielegalna, więc to dobry pretekst, żeby kogoś aresztować – odparła. –

Ale jutro nikt jej nie zakáže. Jestem pewna. Tu idzie o pieniądze.

– Czyli zakłady to istotna część całej tej zabawy, tak?

– Oczywiście. Większości nie chodzi o samą walkę, ale o postawienie dużych pieniędzy na konkretnego zawodnika. A jeśli przegra, to niech lepiej ucieka gdzie pieprz rośnie.

Pomyślałam o Dżentelmenie Jacku i zastanowiłam się, ile razy musiał skądś szybko uciekać. Dla niego jutrzejszy dzień też będzie ważny. Tak jak dla nas wszystkich.

Spędziliśmy razem miły niedzielny poranek. Bert i Marge poszli do kościoła, ale pani Goodwin usprawiedliwiła i siebie, i mnie. Powiedziała, że ciężko jej będzie wysiedzieć na twardej ławce. Pomyślałam, że trochę słaba ta wymówka, skoro wieczorem idziemy na walkę bokserską, ale nikt poza mną nie zwrócił na to uwagi.

– Zabierzmy się teraz za strategię – powiedziała Sabella, kiedy tylko znalazłyśmy się same w domu. – Co chcemy zrobić na Coney Island?

– Na pewno musimy porozmawiać z alfonsem tej prostytutki, której ciało znaleziono przy promenadzie – stwierdziłam. – I z jej koleżankami. Może choć jedna z nich opíše mężczyznę, z którym widziano tamtą po raz ostatni.

– A oprócz tego?

– Nie jestem pewna – odparłam. – Skoro aż dwie dziewczyny otrzymały liścik z propozycją spotkania, może powinnam pojawić się tam sama, bez towarzystwa... Pani i Bert będziecie obserwować sytuację z bezpiecznej odległości.

– Chcesz być przynęty?

– Coś w tym rodzaju. Ale nic mi się nie stanie.

– Coney Island jest dużą wyspą – zauważyła pani Goodwin. – To ryzykowne.

– Ale może się opłacać. Jeśli zabójca nie chwyci przynęty, podzielimy się naszymi przemyśleniami z kapitanem Paxtonem.

Pokiwała głową.

– Wtedy on rozwiąże zagadkę i zbierze pochwały, a ja znów wrócę do pracy w więzieniu dla kobiet i w nagrodę będę tam łapała pchły.

Wczesnym wieczorem, kiedy świat kąpał się w różowych promieniach słońca, Bert wyprowadził samochód z warsztatu. Tak jak przewidywała Marge, wypolerował auto na wysoki połysk. Zakręcił korbą i odjechaliśmy.

– Czy walka odbędzie się jak zwykle w klubie sportowym? – zapytała Bella.

– Masz na myśli Norton's Point? – Bert pokręcił głową. – To nie jest miejsce na tego typu imprezy. Zbyt oczywiste. Natychmiast by je zamknęli.

– Ale przecież na widowni będzie prawie cała policja – stwierdziłam.

– Nieoficjalnie. Dlatego lokalizacja jest tajemnicą.

– A pan ją zna? – spytałam.

– Owszem, znam – odparł Bert z uśmiechem.

Ulice Brooklynu były zatłoczone. W niedzielę wieczorem mieszkańcy korzystali z wolnego

czasu. Wlekleśmy się, omijając budki z lodami i grające na chodnikach dzieci. Nie ujechaliliśmy nawet połowy drogi, kiedy rozległ się huk, samochodem zatrzęsło i po chwili nasz pojazd stanął.

– Cholera – zaklął Bert. – Co tym razem? Pasek klinowy poszedł? Gdzie ja w niedzielę wieczorem znajdę nowy?

Wokół nas zebrał się tłum. Młodzieńcy kręcili głowami i dawali dobre rady. Nie znam się w ogóle na samochodach, więc trudno mi było ocenić, czy mówią do rzeczy. W końcu ktoś stwierdził, że zna człowieka, który ma samochód i może użyć potrzebnych części. Bert oddalił się, a my zostałyśmy, w pełni świadome zawieszonych na nas ciekawskich spojrzeń. Niektórzy mężczyźni mieli nawet ochotę na flirt, ale mina pani Goodwin szybko ostudziła ich zapalę. Bert wrócił zaczerwiony ze zmęczenia, w przepoconej koszuli, dźwigając zapasowe części i narzędzia. Szczęśliwie naprawił samochód i ruszyliśmy w dalszą drogę. Ponieważ zrobiło się ciemno, posuwaliśmy się w ślimaczym tempie, bo niektóre ulice były bardzo słabo oświetlone. W końcu ujrzelśmy przed sobą światła, a na ich tle ogromny zarys koła i karuzeli. Dotarliśmy na Coney Island. Bert zostawił samochód przy najbliższych zabudowaniach, płacąc za opiekę nad nim kóremuś z miejscowych. Pani Goodwin, wysiadając, skrzywiła się z bólu.

– To chyba nie był dobry pomysł – zauważyłam.

– Nigdy nie grzeszyłam rozumem – odparła szybko. – Gdybym była mądrzejsza, pewnie wyszłabym za urzędnika bankowego i zajmowałabym się teraz domem. Wyrosłam, niestety, w przekonaniu, że są ciekawsze rzeczy na świecie.

– Pod tym względem jesteście do siebie podobne – stwierdziłam. – Może jednak postaramy się unikać tłumów i nie będziemy daleko chodzić?

– Przeżyję. Bardziej zależy mi na tym, by wreszcie zakończyć sprawę.

Bert wziął ją pod rękę i zaprowadził nas w stronę Surf Avenue. Szliśmy pod prąd, ponieważ większość ludzi wracała właśnie z plaży, kierując się w stronę dworca. Im bardziej zbliżaliśmy się do centrum, tym więcej otaczało nas dźwięków – lira, bębny, krzyki i śpiew. Noc rozjaśniały światła elektryczne i przy skromniejszych straganach lampy naftowe.

Bert Goodwin wyciągnął z kieszeni zegarek

– Szlag! Jesteśmy spóźnieni przez ten cholerny pasek – powiedział i przyspieszył kroku. – Tędy.

Zauważyłam, że prowadzi nas na Bowery. Odwiedziłam to miejsce tylko raz, w dzień, kiedy było jasno. Teraz nie dało się tu wytrzymać. Ze wszystkich stron słychać było wołania naganiaczy, z parkietów tanecznych dobiegała muzyka, a z beczki śmiechu – dziwny, metaliczny rechot. Bert prowadził nas dalej, więc nawet nie miałam chwili, by wszystkim się przyjrzeć.

– To tutaj – powiedział w końcu, zatrzymując się przed wejściem do jednego z budynków. Nazwa głosiła: U GOSPODARZA. KASYNO I POTANÓWKI.

Mężczyzna przy drzwiach zignorował Berta, a nam się ukłonił.

– Panie na tańce?

– Tańce? Myślałam, że to tutaj odbywa się walka – powiedziała pani Goodwin.

– Walka? Jaka walka? – spytał niewinnie. – Przecież w Nowym Jorku nie wolno organizować takich rzeczy. Nie wiedzą państwo? Jeśli jednak szanowny pan zmęczy się wygibasami, niewykluczone, że znajdzie się coś ciekawszego...

Mówiąc to, wyraźnie mrugnął w naszą stronę i zrozumieliliśmy, co ma na myśli. Oficjalnie nie mógł zapraszać nikogo na walkę.

– W takim razie poprosimy trzy bilety na te wasze tańce – powiedział Bert i zapłacił również za nas.

Weszliśmy do skromnej sali. Jedyłą ozdobę stanowił elegancki żyrandol, który świecił tysiącem małych żarówek elektrycznych. Środek był pusty, ale przy ścianie stał rząd foteli obitych czerwonym aksamitem i gdzieś stolik ze świeczką. Na podeście w rogu zespół muzyczny przygrywał skoczną melodię, a jakaś para tańczyła w rytm muzyki. Kilka kobiet siedziało w fotelach, energicznie machając wachlarzami. W pomieszczeniu panowała straszna duchota, choć w gruncie rzeczy prawie nikogo tu nie było. Z sali gdzieś na tyłach dochodziły jednak wyraźne hałasy, które prawie zagłuszały orkiestrę. Bert zaciągnął nas w tamtą stronę. Przeszliśmy ciemnym korytarzem i znaleźliśmy się w znacznie większym pomieszczeniu, które było wypełnione po brzegi i wprost huczało od męskich wrzasków i gwizdów. To prawdziwe pole bitwy – pomyślałam, stojąc w progu i bojąc się wejść dalej. Przed sobą widziałam tylko plecy i głowy. Niektórzy mężczyźni nie zdjęli nawet kapeluszy, więc widoczność była nie najlepsza. Pomalutką ruszyliśmy przed siebie. W pewnym momencie tłum trochę się przerzedził i mogłam zobaczyć, co się dzieje na środku. Stała tam platforma otoczona linami i rzędem krzeseł, które wszystkie były teraz zajęte. Za krzesłami ciasno ustawił się tłum. Nad ringiem zawieszono kilka dużych lamp elektrycznych, przez co w pomieszczeniu było gorąco jak w łaźni tureckiej.

W pewnej chwili tłum znów głośno wrzasnął, a ja miałam wreszcie okazję przyjrzeć się walce. Dwaj rośli mężczyźni wymachiwali rękami, tańcząc przy tym na lekko ugiętych nogach. Byli rozebrani od pasa w górę, a na szerokich torsach widniały ślady krwi. Nagle jeden z nich zadał przeciwnikowi szybki cios i tłum zawył w ekstazie. Uderzony odchylił gwałtownie głowę i osunął się na liny. Krew trysnęła mu z twarzy, ochlapując widzów w pierwszym rzędzie. Dopiero po chwili rozpoznałam w tym bokserze Dżentelmena Jacka. Miał opuchnięte oko i nos przyominający krwawą masę.

– Chodźcie za mną. Może uda się znaleźć lepsze miejsce – zaproponował Bert.

Spojrzałam pytająco na panią Goodwin.

– Nie przejmuj się nami – powiedziała. – Nie wejdę w tłum, bo boję się o swoje kości. Wolę oglądać walkę z daleka. Ale ty idź bliżej. Spotkamy się później.

– To trochę potrwa – zauważył. – Jeszcze nie skończyli czwartej rundy, a powinno ich być w sumie dwadzieścia pięć.

– Idź śmiało i baw się dobrze. – Pani Goodwin niemal wepchnęła szwagra w tłum. – No, pozbyłyśmy się go – szepnęła do mnie, kiedy powoli zniknął nam z oczu. – Możemy się wycofać. Rozumiem, że nie masz ochoty patrzeć na to żalodne widowisko.

– Uważam, że jest ohydne – powiedziałam, kiedy kolejny cios wywołał falę wrzasków i gwizdów.

Staralam się nie patrzeć w stronę ringu, omiotłam wzrokiem publikę i nagle zamarłam. Na wprost mnie stał detektyw w Quigley, a obok niego kapitan Paxton.

– Chodźmy stąd szybko – rzuciłam. – Widzę Quigleya.

Wycofałyśmy się do holu.

– Mam nadzieję, że mnie nie zauważył – zaniepokoiła się pani Goodwin. – Niech myślą, że dochodzę do siebie po wypadku.

– Czyli ten świętoszek Quigley chodzi na walki – odnotowałam.

– Na to wygląda.

Znalazłyśmy się z powrotem na parkiecie, gdzie teraz tańczyło więcej osób.

– Mamy co najmniej godzinę, jeśli walka potrwa zgodnie z planem – stwierdziła Sabella. – Czym zajmiemy się najpierw?

– Znajdźmy kogoś, kto nam opowie o zamordowanej prostytutce – zaproponowałam.

– To nie będzie trudne o tej porze dnia – oceniła, kiedy wyszłyśmy na pełną świetła Bowery.

Ma rację – pomyślałam, rozglądając się wokół.

W wąskich zaułkach, ukryte w cieniu, stały dziewczęta w wyczekujących pozach. Oparte o ścianę, uśmiechały się prowokacyjnie. Niektóre paliły papierosa.

Pani Goodwin podeszła do nich bliżej. Obrzuciły ją nieprzychylnym spojrzeniem.

– Parę tygodni temu znaleziono przy promenadzie ciało waszej koleżanki. Musiałyście o tym słyszeć, prawda?

– Pewnie, że tak – dość bezczelnie odparła jedna z kobiet.

– Znałyście ją może?

– Miała na imię Jewel, a jej alfonsem był Harry – odezwała się wysoka ruda. – On będzie wiedział więcej.

– Nie wiecie przypadkiem, czy od tego czasu było więcej napadów?

Spojrzały na siebie pytająco.

– O żadnych nie słyszałyśmy – odpowiedziała jedna. – Ale uważamy bardziej niż zwykle. Nie chodzimy z byle kim i pilnujemy się nawzajem.

– Czy któraś z was znała Jewel? – spytałam.

– Wiemy, jak wyglądała. Ale się nie przyjaźniłyśmy. Harry nie lubi, kiedy jego dziewczyny zadają się z innymi.

– A gdzie teraz znajdziemy Harry’ego?

– Trudno powiedzieć. Może na promenadzie. Lubi przesiadywać w barze Maxwella i obserwować stamtąd świat. Niektóre dziewczyny... te, co chcą zaoszczędzić na hotelu... zabierają klienta pod pomost. Trzeba ich pilnować.

– Wystarczy. Dajcie nam spokój. Odstraszać klientów – odezwała się pierwsza dziewczyna i spojrzała na panią Goodwin. – Kim w ogóle jesteś? Moją ciotką?

– Szukamy sprawiedliwości – odparła cicho Sabella.

Odeszłyśmy.

– Czyli idziemy na promenadę – dodała, kierując się na Bowery.

Promenada rozciągała się przed nami i ginęła gdzieś hen, daleko w ciemnym oceanie. Przebiegająco były o tej porze zamknięte na cztery spusty. Spojrzałam w dół na białe linie fal rozbijające się o brzeg i na światła migoczące w oddali. Co za sceneria! Starłam się bacznie

wszystko obserwować. Pary przechodzące obok mogą cieszyć się romantycznym nastrojem, ale ja mam zadanie do wykonania! Patrząc na zakochanych, zaczęłam się zastanawiać, czy Rosa Rosetti i Dilly Lindquist też przyszły tu na romantyczny spacer. Kiedy zaciągnął je do powozu? Kiedy po raz pierwszy poczuły strach? Na pewno nie tu, gdzie w zasięgu wzroku są ludzie.

Rezejrzałam się dookoła. Na promenadzie kręcili się ludzie, ale plaża i przestrzeń pod molo pogrążone były w kompletnej ciemności. Dobre miejsce, by skraść dziewczynie całusa albo dokonać jakiegoś niecnego czynu. Chociaż... Wystarczyłoby krzyknąć, a ktoś spieszny byłby z pomocą. Jeśli nawet Rozpruwacz zabijał właśnie tam, jak zanosił ciała do powozu?

– Jest bar. – Pani Goodwin przerwała moje rozmyślenia. – I jeśli się nie mylę, siedzi w nim mężczyzna, którego szukamy.

Ubrany kolorowo młody człowiek w meloniku i wysokich białych getrach groził palcem jakiejś dziewczynce. Była słabo odziana i trzęsła się jakby z zimna, choć na zewnątrz panował ciągle upał. Próbowła oszukać swój wiek krzykliwą szminką i różem na policzkach, ale na darmo. Wyraźnie było widać, że jest bardzo młoda.

– Wracaj do roboty, ty leniwa dziwko! – wrzeszczał elegant. – Albo poczujesz moją pięść na twarzy.

Pani Goodwin podeszła do niego.

– Czy pan ma na imię Harry?

– A jeśli tak?

– Mam do pana parę pytań.

– Serio? I dlaczego niby mam na nie odpowiadać?

– A dlatego – odparła, wyjmując swoją odznakę w taki sposób, że poczułam przyływ zazdrości.

To jest to, czego nie ma prywatny detektyw – pomyślałam. Za każdym razem, kiedy chcę z kimś porozmawiać, muszę go najpierw do siebie przekonać, sprawić, żeby zechciał mówić. Nie mogę do niczego zmuszać.

Alfons się roześmiał.

– Nie gadaj, przecież nie ma kobiet w policji.

– Chcesz sprawdzić? Mam przy sobie gwizdek – odparła.

Podziałało.

– Nie możesz mi niczego zarzucić. Nic złego nie zrobiłem.

– Straszyl pan tę małą. Gołym okiem widać, że jest nieletnia.

– Jaką małą? Przecież to moja siostra. Muszę ją czasem przywołać do porządku.

– W takim razie ja jestem królową angielską – odparła Sabella, a mężczyzna się roześmiał. – Posłuchaj, Harry. Musimy porozmawiać o Jewel. Tak się nazywała ta dziewczyna, prawda?

– Tak Jewel. Miłe dziecko. Strasznie jej szkoda.

– Czy możesz nam powiedzieć coś więcej?

– Nie. Czasem tak się dzieje. Facet zawsze ucieka. Niektórzy lubią ryzyko. Dziewczyna musi to zaakceptować. Taka praca.

– Czyli nie wie pan, z kim wtedy poszła?

– Gdybym wiedział, nie uszłoby mu to na sucho. Straciłem przez niego jedną z najlepszych pracownic.

– Nic nam pan więcej nie powie? – zapytała pani Goodwin. – Od tego czasu zginęło kilka innych prostytutek.

– Myślicie, że to ten sam facet?

– Tak podejrzewamy. Kwestia czasu, nim znów się tu pojawi – stwierdziła. – Naprawdę nic pan już nie może dodać?

– Tamtego wieczoru trochę się stawiała – zaczął. – Powiedziała koleżance, że ma dosyć. Że dużo zniesie, jak dobrze płacą, ale tego już za wiele.

– Czyli spodziewała się, że klient potraktuje ją brutalnie.

– Nie wiem. Tylko to wam mogę powiedzieć. Nie przyszła wieczorem, chociaż byliśmy umówieni, a następnego dnia znaleziono jej ciało.

– Dziękujemy, Harry – zakończyła Sabella. – Może uda się nam dorwać drania.

– Miejmy nadzieję – odparł i przyjrzał mi się uważnie. – Nie mów, że ty też jesteś z policji.

– Jeśli ta mała jest pańską siostrą, to jest również i moją. – Wskazałam palcem na dziewczynę, która przestała się trząść i patrzyła na nas z zainteresowaniem.

– Zgłoś się do mnie, jak kiedyś będziesz bez pracy – rzucił zalotnie. – Zdrowo wyglądasz.

– Dzięki, ale prędeż zatrudnię się przy patroszeniu ryb na Fulton.

Śmiał się, kiedy odchodziłyśmy.

– Chyba powinniśmy sprawdzić, jak się rozwija walka – zauważyła pani Goodwin. – I muszę przyjąć na chwilę. Plecy mnie strasznie boją.

– W porządku.

Dotarliśmy do Bowery.

– Proszę spojrzeć – powiedziałam, kiedy wlekłyśmy się noga za nogą. – Ulica z pawilonem egipskim. To tutaj były siostry Rosetti. Zaraz potem Rosa znalazła liścik. Trudno się spodziewać, że nasz przestępca przychodzi tu zawsze o tej samej porze, ale...

– Mało prawdopodobne. – Pani Goodwin pokręciła głową.

– Jeśli mieszka na stałe w mieście, to pojawia się tu sporadycznie. A jeśli to ten nasz wspaniały student teologii, pewnie akurat siedzi gdzieś na łonie natury i opiekuje się dziećmi. Policja powinna tam pojechać.

Doszłyśmy do kasyna.

– Naprawdę muszę odpocząć – oznajmiła pani Goodwin. – Ale trzeba się pośpieszyć. Udam, że mdleję, i poproszę, by wynieśli mi krzesło na zewnątrz. W ten sposób będę mieć na ciebie oko.

– Dobry pomysł. Proszę się nie martwić. Nie odejdę zbyt daleko. Muszę tylko sprawdzić, jakie tu są w pobliżu atrakcje.

Zostawiłam panią Goodwin przed kasynem i poszłam w stronę egipskiego pawilonu.

– Za dziesięć minut koniec – ogłosił mężczyzna w turbanie. – Tylko dziesięć minut zostało, by obejrzeć cuda haremu.

Budki z jedzeniem też zamykały się na noc. Wciąż działały sale taneczne, pijalnie piwa i podejrzane przybytki. Obejrzałam je z zewnątrz, ale bałam się wejść do środka. Chłopak mógł tu przyjechać w ciągu dnia i w dowolnym miejscu natknąć się na Rosę. Znalezienie igły w stogu siana to drobnostka w porównaniu z zadaniem, jakie sobie wyznaczyłam. Jednocześnie byłam przekonana, że pozostałe ofiary spotkały zabójcę dokładnie w ten sam sposób. Porzucał ciała w jednej dzielnicy, więc najwyraźniej lubi rutynę. Może krąży w tym samym miejscu na Bowery? Rozejrzałam się, szukając wzrokiem samotnego mężczyzny.

Nagle jakiś urwis krzyknął mi wprost do ucha piskliwym głosem:

– Ostatnia szansa, żeby zobaczyć teatr osobliwości, proszę pani! Tylko dziesięć centów za najbardziej fascynujące i przerażające przedstawienie, jakie kiedykolwiek pani widziała.

Spojrzałam na pawilon. To do niego wstąpiły najpierw siostry Rosetti, a dopiero potem poszły dalej. Na ścianach namalowano wizerunki dziwnych postaci: była tu kobieta-wąż, najmniejszy konik świata, dama z brodą, chłopiec z twarzą muła i człowiek-dąb.

Przystanęłam, czując, że brakuje mi tchu. Co powiedziała Rosa Rosetti tuż przed śmiercią? „Dąb” czy „dom”? To tutaj znalazła w kieszeni liścik. Odwróciłam się na pięcie, by natychmiast wrócić do pani Goodwin, i wpadłam wprost na detektywa Quigleya.

– Dobry wieczór – wy mam rotałam. – Czyżby znudziła się panu walka?

– A i owszem – odpowiedział. – Szczerze mówiąc, przyjechałem tu tylko ze względu na Paxtona. Bardzo mnie zapraszał, a jemu nie mogłem odmówić. Uważam, że boks to prymitywna rozrywka dla gawiedzi, więc pod byle pretekstem wyszedłem na zewnątrz, gdzie natknąłem się na panią Goodwin. Zdziwiłem się bardzo, bo byłem pewien, że jest jeszcze w szpitalu. Powiedziała, że pilnuje pani z daleka, bo obie przypuszczacie, że ta okolica odgrywa kluczową rolę w sprawie Rozpruwacza. Jeśli tak rzeczywiście jest, chyba nie powinna pani ryzykować.

– Nie oddalam się zbyt szybko – zauważyłam. – A w kasy nie aż roi się od policjantów.

– Wszystko jedno. – Wpatrywał się we mnie w ten swój charakterystyczny sposób. – Śledztwo należy zostawić profesjonalistom. O co konkretnie pani chodzi?

Wskazałam głową na teatr osobliwości.

– Chciałabym wejść do środka i się rozejrzeć.

– Fascynują panią dziwolągi? – zapytał ze śmiechem.

– Nie, ale powinienam coś sprawdzić. To może być ważne. Będzie mnie pan osłaniał? Tak na wszelki wypadek.. Poza tym pani Goodwin przedstawi kapitanowi Paxtonowi wyniki naszego śledztwa. Zdziwi się pan, co odkryliśmy.

– Naprawdę? – Uniósł brwi. – Chcecie nas prześcignąć?

– Chcemy pomóc.

Quigley westchnął i rozejrział się niecierpliwie.

– W porządku. Proszę się pospieszyć. Nie chcę, by Paxton pomyślał, że nie wytrzymuję widoku krwi.

– Zaraz wracam – odparłam i pobiegłam do budki z biletami.

– Zamykamy, panienko. Może pani wejść tylko na chwilę – powiedział bileter.

Zapłaciłam dziesięć centów i weszłam do ciemnego holu. Zrobiłam zaledwie parę kroków i moim oczom ukazał się słabo oświetlony pokój, w którym odtworzono scenografię dżungli. Po chwili zauważyłam kobietę-węża. Wisiała na gałęzi drzewa, a kiedy weszłam, zaczęła pełznąć w moim kierunku. Rzeczywiście miała tors człowieka i ogon jak u węża. Gapiłam się na nią przerażona i zafascynowana, a ogon to unosił się, to opadał. Po chwili przypomniałam sobie powód swojej wizyty i przeszłam do kolejnej sali, która dla odmiany przypominała stajnię. Przy jednym z bokсів stał mały konik, nie większy niż duży pies. Kobieta-wąż była odstręczająca, ale to stworzenie mnie rozczerpiło. I też było prawdziwe. Nie widziałam na razie żadnego oszustwa w teatrze osobliwości.

W kolejnym pokoju czekała na mnie dama z brodą. Była gruba i odpychająca i tylko zrobiło

mi się jej żal. Odwróciłam wzrok i od razu przesłam do następnego pomieszczenia. I tam wreszcie był on – człowiek-dąb. Wysoki, krzepki, umięśniony mężczyzna. Od razu było widać, że coś jest z nim nie tak. Nawet w słabym świetle dostrzegłam szpetną twarz pokrytą guzami i naroślami. Największa wyrastała z policzka i prawie zasłaniała oko. Kolejne pokryte łuskami wrzody wystawały z innych miejsc na ciele. Do rąk i do głowy przyczepiono mu gałązki z liśćmi, a stopy były przykryte warstwą ziemi.

Kiedy przyglądałam się mu przestraszona i zadziwiona, zauważyłam, że on też taksuje mnie wzrokiem.

– Za pięć minut zamykamy! – usłyszałam w oddali głos biletera. – Zapraszamy do wyjścia.

Spojrzałam w tamtą stronę, starając się dojrzeć sylwetkę Quigleya. Czy ten okropny człowiek-dąb wybiera sobie z tłumu dziewczyny, niepostrzeżenie wkłada im do kieszeni liścik, zwabia w umówione miejsce i zabija? Usłyszałam jakiś dźwięk i zobaczyłam, że mężczyzna wyjmuje stopy z ziemi.

– Przedstawienie się kończy – powiedział głębokim, dudniącym głosem. – Dość pracy na dziś. Pójdzie ze mną panienka na drinka?

– Eeee, dziękuję – odparłam.

– Dlaczego?

– Czeka na mnie przyjaciółka. – Czulałam, że głos mi drży.

– To dlaczego jesteś tu sama? Gdzie ona się podziała? Przeprowadź ją. Wybierzemy się we trójkę.

Szedł w moją stronę przez pomalowany na zielono pokój, a ja cofałam się coraz bardziej.

– Nie chcesz ze mną wypić drinka, bo jestem brzydki, prawda?

– Ależ skądże. Po prostu mój narzeczony... – mamrotałam przerażona, licząc na to, że zaraz z ciemności wyłoni się Quigley.

Człowiek-dąb wciąż na mnie napierał.

– No, przyznaj się. Czujesz obrzydzenie. Nie chcesz podejść blisko. Tak jak wszyscy. Gapią się tylko. Wiesz, jak się czuję? Patrzę na śliczne dziewczyny i wiem, że nigdy ich nie dotknę, bo jestem szpetny. Ale jestem mężczyzną, mam ciało i potrzeby.

Nagle wyciągnął rękę i chwycił moje ramię. Był bardzo silny, czulałam, jak niemal miażdży mi kość.

– Panie Quigley! – krzyknęłam. – Ratunku! Tu jestem!

Natychmiast usłyszałam kroki w korytarzu i ujrzałam detektywa.

– Proszę ją w tej chwili puścić – rozkazał. – Jestem policjantem.

Mężczyzna popatrzył na nas zdziwiony i puścił moją rękę.

– Nic pani nie jest? – zapytał Quigley. – Zrobił pani krzywdę?

– Nie, tylko mnie przestraszył.

– W porządku. Te dziwotki są upośledzone fizycznie i umysłowo. Chodźmy stąd. A ty... – Pogroził palcem olbrzymowi. – Już cię kiedyś ostrzegałem, prawda?

Jak tylko wyszliśmy z pawilonu, uczepliłam się Quigleya.

– Chwila, detektywie. To jest człowiek-dąb – szepnęłam. – Nie może nam uciec. Musimy go aresztować.

– Jego? Dlatego że na panią napadł?

– Nie, to on jest Rozpruwaczem z East Side.

Quigley popatrzył na mnie zaskoczony.

– O czym pani mówi?

– Jestem pewna – odparłam. – Wszystko pasuje. Dwie z zaginionych spotkały się na Coney Island z tajemniczym mężczyzną.

– Owszem, ale chyba nie z nim. Która by chciała się z takim umawiać?

– Dostały wiadomość od wielbiiciela. To człowiek-dąb włożył im liścik do kieszeni. Zrobił to bez problemu, bo w pawilonie zawsze jest tłoczno. Nie wiedziały, kogo zobaczą na miejscu spotkania. I proszę posłuchać. Jedna z ofiar, ta, która jeszcze żyła, gdy ją znaleziono, powiedziała tuż przed śmiercią „dąb”.

Chwyciłam go mocno za rękę.

– Błagam, proszę się pospieszyć. Nie może nam uciec.

– Najpierw muszę pani pomóc stąd wyjść. Tak będzie bezpieczniej. Tędy.

Przeprowadził mnie wąskim przejściem, otworzył drzwi i puścił przodem. Stałam. Wcale nie byliśmy na dworze, tylko w jakimś małym pokoju.

– To nie jest droga na zewnątrz – zauważyłam.

– Owszem, nie jest – odparł Quigley, zasłaniając mi odwrót.

Człowiek-dąb stał tuż za nim.

– Kogo my tu mamy, Carter? – zapytał policjanta, wchodząc do pokoju i zamykając za nami drzwi.

– Rozgryzła cię, Jimmy. Jakś do tego doszła – powiedział Quigley. – Niestety, będę cię musiał aresztować.

– Nie możesz tego zrobić. Obiecałeś. Wszystko im powiem...

Coś nagle zwróciło moją uwagę.

– Carter? Pan ma na imię Carter?

– Tak – odparł Quigley. – Nazywam się Carter Quigley.

Przez chwilę stałam nieruchomo, analizując to, co przed chwilą usłyszałam.

– W takim razie jest pan narzeczonym Letycji Blackwell! – krzyknęłam.

– Skąd pani wie o Letycji?

– Szukam jej na prośbę Arabelli Norton. Jestem prywatnym detektywem, zapomniał pan?

– Dobra robota. Ma pani talent jak na kobietę. Nie to, co ta głupia Goodwin. Gdyby nie pani, niczego by nie wykryła.

– Czy pan nie rozumie?! – podniosłam głos, patrząc to na jednego, to na drugiego. – Ten człowiek zabił pana narzeczoną! Ofiary nie były prostytutkami. Tego dnia Letycja przyjechała na Coney Island i... – Nie dokończyłam. Obserwowałam twarz Quigleya.

Nie był wcale zdziwiony ani zszokowany. Przyglądał mi się z lekkim rozbawieniem.

– Pan wie – zauważyłam. – Wie pan, że on zabił pańską narzeczoną. I nic pan z tym nie robi? Skoro pan wiedział, kim jest Rozpruwacz z East Side, dlaczego go pan, na litość boską, nie aresztował?

– Miałem swoje powody – odparł Quigley.

– On mi kazał – odezwał się nagle człowiek-dąb.

– No nie, Jimmy. Nie rób z siebie ofiary! Ja ci kazałem?!

– Owszem. Ja nie chciałem jej zabić. Była miła. Patrzyła na mnie inaczej niż wszystkie.

Nie mogłam oderwać wzroku od Quigleya.

– Ty potworze! Kazałeś mu zabić Letycję?

– A co miałem zrobić? – odparł spokojnie. – Poprosiłem, by uwolniła mnie od zaręczyn, ale odmówiła. Nie miałem wyjścia.

– Zabił ją pan, bo nie zgodziła się na zerwanie zaręczyn?! – Nie potrafiłam ukryć obrzydzenia.

– Nie wie pani, jaka była Letycja. – Quigley wyraźnie się zdenerwował. – Histeryzowała. Dusilem się. Czulem się jak w pułapce. A sprawa w sądzie zrujnowałaby mi karierę.

Spojrzałam teraz na drugiego mężczyznę.

– A pan spełnił jego prośbę? Czym panu groził?

Jimmy odwrócił wzrok

– Dowiedział się o pewnej sprawie.

– Wiedziałem o innych. Na przykład o tej, którą udusiłeś pod molo, prawda, Jimmy? – odparł spokojnie Carter.

– To był wypadek! – krzyknął Jimmy. – Mówiłem, że to był wypadek. Zaczęła krzyczeć. Musiałem ją uciszyć.

– A ta druga? To też był wypadek?

– Tamta się ze mnie śmiała. Mówiła: „Co za brzydali! Nie mogę sobie wyobrazić, że się z takim kocham”.

– Ściągnęłaś ją tutaj i zabiłaś – stwierdziłam. Nie wierzyłam własnym uszom.

– Przyłapałem go, jak w nieudolny sposób starał się ukryć ciało – dodał Quigley.

– Rozumiem. I puścił go pan wolno, pod warunkiem że zabije pańską narzeczoną. To pan przywiózł Letycję na Coney Island.

Z obrzydzeniem przyglądałam się Carterowi. W oczach miałam drobną twarzączkę Letycji. Wyobraziłam sobie, jak tu przyjeżdżają. Ona jest ufną, zapatrzona w narzeczonego, a potem spotyka ją taki straszny los.

– Przecież mówiłem. On mi kazał – powiedział Jimmy nerwowym tonem.

– Ale nie protestowałaś. To ci odpowiadało, prawda? – zauważył Carter. – No i te inne dziewczęta... Czas położyć temu kres.

– Kto wpadł na pomysł, żeby przebierać je za prostytutki? – zapytałam.

– Ja, oczywiście – odparł Carter. – Nikt nie przejmuje się zabitymi dziewczętami. Gdyby ten idiota

nie zabił ich tyle, nikt by się nie dowiedział. No i do tej pory nikt jeszcze nie wpadł na właściwy trop. Paxton to głupiec, który nigdy nie dojdzie prawdy, a McIver jest patentowanym leniem. To ja za nich pracuję.

W ułamku sekundy zrozumiałam.

– Daniel Sullivan – wyjąłłam. – To pan za tym stoi.

– Wyznaczyli go do tej sprawy. Dobrze mu szło. Kiedy zobaczyłem go na Coney Island, zrozumiałem, że już coś wie.

Prowadził śledztwo na wyścigach – pomyślałam. To było akurat bez znaczenia. Pech! Zrozumiałam też coś jeszcze. „Nikt jeszcze nie wpadł na właściwy trop”. To chyba znaczy, że mam stąd nie wyjść żywa...

– Pani Goodwin na mnie czeka – powiedziałam. – Jeśli szybko nie wrócę, zacznie mnie szukać. Poinformuje kapitana Paxtona.

Quigley się uśmiechnął.

– A ja wpadnę na nich zdyszany i powiem, że mi pani nagle zniknęła z oczu. Wszędzie pani szukałam i nic.

– Znajdą mnie.

– Ale za późno. Pani ciało wyjątkowo wpadnie do morza.

– Dasz mi ją, Carter – poprosił Jimmy. – Przecież jest moja.

– Oczywiście, Jimmy. Skorzystaj. A ja wrócę teraz do kolegów z policji i przełożę im smutną wiadomość.

Rozejrzałam się po pokój. Był słabo oświetlony lampą naftową. Nie miał okien, ale przy ścianie stała drabina prowadząca do wyjścia w suficie. Pewnie tędy wyprowadzi mnie Jimmy i nikt się o niczym nie dowie. Kiedy ten wstrętny człowiek z naroślą na twarzy zaczął się do mnie zbliżać, jednym szybkim ruchem zrzuciłam lampę ze stołu. Rozbiła się na podłodze. Ogień natychmiast się rozprzestrzenił. Jimmy zawył z bólu i odskoczył. Nie czekałam. Chwyciłam za klamkę, otworzyłam drzwi i uciekałam pogrążonym w ciemności korytarzem. Po chwili zaczęły go rozświetlać płomienie ognia. Słyszałam kroki Quigleya, ale uciekałam z całych sił, nie oglądając się za siebie. Nagle korytarz zakręcił, a ja uderzyłam w ścianę i odbiłam się od niej jak gumowa piłeczka. Jakimś cudem nie upadłam i pobiegłam dalej. Przed sobą zobaczyłam drzwi. Otworzyłam je z impetem i znalazłam się na dworze.

Kątem oka dostrzegłam, że nie jestem, niestety, na Bowery, ale w jednej z ciemnych alejek. Nie wiedziałam, w którą stronę bieć. Po lewej miałam kose na śmieci, więc co sił w nogach pobiegłam w prawo, słysząc za sobą zatraskiwane drzwi. Szukałam ścieżki, która wyprowadziłaby mnie na Bowery, w bezpieczne miejsce, blisko pani Goodwin. Nie mogłam jednak żadnej znaleźć. Po prawej, za ogrodzeniem, widziałam wesołe miasteczko. Karuzela rzucała złowrogi cień, wagoniki o tej porze świeciły pustką. Po chwili znalazłam się niespodziewanie na jakichś schodach. O mały włos upadłabym na twarz. Jakimś cudem się podniosłam i ruszyłam dalej. Ktoś mnie gonił – wyraźnie słyszałam.

Wreszcie znalazłam się na większej ulicy, ale nie było tam nikogo, kto mógłby mi pomóc. Spacerowicze się tu nie zapuszczali. Rzuciłam się w stronę promenady. Jeśli znajdę Harry'ego,

rozpozna mnie i pomoże. Ale kiedy dobiegłam do małego baru, okazało się, że jest zamknięty na cztery spusty. Spojrzałam za siebie. Quigley był tuż-tuż. Jimmy'ego nie zauważyłam, ale to wcale nie znaczyło, że go nie ma. Zdecydowałam się biec dalej, na molo. Kiedy minęłam bramki, zorientowałam się, że to nie był dobry pomysł. Dopiero teraz byłam w prawdziwej pułapce. Postanowiłam uciec w bok i schować się w cieniu, z nadzieją, że Quigley mnie ominie, a ja wtedy będę mogła zawrócić. Ale stanął tuż przy wejściu, wpatrując się w ciemność i szukając mnie wzrokiem. Nie musi się teraz nigdzie spieszyć – pomyślałam. A ja nie mam dołąd uciec. Chyba że... Po prawej stronie była furtka, która prowadziła na plażę, do pawilonu z przebieralniami. Oczywiście o tej porze wszystkie były pozamykane, ale zauważyłam metalową drabinkę, która znikła w dole. Skaczący do wody korzystali z niej, by po wypłynięciu szybciej znaleźć się znów na górze. Nie myśląc długo, przeszłam przez ogrodzenie i zaczęłam schodzić. Byłam już prawie na dole, gdy usłyszałam, że ktoś za mną idzie. Spojrzałam w dół na czarną taflę wody, oceniłam wysokość, a potem skoczyłam.

Uderzyłam o powierzchnię z ogromną siłą. Woda była tak zimna, że zabrakło mi tchu. Oszołomiona, z trudem wypłynęłam, ale zaraz przykryła mnie fala. Rozejrzałam się, wypatrując drogi ucieczki. Przecież jakaś musi być! Dałam się ponieść kolejnej fali i wtedy zobaczyłam, że kąpielisko jest ogrodzone metalowym rusztowaniem. Woda mogła tamtędy przepłynąć. Ja nie.

Byłam w prawdziwej pułapce. Cicho podpłynęłam do jednej ściany, a potem, nurkując, przecisnęłam się pod wodą między drążkami rusztowania. Pomost nade mną się zatrzęsł – prawdopodobnie biegł po nim Quigley, wypatrując, gdzie jestem. Zerknie w dół i od razu mnie zobaczy – pomyślałam. Zanurkowałam głębiej i pozwoliłam, by kolejna fala przepłynęła nade mną.

Czekałam, wstrzymując oddech, a chwila stawała się wiecznością. Pomost przestał drgać. Rozejrzałam się, ale nikogo nie zobaczyłam. Nagle zwróciłam uwagę na schodki, które opuszczały się z plaży, umożliwiając amatorom kąpeli wejście wprost do morza. Widziałam, że ciągną się daleko, więc może udałoby mi się po nich wejść prawie na samo molo, a Quigley jakimś cudem by tego nie zauważył. Jeśli straci mnie z oczu, wygram. Będę bezpieczna. Podpłynęłam i stanęłam dopiero wtedy, gdy butem dotknęłam stopnia. Wyszłam z wody i znalazłam się na platformie tuż nad powierzchnią oceanu. Znowu się rozejrzałam i zaczęłam nadsłuchiwać. Z daleka dochodziły mnie dźwięki Bowersy – muzyka i mechaniczny rechot z beczi śmiechu.

Nagle poczułam straszliwy skurcz i prawie krzyknęłam z bólu. Nie mogłam zaczerpnąć powietrza. Spojrzałam w dół i zobaczyłam, że moje stopy pokrywa czarna farba. Po chwili zorientowałam się, że płyn, który cieknie mi po nogach, to krew, nie woda. Chwyił mnie kolejny skurcz i musiałam położyć dłoń na ustach, żeby nie krzyknąć. Jak mam uciekać, skoro nawet nie mogę się ruszyć? Pomyślałam, że podczas ucieczki musiałam się zranić, ale po chwili zrozumiałam, że oto właśnie koszmar z moich snów dzieje się naprawdę.

Wreszcie zobaczyłam ostre światło na wodzie.

– Ej, ty tam, co tutaj robisz?! – zapytał jakiś głos, kiedy światło padło na Quigleya, który stał na promenadzie.

– Jestem policjantem – padła odpowiedź. – Widziałem, jak jakaś dziewczyna wskoczyła do wody, pewnie chciała popełnić samobójstwo. Nigdzie jej nie ma. Proszę biec po pomoc.

– Dobrze, proszę pana – usłyszałam.

Powoli weszłam po schodach. Teraz musi mnie puścić. Ratunek jest już w drodze.

W tej samej chwili pomost się zatrzęsł pod nogami biegnących.

– Tutaj! Jest na dole! – rozległ się czyjś głos.

Poczułam mocne ramiona, które wciągały mnie na górę. Ból był nie do wytrzymania. Próbowalam nad nim zapanować, ale czułam się tak jakbym płonęła żywcem.

– Proszę się nie martwić, panienko. Zawieziemy panią zaraz do szpitala – usłyszałam miły głos.

Spojrzałam do góry i zobaczyłam młodego policjanta.

– Tu za rogiem czeka mój wóz patrolowy – usłyszałam głos Quigleya. – Zaprowadźcie ją tam, proszę.

– Nie, błagam – próbowałam krzyknąć, ale udało mi się tylko szepnąć. – Proszę wezwać kapitana Paxtona albo panią Goodwin.

Nikt nie usłyszał moich słów. Nieśli mnie w stronę Surf Avenue.

– Błagam – powiedziałam trochę głośniejszym głosem. – On mnie zabije.

– Biedna dziewczyna – stwierdził Quigley opanowanym tonem. – Histeryzuje. Wszystko będzie dobrze, panienko. Jestem policjantem.

Od strony Bowery zbliżał się w naszym kierunku tłum ludzi. Śmiali się i wznosili toasty.

– Za Dżentelmena Jacka! On jest najlepszy! – wołali.

– Znokautował przeciwnika w szesnastu rundach – dorzucił ktoś inny. – Z nim nikt nie wygra!

Nagle z tłumu padło pytanie:

– Quigley, co się tutaj dzieje?

Odetchnęłam z ulgą. Otworzyłam oczy i ujrzałam kapitana Paxtona.

– Właśnie uratowaliśmy tę dziewczynę, proszę pana – odparł Quigley. – Spadła z molo. Mój wóz patrolowy stoi na Surf Avenue. Zawiozę ją do szpitala.

– Rozumiem – odparł Paxton i ruszył w swoją stronę.

Zebrałam siły i krzyknęłam.

– To on! Jest Rozpruwaczem z East Side. Proszę go zatrzymać.

– Ona ma rację, proszę pana – Quigley przekrzyknął mnie i cały tłum dookoła. – Znaleźliśmy Rozpruwacza. W teatrze osobliwości. To człowiek-dąb. Ta młoda dama byłaby jego kolejną ofiarą, gdybym nie przyszedł jej z pomocą. Trzeba go złapać. Wzniecił pożar i chciał ją zabić. Jest niebezpieczny.

– Nie obawiaj się, Quigley. Złapiemy go. Zabierz panienkę do szpitala – odparł Paxton i zniknął w tłumie.

– Tędy, panowie – Quigley pokierował dwoma mężczyznami, którzy mnie nieśli. – To już blisko.

Mijał nas coraz większy tłum. Wszyscy śpiewali, śmiali się i skandowali imię Jacka.

– Pomóżcie mi – prosiłam, ale nikt mnie nie słyszał w tym gwarze.

Wkrótce moim oczom ukazał się czarny wóz patrolowy.

– Wsadźcie ją do środka. – Quigley otworzył tylne drzwi.

– Proszę. On mnie zabije.

Trzymali mnie za ręce i nogi. Walczyłam, ale bez skutku. Nie miałam sił, bo ból przeszywał mnie na wskroś.

– Zaraz trafi pani do szpitala. Ten policjant się panią zaopiekuje – usłyszałam. Jeden z mężczyzn poklepał mnie w ramię i ułożył na tylnym siedzeniu. – Szpital Metodystów jest najbliżej – dodał. – Zna pan drogę? Mogę z wami jechać.

– Nie ma takiej potrzeby. Masz pracę tu, na miejscu. W tym tłumie zaraz zaczną się jakieś rozróby – odparł Quigley.

Leżałam na drewnianej ławce w wozie, wstrząsana torsjami.

– Jest w kiepskim stanie – usłyszałam głos posterunkowego. – Może jednak któryś z nas z wami pojedzie.

Złapałam go za rękaw.

– Proszę mnie nie zostawiać!

– Co się tu dzieje? – usłyszałam kobiecy głos i z tłumy wyszła Sabella Goodwin. – Detektywie Quigley, gdzie jest panna Murphy? Umieram ze strachu. Na Bowery wybuchł pożar. Ogień strawił prawie cały teatr osobliwości.

– Jestem tutaj! – wrzasnęłam z całym siłą. – Tutaj! Pomocy!

– Wiozę ją do szpitala – powiedział Quigley. – Jest ranna.

– Jadę z wami – oznajmiła Sabella i wdrapała się na siedzenie.

– Nie! – krzyknęłam, wyobrażając sobie, że Quigley z łatwością pozbędzie się nas obojdwu. – Pojedźmy obie z Bertem.

– Ach, tak przecież mamy samochód – przyznała Sabella. – Jesteś w złym stanie, moja droga. Detektywie, mój szwagier zawiezie nas do szpitala swoim autem. Będzie znacznie szybciej. Bert, prędko! Do mnie!

Czyjeś dłonie zaczęły mnie podnosić z siedzenia. To, co się działo później, docierało do mnie jak przez mgłę. Pani Goodwin wydawała polecenia. Wsadzono mnie do samochodu, potem

przeniesiono przez szpitalne korytarze, a następnie zbadał mnie lekarz. Bolało jeszcze bardziej. Chyba kłęłam i kopałam. Straciłam dziecko. Trudno powiedzieć, co czułam – smutek czy ulgę. Po tym, co przeszłam, właściwie nie czułam nic.

Rano przyszła do mnie pani Goodwin.

– Całe szczęście, że żyjesz – powiedziała. – Tak mi przykro, że cię nie upilnowałam. Quigley powiedział mi, że jesteś w niebezpieczeństwie, i nalegał, by sprowadzić Paxtona. Kazałam mu biec na ratunek, bo przecież jest młodszy i sprawny. Dzięki Bogu, że zdążył, zanim ten potwór... Czy to prawda, że to ktoś z teatru osobliwości? To on był zabójcą?

Spróbowałam usiąść.

– Chwileczkę – powiedziałam. – Dzięki Bogu, że mnie uratował? Quigley? To on mnie próbował zabić!

– Nie, moja droga. Quigley uratował cię ze szponów tego potwora.

– Przedstawia taką wersję wydarzeń?

– Oczywiście. Pokazał nam pomieszczenie, w którym ta kreatura dokonywała zabójstw. Znaleźliśmy nawet ubrania tych biedaczek

– A co na to człowiek-dąb? Co powiedział? Nie oskarżył Quigleya? Nie powiedział prawdy?

– Nie żyje – odparła. – W teatrze wybuchł pożar. Chyba sam go wzniecił, kiedy się zorientował, że zbliża się policja. I utknął w pułapce.

Przez chwilę nie mogłam wydobyć z siebie słowa.

– I Quigley jest teraz bohaterem? – szepnęłam.

– O co ci chodzi? – zapytała Sabella.

– To Quigley stoi za tymi morderstwami. To prawda, że zabijał człowiek-dąb, ale Quigley go krył. Pozwalał mu na wszystko, pod warunkiem że zlikwiduje jego narzeczoną.

– Jesteś pewna?

Skinęłam głową.

– To strasne. Jego dziewczyna była jedną z ofiar?

– To Letycja Blackwell, której szukałam.

– Dlaczego chciał ją zabić?

– Łatwy sposób na zerwanie zaręczyn. Każdy inny oznaczałby kompromitację. Quigley wpadł na pomysł, by przebierać dziewczyny za prostytutki i porzucać ciała na ulicy. Nawet wiem, jak to robił. Używał tego samego pojazdu, którym przyjechał na Coney Island zeszłego wieczoru. Przecież nie ma w tym nic dziwnego, że taki wóz patroluje ulice miasta. Nikt nie zapamięta, kiedy się pojawił – wtedy gdy znaleziono ciało czy wcześniej.

– Spryciarz. Wiedziałaś, że jest inteligentny, ale...

– To nie wszystko – mówiłam dalej. – To on ukartował aresztowanie Daniela. Quigley początkowo prowadził sprawę Rozpruwacza, pamięta pani? Ale później kontrolę nad śledztwem przejął Daniel i pewnego razu pojechał na Coney Island. Quigley go tam zobaczył. Nie wiedział, że Daniel prowadzi również drugie śledztwo, i postanowił się go pozbyć, bo poczuł się zagrożony.

– Wszystko ci opowiedział?

– Nie wszystko, do niektórych faktów doszłam sama.

– W takim razie będzie chciał cię zabić. – Pani Goodwin zakryła dłonią usta. – Mój Boże, teraz rozumiem, co zamierzał zrobić, zanim cię przenieśliśmy do auta.

– Co mówił? – wyjąkałam. W ustach miałam strasznie sucho.

– Że w głowie ci się pomieszało. Z powodu tego potwora, oczywiście.

– Zamknij mnie w szpitalu dla wariatów i nikt mi nie uwierzy. – Zdałam sobie sprawę, że to bardzo realny scenariusz. – Musimy go zatrzymać, nim będzie za późno.

Kiwnęła głową i zmarszczyła czoło.

– Trzeba znaleźć dowody, zanim zaczną działać.

– Najpierw to ja muszę wyjść ze szpitala – powiedziałam. – Nie zamierzam tu potulnie siedzieć i czekać, aż mi zrobi krzywdę.

– Czujesz się na siłach, żeby wstać? Myślałam, że wczoraj w nocy zostałeś ciężko ranna. Straciłeś sporo krwi.

– Nie jestem ranna. Porońłam. Skakanie z mola chyba nie było najlepszym pomysłem. Ale nie miałam wyjścia. Biegł za mną. Obydwaj mnie gonili.

Położyła mi dłoń na ramieniu.

– W gruncie rzeczy dobrze się stało.

– Ma pani rację – powiedziałam i wybuchnęłam płaczem.

Pani Goodwin była cudowna. Wydała w szpitalu rozkazy, pokazała odznakę policyjną i w krótkim czasie zorganizowała mi wypis. Do domu zawiózł mnie Bert swoim samochodem.

– Czy ktoś się tobą zaopiekuje? – spytała. – Mam mnóstwo spraw na głowie, więc chciałabym mieć pewność, że jesteś w dobrych rękach.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, otworzyły się drzwi naprzeciwko. Sid i Gus wybiegły mi na spotkanie.

– Molly, umierałyśmy ze strachu! – krzyknęła Sid. – Co się stało? Gdzie byłeś?

– Trafiła do szpitala – odpowiedziała za mnie pani Goodwin. – Urządziła polowanie na Rozpruwacza.

– Molly, najwyższy czas, żebyś znalazła sobie inną pracę, a sprawy kryminalne zostawiła policji. – Gus pomogła mi wysiąść z auta. – Wyglądasz jak śmierć na chorągwi. Idziesz do nas, tam się tobą zajmujemy. Bez dyskusji.

Nie zamierzałam protestować.

– Dobrze już się czujesz? – spytała Sid, prowadząc mnie ostrożnie pod rękę.

– Tak. Jest lepiej.

– Będę spokojna, jeśli panie się nią zajmą – zapewniła pani Goodwin. – Nie jest bezpieczna. Lepiej, żeby nikt nie wiedział, gdzie teraz przebywa.

Przyjaciółki patrzyły to na mnie, to na Sabellę.

– To jest pani Goodwin, o której wam opowiadałam. Pracuje w policji.

– Muszę teraz wracać szybko do pracy – oznajmiła Sabella. – Dobrze się nią opiekujcie. I nie pozwólcie jej nigdzie wychodzić.

– Będziemy jej bronić – obiecała Gus. – Sid, kochanie, powinniśmy były kupić tego psa, którego widziałyśmy na wystawie w Macy’s.

– To przecież był pekińczyk – zaśmiała się Sid. – Nie sprawdziliby się chyba jako pies obronny.

Pani Goodwin już miała odejść, kiedy przypomniałam sobie ważną rzecz.

– Czy podczas mojej nieobecności nie pojawił się tu przypadkiem doktor Birnbaum?

– Tak był tu – odparła Sid. – Wrzucił ci jakiś list. Byłyśmy bardzo ciekawe...

Wręczyłam przyjaciółce klucz od domu i po chwili trzymałam w rękach kopertę zaadresowaną pismem doktora.

Droga Panno Murphy!

Poddałem bardzo dokładnemu badaniu dwie próbki włosów i mogę wystąpić w sądzie. Z całą stanowczością zeznam pod przysięgą, że są to włosy tej samej osoby.

– Mamy dowód – powiedziałam z satysfakcją. – Możemy być pewne, że jedną z ofiar jest Letycja.

– Za mało – zauważyła pani Goodwin. – To tylko potwierdza, że Letycja została zabita, ale nie że Quigley maczał w tym palce. Będzie udawał nieszczęśliwego narzeczonego. Musimy mieć coś jeszcze. Jakiś dowód na to, że to on przewoził ciała.

– Może uda się pani przeszukać wozy patrolowe. Powinna pani trafić na jakiś ślad. Krew albo włosy, które będzie można zbadać.

– Zrobię co w mojej mocy – odparła. – Proszę teraz odpocząć.

Trudno jednak było mi odpocząć z pełną świadomością tego, co się wydarzyło. Zdawałam sobie sprawę, jak łatwo będzie Quigleyowi zrobić ze mnie wariatkę i zamknąć w szpitalu dla umysłowo chorych. Wówczas nic nie zrobię. Za wszelką cenę trzeba powstrzymać człowieka, który zaplanował śmierć narzeczonej i pozwalał na brutalne mordowanie niewinnych dziewcząt. Irytowało mnie, że utknęłam w łóżku i nie mogę działać. Ale po jakimś czasie uznałam, że i tak nie czułabym się bezpiecznie wśród tłumu na ulicy, gdzie Carter mógłby mnie dopaść w dowolnym momencie. Spodziewałam się, że prędzej czy później pojawi się w moim domu, choć pewnie na razie rozważy różne opcje. Może jednak wcale nie zamierza mnie wsadzić do szpitala, może planuje jakiś niespodziewany wypadek, podobny do tego, któremu niedawno uległa pani Goodwin. Jedno jest pewne: jeśli nie zacznę działać, nigdy nie poczuję się bezpieczna.

Wstałam, ubrałam się i zaproponowałam Sid i Gus, by towarzyszyły mi na posterunek policji. Kiedy znalazłyśmy się na miejscu, poprosiłam o rozmowę z kapitanem Paxtonem i wkrótce zostałyśmy wprowadzone do jego biura. Przedstawiłam mu całą historię i pokazałam list od doktora Birnbauma. Ponuro pokiwał głową, otworzył drzwi i krzyknął:

– Quigley, do mnie!

Konfrontacja z Carterem to była ostatnia rzecz, na jaką miałam ochotę. Wszedł do pokoju nad wyraz opanowany.

– Panna Murphy? Już pani wyzdrowiała? – zapytał. – To musiał być szok dla pani – dodał i zwrócił się do Paxtona. – Ta pani szczęśliwym zbiegiem okoliczności uniknęła śmierci z rąk tego potwora. Niestety, z powodu hysterii wczoraj wieczorem postradała zmysły. Mam obawy, że nie odzyska pełnej sprawności.

– Zapewniam pana, że jestem przy zdrowych zmysłach. Pamiętam dobrze każdy szczegół wczorajszych wydarzeń. Wszystko przed chwilą opowiedziałam kapitanowi Paxtonowi.

– Młoda dama twierdzi, że uczestniczyła w zabójstwach – powiedział Paxton. – Utrzymuje, że zaplanowałaś śmierć swojej narzeczonej.

– Narzeczonej z innym mężczyzną – odrzekł gorzko Quigley. – Jestem zrozpaczony, ale nie żądnym zemsty.

– Zwłoki pańskiej narzeczonej były ekshumowane w zeszły piątek, jak pan pewnie dobrze pamięta – zauważyłam.

– Ciało nie udało się zidentyfikować, niestety – westchnął. – Nie mam możliwości się dowiedzieć, czy jedną z ofiar była moja ukochana.

– Zachowały się włosy – powiedziałam. – Mam tu list od doktora Birnbauma, którego pan przecież zna. Doktor potwierdza, że włosy ofiary są takie same jak pukiel z naszyjnika matki Letycji.

– To straszne – odparł. – Przyniosła mi pani okropną wiadomość. Liczyłem, że narzeczonej do mnie wróci.

– Dobrze pan wiedział, że nigdy nie wróci! – krzyknęłam. – Sam ją pan wywiózł na Coney Island, choć potem twierdził, że nawet nie dotarła do Nowego Jorku. W domu państwa Blackwellów urządził pan scenę rozpacz.

Quigley uśmiechnął się smutno.

– Obawiam się, że jednak postradała pani zmysły – powiedział i zwrócił się do Paxtona. – Wymaga leczenia. Po takich przeżyciach nawet ktoś bardzo silny psychicznie miałby problemy. Czy mógłby ją zbadać lekarz?

– Udowodnię, że jest pan zamieszany w śmierć Letycji – oświadczyłam.

– Niby jak? – zapytał. – Nawet jeśli to jej ciało leży w kostnicy, morderca nie żyje i nie będzie mógł niczego potwierdzić.

– Zrobią to inne osoby – powiedziała pani Goodwin, wchodząc nagle do gabinetu. – Właśnie wróciłam z Coney Island. Kilka osób zapamiętało, jak przechadzał się pan tam ze swoją narzeczoną.

– Jest pani śmieszna. Wśród tysięcy ludzi na Coney Island kto by mnie mógł zapamiętać?

– Na przykład tacy, co nie mają nic do roboty oprócz obserwowania ludzi, którzy się na nich gapią – stwierdziła pani Goodwin. – Przesłuchałam kobietę-węża i kobietę z brodą. Pokazałam im zdjęcie Letycji. Zapamiętały, że mężczyzna, który wczoraj wieczorem szedł za Molly, jakiś czas temu był tam z drobną blondynką. Tą z mojego zdjęcia. Kobieta z brodą szczególnie ją zapamiętała, bo dziewczyna wyraźnie prosiła: „Zabierz mnie stąd. Nie chcę patrzeć na tych

nieszczęśników. To nie w porządku, że są rozrywką dla gawiedzi”.

– Pamiętam, że byliśmy tam w zeszłym roku i rzeczywiście trochę się zdenerwowała. Zrozumiałem jej emocje i wróciliśmy do domu. Ale to było dawno temu.

Patrzył mi prosto w oczy. Zdawało się, że mówi: „Nic mi nie możesz zrobić. Nie uda ci się niczego udowodnić”.

– Przepraszam, kapitanie. Jeśli te kobiety nie mają wobec mnie więcej dziwnych oskarżeń, pozwole pan, że zajmę się swoją pracą. Nie wiem, czemu postawiły sobie za punkt honoru oczernić mnie właśnie teraz, kiedy oplakuję narzeczoną. Proszę również pamiętać, że to ja ocaliłem wczoraj życie pannie Murphy.

W pokoju zapanowała cisza.

Po chwili pani Goodwin stanęła przed Paxtonem.

– Znał pan mojego męża – powiedziała. – Cenił pan jego pracę. Rzeczywiście był jednym z najlepszych. Mnie też pan zna. Nie ulegam dziwnym nastrojom. Panna Murphy też nie jest histeryczką. Skoro twierdzi, że detektyw Quigley próbował ją zabić, ja jej wierzę. Wierzę również, że odkryła prawdę na temat tych dziewcząt. Wiemy już, jak transportowano ciała.

– Wiemy? – zapytał Paxton.

Kiwnęła głową i zerknęła w moją stronę.

– Ciała przewożono jednym z wozów patrolowych, a powoził nim Carter Quigley.

– Kompletna bzdura – obruszył się Quigley. – Jedno oskarżenie za drugim, a żadnego nie da się udowodnić.

– Myli się pan – odparła Sabella i położyła na biurku Paxtona kopertę. – Panna Murphy zasugerowała, żeby przesukać nasze wozy. W jednym z nich znalazłam włosy. Należą do Rosy Rosetti.

– Rosa Rosetti? A kim ona, u diabła, jest? – spytał Quigley.

– Ostatnią z zamordowanych przez tego nieszczęsnego potwora. Wiedział pan o tym dobrze i nic nie zrobił, by go powstrzymać – oznajmiłam. – Była zwykłą, ciężko pracującą dziewczyną, którą oplakują teraz rodzice i trzy siostry. Pojechała na Coney Island, by rozerwać się trochę po ciężkim tygodniu pracy.

– Laboratorium policyjne potwierdziło, że to włosy Rosy Rosetti – wtrąciła pani Goodwin. – Bez cienia wątpliwości mogę powiedzieć, że jej ciało przewożono wozem patrolowym. Znalazłam w nim również plamę krwi, a na pewno są sposoby, by sprawdzić, czy ja to krew.

– I co ty na to, Quigley?! – krzyknął Paxton. – Byrne! Connelly! Do mnie!

Do gabinetu wpadło dwóch policjantów.

– Jesteście głupcami! Wy wszyscy! – wrzasnął Quigley. – Te wariatki namieszały wam w głowie. Spróbujcie mi coś udowodnić w sądzie. Nikt na poważnie nie weźmie waszych oszczerstw.

Policjanci wprowadzili go z sali.

Wieczorem nie świętowaliśmy, jak można by przypuszczać. Quigley został zatrzymany, ale to nie wszystko. Po wyjściu z siedziby policji skierowałam się prosto do Ratusza, do gabinetu komendanta Partridge'a, i próbowałam go przekonać, by uwolnił Daniela. Nie podejrzewałam, by Quigley złożył zeznania, które obciążą jego samego, i opowiedział, jak ukartował aresztowanie Daniela.

– Czy mogę pana o coś zapytać? Czyj to był pomysł, żeby właśnie tego dnia patrolować Lower East Side?

Komendant pokiwiał głową.

– Ma pani rację – odparł. – To młody Quigley zaproponował taką trasę. Chciał mi dokładnie pokazać, gdzie zaatakował Rozpruwacz.

– Był z panem, kiedy natknęliście się na kapitana Sullivana?

– Nie, chwilę wcześniej nas zostawił, ale wiedział, którądy pójdziemy.

– Czy teraz pan wierzy, że to on wszystko zaplanował?

Komendant westchnął.

– Musi się przyznać albo trzeba będzie znaleźć gangstera, który przekazywał kopertę. Daję wiarę swoim oczom. Widziałem, co się tam stało. Jeśli Monk Eastman zezna, że Sullivan nie ma żadnych powiązań z jego gangiem, sąd pewnie mu uwierzy. Ale nie sądzę, by Eastman z takiego powodu wybrał się do sądu.

Zmartwiłam się.

– Czyli rozprawa jednak się odbędzie. Mimo tych dowodów, które przed chwilą panu przekazałam?

– Inaczej nie można. Muszę działać zgodnie z prawem. Taką mam pracę.

– Czy do pana obowiązków należy również trucie koni? – wymyśliło mi się. Wcale nie zamierzałam poruszać tego tematu.

– Trucie koni? Młoda damo, o czym pani mówi?

– Tor wyścigowy Brighton – powiedziałam. – Faworyt nagle padł, a wygrał koń, który należy do pańskiego syndykatu. Zastanawiam się po prostu, czy pańskie motywy dotyczące Daniela mają coś wspólnego z faktem, że prowadził on dochodzenie w sprawie tego zdarzenia.

– Co za bzdury! – oburzył się komendant. – To prawda, że jestem jednym z właścicieli konia, ale wyścigi mnie nie interesują. To zwierzę to rodzaj inwestycji.

– Dziennikarze uwierzą w moją wersję, jeśli im o tym powiem. Zwykli ludzie stracili pieniądze, bo postawili na faworyta. Nie potraktują przyjaźnie ani pana, ani pańskich kolegów. Zwrócą uwagę, że prowadzi pan kampanię antykorupcyjną, a sam nie ma czystych rąk

Zrobił się czerwony.

– Czy pani mi grozi?

– Pokażę panu, jak łatwo jest oskarżyć niewinną osobę – odpowiedziałam. – Jak łatwo jest przekonać kogoś co do okoliczności i przebiegu wypadków.

– Powinna pani zostać prawnikiem – bąknął.

– Może wezmę to pod uwagę. – Nie mogłam się nie uśmiechnąć. – Czy to oznacza, że rozważy pan uwolnienie Daniela?

– Rozważę.

– Teraz?

– Proszę nie szarżować.

Więcej nie mogłam uzyskać.

Jak tylko opuściłam Ratusz, skierowałam kroki nad rzekę Hudson. Czekła mnie jeszcze jedna przygnębiająca rozmowa. Wielki biały parowiec „Ivernia” linii Cunard stał w porcie w West Side. Zapytałam, czy pani i panna Norton już weszły na pokład. Poprowadzono mnie do ich kabiny. Panowało tam straszne zamieszanie. Zrozpaczona służąca próbowała wepchnąć wielkie pudła z kapeluszami do małej szafy. Arabella podskoczyła na mój widok.

– Panno Murphy, jak to miło, że przysła pani się pożegnać.

Wzięła mnie za rękę i zaciągnęła w ustronne miejsce.

– Są jakieś wieści, prawda? – szepnęła.

– Tak, ale obawiam się, że nie na takie wieści pani czeka. – Spojrzałam jej prosto w niewinne niebieskie oczy. – Stało się najgorsze.

Opowiedziałam wszystko po kolei, pomijając najbardziej drastyczne szczegóły.

– Przykro mi, że udaje się pani na wakacje w tak smutnych okolicznościach – zakończyłam. – Pamiętałam jednak, że chciała pani dowiedzieć się prawdy przed wyjazdem.

Kiwnęła głową, zaciskając mocno usta i starając się zachować spokój.

– Carter Quigley. Trudno uwierzyć. Cały czas grał zrozpaczonego chłopaka, któremu Letycja złamala serce.

– Mnie też usiłował zabić.

– To straszne! – wykrzyknęła. – Ale nie zrobił pani krzywdy?

– Powiedzmy – odparłam, bo wolałam nie zwierzać się ze wszystkiego Arabelli.

– To miło, że zechciała pani się pofatygować, zanim statek odpłynie. W czasie podróży po Europie cały czas bym myślała o biednej Letycji. Musimy się rozliczyć. Bardzo szybko rozwiązała pani zagadkę! – Panna Norton sięgnęła po torebkę. – Czy mogę zapłacić czekiem?

Położyłam jej dłoń na ramieniu.

– Panno Norton, nie mogę wziąć pieniędzy. To nie byłoby w porządku.

Kiedy wypowiadałam te słowa, jakiś wewnętrzny głos mówił mi, że jestem głupia. Cóż, i tak wiedziałam to nie od dziś.

– Przecież zleciłam pani konkretne zadanie, a pani się z niego wywiązała – nie chciała ustąpić.
– Tak prowadzi się interesy.

– Proszę w takim razie poczekać do powrotu – odparłam. – Kto wie, może będzie pani wtedy hrabiną lub księżniczką...

Przez chwilę patrzyła na mnie ze zdumieniem, potem parsknęła śmiechem.

– To prawda – przytaknęła. – A panna Murphy zostanie panią Sullivan.

– Niewykluczone. Jeśli sąd uzna, że Daniel jest niewinny. Komendant Partridge nie chce go wypuścić z więzienia, mimo że zna już fakty.

Prychnęła.

– W takim razie zadzwonię do papy – postanowiła. – Powinien pomóc. To wpływowo człowiek.

Do kabiny wtoczył się wózek załadowany pudłami i walizkami, więc musiałyśmy wyjść na pokład. Na twarzy poczułam przyjemną bryzę od morza.

– Powinłam się już pożegnać. Czeka panią sporo pracy przy bagażach – zauważyłam.

– Wolę zostać na zewnątrz. Mama się strasznie zdenerwowała, że mamy tutaj tak małą garderobę.

Złapała mnie za rękę.

– Bardzo dziękuję, panno Murphy, za to, co pani dla mnie zrobiła. Z całego serca życzę pani powodzenia.

– A ja pani, panno Norton.

– Mam na imię Arabella – powiedziała. – A ty Molly, prawda? Ładne irlandzkie imię. Pasuje do ciebie.

– Miłego pobytu w Europie, Arabello.

Kiwnęła głową. Pomyślałam, że na mnie czas.

– Wiesz, od początku czułam, że jej już nie ma – dodała. – Dziwne, prawda?

– Szósty zmysł. Może jednak płynie w tobie irlandzka krew – odparłam i opuściłam kabinę.

Tego wieczoru, kiedy siedziałyśmy z Sid i Gus przy kolacji, rozległo się głośne pukanie do drzwi. Zamarłyśmy, patrząc na siebie w milczeniu, po czym przestraszona Sid wstała i poszła sprawdzić, jakich tym razem mamy gości. Po chwili usłyszałyśmy:

– Nie wierzę własnym oczom! Spójrzcie, kto tu jest.

Do pokoju wszedł Daniel we własnej osobie. Wyglądał okropnie – zabiedzony, nieuczesany i błydy, w za dużym ubraniu. Podczas pobytu w więzieniu wyraźnie schudł.

Wstałam od stołu, ale nogi miałam jak z waty. Chciałam podbiec i go przytulić, ale nie mogłam ruszyć się z miejsca.

– Danielu! – krzyknęłam. – Czyżby komendant już cię wypuścił?

– Komendant? – odparł. – Komendant nawet się do mnie nie pofatygował. To Dżentelmen Jack wpłacił kaucję. Jestem wolny do rozprawy.

– Nie będzie rozprawy. Obiecuję – powiedziałam. – Aresztowali Quigleya. To on jest wszyscyem winien, zaplanował twoje aresztowanie i uczestniczył w morderstwach.

– Quigley? Jesteś pewna? Dlaczego?

– Długa historia.

Ciężko mi było mówić. Emocje wzięły górę. Wpatrywałam się w Daniela, ale nie mogłam zrobić kroku w jego stronę.

– Tak, Danielu. Usiądź. Wszystko ci opowiemy – powiedziała Sid. – Naleję kieliszek wina. A może wolisz koniak?

Odwrócił się w stronę drzwi.

– Dżentelmen Jack czeka na mnie w powozie – wyjaśnił. – Zaproponował, że odwiezie mnie do domu. Ale chciałem najpierw zobaczyć Molly i podziękować jej za to, co dla mnie zrobiła.

– Zaproś przyjaciela do nas – zaproponowała Sid. – Będzie weselej.

– Jesteście pewne?

– Tak, prosimy. Jedzenia starczy dla wszystkich.

Daniel uśmiechnął się.

– Dobrze. – Ruszył w stronę drzwi, ale nagle odwrócił się i zapytał: – Nie cieszysz się, że mnie widzisz?

– Oczywiście, że się cieszę – powiedziałam. – Po prostu minęło tyle czasu, a ty pojawiłeś się tak nagle. Nie wiem...

Zaczęłam płakać. Zawsze chwaliłam się, że nie płaczę przy ludziach, a tu proszę! Kolejny raz ryczałam jak bóbr.

Muszę się opanować – pomyślałam.

Daniel natychmiast podbiegł i wziął mnie w ramiona.

– Molly, kochanie – szepnął. – Nie płacz. Wszystko będzie dobrze.

Wtuliłam się w niego i poczułam na włosach pocałunki. Może jednak rzeczywiście wszystko będzie dobrze...

OD AUTORKI

Opisana historia jest fikcją literacką, ale występują w niej dwie postaci autentyczne. John Partridge pełnił w roku 1902 funkcję komendanta policji nowojorskiej. Sabella Goodwin była jedną z pierwszych kobiet zatrudnionych w policji. Opiekowała się więźniarkami osadzonymi w areszcie. Była żoną policjanta. Gdy jej mąż zginął na służbie, pomagała w sprawach kryminalnych. W nagrodę za liczne sukcesy otrzymała w 1910 roku tytuł detektywa.

PRZYPISY

[1] Towarzyska elita Nowego Jorku w XIX wieku. Termin zaproponowany przez Warda McAllistera na określenie liczby osób, które zmieszczą się w sali balowej (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczk).

[2] Coney (ang.) – królik

[3] The Gut – część wyspy, otoczona na przełomie XIX i XX wieku wyjątkowo złą sławą.

[4] Alphonse Bertillon (1853–1914) – francuski uczone i policjant; twórca antropometrii kryminalnej, systemu identyfikacji polegającego na pomiarach porównawczych części ludzkiego ciała.

Nakładem wydawnictwa Noir sur Blanc ukazały się następujące powieści Rhy s Bowen:

PRAWO PANNY MURPHY

2013

ŚMIERĆ DETEKTYWA

2013

DO GROBOWEJ DESKI

2014

PIENIĄDZE TO NIE WSZYSTKO

2015